

FERDYNAND HOESICK
LEGENDOWE
POSTACIE
ZAKOPIAŃSKIE

CHAŁUBIŃSKI
KS. STOLARCZYK
SABAŁA

~~Państwowe Pedagogium i Liceum Pedagogiczne
w Katowicach~~

WARSZAWA 1922
NAKŁADEM KSIĘGARNI F. HOESICKA

440

LEGENDOWE POSTACIE
ZAKOPIAŃSKIE

~~Państwowe Pedagogium i Liceum Pedagogiczne
w Katowicach~~

94(u38).073"18"A/Z:929-0524/Z



SN 13517

Chałubiński
jako „Król Tatrzański“

(1873—1889)



197



SN



Gdy w roku 1848 wybuchło powstanie na Węgrzech, zaangażował się 28-letni wtedy młody lekarz warszawski, Tytus Chałubiński, do ochotniczej służby przy ambulansach węgierskich; po upadku zaś tej rewolucji wracał do Ojczyzny krótszą drogą przez Tatry, które przy tej sposobności poznał po raz pierwszy.

I.

Zachwycony ich pięknnością, przyjechał tu po trzech latach, w roku 1852, z dwoma swymi warszawskimi przyjaciółmi, profesorem Jurkiewiczem, mineralogiem, i profesorem Aleksandrowiczem, botanikiem, po raz wtóry. Że już za tego pobytu robił większe wycieczki, i w polskie i w węgierskie Tatry, o tem wspomina wyraźnie on sam w roku 1878 w opisie swej „wycieczki bez programu“. Opisując tam mianowicie przejście przez szczybę Żelaznych Wrót, którą od Zmarzłego Stawu przechodzi się na północną stronę Tatr do Stawu Zielonego, powiada Chałubiński, że przechodził tędy, koło czerwonych śniegów w Pustej Dolinie, już dwukrotnie: raz w roku 1876, z księdzem Stolarczykiem, od Popradzkiego Stawu po zejściu z Wysokiej, a drugi raz w roku 1877 w towarzystwie profesora Aleksandrowicza.

„Był to poniekąd obchód jubileuszowy; właśnie 25 lat minęło, jakżeśmy z nim razem i z profesorem Jurkiewiczem pierwszy raz zwiedzali Tatry. Chciałem tedy, aby mu, po tylu latach przybytemu, co najwięcej w najkrótszym pokazać czasie. Zaprowadziłem go „po drodze“ i na owe czerwone śniegi, aby zjawisko to u nas

rzadkie własnymi oczyma oglądał. Wchodzimy na Pustą Dolinę, śniegi są, ale bielutkie. Że jednak przed kilku dniami śnieg w Tatrach padał, musiał pokryć warstwy wieczyste. Odgarnęliśmy miękką wierzchnią skorupę i dobraliśmy się do blado-purpurowego łoża. Rozpierzchnięci w dolinie, zbieramy się w ścisłą kolumnę, aby przebyć żleb kamienisty ku szczybie. Nigdy wprzód i może już nigdy więcej żleb ten ponury i dziki nie zabrzmiał takim wesołym i hucznym gwarem. Było nas około czterdziestu. Zawsze wesoły, pogodny humor szanownego jubilata, jego wrażliwość na piękno przyrody, tryskający przy każdej sposobności dowcip, wprowadził całe nasze grono w najlepsze usposobienie. W przeciągu ćwierci wieku, jak nie był w Tatrach, profesor Aleksandrowicz przybrał nieco na tuszy, a chociaż twierdził, że poprzedniego już dnia gdzieś tam na Krywaniu zgubił przodkującą a wydatną część swej cyrkumferencji, jednakże zauważyliśmy, że w miarę coraz bardziej stromej drogi, coraz bardziej botanizował, szukając tam nawet roślinności, gdzie już ostatnie jej ślady zginęły. Ponieważ nie było czasu do stracenia, postanowiliśmy prosić go, aby zechciał nam przewodniczyć, aby prowadził kolumnę. Odgadł manewr, ale poddając się z uprzejmością naleganiom, objął przewodnictwo i — trzeba być sprawiedliwym — prowadził nas doskonale. Z westchnieniem mijał zapraszające go do spoczynku tu i ówdzie „kanapkowatości“, nie chcąc, aby, gdy spocznie, trzydziestu kilku towarzyszków czekało pod nim, wisząc częstokroć więcej na łokciach, niż stojąc na ślizkiej i niepewnej ścianie. Odwracał się wtedy ku nam i z szczerym, choć czasami nieco kwaśkowanym uśmiechem, potrząsając wzniesioną do góry ciupagą, „za mną“! wołał, jakby do opóźniających się towarzyszy. „Idziemy“! krzyczeli górale wśród serdecznego śmiechu. Gdyśmy doszli szczyrbiny, szanowny profesor ze łzami zachwytu i wzruszenia powitał uroczy majestat tego miejsca. I nie jego jednego powieki łzą zabłyśły“.

W roku 1873 zjechał Chałubiński w Tatry po raz trzeci,

aby już odtąd każdego lata bez wyjątku przyjeżdżać na wakacje do Zakopanego. Właśnie panowała tu straszna cholera, po prostu dziesiątkująca górali. O jakiejś energiczniejszej akcji antycholerycznej, która była obowiązkiem władz nowotarskich, nie było mowy; sposób zaś, w jaki sobie radzili gazdowie, polegał na tem, że w każdej chacie, w której zaszedł wypadek cholery, zabijano drzwi i okna nieboszczyka albo chorego, jeszcze żywego zostawiając wewnątrz. W chwili, gdy Chałubiński zjawił się w Zakopanem, większość chałup już nie była zamieszkałą. Zrazu ciemnota i rozpacz nie tylko przeszkadzały w niesieniu jakiegokolwiek pomocy, ale nawet występowały groźnie, gdy znakomity lekarz wziął się najprzód do przewycięzania przesądów, a następnie do racjonalnej walki z zarazą. Szło to opornie, ale z wolna medycyna i higiena zaczęły robić swoje, epidemia zaczęła wygasać gwałtownie¹, co naturalnie miało ten skutek, że uwierzono w cudowną moc „pana Ałubińskiego“, że uwierzono w jego wiedzę i humanitarność, że najprzód zrodziła się wdzięczność w sercach górali, a niebawem w konsekwencji przyszła kolej na szczere przywiązanie i uwielbienie.

Rozmiłowawszy się w piękności Tatr, a upodobawszy sobie szczególnie Zakopane, kupił tu sobie z czasem² Chałubiński w lesie, na zbiegu dwóch dróg, kawał gruntu i wybudował na nim obszerny parterowy dom mieszkalny, drewniany

¹ W swej książeczce o Sabale tak pisze między innymi o Chałubińskim Andrzej Stopka: „A któż z mieszkańców podhalańskich nie doświadczył osobiście jego niewyczerpanej dobroci, czy to podczas choroby, czy innego nieszczęścia! Niech sobie Zakopianie przypomną, lub każą przypomnieć czasy panowania straszliwej cholery. Wszędzie nastąpiło wyludnienie. U nas, dzięki jemu, obeszło się bez wielkich strat. Czyż jabym tylko miał pamiętać, jak wszyscy uciekali od zakażonych, tak, że ten mąż musiał sam, oprócz udzielania opieki lekarskiej, chodzić dla chorych do źródła z garnuszkiem po wodę?“

² Jeszcze w roku 1877 mieszkał Chałubiński w domku ks. Stolarczyka (dziś przy ulicy Zamoyskiego), w lesie, jak o tem świadczy Bronisław Rajchman w swym opisie wycieczki z Chałubińskim do

oczywiście, z dwiema werandami, od północy i od południa, z szeregiem dużych jasnych pokoi, o szerkich weneckich oknach. A że dobry przykład nie pozostaje bez wpływu na innych, więc niebawem uczynił to samo profesor Baranowski, zakupując obszerny grunt na Chramcówkach, i dyrektor Gnoiński, którego willa zajęła róg Przecznicy. Jednocześnie, dzięki porodom Chałubińskiego, zaczęło do Zakopanego zjeżdżać na lato coraz więcej osób z Warszawy i Królestwa. Obok Krynicy, Iwonicza i Szczawnicy, zaczęło i Zakopane stawać się coraz bardziej modnem.

Wojciech Kossak, które je poznał w roku 1880, tak opisuje ówczesną zakopiańską sielankę:

Tłuc się z samego Krakowa furką góralską, bo ze względu na to, iż z Nowego Targu jedyna droga była właśnie łożyskiem Dunajca, pełnym okrąglaków, a żaden resor nie byłby tego wytrzymał, ten lekki wehikuł jedynie odpowiadał ówczesnym warunkom tej podróży; znośić straszny odór „mahorki“ i przegniłej nikotyną fajki góralskiej, nocować w zajazdach na Lubieniu albo w Zaborni, gdzie w małych izdebkach było wprawdzie dużo świętych obrazów na bielonych ścianach, dużo poduszek na okropnie krótkich łóżkach, ale i pod świętymi obrazami i pod poduszkami jeszcze więcej pluskiew, prusaków i pcheł; mieszkać w dusznej, z małymi okratowanymi okienkami chacie góralskiej, spać w atmosferze, przesyconej zapachem gnojówki i obory, a przy ustawicznym pianiu kogutów i krzykach gaźdżiny: na to wszystko trzeba było entuzjastów i ludzi o nerwach, jak postronki.

Morskiego Oka: „Zajmuje on w Zakopanem dość wygodny i obszerny domek, należący do miejscowego proboszcza. Przed domkiem jest weranda, na której zwykle czas spędza podczas dżdżystej pory. Tam też przyjmuje gości, aby nie tracić w zamkniętym pokoju cudownego tatrzańskiego powietrza“.

Gdym tu przyjechał po raz pierwszy, jedyną prywatną willą była stojąca do dziś w lesie p. Tytusa Chałubińskiego. Nawet Adasiówki jeszcze nie było.

A jednak ówczesne Zakopane, a właściwie Tatry, dawały tyle, że pomimo tych niewygód i braków zjeżdżała do nich co roku elita kulturalnego społeczeństwa polskiego. Gorące polskie serca garnęły się do tego cudnego zakątka, nietkniętego żadną z tych epidemij, przez które przechodziły inne polskie kraje. Nie było tu nigdy ani Moskali, ani Prusaków, a austriackie rządy także kończyły się w Nowym Targu. Osławione mandatarjusze i kreishauptmany nie mieli ochoty zapuszczać się w te niebezpieczne komysze. Język Reja i Kochanowskiego przechował się też tutaj nieskażony, jak typ i strój ludu tatrzańskiego. Wraz z Tatrami, o charakterze tak wybitnym w majestatycznej swej dzikości, odkrył się Polsce nowy, nieznany dotąd świat. Przyjeżdżali więc tylko ci, dla których to było dostatecznem, aby sownie opłacić trudy i niewygody. Anczyc, Bartels, ś. p. mój ojciec, Zyblikiewicz, Gerson, Odyniec, Dembowski, Wrześniewski, Baranowski, Kleczyński, Paderewski, Janota, Gnoińscy; z wielkich rodów polskich tylko hr. Edwardowa Raczyńska. Rzecz prosta, iż element kobiecy był tej samej wartości, a młodzież nieodrodna, tak samo filozoficznie usposobiona co do braku najelementarniejszych potrzeb, a równie entuzjastyczna, jak starsze generacje. Tańczono w karczmie u Sieczki w niskiej, drewnianej, okopconej, a oświeconej łożówkami izbie, a z pewnością nie z mniejszym temperamentem i wesołością, jak w balowych salach na woskowanej posadzce. Pamiętam, jak na jednym z tych reunionów jedna z danserek, nie znosząca ani wódki, ani piwa, prosiła swoich danserów o mniej alkoholiczne rafraichissement. I na to się sposób znalazł: poszliśmy za płot obok karczmy, gdzie na łączce

pasły się krowy pana Sieczki, i wydojono bardzo niezgrabnie zdziwioną tym dojem o księżycu krowę.

Kawiarni ani cukierni jeszcze żadnej, nawet Dworca Towarzystwa Tatrzańskiego nie było. To też w pogodę Zakopane pustoszało, a co żyło, szło w góry. A chodziło się inaczej: przede wszystkim nie było perci i nie było schronisk, szło się więc zawsze z kilku przewodnikami i dlatego wykluczone były wszelkie wypadki. Przewodnicy byli troskliwymi opiekunami pod każdym względem; często przy ognisku, gdy państwo już spało, naprawiali zdarte buty, nowe podeszwy przyszywali i robili to wszystko chętnie i z własnej inicjatywy. Popsuto ich potem, tem łatwiej, że nie było już pana Tytusa.

Pan Tytus! Pisać o jego zasługach, o jego daleko patrzącym wzroku, widzącym doskonale Zakopane przyszłości, nie mnie przystoi. Obaj oni z księdzem Stolarczykiem byli dla Zakopanego ludźmi opatrnościowymi. Rozmiiłowani w Tatrach, obaj niezwyklej inteligencji i nauki, każdy po swojemu dążył do oświecenia ciemnych i dzikich górali.

To też, o ile do księdza Stolarczyka przylgnął tytuł „pierwszego proboszcza w Zakopanem“, o tyle Chałubiński zyskał sobie niebawem, i u górali, i wśród gości, dostojny przydomek „króla tatrzańskiego“. Jakoż nie było w Zakopanem popularniejszej postaci.

Już sam przyjazd jego stawał się uroczystością miejscową, rok rocznie powtarzającą się z tym samym entuzjazmem. Chałubiński przyjeżdżał zwykle do Zakopanego na początku lipca, a w dniu, w którym się go spodziewano, zawsze kilkadziesiątu młodych górali wyjeżdżało konno w odświętnych strojach parę wicrst na jego powitanie, tak, iż przez całe Zakopane aż do swego domu jechał w otoczeniu tej banderji, wśród radosnych okrzyków, wśród strzałów na *vivat* z pistoletów, wśród salw moździerzy, ustawionych na wzgórk

w pobliżu budującego się nowego kościoła. Goście zakopiańscy, najczęściej zgrupowani w pobliżu bramy tryumfalnej, ustawionej na początku Krupówek, na widok tego malowniczego orszaku powiewali czapkami i chustkami, jakby mu starym słowiańskim zwyczajem mówili: A witajże nam, witaj, miły hospodynie! On zaś, rozrzewniony tą serdeczną owacją, kłaniał się z otwartego powozu swym sławnym słomkowym kapeluszem, rozpromieniony, szczęśliwy, uśmiechnięty, a przede wszystkim zadowolony, że znowu jest z powrotem w swym ukochanem Zakopanem, w tych swoich pięknych Tatrach, których nikt nie miał prawa w tym stopniu, co on, nazywać s w o j e m i g ó r a m i!

Potem widywało się go jeżdżącego bryczką po ulicach, zawsze w serdaku i w słomkowym kapeluszu; a gdy się zdarzało, iż szedł pieszo, to nigdy nie widziało się go samego; bo jeśli nie szedł ze starym Wojciechem Rojem, swoim „ministrem do spraw wszelkich“, albo z Szymonem Tatarem, dla którego również miał słabość, albo z Maciejem Sieczką, swym ulubionym przewodnikiem, albo z Wojtkiem Ślimakiem, swym nadwornym golibrodą, albo z Sabałą, w którym widział niezrównany typ ostatniego z Mohikanów tatrzańskich, to go stale otaczała gromadka górali, z którymi nigdy mu nie brakło tematu do milej przyjacielskiej rozmowy. Czasem spotykało się go z jaką zapłakaną gaździną, z którą szedł do jej chorego męża, ojca, lub syna, ale bywało i tak, że go się widywało w towarzystwie najwybitniejszych jednostek naszego społeczeństwa, szczególnie ze sławnymi artystami, do których przez życie całe miał nieprzeparty pociąg. Pamiętam czasy, w których go widywałem, asystującego Modrzejewskiej (która wtedy budowała swoją willę Modrzejów na Antałówce), bądź przechadzającego się z doktorem Baranowskim, z dyrektorem Gnoińskim, z marszałkiem Zyplikiewiczem lub arcybiskupem Stablewskim, z Eliaszem lub Świeżem, z młodziutkiem Paderewskim i Władysławem Górkim z żoną, często też z „Jegomością“ księdzem Stolarczykiem, którego

tymczasem wszystkie przechodzące baby całowały w rękę, a wreszcie z Sienkiewiczem, który wtedy zaczął przyjeżdżać w góry.

O stosunku Chałubińskiego do Zakopanego i jego zasługach dla miejscowej ludności tak pisał w swoim czasie w „Kraju“ profesor Ignacy Baranowski:

Miłośnik przyrody, wrażliwy na jej piękności, artysta z usposobienia i z wykształcenia, obiera za stałą siedzibę letnią Zakopane, piękne ustronie górskie, o którym, że istnieje, jeszcze od czasów Staszica wiadano, ale do którego tłum turystów podążył dopiero wtedy, gdy Chałubiński tam się na stałe osiedlił. Za jego staraniem powstaje Towarzystwo Tatrzańskie, którego głównem zadaniem miało być badanie fizjograficzne Tatr polskich. W wycieczkach niezmiernie zuchwałych, wiodących go na szczyty niezwykłe, wyrabia doskonałych przewodników górskich, oraz wyznacza szlaki i drogi, dla turystów dostępne, a bogate w uroczyste widoki. W wycieczkach tych zbiera odłamki skał, oznacza ich pochodzenie, porządkuje je. Zbiór ten stał się dziś, z daru Chałubińskiego, własnością Muzeum Tatrzańskiego, któremu wielbiciele Chałubińskiego jego imię nadali. Równocześnie zbiera mchy tatrzańskie, bada je, determinuje i klasyfikuje. Owoc tej długoletniej pracy nad mchami ogłasza najpierw w „Pamiętniku fizjograficznym“, a następnie wydaje oddzielnie p. t. „Grimiae tatrences ex autopsia descripsit adumbravit Dr. Chałubiński“. Monografia ta, napisana w języku łacińskim, cenią ją przez biologów zagranicznych, jako jedną z najlepszych prac w tym dziale naukowym... Poznawszy klimat Zakopanego, oceniwszy jego wartości lecznicze, Chałubiński wygotowuje ustawę Stacji klimatycznej i wyjednywa jej zatwierdzenie... Dziwnie piękny stosunek wywiązuje się między Chałubińskim a ludem

górskim, który przedtem odcięty był od świata, żył, rzecz można, w stanie pierwotnej kultury, noszącej cechy niezwykłe, bardzo oryginalne, a znamionujące wielkie zdolności tych dzieci natury. Chałubiński dopomaga do zebrania legend ludu górskiego, jego pieśni, które Kleczyński z ust ludu notuje, a Paderewski w wykwintne dzieła sztuki przetwarza. Chałubiński jest inicjatorem Szkoły snyderkiej i Szkoły koronkarskiej, poparty w tem dzielną pomocą ś. p. Mikołaja Zyblikiewicza. Wreszcie usiłuje on podnieść rolnictwo przy udziale swego najbliższego przyjaciela, zacnego plebana zakopiańskiego, ks. Stolarczyka, który we wszystkich tych pracach Chałubińskiego idzie z nim ręką w rękę. Pełen miłości ziemi i ludu, stworzył sobie Chałubiński świat nowy zadań społecznych, cywilizacyjnych i naukowych, których spełnienie wzbogaciło wielkimi zasługami ostatnią epokę jego żywota.

II.

Słynne były wycieczki, jakie Chałubiński robił w Tatry. Sława ich, ustnie i w druku, rozchodziła się po całej Polsce. Ale bo też i było coś romantycznego w tych wycieczkach, coś epickiego poniekąd.

Przedewszystkiem nie odbywał ich nigdy w małym towarzystwie, lecz gromadą, złożoną z kilku lub kilkunastu zaproszonych osób i 30 lub 40 górali. Wybierano się całym taborem, z namiotami, kocami, kociołkami, samowarami etc., a nadewszystko z orkiestrą: z basetlą, z kobzą, z harmonją, ze skrzypcami, ze słynnym Bartkiem Obrochtą, jako pierwszym skrzypkiem i przewodnikiem tej góralskiej orkiestry. Kulawy Kuba grał na basetli, młodszy Obrochta był trzecim skrzypkiem. Niezależnie od nich szedł stary Sabała który przez całą drogę przygrywał na swych gęślikach, lub śpiewał staroświeckie piosnki góralskie. Prowadzili Jędrzej Wa-

la, Maciej Sieczka, Szymon Tatar, Wojciech Roj, Wojciech Ślimak, Jan Gronikowski. Za nimi szedł Chałubiński z towarzystwem, niekiedy i w towarzystwie żony, którą górale nieśli w specjalnie *ad hoc* sporządzonym fotelu w rodzaju lektyki; w tyle zaś za nimi szli „chłopi“ z torbami na plecach, wypchanymi żywnością i zapasową odzieżą, z namiotami, pościelą, kociołkami etc. Takim taborem zapuszczano się w góry, wdzierano się na najnieдоступniejsze szczyty, rozkładano się obozem nad brzegami jezior; a że z „panem doctorem“ nigdy nie wychodziło się na krócej, aniżeli na kilka dni, więc nocowano pod gołym niebem, w kosodrzewinie lub lesie, przy świecącym księżycu lub gwiazdach, niekiedy pod powalą gęstych chmur, a zawsze w ciepłe olbrzymiego ogniska, płonącego pośrodku. Gdy jeszcze na spanie było zawczasie, zabawiano się w ten sposób, że albo Sabała, rzępoląc na gęśli, opowiadał o dawnych zbójnickich wyprawach lub polowaniach na niedźwiedzie, albo górale, podnieceni ognistą muzyką kapeli Obrochty, tańczyli „staroświeckiego“, albo Obrochta przygrywał na skrzypcach, a górale zawodzili swoje śpiewki.

Ci, co brali udział w tych wycieczkach Chałubińskiego (co równało się zaszczytowi poniekąd, bo „konsyliarz“ nie zapraszał na nie byle kogo), zawsze je będą wspominali, jako jedne z najbujniejszych chwil swej młodości.

Kilka z tych pamiętnych wycieczek znalazło swe odbicie i w literaturze. Dwie z nich, mianowicie *Wycieczkę do Morskiego Oka przez przełęcz Mięgoszowiecką* w roku 1877 i *Wycieczkę na Łomnicę* w roku 1879 opisał barwnie Bronisław Rajchman: pierwszą w „Ateneum“, drugą w „Wędrowcu“.

Do Morskiego Oka wybrano się dwiema partjami: Chałubiński z synem, Rajchman i prof. W. oraz Sabała pojechali furą przez Bukowinę, przewodnicy zaś, wraz z chłopami do noszenia rzeczy, poszli pieszo przez Waksmundską. Spotkać miano się w Roztoce. Gdy dojechano do wsi Murzasichle,

zdziwiony tą nazwą Rajchman zapytał Chałubińskiego: „Cóż to za nazwa wśród kraju polskiego?”

Profesor objaśnił mnie, że tu była osada tatarska, z jeńców niegdyś, jak się zdaje, powstała, nazwana od dwóch gospodarzy: Murzy i Sichły¹. Potomkowie ich naturalnie ani słowa po tatarsku nie rozumieją, lecz w ry-sach ich ma się jeszcze uwidocznić ślad dawnego pochodzenia. Żalowałem bardzo, iż nie miałem sposobności osobiście go odnaleźć, gdyż mieszkańcy gdzieś daleko na polach pracowali. Trudno mi było powstrzymać bieg kombinacji wyobraźni, która nagle połączyła w umyśle moim nazwę tej wsi z nazwą „Tatry“ z nazwiskiem jednego z przewodników tatrzańskich: Tatar. A może nawet, pomyślałem sobie, Sabala powstało z jakiegoś Sab-alla, Marduła z Mard-alla? Kto wie? Jednakże fizjognomie górali zakopiańskich nie mongolskiego w sobie nie mają¹.

W Roztoce, gdzie już istniało świeżo wzniesione Schronisko Wincentego Pola, spotkano się z przewodnikami, których, jak zwykle, było co najmniej kilkunastu.

Każdy turysta tatrzański wychodzi zwykle na wycieczkę z jednym, a rzadko z dwoma przewodnikami. Pan

¹ W swym opisie Wycieczki na Łomnicę z roku 1879 pisze Rajchman o tej wsi w odmienny sposób, prostując tę wersję: „Takie jest wprawdzie dość powszechne mniemanie (o tatarskim pochodzeniu tej wsi), ale dr. Chałubiński przypuszcza, iż nazwa ta powstała z dwóch wyrazów polskich m u r i s i c h ł y. Pierwszy w dialekcie tatrzańskim oznacza pionowe skały, drugim mianują starzy górale (przynajmniej od jednego słyszał dr. Chałubiński) ziemię gliniastą, z wierzchu czerwoną, spodem niebieską“.

² Zdarzają się jednak między nimi i typy o wybitnym charakterze tatarskim. Takim np. typowym Tatarem był w swoim czasie znany przewodnik, Józek Pęksa.



Chałubiński zaś potrzebuje ich dla siebie i syna najmniej dziesięciu, i to nie dlatego, aby nosił z sobą tyle pakunków, bo ostatecznie udźwignęłoby je czterech lub pięciu górali, licząc już w to dwóch ludzi do noszenia namiotu płóciennego, ale po prostu dlatego, że doktor lubi mieć w swym orszaku wszelkich specjalistów, jakich tylko można znaleźć w Zakopanem. Ludzie, należący do jego wycieczek, stanowią niejako mały świeatek przenośny, któryby nawet na bezludnej wyspie mógł sobie żyć dość wygodnie przy doskonałym podziale pracy.

Opiszę pokrótce każdego z nich. Z wieku należy się pierwszeństwo staremu Sabale. Jest to starzec około 70-letni, trochę niedowidzący, a pomimo to doskonale wspinający się po skałach. Niegdyś był zawołanym strzelcem na kozice, dziś, nie mogąc strzelać i uganiać za zwierzyną, umiła sobie i kolegom życie muzyką.

Szymon Tatar, człowiek 50—60-letni, rzeźki, silny, młodzieńczy brunet o twarzy orjentalnej, jest specjalnym przewodnikiem, najdoświadczeńszym ze wszystkich należących do orszaku. Nie leni się do roboty, ale gdy wróci do domu, to śpi dwa lub trzy dni z rzędu, nawet posiłku nie chcąc przyjmować.

Wojciech Raj (czy też Raj), należy, podobnie, jak wszyscy pozostali, do młodszej generacji. Na przewodnika wykierował go dr. Chałubiński, zauważywszy w nim wielki spryt i oględność. Jest on nadzwyczaj troskliwy o turystów, którym towarzyszy, i z tego powodu zyskał powszechną dla siebie sympatję. Specjalnością jego jest kuchnia.

Drugim kucharzem jest Wojciech Ślimak, brunet, bardzo przystojny (Warszawianki mówiły to głośno w Zakopanem), sympatyczny, z łagodną melancholją rozlaną na twarzy. Jest on przytem cyrulikiem, który umie wybornie golić, stawiać bańki i t. d. Raj i Ślimak należą także do pierwszorzędných przewodników.

Szczepan Roj i Wojtek Gewont są specjalistami od noszenia i rozbijania namiotu. Ponieważ drażki namiotu sterczą, gdy są nim obładowani, z obu stron ich grzbietu, więc nazwano ich „skrzydlatymi“. Nadto obydwaj umieją buty naprawiać, a ostatni jest drugim skrzypkim towarzystwa i stałym akompaniatorem Sabały.

Jan Sabała, młodszy, jest krawcem. Szyje on w Zakopanem i gościom odzież góralską. Dwaj inni, należący do orszaku doktora, których nazwisk nie pomnę, przewodnik pana W., Jarząbek, oraz mój, Jacek Rebel Król, grają w towarzystwie rolę baletników: Jacek celuje przyśiadami, a Jarząbek fantazją i pomysłowością w tańcu. Nadto obadwaj najlepiej umieją przyśpiewywać.

Najmłodszy ze wszystkich górali, Józek Roj, syn Wojciecha, chłopiec 12-letni, jest przybocznym adjutantem dr. Chałubińskiego. Nosi on za nim zielnik oraz puszkę do zbierania mchów. Jest tak sprytny, że raz przypatrzawszy się jednemu z licznych i bardzo delikatnymi cechami odróżniających się gatunków mchów, już go umie znaleźć. Wielce wskutek tego jest pomocnym doktorowi, gdyż mając bystry wzrok, nie opuści ani jednego krzaczka mchu przy drodze, aby go nie obejrzał, lub w razie wątpliwości nie podał profesorowi.

Towarzystwo tedy nasze, oprócz lekarza, naturalistów i literata, składało się z muzyków, tancerzy, kucharzy, cyrulika, namiotników, szewców, krawca, a zapewne i innych specjalistów, którzy jednak nie mieli sposobności okazać swych talentów na wycieczce.

Po kilku godzinach męczącej drogi zatrzymano się w pobliżu Czeskiego Stawu, gdzie miano przenocować.

Górale zaczęli ścinać kosodrzewinę i rozpalili ognisko. Usiedliśmy, a raczej rozłożyliśmy się obok niego, oparci plecami o małeńki garb ziemi. Choć mieliśmy na

sobie serdaki, jednakże okazała się konieczność owinięcia się w pledy, bo zimno było nie do zniesienia.

Wkrótce ogień buchnął wysoko, oblewając całą grupę czerwonym światłem. Rozkoszowałem się tym ogniem nie do uwierzenia. Dym, który często wiatr na nas nawiewał, choć mi oczy szczypał, jednakże czynił tylko rozkosz, jaką miałem z światła i ciepła, więcej *piquante*. Nawet iskry, padające na pled, nie bardzo mnie obchodziły. „Gdyby się bardzo zaczął palić, pomyślałem, to mnie górale ostrzegą“ — i utkwivszy oczy w fantastyczne wężyki płomienia, leżałem nieruchomy, oderwawszy się od całego świata cywilizowanego, od całej swojej przeszłości — i byłem w tej chwili najprostszym dzieckiem natury... Kiedy niekiedy tylko spoglądałem na dekoracje, które nas otaczały. Z początku widać było szare skały i bielejące na nich śniegi; później, gdy już nawet z wierzchołków, otaczających nas w półkole, blaski dnia spелzły, widziałem tylko ciemne kontury gór na jaśniejszem cokolwiek tle nieba. Spoglądałem także czasami na twarze górali. Roj gotował wodę na herbatę; Ślimak wydobywał zapasy z torby, a inni siedzieli nokoło ogniska; oparli się na kolanach i paląc krótkie fajeczki, spoglądali, jak ja, w ogień, lub też posilali się tem, co w sakwach z sobą przynieśli.

O kilka kroków stamtąd szarzał namiot płócienny, w którym dwaj górale ślali nam wspólne łoże na miękkiej kosodrzewinie. Istny obóz cygański! Tylko dr. Chałubiński stanowił w nim dyssonans: usiadł na boku i porządkował mechy, zebrane w ciągu dnia.

Silny wiatr odchyłał na bok płomień i za ogniskiem zobaczyłem starego Sabalę, który włókł za sobą ogromną gałąź kosodrzewiny. Nie spoczął on też do tej chwili i możeby jeszcze poszedł ścinać drzewo na ogień, co jest jego najulubieńszym zajęciem, gdyby mu wprost doktor nie nakazał, aby odpoczął. „Jeśli jeszcze kozówki po-

trzeba rzekł, to, młodszy po nią pójdą; a wy, mój Sabalo, odpocznijcie tu; a najprzód napijcie się, dodał, wódki". Sabala machnął ręką, jakby chciał powiedzieć, iż wcale zmęczony nie jest i że jeżeli usiądzie, to tylko dla uczynienia zadość profesorowi. Wódki napił się chętnie i, usiadłszy, zaraz zaczął swoją „geśl“ stroić...

...Im dłużej grał, tem chętniej go słuchałem, a gdy niektórzy górale tańczyć zaczęli, spostrzegłem, że jeszcze tego szczegółu brakowało, aby obraz był skończony.

Góralowi niewiele miejsca do tańca potrzeba. Trzy kroki wzdłuż i wszerz, to dla jego choreograficznych popisów dostateczna arena. Taniec ich powstał w szalasie, gdzie bywa natłok ludzi i bydła i gdzie zaledwie pozostaje kilka stóp kwadratowych miejsca na tany. Tańczy się więc z wielką oszczędnością przestrzeni, prawie na jednym punkcie. Jest to coś nadzwyczaj monotonnego, pierwotnego, na co jednak godzinami patrzeć można, gdy się jest w górach, przy ognisku.

Gra Sabala zwabiła juhasów z pobliskiej koleby. Z początku stali zdaleka, niedość śmiali, aby się zbliżyć do ogniska, a tembardziej rozpocząć tany, choć się im oczy do tańca śmiały. Byli to młodzi juhasi. „Potanecz-że który!“ — zawołał jeden z przewodników. Dwóch czy trzech chłopców rzuciło się na równiejsze miejsce przed ogniskiem i zastąpiło zmęczonego tancerza, lecz ponieważ niedość wprawnie tańczyli, powiedziano im, że mogą się nie fatygować...

Tymczasem... baca, który po przyniesieniu mleka stał nieruchomy przy naszej wiatrce, puścił się w tany. Był to mistrz w swoim rodzaju. Żaden z naszych przewodników nie dorównałby mu w pługach. Nie było to już jednostajne dreptanie: była to sztuka i fantazja. Widzieliśmy nowe ruchy, wykonane zręcznie, lekko, harmonijnie, a przytem z werwą, która nietylko górali, ale nas wszystkich ekscytowała, i gdybyśmy umieli tań-

czyć przy tej muzyce, to bezwątpienia widok ten pociągnąłby i nas do towarzyszenia bacy.

Po skończonym tańcu, gdy już czas był iść na spoczynek, pierwszy Chałubiński udał się do namiotu, skąd po pewnym czasie z posłania swego zawołał: „Panowie, czas do koleby!”

Owinąwszy się w pledy, kołdry, palta, włożywszy na nogi ciepłe pantofle lub buty sukienne, zaczęliśmy się wślizgiwać do namiotu na posłanie, zrobione przez górali z gałęzi kosodrzewiny.

Namiot p. Chałubińskiego jest oryginalnym namiotem oficera francuskiego, sprowadzonym umyślnie do wycieczek tatrzańskich. Dwie osoby mogą w nim spać bardzo wygodnie, trzy nieźle się jeszcze pomieszczą, lecz dla czterech mało jest miejsca. Nas zaś było czterech. Leżeliśmy więc przy sobie w ścisłym szeregu, tak, jak naprzykład cygara w pudełku, z tą tylko różnicą, że skrajne cygara mają nad sobą deseczkę w takiej samej wysokości, jak środkowe, zaś prof. Chałubiński i ja, którzyśmy na brzegach leżeli, mieliśmy ponad sobą płótno stropu w wysokości kilku cali z jednego, a kilkunastu z drugiego boku. Gdy więc wiatr zawiał — a wiał w nocy silny wicher, — płótno drgało i uderzało o moje policzki, tak, że po dwugodzinnym co najwyżej twardym śnie obudziłem się i już więcej zasnąć nie mogłem. Widocznie tego samego doświadczył losu profesor, ale się nań nie skarżył, gdyż się na nic podczas wycieczki nie skarży. Abstrahuje od wszystkiego. Leżałem ze dwie czy trzy godziny, myśląc, że zasnę, ale na próżno. Płótno nie dawało mi spokoju, a ciągłe leżenie w grubej warstwie powijków, jako pozbawiające wolności ruchów, tak mi się sprzykrzyło, że postanowiłem wyjść, a raczej wysliznąć się z namiotu. Chciałem się położyć przy gasnącem ogni-

sku, myśląc, że zasnę. Lecz górale wyprowadzili mnie z iluzji, opowiedziawszy, że sami spać nie mogli z powodu zimna. Wiatr bowiem zwracał ogień w coraz to inną stronę i budził nie tylko tych, od których go odwiewał, ale i tych, na których go kierował, ziębiąc pierwszych, a parząc ostatnich. Przekonałem się wkrótce, iż o spaniu w tak przejmującym chłodzie ani mowy być nie może, i bardzo byłem zadowolony, gdy zobaczyłem wysuwającego się z namiotu profesora, który nas zawiadomił że wkrótce ruszymy w drogę.

Jakoż o godzinie piątej puszczoneo się ku Wadze. Była godzina dziesiąta, gdy wreszcie zatrzymano się na tej przełęczy między Rysami a Wysoką, ażeby odpocząć i pokrzepić się jadłem. Opisując widok na Tatry z tego punktu, widok „świata zamartwiałego, majestatycznie ponury, wielki swą dzikością“, cytuje Rajchman następujący wiersz Wincentego Pola:

Góry nad mgłami, kolczasto szarpane.
 Straszły, jak duchy, turniska
 Olbrzymie, wzrosłe z powodzi obłoków.
 Poczwarne, jak widma sumienia,
 Samotne wśród ziemi, jak słowa proroków.
 A wielkie, jak słowa stworzenia.

Gdy sobie przypomniałem te słowa, postać Pola stała przedemną, okolona jakimś blaskiem, w którym mi się przedtem nigdy nie przedstawiała. W tej chwili sprawdziłem, że Pol jest poetą natury, że umie wkładać słowa w usta skał, abyśmy je rozumieli. On odgadł tajniki Tatr, wytłómaczył nam na nasz język hieroglify, któremi do nas mówią, bo ze skałami przestawał, zżył się z nimi i podsłuchiwał uchem syna natury.

— Pijcie wartko! — usłyszałem nad sobą głos Roja, podającego mi herbatę.

Spostrzegłszy, że niedaleko odemnie siedzący profesor nie pije, rzekłem do Wojtka: „A dajcież profesorowi!“

— Zaraz, zaraz, mój panie — odrzekł profesor. — Pozwólcie mi najprzód skończyć robotę.

Spojrzałem na niego. Był jeszcze zajęty układaniem i znaczeniem mchów, do czego się zabrał w chwili, gdyśmy weszli na Wagę. Czynił to tak spokojnie i uważnie, jakby nie przebył kilkugodzinnej drogi. Przez cały ten czas nie położył się na trawie, choć zaleca leżenie, jako jedyny sposób wypoczynku po silnem strudzeniu. Ja, który wychodząc z domu, postanowiłem sobie notować szczegóły podróży, nie zdobyłem się nawet na sięgnięcie po notyskę i ołówek; doktor zaś nie pozwolił sobie użyć odpoczynku, napić się herbaty, dopóki nie uporządkował zebranych na drodze mchów. Wstydzilem się za siebie i jeszcze wyższy szacunek uczułem dla profesora. W tej energji i w tym porządku, rzekłem do siebie, leży część tajemnicy jego stanowiska pomiędzy ludźmi; trzeba go naśladować, pomyślałem bardzo szczerze, i wziąłem... nie książeczkę i ołówek, lecz... szklankę herbaty.

Po półgodzinnym odpoczynku, Chałubiński nagle odłączył się od swych towarzyszy, a na odchodnem powiedział tylko Rojowi, że prawdopodobnie wróci na Wagę, skąd już wszyscy razem ruszą ku Mięguszowieckiej przełęczy. W przypuszczeniu, że profesor nie odejdzie daleko, Rajchman poszedł z nim razem, co miało ten niespodziewany rezultat, że przypadkiem, po przejściu kilku bardzo przepaścistych kawałków, znalazł się na szczycie Rysów.

Wokół mnie falowało morze skał. Byłem w środku koła, a ze wszystkich stron zbiegały się ku mnie promienie od wyniosłości i dolin. Widziałem z lotu ptaka wszystkie najwyższe szczyty, szturmujące do nieba, jak skamieniałe tytany, widziałem ich kształty stożkowe, ostre, lub szerokie i krępe, ich rozmieszczenie, ogólne

stosunki; widziałem jeziora, czarnem okiem na nas patrzące, widziałem wszystko, co tylko objąć można wzrokiem z jednego punktu, dającego bezwarunkowo najobszerniejszy i najpiękniejszy widok w Tatrach.

Powietrze było czyste; ani jednej chmurki nad głową lub pod nogami nie było widać. Cały więc obraz rzucających się ku niebu fal skalnego morza rysował się jasno. Dalsze tylko kontury były jakby mgłą przysłonięte; wzrok nie mógł przebić tak grubych warstw powietrza, które zdawało się gęstnieć z odległości.

Spojrzałem pod stopy swoje. Nagła zmiana dekoracji. Wzrok krótko tylko spadał w jakiś jar olbrzymi wśród nagich i martwych skał. Uderzył wkrótce o zwierciadło wody Morskiego Oka i spłynął na zieloną dolinę, obramowaną z boków ciemnym borem świerków. Zobaczyliśmy nawet schronisko nad brzegiem jeziora. Tam byli ludzie.

Huknęliśmy wszyscy z całą siłą, na jaką nas było stać. Roj wypalił z rewolweru. Okrzyk i huk rozpełzł się po skałach, ale odpowiedzi nie słyszeliśmy. Zapewne była, lecz nie zmogła odległości.

— Profesorze — rzekłem, — to jest chyba najpiękniejszy widok w Tatrach. Będąc tu tylko, można sobie powiedzieć: widziałem Tatry.

— Bezwarunkowo. I rzecz szczególna: Rysy na których jesteśmy, nie są wcale najwyższymi w Tatrach, bo wznoszą się tylko na 2311 metrów, czyli nie wiele więcej, jak 7300 stóp wiedeńskich. Widok więc ten zawdzięczamy centralnemu Rysów położeniu.

To rzekłszy, profesor wpił wzrok w dal, starając się utrwalić w swej pamięci najdrobniejsze szczegóły stosunków grzbietów i dolin. Już dawno widok ogólny nie ma dla niego przeważnego interesu; stara się on teraz poznać kształty szczytów, jak się z różnych stron przedstawiają, kierunki dolin i ich szczegółowe stosunki.

Zamiast wracać na Wagę, Chałubiński puścił się wprost „po przekątni“ bliższą drogą ku Mięguszowieckiej przełęczy. Niestety, nikt nie znał tej drogi, nawet Szymon Tatar. To też musiano walczyć z całym szeregiem przejść, które „puszczały“ wprawdzie, ale dla niedoświadczonych taterników, jak dwaj towarzysze profesora, nasuwały sporo wątpliwości. Ale mimo to o siódmej wieczorem zatrzymano się na przełęczy Mięguszowieckiej. Ale nie tu był koniec przygód, bo przy schodzeniu, już o zapadającym zmroku, górale zmylili drogę. Na domiar złego nadciągała burza. Ostatecznie, już po nocy, wśród deszczu i ciemności, zawitano do Schroniska Stanisława Staszica nad Morskim Okiem. Nawiasem mówiąc, schronisko to, przez młode Towarzystwo Tatrzańskie wzniesione, z budulca, ofiarowanego przez p. Eichborna, stało dopiero od dwóch lat.

Wreszcie, o radości! Jesteśmy już na miejscu. Roj pali z pistoletu, Sabała zaczyna rzępolić, wchodzimy po błocie wśród kosodrzewiny na małe wzgórze i mamy przed sobą schronisko. Dach i ściany drewniane. Któż zrozumie, co to za rozkosz. Czekają nas tam sienniki, lub miękkie igły kosodrzewiny. Tam już niema ciemności, kamieni ślizkich, deszczu i kładek karkołomnych, tam można używać błogiej nirwany! Ach, jakim to zaczarowanym pałacem wydawała mi się ta z bali zbita chałupa!

Okrzyki nasze i muzyka zbudziły towarzystwo, śpiące w schronisku, tembardziej, że górale zaraz puścili się w tany na trzęsącym się jego ganku. Zaczęto pukać w okiennice i wołać: „Prosimy ciszej, tu ludzie śpią!“ Naturalnie uwzględniliśmy to zupełnie uzasadnione wymaganie i zakazaliśmy góralom hałasować.

Po różnych scenach i niespodziankach, z wielkim humorem opisanych przez Rajchmana, wypadło myśleć o noclegu.

Powiedziano nam, że izby na dole są zapełnione, wdrapaliśmy się więc wszyscy po drabinie na strych, gdzieśmy już znaleźli na podłodze przygotowaną dla nas baterję, złożoną z kilkunastu szklanek mleka. Na cztery osoby to dosyć. Ponieważ nie było tam stołka, ani łóżka, ani ławki, ani stołu, ani niczego, co jego jest, więc siedliśmy na gołych deskach podłogi. Światło dawała nędzna lampka naftowa, oddalona od nas o trzydzieści kroków. Nic to jednak nie przeszkadzało naszemu apetytowi. Na widok mleka zapomnieliśmy o zmęczeniu i przygodach. Ucztowaliśmy po sybarycku. Aby wyczerpać wszystkie przysmaki, postanowiłem wlać trochę araku do letniego już mleka. W tym celu postawiłem na podłogę ledwie co napoczętą szklankę i wziąłem w rękę leżącą przedemną manierkę z arakiem. I stało się nieszczęście! Szklanka z mlekiem przewróciła się, gdyż stała na sznurku od manierki, za który pociągnąłem, podnosząc tę ostatnią do góry. Drogocenny płyn rozlał się po deskach i zaczął spływać na dół przez jedyną, niepokrytą listewką szparę między deską a belką.

— Co to? Co to znowu? — odezwały się na dole głosy zaspane.

— Ajej, leje się! Jakże to można coś podobnego...

— Czy deszcz przez dach dziurawy?

— Ale gdzież tam! Coś ciepłego...

Śmiechy sąsiadów i samego poszkodowanego. Pomyślałem sobie, że panowie ci, tak srodze przezemnie nastraszeni nie mieli ducha empirycznego. Gdyby zapalili zapałkę, to przekonaliby się, iż jest to ciepłe niewinne mleko.

Zabawny ten epizod wywołał „ostrą polemikę“ w „Dzienniku Poznańskim“, co oczywiście jeszcze powiększyło komizm tego dziwnego nieporozumienia... Tymczasem wypadło myśleć o dobrze zasłużonym spoczynku.

— Na czem będziemy spali? — zapytałem dzierżawcy schroniska.

— Albo ja wiem?

— Jakto? Czyż niema tapczanów?

— Sienników jest dwadzieścia, a już śpi na nich około czterdziestu gości. Nawet własną pościel paniom oddałem.

— To może jest siano lub kosodrzewina?

— Już zabrane przez państwo z drugiej strony pod strychem.

— To każ nam pan świeżej kosodrzewiny narąbać.

— Przecież teraz mokra po deszczu.

— A, prawda!

— Panowie! — rzekłem z miną tragicznie nastrojoną — niema nawet kosodrzewiny, będziemy spać na gołych deskach.

— Wielka mi rzecz — odrzekł p. Chałubiński. — ale za to dach mamy nad sobą.

— Prawda! ale co do pościeli, to mamy tu jeszcze mniej, niż gołą podłogę, bo listwy na szparach wcale się nie uginają pod ciałem.

— Zapewne, ale cóż na to poradzimy.

Na szczęście, pp. Chałubińscy mieli ogromne bogactwo pościeli: „coś ze dwie derki, dwie kołdry, jedną ceratę, worki, naładowane flaszkami i pudełkami, oraz kilka par butów. Było więc czem zastąpić materace i poduszki“. Jakoż skończyło się na tem, że wszyscy spali wybornie, choć na podłodze. Zbudzono się o piątej. Pierwszy zeszedł Chałubiński, który przedewszystkiem umył się w wodzie jeziora, a następnie ogolił się starannie, tak, że ukazał się swym towarzyszom, gdy go spotkali na ganek schroniska, „tak gładko ogolonym, jakby szedł na bal“. Niestety, pogoda, jeszcze klarowna o świcie, niebawem zaczęła się psuć, aż wreszcie jezioro zawinęło się w nieprzejrzane chmury, poczem przyszedł

deszcz. Wobec tego, zaraz po śniadaniu, ruszono do Roztoki, z zamiarem przenocowania tam w razie niepogody.

W schronisku Roztoki¹ przepędziliśmy popołudnie i wieczór tak, jak opryszki za dawnych czasów. Zaledwie przyszli górale, a już zaczęli tańczyć i nie ustawiali, aż do jedenastej w nocy, czerpiąc zapał w piwie i winie, postawionem przez profesora. Sam stary Tatar tańczył z rzędu przez cztery godziny i wcale się jakos nie zmęczył. Po zwykłym tańcu góralskim nastąpił więcej urozmaicony orawski. Rej w nim wiedli Jarzabek i Rebel, którzy, stając od czasu do czasu przed grającym Sabałą, przyśpiewywali dwuwiersze i całe koło prowadzili.

Położyliśmy się na tapczanie w kącie i przypatrywaliśmy się znowu tej prymitywnej zabawie. Muszę wyznać, że choć nie tańczyliśmy, jednak i nas jakiś dziki szal porwał, i my straciliśmy na chwilę z pod siebie cały grunt cywilizacji.

Górale byli w siódmem niebie. Znakomity przewodnik, Maciej Sieczka, który przybył do Roztoki z sekretarzem Towarzystwa Tatrzańskiego, p. Świeżem, i przyłączył się do towarzystwa naszych górali, rzekł gdzieś na boku do p. Ludwika:

— Chciałbym coś powiedzieć, ale żeby się pan nie obraził.

— Mówcie, Macieju, nie bójcie się!

— Ale bo to widzi pan... ja chcę w dobrej myśli, ale...

— Ależ przecież wiem, że nic złego nie powiecie.

— Ja chciałem o tej zabawie powiedzieć, co to nam teraz pański tatko wyprawiał, że już dawno takiej nie było.

— Więc czegożbym się miał obrazić?

¹ Schronisko to, imienia Wincentego Pola, zostało przez Towarzystwo Tatrzańskie wzniesione dopiero przed rokiem, w r. 1876.

— Tak — dodał, unosząc się Maciej, — od czasów Janosika nikt takiej zabawy nie wyprawił. Tylko Janosik umiał sprawić takie wesele, a drugi pański Tatko!

Pan Ludwik uśmiechnął się, zapewnił Sieczkę, iż się nie może gniewać za to porównanie i opowiedział nam swoją z nim rozmowę. Śmieliśmy się do rozpuku z tej paraleli, która w Tatrach za najzaszczytniejszą uchodzi. Pomimo bowiem znacznego złagodzenia obyczajów. „zbójnik“ uważany jest u górali jeszcze za bohatera.

Nazajutrz rano, furką Marcina, wrócono szczęśliwie, choć nie bez różnych przygód w drodze przez Bukowinę, do Zakopanego.

III.

We dwa lata później, dnia 31 lipca 1879 roku, odbył tenże Rajchman w towarzystwie Chałubińskiego i jego syna jeszcze piękniejszą sześciodniową wycieczkę na Łomnicę, którą to wycieczkę, wobec powodzenia jego wyprawy do Morskiego Oka w „Ateneum“, opisał następnie w dodatku do „Wędrowca“. Powstała w ten sposób książeczka o 120 stronicach p. t. Wycieczka na Łomnicę, odbyta pod wodzą prof. T. Chałubińskiego. Opis ten jest równie barwny, jak poprzedni, tylko, że szczegółów, specjalnie charakterystycznych dla Chałubińskiego, zawiera znacznie mniej.

Wyruszone z Zakopanego dwoma wózkami: na jednym jechał Chałubiński z synem, z Rajchmanem i Sabałą, jako „honorowym członkiem wyprawy“, na drugim usadowiło się dziewięciu górali pod wodzą Szymona Tatara. Jechano przez Bukowinę aż do Jaworzyny Spiskiej, skąd wyprawiwszy wozy z powrotem do Zakopanego, puszczono się ku dolinie Jaworzyńskiej pod Lodowym. Na nocleg zdążono do Czarnego Stawu pod Lodowym, gdzie rozbito obóz.

Ponieważ dalsza droga była przez okolice nieznanne, więc

nazajutrz wyruszono zaraz po wschodzie słońca. Przy sposobności, choć to nie leżało w programie, zwiedzono i szczyt Kołowy.

Profesor nakreślił sobie na karcie kierunek wycieczki, przechodzący tylko przez przełęcze i doliny. Ale przecież niepodobna omijać szczytów, i to szczytów nieznanych, gdy się jest od nich zaledwie o kilkaset stóp! Zboczyliśmy więc na Kołowy i wcale tego nie żałujemy. Widok, który się przed nami rozpostarł, zupełnie wynagrodził niewielki trud zboczenia.

Na tym potrzaskanym cyplu skały byliśmy na granicy życia i śmierci. Od południa i zachodu otaczało nas morze skał, z pośród którego wychylały się ogromne wieżyska Łomnicy, Lodowego, Ganku, Wysokiej, Miękuszo-wieckiej, Krywania, których jednostajną, burą, szarą lub ciemną barwę przerywały tylko martwe, jak one, sto-czyste, pola śnieżne. Od północy-zachodu i północy było już przejście do krainy życia. Tam tylko małą przestrzeń zajmowały szczyty Hawrań i Murań, a wzrok nie napotykał już bliskiej tamy i dosięgał w dali wielkiego morza zieleni. Na wschodzie wreszcie życie kwitło w całej pełni. Wyżyna szybko się zniżała i ginęła w dolinie obrzeżonej i usianej lasami. Tam się wily błyszczące wstęgi rzek i matowe, szare pasy gościńców, tam stały grupy chat, tam kilkadziesiąt wiosek i miasteczek z wieżami kościołów i białymi ich ścianami nęciło ku sobie zmęczony martwością wzrok wędrowców. Nigdy nie miałem sposobności objąć jednym rzutem oka tak wielkiego obszaru kraju zamieszkanego; nie wiedziałem nawet, że można widzieć z jednego punktu czterdzieści miasteczek jak na dłoni, to też doznałem silnego wrażenia, a kontrast wiekowej tragedji pustkowia, jaki za najmniejszym zboczeniem linii widzenia napotykałem, bynajmniej go nie pomniejszał.

Napoiwszy się sielankowym powiewem, płynącym od pól i siedlisk ludzkich, zacząłem się oglądać po bliższem otoczeniu. Spojrzałem ku północo-zachodowi na staw Kołowy, przewlokłem oko po ostrej pile Baranich Rogów, nęcących swą niedostępnością, i przeniosłem je wreszcie na szczyt Łomnicy, o którym najwięcej słyszałem i który już w dzieciństwie był przedmiotem moich marzeń, mych ambicji. Spostrzegłem, że trudności, o których mi mówiono, nie są zmyślone. Widziałem jak najwyraźniej, że boki szczytu były bardzo strome, prawie pionowe. Jednakże rzekłem sobie: „Tam będę“

— Ludzie! — zawołał ktoś koło mnie.

— Gdzie ludzie?

— Na Łomnicy.

Okiem nic dojrzeć nie mogłem żywego. Widziałem tylko t. zw. patrję, piramidę z desek, wystawioną na szczycie przez inżynierów, dokonywujących pomiarów. Lecz za pomocą lornetki dojrzałem coś poruszającego się po szczycie i idącego ku patrji. To coś wydawało mi się tak wielkiem, jak mały palec u małej rączki damskiej. Dalej pod patrją jeszcze dwa czy trzy podobne atomy zaczerniały.

Ludzie ci spotrzegli nas wcześniej i dali znak wystrzałem, któryśmy zaledwie usłyszeli. Odpowiedziliśmy im również z pistoletu. Wkrótce znikli. Na Łomnicy znowu zapanowała pustka, a w sercach naszych zaległ smutek, tęsknota po ludziach, których nie znaleźmy, nawet nie widzieli... Łomnicę ogarnęła pustka. Wydała mi się znowu majestatycznie dumną, groźną, choć na chwilę straciła w moich oczach ten charakter, gdy owe ludzkie robaki stąpały po jej głowie. Wydawała mi się wtedy utworem społecznym, a teraz znowu przygniatała wyobraźnię moją jako pomnik zaklętych w skały czasów ubiegłych.

Po półgodzinnym pobycie na Kołowym zaczęliśmy schodzić na przełęcz.

Ponieważ pogoda była, zgodnie z przepowiednią, zupełnie „legalną“ i słońce tak silnie grzało, iż niepodobna było wytrzymać pod gołym niebem, umieściliśmy się w kotlinowatym wgłębieniu skały, na bardzo spadzistym stoku. Trawa i mech nęciły do drzemki, ale spadające z góry kamienie i stromość naszego legowiska odradzały powierzyć się Morfeuszowi. Wypaliwszy kilka papierosów, zabieraliśmy się do odejścia.

— Pójdę jeszcze na Baranie Rogi z Tatarem i Rojem, a panowie tu poczekacie — rzekł profesor.

Struchlałem naprawdę. Było to przedsięwzięcie więcej niż szalone, gdyż z tej strony skała była zupełnie gładką, urwistą i zwieszoną nad straszną przepaścią, nie mówiąc już o tem, że sam przystęp do niej był trudny.

— Pan profesor żartuje chyba — rzekłem. — Którędy?

— Już tam z Kołowego wypatrzyłem jakieś skrawki. Prawda, Wojtku, że można!

Roj kiwnął głową potakująco; zawsze taką odpowiedź daje na twierdzące zdanie profesora, ale zdaje mi się, iż sądził, że nie można. Mogę trochę i swojemu znawstwu zaufać, a widziałem, że wejście jest albo wcale niemożliwem, albo też wielce niebezpiecznem w najbardziej alpinistowskim znaczeniu tego wyrażu.

Wiedząc, że niebezpieczeństwo nie będzie argumentem przeciwko zamiarowi profesora, chciałem wynaleźć inną przeszkodę. Dopomógł mi Tatar, który przedstawił, że to zboczenie zajmie kilka godzin i z tego powodu ciemność może nas zaskoczyć nad przepaściami, w okolicy nikomu nie znanej. Nie będzie więc można ani rozbić namiotu, ani ugotować herbaty; bo może do wyższej granicy kosodrzewiny nie zdołamy dotrzeć.

Bezwątpienia podyktowała te słowa Tatarowi tro-

skliwość o naszą całość i wygodę; ważnym jednak motywem jego wystąpienia była wschodnia maksyma: „lepiej stać niżli chodzić, lepiej siedzieć niżli stać, lepiej leżeć niżli siedzieć“, której Tatar, będący zresztą dzielnym góralem, hołduje całą siłą przekonania, usposobienia i przyzwyczajenia.

Profesor zna dobrze tę słabą jego stronę; pomimo to zastanowił się. Rzeczywiście mieliśmy schodzić doliną z kilku tarasów złożoną, których stoków nikt nie znał. Żleb zaś, którym się dolina zaczynała, wcale nie zapowiadał wygodnej drogi.

Widząc początek wahania się, strzeliłem argumentem bardzo grubego kalibru.

— Zresztą — rzekłem — z Baranich Rogów nie będzie żadnego nowego widoku! Wszakże one nie panują nad otoczeniem. Nie zobaczy pan z nich bezwątpienia tyle, co dawniej z Lodowego, a dziś z Kołowego.

— Prawda, już o tem myślałem. Tak, tak, macie słuszność: widok nie opłaci straty czasu, a sam honor postawienia stóp na niedostępnym szczycie nie jest żadną dla mnie ponętą.

Roj powiedział krótko: „Prawdę mówią“.

Zwyciężyliśmy. Posunęliśmy się ku dołowi.

Ale droga przez ten „zamek“ okazała się niesłychanie trudną i niebezpieczną.

Było w pół do drugiej, pogoda wciąż prześliczna. Spostrzegłem, że wyprzedzający mnie o sto może kroków pp. Chałubińscy usiedli na małym garbie skały, porośłym trawą. Ucieszył mnie ten odpoczynek, gdyż ciepło dość nas znużyło. Jednakże był przeciwko zwyczajowi zawczesny; szliśmy dopiero godzinę. Widać dużo mamy czasu, pomyślałem, kiedy już tak prędko odpoczywamy. Zbliżywszy się do towarzyszy, usiadłem na gęstej

wysokiej trawie w jakiejś małej kotlinie i zacząłem się raczyć winem i chlebem. Jadłem pospiesznie, sądząc, że ten niezwykły odpoczynek nie potrwa długo. Tymczasem był jeszcze czas na skręcenie papierosa i na wypalenie go... a nawet potem jeszcze siedzieliśmy. Zdziwiło mnie to niezmiernie, więc rzekłem do dowódcy naszej wyprawy: „Możeby już był czas?...“ — „Naturalnie — odrzekł profesor, — tylko zachodzi maleńka przeszkoda, że nie wiemy jak się stąd wydostać. Górale poszli szukać drogi.“ — Posunąłem się przed siebie o kilkanaście kroków i zobaczyłem, że taras, na którym siedzimy, łączy się z doliną prawie prostopadłą ścianą. Wspaniały zamek!

Gdybym po raz pierwszy znalazł się w takiej pułapce, to bezwątpienia doznałbym nieprzyjemnego wrażenia. Ale ponieważ już kilka razy wybrnąłem szczęśliwie z podobnych trudności, więc zaufałem swym siłom i zręczności, oraz sprytowi przewodników, będąc pewny, że gdzieś przejście wywietrzą. Zachowałem się tedy dość obojętnie.

Niezadługo wraca Wojtek Roj, wysłany na zbadanie prawej strony zamku, i mówi, że „puszcza“ a Szczepan Roj pokazuje z lewej znaki ujemnego rezultatu poszukiwań. Udajemy się za Wojtkiem.

Już na wstępie poczułem przedsmak dalszego stanu rzeczy. Wchodzimy w trawiastą rynną obok urwiska, tak spadzistą, że musiałem chwycić się trawy rękoma, zawiśnięć na niej i szukać nogami oparcia. Ale nogi nie napotykają wystającego: bujają w powietrzu. Wykręcam je na bok — niema oparcia. Więc wciągam do góry i wbijam obcasy w trawę: jakoś dobrze siedzą; można puścić się jedną ręką i chwycić się niżej za nowy kosmyk ziół. W ten sposób obsuwam się niżej i już wtedy sięgam nogami trawy. I znowu trzeba się posuwać tak samo!... Poczulem cały ogrom niebezpieczeństwa. — „Dobrze Wojtek prowadzi“ — rzekłem cierpko.

Nagle stok trawiasty urywa się i z prawej strony

ukazuje się droga dość dobra... pomiędzy złemi. Żałuję już cierpkiego wykrzyku. Idziemy jakby po galeryjce na stoku Mięguszowieckiej. Wtem, na zakręcie, nowa zmiana dekoracji. Nadszedłem na taką scenę. Gładki, kopulasty daszek skalisty, podobny do krzywizny przylepki chleba lub odcinka kopuły kościoła ewangelickiego w Warszawie. Nad nim i pod nim ściany pionowe. Roj, z oczyma płonącymi wyrazem przestrachu i energii, z wargami drżącymi, trzyma dłonie rozłożone na daszku. Widać tylko głowę jego i połowę piersi, reszta ciała wisi nad przepaścią, przylepiona do pionowej skały. Profesor, stojąc jedną nogą w połowie na daszku, w połowie na dłoni Roja, chwiejąc się, siada na drugim już brzegu, i przed zanurzeniem się w komin, z którego sterczała twarz Tataru, odwraca się na chwilę i rzuca na mnie wzrok błyskawiczny. W mgnieniu oka zorjentowałem się w stanie rzeczy. Odpowiedziałem profesorowi wzrokiem spokojnym, zimnym, pewnym. Zawołał więc tylko: „Na Boga, trzymajcie Sabałę!“ Profesor znikł w kominie. Wszystko to trwało kilka sekund.

Na mnie kolej. Stawiam krok, czuję, że pomimo dłoni Roja jest niepewny, stawiam drugi z nadzwyczajną szybkością, chwytam się za podaną ciupagę, obślizguję się, chwieję, padam, ale całą siłą nadaję pochyleniu taki kierunek, że się chwytam ręką za brzeg komina. Przejście było podobne do przepłynięcia nadzwyczaj rwącego potoku. Trzeba się rzucić całą siłą i odrazu dosięgnąć brzegu. Jeśliś go dotknął palcami i trawy się uchwycił—jesteś ocalony.

Po za daszkiem komin, naturalnie bez jednej ściany. Chwytam się górnych jego brzegów rękoma i zagłębiam w nim. Stopami szukam skrawków, ale ich niema. Wypreżam się więc jak struna, ale dna dosięgnąć nie mogę. Długość ciała z dodatkiem ręki nie starczy. Szukam znowu stopni, ale czuję tylko gładką ścianę. Pozostaje więc

tylko zeskoczyć. Rzecz łatwa, ale patrzę: dno niewielkie, ścięte ukośnie, wykręcone i nierówne. Co po za niem? — nie widać. Wtem na dnie pokazuje się głowa, która woła: „Niech skaczą, śmiało, ja tu stoję“. Puściłem z rąk brzeg skały i runąłem na dno, gdzie mnie przytrzymał za nogi stojący poniżej góral.

Nie na tem koniec. Nastąpiła pionowa niemal ściana, po której przeprawa byłaby zupełnie niemożliwą, gdyby na niej nie rosły trawy i krzaczki kosodrzewiny. Posuwamy się na grzbiecie zygzakiem, szukając linii mniej spadzistych. Radzimy sobie pazurami i obcasami. Trawa na szczęście mocno siedzi w skale. Wreszcie pojawia się kosodrzewina; uczuliśmy wrażenie takie, jak żeglarz, gdy zdaleka zobaczy skrawek ziemi, ciemniejący na widnokręgu.

Ale mając ziemię przed oczyma, można się także rozbić o rafy podwodne. Kosodrzewina była w tem miejscu wątła; zupełnie ustępowała pod nogami. Trzeba było koniecznie stawać na jej łodygach, tuż przy osadzeniu w skale, a przytem trzymać się dobrze ręką o krzaki wyżej rosnące. Ale już i taka była dla nas dobrodziejstwem.

Im niżej, tem bardziej kosodrzewina gęstnieje i tem pewniejszym jest zstępowanie. Zsuwamy się po jej elastycznych gałęziach i ślizkich igłach, jak dzieci po wzgórzu trawiastem. Wreszcie gałęzie jej tak zgrubiały, że zaczęliśmy po nich stąpać nogami, jakby po szeregu lin obok siebie rozciągniętych. Po kilkunastu minutach znaleźliśmy się w żlebie, zawalonym obsuwającym się gruzem i spadającymi głazami. Żleb! To dla nas rzecz zwyczajna, prawdziwa przystań w tej chwili. Tu już — po tem wszystkim — śmiało biegliliśmy po stromej linii na dół, jakby po asfalcie.

Wyszedszy na miejsce płaskie, obejrzałem się. Stało przedemną kilkaset stóp pionowej skały, gdzieniegdzie porosłej trawą i kosodrzewiną. Nie chciałem wierzyć, że-

byśmy po niej zejść mogli. A jednak tak było. I pomimo to pełzałem po niej prawie bez obawy, zupełnie zimno. Tylko wtedy, gdy nogi znalazły się w powietrzu i gdym się chwiał, stojąc na dłoniach Roja, doznałem silnej emocji. Gdybym jednak przebywał tę drogę po obejrzeniu skały z dołu, pewniebym nie był tak spokojny.

Przyszedłszy do Stawku Zielonego, nad którym obóz rozkładano, dowiedziałem się, że profesor, który przecież wzdłuż i wszerz przebiegł Tatry, nigdy nie miał tak niebezpiecznej przeprawy.

— Możesz pan sobie teraz drwić z Łomnic i Gerlachów — rzekł do mnie.

Górale przyznawali się jawnie, że drżeli na całym ciele, gdy się już na miejsce jako tako bezpieczne dostali. Rój powiedział, że widząc, iż jedyna droga prowadzi przez ów daszek, chciał zaproponować... cofnięcie się. Ostateczność niemiła, której byśmy się wszyscy wstydzili, gdybyśmy się dowiedzieli, że ktoś przebył te trudności. Wstyd więc, i to, że nie zdążylibyśmy przed nocą na miejsce poprzedniego noclegu (gdyż już odeszliśmy odeń o 10 godzin drogi), wpłynęły na jego śmiałe postanowienie. Biedak, wskutek silnego wzruszenia, dostał gorączki i przyplacił swą gorliwość i wierność chorobą... Tatar, zapytany przezemnie, co sądzi o tym zamku, rzekł: „Co tu prawić! Prawdziwy cud, żeśmy cało wyszli“.

Po tym „zamku“ już wszystko inne aż na sam szczyt Łomnicy było bagatelą. Wyruszone o piątej z nad Zielonego Stawku w dalszą drogę, w dolinę pod szczytem Kesmarskim. Po cudnym zachodzie słońca, gdy się zaczęło ściemniać, rozbito namiot na najwyższym piętrze doliny, „na małym tarasiku, z jednej strony tylko szczytem osłoniętym“, a gdy wiatr, co się zerwał wieczorem, stawał się coraz silniejszym, ci. co mieli spać w namiocie, schronili się pod jego osłonę,

górale zaś, zgrupowani wkoło ogniska, też pokładli się do snu.

Jak długo spałem snem twardym, nie mógłbym powiedzieć. Raz tylko w nocy otworzyłem oczy, gdyż padał na mnie blask silny, jakby z pieca, w którym się topi żelazo, z tą tylko różnicą, że był czerwony. Ocknąwszy się, usłyszałem przeraźliwy świst wiatru i trzepotanie płótna namiotu, jakby chorągiewki, mającej się w szmaty rozlecieć. Na wpół senny nie mogłem się zreflektować, co to jest, a przez myśl przesunął mi się, jakby końcowe ogniwo jakiegoś snu, który nie doszedł do świadomości, wiersz Mickiewicza: „Na szczycie jakaś luna: pożar Carogrodu!“ Czyniąc wysilenie, aby sobie wytłumaczyć, skąd się tu wziął pożar Carogrodu (gdyż nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie przedtem byłem), zobaczyłem na tle morza ognistego jakąś czarną postać, która się wzięła do spinania brzegów otworu namiotu i do zasłaniania go kosodrzewiną. Poznałem wtedy, gdzie jestem, i... nie bacząc na ogień i wichur, usiłujący zerwać namiot, obróciłem się na drugi bok i znowu zasnąłem. Wytłumaczono mi później, co się w nocy stało.

Gdy odeszliśmy od ogniska do namiotu, ułożyli się górale około ognia promienisto w zwartem kole. i owinawszy głowy w czuchy, zasnęli snem sprawiedliwych. Roj, który był zajęty przy namiocie i najpóźniej przyszedł do watry, nie mógł dla siebie znaleźć miejsca. Chcąc więc górali rozsunać, dołożył tyle kosówek, że powstał ogromny ogień, który parząc śpiących w nogi, zmusił ich do instynktownego odsunięcia się. W ten sposób koło górali powiększyło się i Roj wsunął się pomiędzy dwa jego promienie¹.

¹ Był to stały sposób Roja, by sobie znaleźć miejsce przy ognisku. Chałubiński, w opisie swej „wycieczki bez programu“, tak pisze o tem: „Gdy noc jest zimna i wietrzna. wtedy Wojtek po skończeniu

Ponieważ wiatr na chwilę ustał, więc zdawało się Rojowi, że ognisko samo przygaśnie. Tymczasem stało się inaczej. W nocy wiatr jeszcze bardziej się rozszalał, rozdmuchał ognisko do niebываłych rozmiarów, zapalił kosówkę, przygotowaną do dokładania, wydłużył ogień w ogromny język, który piekącym swym liźnięciem postawił na nogi wszystkich górali, a następnie zwrócił się ku namiotowi, grożąc mu pożogą. Wtedy właśnie śniła mi się luna. Wojtek, dla uchronienia namiotu, stanął przed nim i, rozciągnąwszy ramiona, zasłonił go sobą i czuchą. Drugi przewodnik zmniejszył ognisko. Do świtu już pilnujący spać się nie kładli, gdyż ciągle musieli to spinać otwór namiotu, to poprawiać kołki, przytwierdzające go do ziemi, aby nas wichur nie poniósł.

Wstano o wpół do piątej. Wiatr ustał zupełnie, ale niebo było pochmurne. Gdy ruszono dalej, niebawem przytrafiła się mała przygoda, bo prowadzący Tatar zbłądził w kosodrzewinie, ale mimo to około dziewiątej wydostano się na grzbiet, z którego ujrzano dolinę pod Łomnicą. Po dwunastej dotarło do przełęczy łomnickiej, a niebawem zatrzymano się na szczycie. Niestety, szczyt otuliły mgły, tak, że tylko raz po raz odsłaniał się jakiś skrawek widoku. Gorzej było w powrotnej drodze, urozmaiconej „lejbą“, t. j. ulewnym deszczem. Na podwieczorek zdążono do t. zw. Chaty Róży pod Szmeksem, gdzie już spotkano się z „przedsmakiem cywilizacji“, w postaci komfortu i miłych jasnowłosych Niemców. twierdzących, że „Polacy są najmilszymi i najdzielniejszymi

swej inspekcji (w namiocie) znajduje koło watry tak ściśnięty łańcuch swych towarzyszy, że i igły nie zmieścisz. Posiada on jednak w takim razie sposób równie prosty, jak skuteczny. Dorzuca na ogień znaczną ilość kosówki, płomień się wzmaga, gorąco bije silnie naokoło, ręka Sabaly ściąga się i otwiera coraz częściej; wszyscy świadomie czy nieświadomie cofają się od zbytniego żaru, łańcuch się rozrywa i Wojtek zajmuje w nim należne mu miejsce“.

ludźmi w świecie". Nocowano w Szmeksie, gdzie też spędzono cały dzień następny.

Nazajutrz, dnia 4 sierpnia, o piątej rano wyruszono w powrotną drogę, a aż do Chaty Róży miano za miłych towarzyszków Asnyka i Pawlikowskich, idących na Łomnicę. Następnie przez Rówienki, gdzie urządzono popas, puszczone się do Doliny Białej Wody, którą zdążono na nocleg do Roztoki. Nazajutrz przez Dolinę Pięciu Stawów, gdzie obejrzano Sikławę, wdarto się na Krzyżne, skąd przez Pańszczycę, stoki Żółtej Turni i halę Gąsienicową wrócono szczęśliwie do Zakopanego.

IV.

W roku 1879 ukazał się w warszawskiej „Niwie“ obszerny opis „wycieczki bez programu“, p. t. *Sześć dni w Tatrach*, skreślony piórem samego Chałubińskiego. Nadzwyczaj to ciekawy i wartościowy szkic, tem ciekawszy, iż w nim Chałubiński opisuje nie tylko tę jedną sześciodniową wycieczkę, odbytą ze Stanisławem Kruszyńskim, ale w niej przy tej sposobności retrospektywnie wspomina i swoje niektóre dawniejsze wycieczki, z których opowiada bardziej interesujące momenty lub epizody. „Zmuszony — opowiada Chałubiński — w drugiej połowie sierpnia opuścić Zakopane, wróciłem dopiero tamże we wrześniu, znękany moralnie i fizycznie, z małą już nadzieją pokrzepienia się na siłach. Wróciłem z deszczem, choć termometer stał najwyżej z całego lata. W parę dni barometr zaczął spadać, a pogoda się polepszyła; niepodobna było odwlekać. Zorganizowałem więc sobie wycieczkę bez programu, byle przeżyć kilka dni w górach“. Jakoż, zabrawszy z sobą dziewięciu, „walnych“ górali, w tej liczbie naturalnie Wojciecha Roja, Szymona Tatarę, Wojciecha Ślimaka, Bartka Obrochtę i Sabalę: wyruszono wózkami Marcina Tadzika jezdnią drogą do Roztoki, gdzie miano się spotkać z góralami, idącymi przez Waksmundzką.

W Roztoce nie zastano już nikogo. „Nie witają nas, jak niegdyś, wystrzały uprzejmego górala Franka Doruli z Poronina, który gospodarząc tu dawniej (w roku bieżącym trzymał on w lecie schronisko przy Rybiem), nigdy sobie tej satysfakcji nie odmawiał¹. Wokoło schroniska wiatr tylko szumi, budło z pastwisk już spędzone, a i naszych też górali niema jeszcze. Miarkując po mojej zmęczonej fizjognomji, wnosili może, że dziś zanocujemy w Roztoce i dlatego się nie spieszą“. Gdy przyszli wreszcie, zdecydował profesor, wyprawivszy Tadzika „z uspakajającą depeszą do rodziny“ z powrotem do Zakopanego, ażeby puścić się do Doliny Białej Wody, a stamtąd przez Polski Grzebień zdążyć do nowego schroniska w Felce pod Gierlachem.

Plan był nadzwyczaj śmiały, zważywszy dalekość drogi z Roztoki do Felki, ale *audaces fortuna iuvat*. Jakoż wykonano go bez żadnych ważniejszych przeszkód. Ostatni wy-

¹ O tym Doruli tak pisze w roku 1876 Walery Eliasch w swym opisie wycieczki do Czeskiego w Tatrach: „Już o zmroku przybyliśmy do schroniska w Roztoce, świeżo zbudowanego przez Towarzystwo Tatrzańskie. Gwarno tu już było i coraz weselej się robiło w miarę przybywania coraz nowych gości na nocleg, tu bowiem nawet tacy ściągali na noc, co mogliby spać w schronisku przy Morskiem Oku, lecz z powodu grubiaństwa tamtejszego gospodarza, górala z Białki, nie chcieli tam pozostać. Przeciwnie, gospodarz schroniska w Roztoce, Franciszek Dorula z Poronina, nęcił do siebie gości uprzejmością i grzecznością; dlatego w księdze, zostawionej tu do zapisywania się podróżnych, czytało się ciągle pochwały dla Doruli, a przestrogi, odstrasżające każdego od noclegu przy Morskiem Oku. Ten tu Dorula miał szczególnego posłańca do załatwienia interesów we wsi Poroninie trzy mile stąd odległej. Gdy mu czego zabrakło, pisał o to na karteczce, uwiązywał ją swemu psu do szyi, wprowadzał go na drogę i strzelał nad nim z pistoletu w powietrze. Pies wtedy, jakby go kto gonił, biegł co żywo do swej siedziby w Poroninie, zatrzymać się nikomu nie dał, a w domu już wiedziano, o co chodzi, gdy się pies pokazał. Po przeczytaniu kartki wysyłano, czego było potrzeba i zabierano napowrót pocziwego gońca do schroniska w Roztoce.

poczynek z dłuższym popasem odbyto w schronisku Salamona pod Żelaznemi wrotami, poczem, już o zachodzącem słońcu, zaczęto się wspinać na Polski Grzebień.

Nie troszczymy się wiele, że wieczór zapada. Droga wprawdzie długa, ale dobrze znajoma, nawet bardzo wygodna; zresztą mamy jakąś szansę oświetlenia księżycowego, choć niebo niezupełnie jeszcze czyste. W najgorszym razie na wypadek ciemności i niepogody będziemy nocować gdziekolwiekbądź, byle jeszcze w krainie kosodrzewiny. Mamy namiot, zapasy, orkiestrę i śpiewaków, a powietrze „wirchów“ już czarodziejski wpływ swój wywiera.

Pomimo, że idziemy wciąż w górę, już pierś swobodniej oddycha; zdaje się, że za każdym krokiem sił przybywa, a raczej, że cię skrzydła jakieś na wpeł unoszą, bo istotnie nogi nie czują już ciężaru ciała. Skracamy czas muzyką. Mamyż-bo orkiestrę dobraną. To tęskne, dzikie a tak uroczyste dźwięki staroświeckiej pieśni, którą Sabała (Jan Krzeptowski) z nienaśladowanym przez żadne młodsze siły akcentem wygrywa; to znów rzeźkie, różnorodne, z całego Podhala zebrane pieśni i tańce, które Bartek Obrochta, niewątpliwy talent, biegłym smyczkiem wyrzyna.

Ale oto przeszliśmy już rozległe, coraz bardziej ku południowi zwrócone tarasy. Dolina, jak wszędzie w Tatrach, rozszerza się u góry; piętra coraz stromsze i bliższe jedne drugim. Kosówkę już zostawiliśmy daleko za sobą. Coraz mniej trawy, a coraz więcej nagich głazów; czujemy to nogami, bo dojrzeć już nie można; dobrze ciemno, spokój wokoło, muzyka i śpiew przycichły, ale idzie się rzeźko; obecna chwila nie troszczy nas wcale, i to właśnie tłumaczy dotykalny i zbawienny wpływ takich wycieczek na zmęczony lub stroskany umysł. Wielkie słowa przyrody, sama ta nawet uroczysta cisza wśród

drzemiących granitowych olbrzymów przemawia do nas, podnoszące serce i krzepiąc do trudów i boleści życia.

Mijamy Zmarzły Staw. Ciemność nie dozwala rozróżnić czy dużo lodu przetrwało przez lato. Wspinamy się nareszcie ku samej przełęczy. Lekkie tylko mgły okalają sam wierzchołek Gerlachu, a i te przepędzane są silnym, lecz już bardzo wysokim prądem północnego wiatru. Przed nami od południa niebo czyste i jasne. Księżyc dopisał. Jeszcze parę kroków w ciemności po ślizkim, na tatrzańskich przełęczach zwykłym łupku, i otóż jesteśmy na Polskim Grzebieniu. Długi ten grzbiet łączy Gerlach ze Staroleśniańskim Szczytem, leżącym ku północowschodowi. Światło księżycy oblewa nas odrazu. Po za dwumilową prawie Doliną Wielką błyszczą osrebrzone blaskiem faliste równiny Spiżu. Obieramy sobie najwygodniejsze miejsca i rozkładamy się swobodnie. Wiadomo, że siadać na wycieczce, jest to szukać zmęczenia i bólu nóg. Górale nigdy nie siadają, chyba przy wieczornem już ognisku przed spaniem. Dobrze nam tu i mamy mocne postanowienie rychło stąd nie ruszać. Pokrzepiamy się resztą ciepłej herbaty, którą Wojciech Roj nieodzwrotnie na wszystkie nawet szczyty przynosi; skrzypki i śpiewy znów zabrzmiały. Czyby się zdziwił Gerlach wesolej i naraz tak gwarliwej drużynie: dość, że uchylił lekką gazę obłoków, którą czoło swe snać do snu przysłonił i z wyraźnem pobłażaniem dobrotliwie na nas spojrział. To mu się niekoniecznie często zdarza. Powitaliśmy go głośnym okrzykiem, ba, nawet Jaś Gronikowski „wygarnął“ z jakiejś rusznicy, którą na podobny cel z sobą zabrał. Gerlach połknął sam ten hołd, bo w tem miejscu niema go z kim tak dalece podzielić: niema innych ścian, po którychby się echo rozlegać mogło. Widocznie korzystając z dobrego humoru olbrzyma, młodociany, bo jeszcze przepołowiony księżyc, idąc gdzieś z śmiejących dolin spiskich, zaczął się spinać na jego boki i ramiona.

Śmieliśmy się, że w młodocianej swej nieświadomości idzie tą samą drogą, co niegdyś przy pierwszej na Gerlach wyprawie nasi Zakopianie, i że mu się nie uda tędy dosięgnąć szczytu. Tak się stało: po jakiejś godzinie musiał zejść, jak oni wówczas do „kotliny“, zostawiając nas więcej, niż w pół cieniu.

Czas było ruszać, bo droga do pierwszego stawu Wielkiej Doliny bardzo spadzista, a i potem jeszcze daleka. Przy wodospadzie dopadliśmy znowu światła księżycowego, a wkrótce około jedenastej w nocy znaleźliśmy się w schronisku.

Przepych, komfort! rozumie się tatrzański. Obszerna, dachem objęta weranda, naokoło dwie izby, okna, klamki i zamki, piece nawet, rzecz dotychczas tylko w tem jednym miejscu w Tatrach praktykowana. Zastaliśmy jeszcze i jakiegoś stróża w schronisku. Był to Spiżak, mówiący, jak się przy rozstaniu okazało, aż trzema językami, ale aż do następnego rana górale nasi mieli go za niemowę. Widocznie przerażony był tak licznem, z gór naniesionem towarzystwem, orkiestrą i butną miną górali. Kto wie, czy nie miał jakiejś wątpliwości co do legalnego stosunku naszego grona z resztą społeczeństwa; czy, mówiąc wyraźniej, nie wziął nas raczej za „zbójników“, niż za turystów.

Rozgospodarowaliśmy się jak najwygodniej. Turyści, tuszy pana Stanisława i mojej, są zdania, iż drzewo, z którego sporządzone są tapczany w schroniskach, jest bardzo twarde. Otyłsi mają to wprawdzie za przesąd. Bądź co bądź górale nasi w jednej chwili nanieśli kilka worków drobniutkich gałązek kosówki, które z wielką umiejętnością ułożyli drzewiastym końcem na spód, a kitką do góry, z czego powstaje wcale niezły materac: Szymek jest w tej manipulacji niezrównany. Czuchy, szale idą na wierzch i robi się postanie, na którym jeżeli nie przespać, to przynajmniej wygodnie przeleżeć można

do rana, a to już na tych wyżynach w zupełności wystarczy do pokrzepienia sił.

Nie bez zazdrości słuchałem chrapania p. Stanisława, który spał jak zabity. Leżąc jednak wygodnie, nie skarżyłem się na losy; owszem, porównywałem wykwinne zalety tego noclegu z bezsennością, jaką przed kilku laty w tej samej przepędziłem dolinie...

Wstałem o świcie. Muszę nawet pochwalić się, że się sprawiłem po cichu, by nie przerwać bez potrzeby snu mego towarzysza, aż zbadanie stanu pogody pozwoli zrobić jakiś projekt na dzień dzisiejszy.

Ponieważ aneroid upoważniał do śmielszej antreprzyzy, więc, gdy wreszcie zbudzili się wszyscy, uchwalono pójść ni mniej ni więcej, tylko na Gerlach. Jakoż o wschodzie słońca osiągnięto już drugi brzeg stawu, a niebawem, minąwszy granice kosodrzewiny, dostano się do kotliny, czyli do t. zw. kotła. Wreszcie znaleziono się na szczycie.

Żadna z gór nie robi tak ponurego wrażenia, jak Gerlach. Składa się na to i kształt jego i rozległość i jakby potęgująca się z powodu roślinnych jego szczytów dzikość i martwość. Nawet barwa skał jego smutniejsza jest, niż gdzieindziej: smutniejsza, bo prawie czarna. Wspinając się na niegościnnie jego wierzchołki, tak wiele wrażeń, tak wiele przedmiotów zajmuje uwagę, że szczerze wyznać muszę, nie umiem sobie dotąd zdać sprawy, czemu przypisać należy ten żalobny charakter. Wprawdzie niektóre inne góry, np. Wysoka, posiadają go także, ale tylko przy pewnym oświetleniu, lecz kształt Wysokiej sprawia, że wrażenie ogólne daleko mniej jest ponurem. Czy sama skała bardziej poczerniała jest w Gerlachu, niż w innych wierzchach; czy w większej ilości pokrywa ją czerniejący (zwłaszcza ku jesieni) porost, czy cienie rzucane przez liczne jego turnie z jednych na dru-

gie, czy wszystkie te okoliczności razem wzięte, dość, że tak jest w istocie. Tylko spód pojedynczych turni, owe galerje i zakręty pomiędzy nimi, są jakoś dziwnie jaśniejsze, prawie białawe, co w gruncie nie łagodzi ogólnej żałoby, ale ją prawie podnosi. Wielka część szczytów i krawędzi utworzona jest z oddzielnych, częstokroć wysoko wybiegających, ogromnych słupów granitu, które jakkolwiek są czworograniaste, z daleka robią wrażenie, jakby cała góra składała się z bazaltu.

Posępny charakter Garłuchowskiego Szczytu wpływa mimowoli na wszystkich. Nie widziałem, aby kiedy najweselszy i najzważszy góral zatańczył sobie na nim, jak się to przecież i na Lodowym i na Łomnicy i szczególnie na Krywanju praktykowało. Nawet mój „adjunkt“ Józek, szesnastoletnie, żwawe chłopię, któremu nigdy najtrudniejsze i najuciążliwsze kilkudniowe wycieczki nie odbierają chęci wyciąć „góralskiego“, jakoś tu poważnie nastrojony. Sumiennie za to bierze się do odszukania między głazami szklanego stożka, mieszczącego mnóstwo biletów z nazwiskami zwiedzających. Znajdujemy nasze bilety dawniejsze, znajdujemy bilety wielu innych taterników różnych narodowości.

Opisując widok z Gerlachu, zwraca w nim Chałubiński uwagę na jeden szczegół, gdy się patrzy z samego wierzchołka na ostatnie jego turnie, panujące bezpośrednio nad grzbieciem Żelaznych Wrót. „Wierzchołki tych turni tworzą cudowne kształty gotyckiej świątyni o kilku wieżach i wieżyczkach. Zdumienie jest tak wielkie, że doprawdy możnaby prawie zdjąć plan tej budowy“.

Powrotną drogę obrano żlebem, schodzącym do Batorywieckiej Doliny. Droga była zawrotna, nieznana nawet Rojowi i Tatarowi, ale właśnie dlatego przedstawiała się podwójnie interesująco. W dwie godziny jednak, pomimo różnych

nieprzewidzianych trudności, szczęśliwie dotarto do Batyżowieckiej Doliny.

Dolina Batyżowiecka w górnej swej części przewyższa dzikością, ale zarazem majestatycznością swoją inne tatrzańskie doliny. Od zachodu zamknięta jest Kończystą, która od tej strony wygląda jak kolosalny portyk gotyckiej świątyni. Niezliczone ostre turnie wybiegają prostopadle ku niebu, a całość ich stanowi piramidę o bardzo szerokiej podstawie. Barwa całej góry jest perłowo-szara z licznymi pod same szczyty sięgającymi bladzielonymi smugami. Na prawo od Kończystej z po za Żelaznych Wrót wznosi się ciemny, niebotyczny szczyt Wysokiej w postaci także piramidy, ale o bardzo wąskiej podstawie. To przeciwieństwo barw i konturów nadaje dolinie szczególny wygląd i urok.

Urok ten podnosi się do niesłychanego efektu, jeśli w dolinę spoglądamy, pomiędzy drugą a czwartą popołudniu, z Gerlachu przez wąskie okno przypadkiem z czworogrannych słupów utworzone. Znajduje się ono w zachodnim ramieniu podkowy, ale już w bliskości środkowej masy szczytów. Godzina popołudniowa dlatego jest najpożądańszą, że wtedy słońce, będąc jeszcze bardzo wysoko, jest już po za Kończystą. Niema więc w dolinie promieni prostych, ale za to dostateczna ilość złamanych i odbitych. Daje to tak cudny efekt światłocienia, że owa perłowo-zielona barwa Kończystej zdaje się być w ciągłym ruchu. Jednocześnie Wysoka wygląda zupełnie czarno. Dodawszy do tego kamieniste, zupełnie puste łoże doliny i tylko mały skrawek stawu, który czerwoną barwą świeci na lewo od Kończystej, łatwo sobie przedstawić, że widok ten jest najoryginalniejszym, nietylko w Tatrach, ale i w jakichkolwiek innych górach.

Mniej nadzwyczajny, ale jednak oryginalny i zdumiewający widok czeka cię na prawo ku Gerlachowi.

Z żadnego punktu w Tatrach nie wygląda on tak wspa-
niale.

Minąwszy szczęśliwie, już o zachodzie słońca, drugi i trzeci próg doliny, przyczem po drodze spostrzeżono „po-
ważne stado kóz dzikich, w czarnych sylwetkowych obra-
zach rzucone na jasny jeszcze horyzont“, wstąpiono w kra-
inę kosodrzewiny, co już wróżyło „nocleg w warunkach roz-
sądnych“. W końcu, już o zmroku, rozbito namiot, rozpalono
olbrzymie ognisko, wesoło strzelające dookoła, i zaczęto się
posilać strawą.

Jest to wielce przyjemna chwila w czasie wycieczki,
rozumie się, jeżeli służy pogoda. Nogi, wywiązawszy się
przez ciąg jakich 12 lub 15 godzin z położonego w nich
zaufania, w skromnem uczuciu zadowolenia z dobrze
spełnionego obowiązku, wyszukują sobie najwygodniej-
szego położenia. Pierś nie potrzebuje już pracować, jak
machina parowa, swobodnie wdycha czyste, cudne, ta-
trzańskie powietrze, ożywione po skwarzym dniu łago-
dnem tchnieniem wieczoru. Brzuch, zauważywszy nie
bez upokorzenia i przykrości, że w ciągu dnia był zale-
dwie tolerowanym, że niejeden z turystów radby go mo-
że idąc na szczyty zostawić wraz z innymi pakunkami
u spodu góry, teraz w prawowitem poczuciu pokrzyw-
dzenia, zrazu z dyskrecją, a wkrótce z natarczywością
przypomina, że i jemu przecież coś się należy. Mózg wre-
szcie, dla którego przyjemności głównie przedsięwzięto
wyprawę, rad, że nie potrzebuje już rozciągać ścisłej kon-
troli nad powierzonymi jego pieczy członkami, rad, że
nogi, ręce, żebra i t. d. w całości mniej więcej doprowa-
dził do noclegu, zaczyna teraz rozbierać doznane wra-
żenia. Jedne z nich, nieprzyjemne, niedbale rzuca do ja-
kiejś dziurawej szufladki, oczywiście dlatego, by je co
najrychlej uronić; drugie, przyjemne, troskliwie do naj-

lepszemu chowa skrytki, by ci je na każde zawołanie w pełnym wdzięku i świeżości pokazać. Ileż to razy, wśród ponurych lub ciężkich chwil życia, błysnie ci obraz tak uroczych wspomnień, że same te wspomnienia orzeźwią cię i pokrzepią!

Księżyc wszedł równie świetnie, jak wczoraj, i wkrótce blask jego złagodził znacznie dziki charakter całego obrazu. Zlekka jakby nieśmiało zarysowują się kontury odległych szczytów. Radbyś zatrzymać to nowe wrażenie co najdłużej, ale późna godzina. Rozsądek i znużenie radzą wypaść się przedewszystkiem.

Ognisko w pół przygasa, górale jeden po drugim zawiązują się w czuchy, kładą obrócenie plecami do „watry“ i natychmiast usypiają. Śpią smaczno, a jednak czujnie. Jeśli ogień zbyt przygasa, zawsze się znajdzie który z nich, co go natychmiast drzewem zasili. Sabała i tu zachowuje się oryginalnie. Nie plecami samym porucza regulowanie ciepła, ale rękę jedną na nich opiera i jakby przy granicy machinalnie nogą takt znaczy, tak w nocy, śpiąc smacznie, odbywa tą ręką powolny, miarowy prawie ruch. To otwiera dłoń, to ją zamyka. W kilka minut cały obóz już spoczywa. Tylko Wojtek Roj musi nieodwołalnie jeszcze jednej dopełnić czynności. Zagląda do namiotu, otula nas, obwija w koce i kołdry, wypytuje: czy jeszcze kto czego nie potrzebuje?

Spano wybornie, a że nazajutrz była pogoda, więc zaakceptowano projekt Roja, żeby pójść na Wysoką. W tym celu puszczono się ku Zmarzłemu Stawowi pod Żelaznymi Wrotami, a wyszedłszy na t. zw. „bulę“, gdzie zostawiono pakunki pod opieką Sabały i jego orkiestry, wprost zlebem ruszono na Wysoką.

W małą godzinę jesteśmy na szczycie. Jasno i ciepło. Gęsto obsiedliśmy kończysty czubek. Jeśli Gerlach

usposabia posepnie, to Wysoka przeciwnie: tańczyć wprawdzie nie można, bo niema gdzie, ale za to śmiech i gwar wesoly.

Widok stąd równie piękny, jak ciekawy i pouczający. Stąd jednocześnie i grupę Gerlachu i szczególnie Krywania doskonale opatrzysz, nie mówiąc już o zachodnich szczytach. Jeden tylko zarzut można zrobić temu punktowi, to jest, iż z niego nie widzisz Wysokiej, bo ona istotnie każdej panoramie tatrzańskiej nadaje szczególny wdzięk wykwintnemi swojemi kształty.

O trzeciej popołudniu opuszczano szczyt, zaczęto schodzić ku Wadze, skąd po drodze wstąpiono na oba szczyty Rysów. Stąd, zamiast iść utartym szlakiem, poszukano nowej drogi granicą ku Żabiemu, a następnie żlebem do Czarnego Stawu. Nawiasem mówiąc, Chałubiński jest zdania, że rzeczywistem Morskiem Okiem jest to górne jezioro, które my teraz nazywamy Czarnym Stawem, a dolne jezioro, powszechnie nazywane Morskiem Okiem, jest Rybiem Jeziorem. We dwie godziny po zejściu z Rysów, zatrzymano się na „wale oddzielającym Morskie Oko od głębszej doliny Rybiego“, nagotowano herbatę, a jednocześnie dano sygnał do schroniska, żeby wysłano tratwę. A ściemniło się już zupełnie.

Tymczasem księżyc z za Rysów wygląda i spokojne wody jeziora, jak śniąc, uroczę snują złudzenia. Potoki, śniegi, szczyty gór, ciemne smugi kosówki, oblane drgającym blaskiem w lekkich, tajemniczych jakichś kreślących zarysach, w głębinie Rybiego.

W końcu przyплыnęła tratwa, na której też przepłynięto jezioro, zdążając na noc do opustoszałego już o tej spóźnionej posezonowej porze schroniska. Zastano tam tylko trzech jakichś Wiedeńczyków, którzy tu z Gładczanem przyszli przez Zawrat, a już spali w zaryglowanej izbie.

Nazajutrz po doskonale przespanej nocy, ponieważ pogoda była cudną, dopiero w południe ruszono do Roztoki, stamtąd zaś, wyprawivszy namiot i część pakunków do domu, pod wieczór ruszono do Jaworzyny.

Już jesteśmy na niskiej przełęczy, oddzielającej Jaworzyńską Dolinę od Doliny Białki, już „kościeliska“ nuta zwiastuje nas z daleka. Zewsząd wylegają ciekawie oglądać mniej zwykłych w tej porze gości. Na widok choć już zmniejszonego, ale zawsze dość licznego pocztu górali, z muzyką i śpiewem, poznają nas odrazu. Dobrze bo też jesteśmy tu znani. Już uprzejma gospoia z oberży, znakomitość w sztuce kulinarnej, stoi przed drzwiami i, kiwając głową, uśmiechem oznajmia, że nas poznaje. choć się już w tym roku nie spodziewała.

Jaworzyna węgierska mocno przypomina zakopiańskie „Hamry“. Podobne położenie w wąwozie, takie same domki robotników, zwierzyniec, czarne żużlami wysypane drogi. Są tu kuźnice, a także i młyn do mielenia „smreków“ na papier. Wesoły i śpiewny ludek z przyjemnością zużytkowyywa świeżo przybyłą kapelę, i znów podłoga dudni długo w wieczór. Jest dla odmiany i dobre piwo; „herba“ kipi obficie, gwar wesoły. Nawet jakiś rodzaj maskarady urządza się na prędcie. Ktoś z miejscowych facetów przebiera się za konia czy wielbłąda. ku wielkiemu przerażeniu żeńskiej połowy towarzystwa.

Ponieważ i nazajutrz jeszcze była pogoda, więc Chałubiński kazał przywołać starego Mardulę, dawnego robotnika, a *per modum* przewodnika po miejscowych górach, i kazał mu się prowadzić na Murań. Łatwa to wycieczka, ale i tu zdarzyły się przejścia i „progi“ dość ryzykowne. Niestety, gdy znaleziono się na szczycie, przyszły mgły, tak, że wypadło zrezygnować z widoku na Tatry. Powrotna droga była połączona z jeszcze większemi trudnościami, bo n. p. przez

jeden próg trzeba było „na czworakach spuszczać się z głową mocno ku dołowi pochyloną“. Na wieczór zdążono do oberży, gdzie wszystkich czekała „wieczera wytworna“.

Następnego dnia pojechano już „siwkami Marcina“ do domu, ale żeby nie przyjeżdżać za wcześnie, zatrzymano się w Poroninie, aby obejrzeć Sichte i Toporowe Stawki. „Ostatni etap w Jaszczurówce. Wesoło, przed zmrokiem wózek Marcinka wiezie do domu dziwną grupę siedzących w niemożliwych pozach taterników. Naturalnie zawsze z muzyką.“

„Łaskawy Czytelniku — pisze Chałubiński w zakończeniu swego opisu — (zwracam uwagę twoją, że epitetu *łaskawy* na końcu tego artykułu używam poniekąd jako *captatio benevolentiae*) gdybyś wiedział, jak źle wyglądałem, wychodząc na tę wycieczkę, i jak dobrze z niej wróciłem, kiedy własna żona oczom swoim wierzyć nie chciała, to darowałbyś mi niewątpliwie, że i Ciebie tak długo po Tatrach wodziłem. Poczucie odzyskania sił sprawiło, że pomimo wrodzonej powściągliwości pióra (muszę sobie oddać tę sprawiedliwość) pierwszy raz przedsięwziąłem skreślić moje wrażenia. Ale dla uspokojenia Cię, przyrzekam najuroczyściej, że się to nie powtórzy, choćby mi losy dozwoliły jeszcze oglądać nasze ukochane Tatry“.

V.

Przyrzeczenia tego dotrzymał Chałubiński święcie, ale na szczęście w opisie tej swojej „wycieczki bez programu“ nie ograniczył się do samego kreślenia jedynie tym razem doznawanych w Tatrach wrażeń, lecz, pisząc ten barwny artykuł, puszczał także raz po raz folgę wspomnieniom ze swych różnych wypraw, z lat ubiegłych, a nawet nie szczędził tych retrospektywnych dygressyj, lecz je obficie wplatał w tok opowiadania. Nie pozostało to nawet bez ujemnego wpływu na przejrzystość kompozycji, ale za to utrwaliło cały szereg pierwszorzędnych epizodów z pamiętnych wycieczek, „króla tatrzańskiego“, epizodów, które bez tego utone-

łyby niechybnie w morzu zapomnienia. Z drugiej strony nie da się zaprzeczyć, iż te wspomnienia dawniejszych wycieczek, zajmując najmniej połowę długiego artykułu, stanowią zarazem jego osobliwy wdzięk, właśnie przez swój „nieporządek miły“, że następują po sobie tak, jak się piszącemu nasuwały pod pióro bez żadnych literackich pretensji, bez cienia pedanterji i systematyczności. Bo rzeczy pisane z werwą, nie zawsze muszą się odznaczać kompozycją bez zarzutu. Byle tylko były pisane z talentem narracyjnym. A taką właśnie jest ta „wycieczka“ Chałubińskiego nie tylko odbyta, ale i opisana „bez programu“.

Że jednak między temi nadprogramowemi wstawkami nie brak niezmiernie interesujących i efektownych, więc choć parę godzi się tu przytoczyć. Oto np. opis dziwnej muzyki przy Zmarzłym Stawie pod Żelaznemi Wrotami.

W sierpniu 1876 roku, wracając z Wysokiej, wyskoczyliśmy w kilku na Polski Grzebień. Dzień był pogodny, lecz popołudniu powstał silny wicher północny. Zbliżając się do Zmarzłego Stawu z podziwieniem słyszemy, coraz wyraźniejsze, w końcu bardzo donośne dźwięki, jakby ogromnej szklanej harmoniki. Tępy wysokie i niskie, ale nie związane w harmonję, owszem rażące dzikim rozstrojem. Badamy przyczynę. Łód, który tu mniejszemi lub większemi wysepkami przez całe lata się utrzymuje, stanowił jądro, około którego na znacznej przestrzeni potworzyły się nowe, duże, mniejwięcej równoległe kryształy i sople. Silny wiatr wstrząsał powierzchnią wody i powodował uderzanie o siebie tych improwizowanych klawiszów. Jeszcze na paręset stóp wyżej stawu dochodziły nas te jaskrawe rozdźwięki. Śmiejąc się, pytaliśmy wzajemnie, czem moglibyśmy obrazić względnie zwykle dla nas ducha tych dzikich miejsc, że nam taką kocią muzyką wyprawia. A zawziął się był nie na żarty. Na przełęczu raz tylko wówczas

spojrzeliśmy na słońcem jeszcze oświeconą węgierską stronę i nagle otoczyła nas zimna, gęsta mgła. Wicher przejmujący zmuszał do rychłego powrotu. Wkrótce i śnieżne krupy zaczęły ciąć po twarzach. Jednemu z górali wiatr zerwał kapelusz i głęboko w Wielką Dolinę zaniósł. Spiesznie zaczęliśmy zstępować ku niezakrytemu jeszcze owemu zaczarowanemu jezioru. Ale mgła uprzedzała nas. Przechodząc mimo niego, słyszeliśmy wciąż owo charivari, teraz już z pod gęstej białej zasłony wychodzące. Nie ręczę, czy pod tą zasłoną, rade z psoty nam wyrządzonej, zimne postaci górskich duchów nie wyprawiały harców po owej lodowej klawiaturze. W godzinę potem z pogodą zstępowaliśmy w cichą i ciepłą dolinę Białej Wody.

Jak Chałubiński odczuwał piękno stawów tatrzańskich, tego np. dał dowód w opisie Czarnego Stawu nad Rybiem.

Gdybyś mię zechciał kiedy posłuchać, szanowny czytelniku, i nie kwapił się do powrotu, to radziłbym ci, zamówiwszy sobie, rozumie się, odpowiednią pogodę, pójść z nad Morskiego Oka, nie oglądając się poza siebie, tak około 150—200 kroków pod górę ku Żabiemu i to koniecznie między pierwszą a czwartą po południu. Potem zwróć się nagle i spojrzysz w Morskie Oko, czy, jeśli je tak wolisz nazywać, Czarny Staw. Przyznasz mi wtedy, iż to jest równie cudny, jak niezwykle efekt. Wysokość tych części czarnych, części blaskiem słonecznym oblanych prostopadłych ścian, podwaja się przez odbicie w wodzie. U góry i u dołu niebo. Patrzysz w zwierciadło stawu, jakby przez jakiś olbrzymi czarodziejski pierścień; jakby na drugi świat pod tobą, albo przynajmniej na drugą stronę kuli ziemskiej. Co dziwniejsza, że gdy przy oświetleniu właściwem tej porze dnia, zieloność powlekająca tu i ówdzie boki jakiej turni, daleko

prędzej uderza wzrok twój w wodzie, bo jest jakby werniksem powleczoną, aniżeli na skałach ponad wodą, gdzie gubi się w matowej, szarej lub czarnej przestrzeni, tembardziej ulegasz złudzeniu, że tam w dole widzisz świat inny; niechże jeszcze lekki wietrzyk zmarszczy zwierciadło wody, cały ten drugi obraz drga życiem, którego nie mają ponure kolosy sterczące nad jeziorem.

Nie mogąc usnąć w schronisku w Felce, porównywał Chałubiński wykwintne zalety tego noclegu z inną bezsensną nocą, jaką przed kilku laty w tej samej przepędził dolinie.

Było to w wilję pierwszej wyprawy na Gerlach. Byliśmy w licznym towarzystwie i pod przewodnictwem księdza Stolarczyka. Nie miałem wówczas z sobą namiotu. Rozłożyliśmy się przy ruinach dawnego schroniska. W nocy powstał tak silny północny wiatr, że ani bliskość ogniska, zaledwie zresztą dającego się podtrzymać, ani przykrycie się wszystkimi rozporządzalnemi manatkami, nie było w stanie uchronić nas od kompletnego kostnienia. Spać się chciało, ale nie było można. Musiałem z kilku młodszymi towarzyszami zabawiać się tańcem, a raczej skakaniem koło ogniska. Z jakże nierównie większą zazdrością, niż dziś względem p. Stanisława, poglądałem na smacznie śpiącego „Jegomości“, który, wyzuwszy się dla komfortu ze swoich długich butów, urągał nagiemi piętami przejmującemu wichrowi. Niektórzy z towarzyszków spali także, ale nie w takiej wyzywającej postawie, owszem zwinięci w kłębek.

Z powodu tych pięt księdza Stolarczyka nasunęło się Chałubińskiemu na myśl jeszcze jedno ze wspomnień z Felki, mianowicie o innych znowu piętach i z innej, choć równie mało sennej nocy.

Było to w sierpniu 1875 roku; około 20 osób, licząc przewodników, wybrało nas się na Gerlach. Jak dziś ze-

szliśmy wieczorem z Polskiego Grzebienia, tylko, iż było zupełnie ciemno, wskutek czego p. Br(oniśław D(embo-wski), pośliznąwszy się, wybił sobie „godną“ dziurę w łokciu, a pizeto został wysortowanym nazajutrz z liczby idących na szczyt i musiał się pocieszyć kąpielą w Szmeksie. Noc była chłodna. Tym razem miałem z sobą namiot, i choć także spać nie mogłem z wieczora, ale wypocząłem dość wygodnie wraz z czterema towarzyszami, więcej bowiem namiot nie mógł objąć. Z górali tylko Maciej Sieczka, chroniąc się przed wiatrem, wsunął się nadetatowo w kącik namiotu, tak, że mu na zewnątrz same tylko nogi wystawały, rozumie się do góry piętami. Maciej Sieczka, znany przewodnik, całe owo lato nie był w Zakopanem, zajęty w kopalniach kamienia młyńskiego, który sam odkrył w Tatrach. Spotkawszy go idącego na trzechniowy urlop do domu, zaprosiłem na wyprawę. Przytaczam te szczegóły dlatego, że o obecności jego nikt z nieidących razem z nami wiedzieć nie mógł.

Tymczasem dwaj moi nieodstępni przewodnicy, Szymon Tatar i Wojciech Roj, którzy i dziś dobrze się wysypiają w schronisku, wówczas będąc z kim innym na wycieczce, nie zdążyli wrócić do Zakopanego. Dałem im tylko znać raniutko przy Morskiem Oku, gdzie właśnie nocowali, że ruszamy na Gerlach. Pobudziwszy oni więc swoich „gości“ raniej, niżby ci sobie życzyli, przeprowadzają ich przez Dolinę Pięciu Stawów i Zawrat do Czarnego Stawu, a około czwartej po południu zwracają się znów przez dolinę Pięciu Stawów i przez Polski Grzebień, i około jedenastej w nocy dopędzają nas na noclegu w Wielkiej Dolinie. Nawiasem mówiąc, zrobili ten kurs o głodzie i chłodzie; ich zapasy bowiem były wyczerpane. Tu i ówdzie tylko nie zwalniając kroku, udało się któremu „osmyknąć“ garść borówek, obficie wszędy w Tatrach rosnących. Ognisko przygasło, wszystko w głębokiej pogrążone ciszy. Kto może, śpi, kto nie, to

choć udaje. Naraz słyszę lekkie kroki. Zatrzymują się przy namiocie i dolatuje mnie cichy szept:

— Patrzaj no Wojtek, a toż to pięty Maćkowe.

— A hej, odrzeknie tamten.

Parsknąłem śmiechem i wysunąłem się po cichu do nich z namiotu.

— Jakimże u Boga sposobem mogłeś Szymku poznać Maćka po piętach, kiedyś go się tu nie spodziewał.

— A dy to przecie jego szwagier, rzeknie Wojtek.

Ot tobie i argument, myślę sobie. Znam ja też przecie także blisko ćwierć wieku te Maćkowe nogi, które nietylko po mistrzowsku chodzą po górach, ale którymi gdy Maciej — choć dziś już tylko z powagą — tańczy, to rzeczywiście robi wrażenie, że wcale nie tyka ziemi. Z tem wszystkiem, gdy wogóle góralskie nogi są zręczne i małe, nietylko w nocy, ale i w jasne południe, nie podjąłbym się rozróżnić Maćkowej pięty. Prawda, że nie jestem jego szwagrem. Ta uwaga usprawiedliwiła nieco we własnych oczach brak bystrości obserwacji, co dla przyrodnika nie jest bardzo pochlebne.

Gdy po zejściu w Gerlachu opuszczając Zmarzły Staw, wypadło przechodzić nieopodal szczyby Żelaznych Wrót, przypomniała się Chałubińskiemu chwila z przed dwóch lat, kiedy tą szczybą przechodził na północną stronę Tatr do Zielonego Stawu.

Szliśmy z „Jegomością“ od Popradzkiego, gdzie nowościśmy po zejściu z Wysokiej¹. Było nas przeszło

¹ Ma tu Chałubiński na myśli swą bytność na Wysokiej w dniu 10 sierpnia 1876 roku. Byli z nim wtedy: ks. Stolarczyk, ks. Sutor, profesor Świerz, bracia Dembowscy, oraz górale: Maciej Sieczka, Szymon Tatar, Wojciech Roj, Wojciech Ślimak, Wojciech Samek, Jan Krzeptowski (Sabala), Jan Stopka, Wojtek Bukowski, Wojtek Gładczan, Wojtek Bednarz, i 12-letni Józek Roj.

trzydziestu, a w tej liczbie grono wytrawnych taterników, jak ks. Sutor, profesor Świerz, pp. Dembowscy i kilku innych. Śniadając ponad tak zwaną przez górali Pustą Doliną, powyżej Zmarzłego Stawu, spostrzegam pod nami na wielkich polach śniegu blade-czerwone smugi. Zjawisko to znane w górach skandynawskich pod nazwą krwawego śniegu, zależy od maleńkiego mikroskopijnego wodorostu. Są to kulki napełnione purpurowym, silnie światło łamiącym płynem. Na kilkanaście cali w głąb całe obszary śniegu przejęte są tym tworem.

Żywo też stoi mi w pamięci wrażenie, jakiegośmy wówczas wszyscy doznali, przeszedłszy zwartą kolumną przez ową szczybę Żelaznych Wrót. Z jednej strony droga do niej przykra, ale bezpieczna. Stromym kamiennym żłobem dosięgając wąskiego siodełka, czyli właściwie mówiąc samej szczyby, wchodzi się między wysokie, prawie prostopadłe ściany. Z drugiej strony przepaść, tylko pod samą ścianę północną, na prawo nad urwiskiem, usypanem z rodzaju zielonawej glinki, powstałej z rozłożonego granitu, trzyma się przez całe lato przylepiony szmat stwardniałego śniegu. Po tym śniegu, zgięty we dwoje, bo ściana granitowa u spodu tylko jest wyżłobiona, a na górze szorstko wystaje, może przejść człowiek jako tako bezpiecznie, a iść tak trzeba kilkadziesiąt kroków, bo rzadko gdzie można się wyprostować. Potem zwracamy się w lewo na ostrą wązką grań, także zwykle śniegiem pokrytą, lecz po której „już wozem przejedzie“ według uświęconego wyrażenia przewodników zakopiańskich, co znaczy, że już stąd trudniej kark skrócić, jeśli się mocno na nogach trzymasz. Widok z grani na tę prawdziwie piekielną bramę, zwłaszcza gdy schyleni towarzysze jeden za drugim przez nią przechodzą, jest niesłychanego efektu. Nadzwyczajna ostrość konturów, różnica oświetlenia jednej a drugiej ściany, niewypowiedziana dzikość w około, a do tego widok na połu-

dnie i na północ, na zielone łąki, uprawne pola i wzgó-
rza odległych okolic, nadają obrazowi urok niezwykle
nawet w Tatrach, gdzie przecież począwszy od Zawratu
o podobny rodzaj widoków na pozór nietrudno. To też
ulegasz wrażeniu, którego się nigdy nie zapomina.

Na wniosek mój, abyśmy w tem miejscu urządzili
wypoczynek, bo wszakże tu codzień się nie chodzi, przy-
stano odrazu. Rozsiadliśmy się na grani wśród śniegu i
głazów. Przy posiłku Sabala jał prawie powiastki, które-
mi nas do konwulsyjnego pobudzał śmiechu. „Jegomość“
gwałtownie musiał się trzymać za boki, a przy jego ol-
brzymiej prawie postaci, zdawało się, że skała, na któ-
rej siedział, trzęsie się i gotowa runąć.

Mniej wesołych wrażeń doznał raz Chałubiński w żlebie
między Kozim Wierchem a Granatami, którym wybrał się
kiedyś do Pięciu Stawów, a który mu się teraz przypomniał
przy schodzeniu słynnym żlebem z Wysokiej. Rzecz miała się
tak.

Przed kilku laty wypadł mi jakiś gwałtowny, bo-
taniczny „interes“ do doliny Pięciu Stawów. Wybieram
się na parę dni z synem moim; nawiasem mówiąc, nie
radzę ci z nim chodzić na wycieczki, jeśli nie jesteś wy-
próbowanym taternikiem pierwszej wody.

Ponieważ zwykle nasza droga jest przez Zawrat,
przeto p. Alfons S., młody taternik, chcąc użyć poran-
nej przechadzki odprowadza nas przez tę przełęcz. Prócz
Wojciecha Roja, Tatara i Ślimaka mamy z sobą Józka,
naturalnie dużo młodszego, niż dzisiaj, a objuczonego jak
zwykle „trąbą“ (znaczy duża zielona puszka do roślin),
deseczkami mieszczącemi obfite zapasy bibuły i t. d.
Ponieważ Józek zaczął dopiero w owym roku zarabiać
sam na siebie, nie miał przeto jeszcze swej własnej czu-
chy, ale ojcową. A że ta była na niego srodze długa,

więc zarzuciwszy ją na swą dużą torbę, zawiązywał pod szyją rękawami. Rozumie się, że wyglądał jak kopka siana. Dla oszczędności obuwia zwykł chodzić na Zawrat i wszelkie „piarżyste“ drogi boso.

Pod Zmarzłym rozmyślamy się. Przez Zawrat już się tyle razy chodziło: czyby nie można przejść szczylinką między Kozim Wierchem a Granatami? Jakiś tam żlebik świeci w górze śniegiem. Spróbujmy.

— Eh, znam ja ten żlebik, rzecze Szymek, bom tamtędy raz od Pięciu Stawów chodził. Przy indagacji pokazało się, że przed wielu laty dźwigał tamtędy tegiego kozła na plecach, a miał dobre powody do obrania tej romantycznej drogi.

— A puści tam?

— No, puści przecie, puścić musi, ale kto wie, jak tam teraz wygląda.

Wdrapaliśmy się po mokrych, śliskim mchem obrośniętych progach pod ów śnieg. Żlebik stromy, śnieg podmyty, ale z pomocą rąk i nieledwie zębów, wyrąbując tu i ówdzie schody w zmarzłym śniegu, dostaliśmy się do szczyrbiny. Tu naprzód wita nas gwałtowny, mroźny wiatr, że na nogach utrzymać się trudno.

Spojrzyjmy w dół, gdzie schodzić trzeba: prostopadła wązka przepaść, zawalona zatrzymującemi się w załamach i zakrętach kamieniami.

— No, nie słodko coś wygląda!

Szymek i Wojtek spuszczaają się naprzód, zsuwając i zwalając w przepaść ogromne zaległości głazów, aby nam potem z góry na głowy nie spadły. Ślimak zostaje przy nas w odwodzie. Józek zostawiony jest własnemu przemyślowi.

Utorowano kilkanaście stóp, spuszczaamy się w otchłań. Józek na końcu. Nasi przewodnicy oczyszczają drogę niżej, my czekamy. Po kilku minutach znów opuszczamy się trochę niżej.

— Nie puszczaj! — krzyczą z dołu. Niech czekają!

Tym razem czekamy coś bardzo długo, czekamy zawieszeni na łokciach wsparci między wąziutkie ściany otchłani. Józek, który sobie wyszukał jakiejś innej odnogi żlebiaku, w żaden sposób nie mógł znaleźć oparcia na nogi. Zrobił więc grymas wyrazisty i wydał głos bardzo do jęku zbliżony. Ojciec dosłyszawszy, wychyla się po nad nami nad jakąś sterczącą „tarniczkę“, a spostrzegłszy kłopotliwe położenie chłopca, krzyknie:

— Rozszerzaj się, Józek, rozszerzaj się!

Pomimo niedogodności położenia, śmiejąc się, nie mogliśmy oczu oderwać od Józka. I tak już dosyć szeroki ze swoją torbą i za dużą czuchą, teraz zrobił się literalnie szerszym niż dłuższym. Ale przestroga była skuteczną. Powiększywszy rozpartymi rękami i nogami tarcie o boki czeluści, powoli zjechał na upatrzony jakiś prożek, wystający dobrze pod nim ze skalnej ściany, i oparł przecie na nim nogę. Wkrótce słyszymy z dołu, że tam „po grani już wozem przejedzie“. Wiemy już, co to znaczy.

Zsuwamy się kilkanaście stóp, potem po gzymsie jakiejś grani „przewijamy“ w bok, a potem znów „dołu“. I tak przynajmniej kilkadziesiąt stóp, potem żleb stał się trochę położniejszym. Na prawo nad nami sterczą sklepieniem wysunięte nad przepaścią długie bloki spękanych granitów; pod nami mała rumowiskami zavalona dolinka, a raczej zatoka doliny Pięciu Stawów.

Oczywiście zeszliśmy, i to bez przypadku, ale nie życzę nikomu tej na pół napowietrznej podróży. Rozumie się, że najlepiej na tem wyszedł Alfons, bo musiał po znacznem kołowaniu wejść jeszcze na Zawrat od doliny Pięciu Stawów, tak, że mu ta przechadzka z pewnością za cztery Zawraty starczyła.

Tak opisując tych Sześć dni w Tatrach we wrześniu 1878 roku spędzonych, wracał Chałubiński wspomnieniem do różnych dawniejszych wycieczek; przez to zaś, że je wprowadził do swej opowieści, stworzył rzecz, która pod literackim względem nie tylko przewyższa wszystkie opisy odbytych pod jego przewodem wypraw w góry, ale nadto jest poniekąd syntezą tego, co on w zakresie taternictwa, jako „król tatrzański“, wogóle zdziałał w ciągu długiego lat szeregu, a przynajmniej do roku 1878.

VI.

W każdym razie była to najbujniejsza epoka w zawodzie turystycznym Chałubińskiego. Wszystko, co nastąpiło po tym roku 1878, było już przeważnie powtórzeniem przedsięwzięć dawniejszych, powrotem do dawniej wydeptanych szlaków, do dawniej doznanych wrażeń. O ile w pierwszych latach po roku 1873 równały się wycieczki Chałubińskiego poszukiwaniu nowych dróg na szczyty, dotąd nie tknięte polską stopą: o tyle teraz, po roku 1878, choć ciągle jeszcze urządzał wyprawy w Tatry, nie była to już *la recherche de l'inconnu*, ale najczęściej chęć pokazania innym tego, co on sam znał doskonale, a co tylko chciał sobie przypomnieć, zobaczyć raz jeszcze¹.

Takimi też były dwie wycieczki w roku 1882, urządzone przez Chałubińskiego dla dwóch Belgijczyków: Charlesa Buls'a, burmistrza Brukseli, i Augusta Couvrent, prezydenta belgijskiej Izby deputowanych. „Należąc do dwóch wrogich sobie

¹ Wśród wyczerpującej pracy lekarskiej, w Warszawie, między jednym latem w Zakopanem a drugim, Chałubiński wciąż marzył o Tatrach. „Pod wiosnę — pisał raz do syna — różne małe dolegliwości trapią mię potrochu, ale się nie poddaję, a jak co boli, to robię wycieczki w Tatry... myślą, i układam plany nowych“. Choć zdala od Zakopanego, Chałubiński był dokładnie poinformowany, co się tam działo, bo mu o tem pisywali ks. Stolarczyk, Wojciech Roj i inni.

obozów (gdyż pierwszy był żarliwym liberałem, a drugi przewodził partji katolickiej), kochali się i cenili nawzajem. Łączyła ich prócz tego, wspólna obu, pasja chodzenia po szczytach i poznawania gór, gdziekolwiek one są: po Alpach Pireneje, po Pirenejach Atlas, Himalaje, Skandynawia; wreszcie przyjechali w Tatry: Marszałek Sejmu, nieodżałowanej pamięci dr. Mikołaj Zyplikiewicz, który był właśnie w Zakopanem, do spółki z hrabiną Edwardową Raczyńską i doktorem Chałubińskim dołożyli wszelkich starań, aby tym dostojnym gościom pokazać Tatry z najpiękniejszej swej strony. W tym celu postanowiono zorganizować dwie wielkie wycieczki: jedną w Tatry zachodnie, drugą w Tatry wysokie“.

W obu tych wycieczkach brał udział 20-kilkuletni wówczas Wojciech Kossak, zaproszony przez „pana Tytusa“, a wywdzięczając mu się po latach za to zaszczytne zaproszenie, opisał obie te wycieczki w swych interesujących **Wspomnieniach**.

Pewnej soboty na Krupówkach spotkałem kochanego pana Tytusa, jak zawsze w słomianym kapeluszu i serdaku na surducie. Smukły i wysoki, o pięknej polskiej twarzy, rozjaśnionej młodym uśmiechem, przy siwej, gęstej, jak szcotka, czuprynie, polecając milczenie o wyprawie, kazał mi być nazajutrz rano, w niedzielę, w Orawie, u pana Kocjana, gdzie on dziś jeszcze z taborem i Belgami rusza. Tam będą nocować, a jutro po Mszy ruszymy już razem na Wołowiec, gdzie tabor drugą noc spędzi, w poniedziałek zaś będziemy wchodzić na Rohacze.

Posłuszny temu wezwaniu, jeszcze przed ósmą rano (po przetańczonej nocy) stawił się przyszły twórca **Berezyny** na oznaczonym miejscu, a o 10 ruszono całym taborem, przy muzyce Obrochty, w drogę.

Wskutek długich deszczów mchy w lasach, jak gąbki nasiąknięte wodą, a potoki górskie bardzo wezbrane. Przychodzimy nad jakąś zdaje mi się Suchą Wodę. Może być, iż czasem łożysko po długiej suszy daje jakąś rację bytu tej nazwie; tym razem jednak była zupełnie nie na miejscu. Z hukiem, szumem i pianą, a szybkością wodospadu walily masy wody, wstrząsając wielkimi smrekami, których dosięgły, przybierając raptownie. O przeprawie, sądziłem, mowy niema; dziwno mi tylko, że pan Tytus nie wygląda tem zafrasowany.

Dwóch przewodników zdejmuje z siebie torby, czuchy i serdaki: to Szymek Tatar i mój Pęksa. Obaj nerwowi, muskularni, czarni. Przyskoczyli do ogromnego stulbo parusetletniego smereka nad samym brzegiem potoku. Splunęli w garście, chwycili za ciupagi, zaczynają ścinać drzewo. W pierwszej chwili myślałem, że to żart: po chwili widzę, że oni naprawdę do niego się zabrali. Ze zręcznością i precyzją, a znajomością praw fizyki wali Jędrak w smereka od strony wody, tuż przy korzeniach, Szymek zaś od strony brzegu, z przeciwnej strony, wyżej o metr. Cięcie w cięcie idzie z matematyczną ścisłością coraz głębiej w blizny biednego świerku. Nie upłynęło pół godziny, nacięcia były już tak głębokie, że gdy kilkunastu górali przyskoczyło i zaczęło pchać wspaniałe drzewo ku wodzie, to raptem trzasło, zakołysało konarami i gruchnęło wreszcie, kładąc się całe przez potok. W tej chwili Jędrak wskoczył na pień i ciupagą ścinał szybko gałęzie, stojące pionowo; szeroka kładka była gotowa.

Cały tabor przeprowadził się na drugą stronę; zaczęliśmy wchodzić na Wołowiec.

Gdy zapadł pogodny wieczór, rozbito obóz w gęstym wysokopiennym jodłowym lesie pod Wołowcem.

Przewodnicy i górale-tragarze pozdejmowali z siebie

pakunki i torby, i zabrali się do rąbania drzew. Z tą samą szybkością i wprawą, jak tam nad potokiem, swojemi ciupagami, lekkimi stosunkowo, ścięli ogromnych smereków, zdaje mi się, około ośm; trzeba było drzewa na ogromne dwa ogniska, ale na to jeden smerek byłby wystarczył; wycięto zaś tyle, aby lasu nie zapalić. Jedno ognisko było dla panów, drugie dla górali.

Już było dobrze wyiskrzone niebo, gdy wilgotne drzewo zaczęło się nareszcie palić wielkim płomieniem. Wiatr w wysokopiennym lesie nie dochodził; płomień szedł prosto w górę; można było naokoło „watry“ formnem kołem zasiąść. Przy drugim ognisku krzątały się sylwety górali; warzono tam herbatę, odgrzewano konserwy i kociołki z bigosem.

Wysoko nad szczytami jodeł miesiąc zaświecił w tej majestatycznej głuszy, lodowatym tchnieniem, wiejącej od czerniejących na wyiskrzonem niebie granitów Rohaczy; trzeszczą iskrami i burzą ogniem olbrzymie stopy na potężne dzwona zrąbanych smereków. Skupieni przy ogniu, odczuwamy wrażenie chwili, czujemy wszyscy jej urok i nie psujemy jej gadaniną. Obserwuję wyrazistą twarz pana Tytusa, widzę go w swoim żywiole, promieniejącego rozkoszą największą, jaką mu życie jeszcze dać może.

Podjedli wszyscy. Od watry góralskiej podchodzą górale do naszej, skrzypki Bartkowe zaintonowały raptem motyw ze „staroświeckiego“. Wnet zawtórowały basy Kuby Kulawego i skrzypki Jaśkowe. Zwolna, zaledwie się posuwając, w kapeluszach z fantazją „zbójnicką“ nasadzonych, ukazują się na tem tle płomieni te nieporównane typy Szymków i Wojtków starych, młodych Józków i Jędrków.

Zaczyna się zbójecki taniec. Nie dla gości z Warszawy, banalny i obliczony na tani efekt, w odświętnych czuchach i pstro wyszytych surdutach. Zrudziałe kape-

lusze, łatane portki i wytarte na nich serdaki. Ale każda łata, to pamiątka albo krwawej bójki, albo niebezpiecznej chwili na jakim Ganku lub Mniehu, podchodzenia za kozicą albo ucieczką przed węgierskimi strzelcami.

Tańczą dla siebie przedewszystkiem: na tle jedynem, na jakim ten dziwny taniec wogóle tańczonym być może: na tle luną ogniska oświetlonych smereków, za którymi zaraz noc i głębia czarna. W czerni tej mogą być tak samo strażnicy węgierscy, jak niedźwiedź.

Rytm w takt muzyki coraz szybszy; jeden za drugim suną coraz prędzej, drepcząc zgrabnemi nogami coraz szybciej, raptem przeraźliwy gwizd przez palce, jeden, drugi i trzeci. Bartek kapelmistrz oczy przymyka, kierpcami wali takt z pasją, „zbójceki“ wpada w szal, gwizdy coraz częstsze... Śmigają raptem w górę wszystkie ciupagi, nerwowe i zylaste ramiona; wyrzucone w górę, błyskają wysoko nad kapeluszami i orlemi piórami, stałą wyostrzonych toporków, puszczają je w palcach w obrót wirowy, tak szybki, że tylko refleks płomienia świeci. Jeden za drugim sady teraz w górę, ten sam szal dziki, co juhasów zwabionych muzyką, porywa ich wszystkich; w przysiadach, podskakując co chwila, strzela któryś całym ciałem, jak z procy wyrzucony, w górę.

I znowu ten pierwszy motyw wraca, tempo wolnieje, zaczyna się „zbójceki“ *da capo*, aby nie wiem ile razy zakończyć się znowu tem *finale furioso*.

Miałem wrażenie po tym „zbójcekim“, jedynym, jaki widziałem w życiu, że bez krwi, bez mordy, strzelaniny i zgrzytu ciupagi o kość, jest niekompletnym, nieskończonym. Biada strażnikom skarbowym, biada Liptakom i żandarmom, gdyby z nimi teraz zadarli!

Nazajutrz nastąpiło wdarcie się na trudny szczyt Rohaczów, poczem wrócono do Zakopanego.

Druga wycieczka, zorganizowana przez Chałubińskiego

dla dwóch sympatycznych Belgów, miała objąć najpiękniejszą część Tatr polskich. Wyruszono jeszcze większym taborem z przed willi Chałubińskiego, a że chodziło o możliwe zaoszczędzenie sił, więc dla starszych uczestników były przygotowane konie wierzchowe, na których dojechano aż do hali Gąsienicowej. Stąd przez Zawrat i Pięć Stawów udano się do doliny Wiercheichej, stamtąd przez Zawory do doliny Ciemnosmreczyńskiej, z niej do doliny Hlińskiej, poczem przez przełęcz Koprową nad Wielki Staw Hińczowy, gdzie przenocowano pod gołym niebem, oczywiście przy rozpalonych ogniskach. Nazajutrz, wciąż przy najcudniejszej pogodzie, przez Przełęcz Miękusowiecką przedarto się do Czarnego Stawu i Morskiego Oka, a po noclegu w Schronisku puszczono się przez Świstówkę, Pięć Stawów, Zawrat do Zakopanego. „Obaj Belgowie — opowiada Kossak — byli pod urokiem i przyznawali Tatrom charakter zupełnie odrębny, wyższość bezwzględną nad Pirenejami przez fantastyczne kontury szczytów i ich oryginalność. Takich sylwet dziwnych, jak Ganek albo Mnich, nigdzie nie spotkali“.

Jeden z tych Belgów, mianowicie Karol Buls, powróciwszy do Brukseli, opisał te swoje przygody i wrażenia tatrzańskie, Ogłosił je drukiem, jeszcze w tym samym roku 1882 w „Revue de Belgique“, skąd je przetłumaczył na polski p. S..., poczem przekład ten znalazł pomieszczenie w najbliższym Pamiętniku Towarzystwa Tatrzańskiego.

Warto zapoznać się bliżej z temi wrażeniami z Tatr Balsa, albowiem dając miarę tego, jak Zakopane i Tatry przedstawiały się oczom cudzoziemca, już przez to samo niezmiernie są charakterystyczne.

Otóż przedewszystkiem, znalazłszy się w Zakopanem, doznał burmistrz Brukseli srogiego zawodu, albowiem gdy się wybierał w te dziewicze strony, zapewniano go, że pozna kraj dziki zupełnie, „mieszkańców w stanie pierwotnym, obyczaje proste i naiwne, góry zaludnione tylko niedźwiedziami i kozicami“.

Niestety, musieliśmy się wyrzec tych ponętnych obietnic. Byliśmy obecni przy poświęceniu dworca, zbudowanego staraniem Towarzystwa Tatrzańskiego, gdzie zamiast przepowiadanych nam wiązek siana, znaleźliśmy łóżka, które, chociaż nieco krótkie, bardzo były wygodne, i kuchnię, bardzo daleko tylko spokrewnioną z kuchnią góralską. Zastaliśmy tam towarzystwo tak uprzejme, tak gościnne, i Polki tak wdzięczne i czarujące, że ani na chwilę nie żał nam było owej dzikości, którejśmy tutaj przybyli szukać; nawet niemiłosierny deszcz, który przez cały tydzień lał jak z kadzi, nie popsuł nam ani na chwilę dobrego humoru. Członkowie tej kolonii polskiej, złożonej z wysokich dygnitarzy krajowych, z profesorów Uniwersytetów, krakowskiego i warszawskiego, z adwokatów i literatów, udzielili nam zajmujących wiadomości o położeniu kraju, o jego dążnościach, o wręcz w nich walkach narodowościowych... W Zakopanem spotkaliśmy tę klasę społeczeństwa polskiego, którą sami Polacy nazywają inteligencją; jest to widocznie sam kwiat... Szczególną charakterystykę Tatr stanowi ich dzikość i ponurość, a obok tego mnóstwo małych jezior, błyszczących wśród górskich dolin, a które krajowcy poetycznie nazwali Morskimi Oczami. Wreszcie główne przyjemności stanowią wycieczki w głąb gór, wycieczki, odbywające się w zupełnie odmiennych, niż gdzieindziej warunkach, w towarzystwie nadzwyczaj charakterystycznej ludności góralskiej, która nam towarzyszyć musi.

A cóż dopiero, gdy taką wycieczkę odbywało się w towarzystwie i pod przewodem Chałubińskiego, który dołożył wszelkich możliwych starań, by dwom belgijskim gościom pokazać Tatry z najlepszej strony. Z dwóch wycieczek, opisyanych przez Kossaka, opisuje Buls w swym artykule tylko

drugą, do Morskiego Oka przez Zawrat, Pięć Stawów, Hlińską, stawy Hinczowe i Przełęcz Miękusowiecką.

Byliśmy bardzo szczęśliwi, że wycieczkę naszą urządził p. Dr. Chałubiński, którego przyjaciele nazwali królem Tatr. I rzeczywiście, przebiegał on te góry od lat trzydziestu, zaznaczał ich piękności, odkrywał najtajemniejsze przejścia, ścieżki, stworzył przewodników, bez których nie możnaby zapuszczać się w te góry bezлюдne i puste; bo skoro się pozostawiło za sobą polany, nie napotyka się już ani na mieszkania, ani na pasterzy.

Odbytą z Chałubińskim wycieczkę opisuje Buls w następujący sposób:

Pewnego poranku zebrało się nas siedmiu turystów przed domkiem doktora; zebrał on gromadkę, składającą się z dziewiętnastu górali, każdemu z nas dodano przewodnika i tragarza, którzy mieli zarazem obowiązek czuwania nad nami; nie mogliśmy jednak wyjść z podziwienia, gdyśmy ujrzeli pięciu grajków, przyłączających się do naszej drużyny: trzech skrzypków i basistę; mieli oni nam przygrywać w najniebezpieczniejszych przeprawach i wspinać się z nami na najbystrzejsze szczyty. Nigdy w życiu nie zapomnimy tej niepodobnej do uwierzenia wędrówki naszych basów: w oczach nam jeszcze stoi widok basisty, spuszczonego się ze szczytu Miękusowieckiego po stromej ścieżce, wdrapującego się na Zawrat po skalistych urwiskach, lub spokojnie się kołyszącego nad brzegiem bezdennej przepaści¹. Doktor Chału-

¹ Moment ten utkwiał także w pamięci i Kossakowi, który te peregrynacje basisty tak opisuje: „Nabrałem determinacji, gdy spojrzawszy za siebie, zobaczyłem Kulawego Kube z ogromną basetlą na plecach, zawieszoną na ścianie Miękusowieckiej. Pochylić się naprzód, to znaczy wpaść z wysokości jakich pięciuset metrów prosto w Morskie Oko, trzeba więc plecami trzymać się ściany. Każdy

biński wziął z sobą orkiestrę, aby nasi przewodnicy mogli tańcować; jest to dla nich największa przyjemność, jaką tylko można im sprawić; to też ubóstwiają go ci ludzie i słuchają, jak prawdziwego jakiego króla gór.

Do Czarnego Stawu Gąsienicowego dojechano konno, poczem zaczęto wychodzić na Zawrat, skąd cudna panorama wprawiła Belgijczyków w nieopisany zachwyt. „Jedynie tylko akwarela przez swe lekkie i zaledwie dostrzegalne odcienie zdołałaby może dać jakie słabe pojęcie o tym precudnym krajobrazie“. Niemniejsze wrażenie uczyniła na Bulsie dolina Ciemno-Smreczyńska.

Tu ręka ludzka jeszcze ani jednego nie tknęła się drzewa, jesteśmy w prawdziwym lesie dziewiczym; świerki giną tu tylko wskutek starości, albo wywrócone od wichru. Obok odwiecznych olbrzymów, dumnie jeszcze czoło podnoszących, leżą inne wśród złomów granitu, mchem zarośnięte, na pół pokryte ogromną paprocią. Na dole zieleni się ziemia pyszną roślinnością, której pożywienia dostarczają szczątki dawnych drzew. Niema ani jednej ścieżki; trzeba przeskakiwać z wywróconych pni na złomy skał, trzeba schodzić do potoków, aby się przebić przez zawały gałęzi i pni. Jest to obraz najzupełniejszej dzikości i pustki; zdaje nam się, iż jesteśmy pierwszymi ludźmi, zamacającymi tę ustron; nigdy jeszcze nie wydała mi się tak potężną natura, pozostawiona swym własnym siłom w pełni życia i tężyzny.

* nas przylepił się do niej, Kubę odpychała basetla. Nic sobie z tego nie robił, fajkę ćmił dalej, a gdyśmy zeszli wreszcie na „bulę“ i na zielonym mchu legli na krótki spoczynek, mając już i schronisko i Morskie Oko przed nami, jak na dłoni, a zejście bezpieczne, to kapela *fortissime*, aby nas ze schroniska dojrzały piękne panie, oczekujące nas z obiadem, huknęła „Staroświeckiego“. Basetla Kuby nie straciła żadnej struny, ani on animuszu“.

Po czteremastogodzinnej drodze, do czego Belgijczycy, choć znali Alpy i Himalaje, nie byli przyzwyczajeni, „zbierając już ostatek sił“ rozłożono się koło stawu Hinczowego na nocleg.

Już dzielni nasi górale wyprzedzili nas, namioty były ustawione, ogień rozniecony, zapasy rozłożone. Usadowiliśmy się na przylądku, otoczonym po bokach dwoma strumieniami... Miejsce było zachwycające. Patrząc w głąb doliny, mieliśmy na prawo i na lewo olbrzymie szczyty... Miała to być straż olbrzymów naszego snu przy świetle cudnego księżyca.

Kolacja już gotowa. Noc nadeszła. Górale nasi, w swym ubiorze z sukna białego, w kapeluszach ozdobnych piórami, z dziarską postawą, oświetleni olbrzymim ogniem płonących smreków, tworzyli obraz fantastyczny. Nagle rozlegają się w błogiej ciszy nocnej dzikie dźwięki naszej orkiestry. Była to scena, godna pendzla Salvatora Rosy; mogliśmy przypuszczać, iż jesteśmy między zgrają rozbójników; toporki, którymi byli uzbrojeni, przyczyniały się jeszcze do tego złudzenia.

Skreśliwszy bardzo dobrze charakterystykę górali, oczywiście na podstawie dokładnych informacji, udzielonych mu przez Chałubińskiego i innych towarzyszy, opisuje Buls dalszy ciąg wycieczki, po wyruszeniu nazajutrz o świcie na przełęcz Mięguszowiecką.

Po mozolnem wdrapywaniu się, nierozważnie utrudnionem naszą basetlą, dosięgliśmy siodła przy szczycie Mięguszowieckim... Panorama cudowna rozpostarła się przed nami. O 500 metrów poniżej drzemią spokojne wody błękitne Morskiego Oka. Mięguszowiecka, Wysoka i Rysy obejmują je prawie zupełnie w swe ramiona, zostawiając ku północnemu wschodowi małe tylko wycięcie,

którem zbytńie wody jeziora spływają niezbyt wielkim spadkiem do Rybiego Stawu, rozciągającego się o 300 metrów niżej. Z tej strony otwiera się dolina Białki, pełna zieloności i strumieni.

Był to jeden z najpiękniejszych widoków, któryśmy przysli podziwiać. Kontrast, który tworzą oba te jeziora, jedno otoczone nagiemi skałami, drugie objęte świerkami, wałowa dolina w dal się ciągnąca, dokąd oko sięga, użyczają temu widokowi zmienności malowniczej. Zaś u brzegu Jeziora Rybiego widzimy czekającą na nas tratwę.

Tymczasem napróżno śledzimy okiem jednolitą skal ścianę, spadającą ku Morskiemu Oku, by jakiejś ścieżki dopatrzeć. A doktora nie nie zdoła powstrzymać. Jakoż ześlizgujemy się za nim, jak kozice, wzdłuż granitowych pochyłości, korzystając z najmniejszych gżemsików, na których ledwo koniec nogi oprzeć było można, to zsuwając się po wązkich wydrążonych przez wodę rowkach, to chwytając się każdego pęku trawy, to wreszcie pomagając sobie ciupagami. W ten sposób odbywamy prawdziwie fantastyczne zejście, którego do śmierci nie zapomnimy. Jeden fałszywy krok mógł nas zepchnąć do Morskiego Oka, a niktby już o nas nie słyszał. Karawana nasza, z 26 osób złożona, zawieszona tak na pochyłości góry, przedstawiała jeden z najciekawszych widoków. Jeden z naszych towarzyszy, którego doktor szczególnie polecił swym przewodnikom trzymać silnie przez dwóch górali, raczej podobny był do schwytanego przemytnika, prowadzonego do więzienia. Przewodnicy nasi, oprócz worka, który nieśli na grzbiecie, trzymali jeszcze w ręku to ronderek, to kociołek do warzenia; niektórzy spuszczałi się z powykręcanyimi gałęziami kosodrzewiny na barkach, co ich czyniło podobnymi do ukoronowanych olbrzymimi rogami przedpotopowych jeleni. Bo chodziło o możność ugotowania nam herbaty.

W połowie wysokości trafiamy rzeczywiście na mały przylądek i odpoczywamy, wisząc między niebem a ziemią. Ogień trzeszezy, orkiestra, usadowiwszy się malowniczo na odłamku skały, rozpoczyna poważnie jedną z tych dzikich przykrych melodyj, które całkiem odpowiadają widokowi. Jeden z naszych towarzyszy korzysta z odpoczynku, by kazać sobie brodę ogolić, albowiem gromada nasza jest w możności zaspokojenia wszelkich potrzeb. Kozice spoglądają na nas ciekawie ze szczytów skał niedostępnych, a na ich widok kipi krew myśliwska w naszych ludziach.

Po długim odpoczynku, nasyciwszy się dowoli wspaniałością otaczającej przyrody, zaczęto schodzić ku Rybiemu Stawowi, gdzie już przy brzegu czekała tratwa z przewodnikami.

Przewodnicy nasi tworzą na tratwie malowniczą grupę, orkiestra usadawia się na przodzie, wiosłarze biją w takt wiosłami, i przepływamy spokojnie jezioro, w którego toni odbijają się zarysy szczytu Mięguszowieckiego, podczas gdy oczyma napróżno śledzimy po jego bokach drożynę, którą dopiero co zeszliliśmy. Taka podróż wodą, wśród ciszy i otoczenia olbrzymimi górami, tworzyła wspaniały obraz, którego do śmierci nie zapomniemy.

Przy końcu jeziora znajduje się schronisko drewniane, wystawione staraniem Towarzystwa Tatrzańskiego. Wchodzimy doń z orkiestrą na czele i przy ustawicznych wystrzałach z moździerzy, które witają przybywającego króla Tatr do swych posiadłości. Schronisko składa się z wielkich izb, w których łóżka gościnne pozwalają przyjemnie noc spędzić.

Ledwośmy się rozgospodarowali, gdy orkiestra zaczęła już wygrywać tańce, a nasi ludzie, tak zwinni,

jakgdyby dopiero co wstali ze spoczynku, biegną najszybciej się swą najprzyjemniejszą zabawą.

Górale tańczą po większej części po jednemu; tancerz oddziela się od grupy i tupie na miejscu, stosując się do taktu coraz szybszego orkiestry; niekiedy przerywa deptanie, by skoki wyprawiać, by bić się po udach, kolanach, stopach, jak koczujący Tyrolczycy, lub staje przed orkiestrą i jej improwizuje; każdy tancerz improwizuje swojej tancerce, ile tylko ich ma podczas zabawy.

Lecz tańcem najcharakterystyczniejszym jest taniec wojenny (zbójnicki). Górale ubrają się w toporki, wdziewają kapelusze, taniec zaczyna się pochodem w koło; stary skrzypek Sabała usadawia się w środku, daje takt swą ciupagą i potrząsa długim piórem swego kapelusza. Poruszanie się idzie *crescendo*, i tupanie rośnie; od czasu do czasu wyrwie się okrzyk dziki, lub gwizd rozbójników, następnie tańczący stają naprzeciw siebie w parach, trącając się siekierkami, i rozpoczynają obracanie się wkoło. Orkiestra gra zapamiętałe, poruszanie zawraca już głowę, powtarzanie do sytości jednej melodji w coraz szybszem tempie kończy się wywołaniem pewnego upojenia nerwowego.

Powiada Buls, że górale, gdyby to od nich zależało wyłącznie, z pewnością tańczyliby tak do świtu; ale wypadało udać się na spoczynek, bo nazajutrz miano przez Waksmundzką wracać do Zakopanego. Niestety, cały dzień następny lał deszcz, jak z cebra, tak, że cała drużyna, gdy w Jaszczurówce wsiadała do czekających na nią wózków, była przemoczona do nitki.

Buls nie opisuje innych wycieczek, które za swego pobytu w Zakopanem odbył w Tatry węgierskie i polskie. Zaznacza tylko, iż był na Gewoncie i na Gubałówce, iż poznał doliny Kościeliską i Strążyską, że ze Szmeksu zrobił wycieczkę do Kohlbachu i Pięciu Stawów Węgierskich. Nie wspomina też,

które z tych wypraw odbył w towarzystwie Chałubińskiego, co zresztą jest już mniejszej wagi, skoro w opisie wycieczki do Morskiego Oka, jako najbardziej typowej, poniekąd wyczerpał temat, o ile chodziło o gromadne wycieczki pod egidą „króla Tatr“.

VII.

W tymże roku 1882, gdy wreszcie w centrum Zakopanego stanął okazały, choć drewniany, Dworzec Towarzystwa Tatrzańskiego, posiadający, oprócz pokoi na piętrze, wielką salę balową, koncertową i teatralną, ładną czytelnię, i restaurację z werandą, i gdy restaurację wzięli w dzierżawę Ferdynand Turliński (przyszły twórca Nonszalanckiego Paonu w Krakowie) i Gustaw Finger, dawny leśniczy Homolaczów, a jednocześnie dyrektor poczty w Zakopanem, „dworzec“ ten, odgrywający rolę miejscowego Kursalu, odrazu stał się punktem zbornym gości zakopiańskich. Stąd wieczorami, bądź na werandzie, gdy pogoda sprzyjała temu, bądź w sali restauracyjnej, gdy na dworze było chłodno lub słotno, gromadziło się tu przy stolikach, przy winie lub herbacie, sporo przedstawicieli sztuki, literatury i nauki polskiej, a w ich liczbie widziało się nieraz i największe „znakomitości“, znęcone możliwością pogawędki w gronie znajomych. Między innymi przychodził tu prawie co wieczór Chałubiński, ksiądz Stolarczyk, ks. Sutor, Baranowski, Anczyc, Pawlikowscy, Asnyk, Świerz, Eliasz.

Najweselej bywało zwykle przy stoliku, przy którym siedział niewyczerpany w humorze Anczyc, sypiący dowcipami, facecjami, anegdotami, jak z rękawa, tak iż niktby w nim wtedy nie domyślił się autora patetycznego *Ty r t e u s z a* i patriotycznych pieśni z r. 1863. Serdecznie zaprzyjaźniony z Chałubińskim, który w nim cenił nie tylko znakomitego pisarza i poetę, ale i wyjątkowo sympatycznego człowieka o złotem sercu, autor *Ko ś c i u s z k i* pod *R a c ł a w i a*

mi, gdy w sierpniu 1881 roku urządzono w Zakopanem składkową ucztę na cześć Chałubińskiego, ucztę, w której i górale brali udział, uświetnił ją toastem, znakomicie malującym rolę i stanowisko „profesora“ w tem uroczem podgórskiem ustroniu, coraz bardziej rozwijającym się za jego sprawą i wpływem.

Toast ten brzmiał, jak następuje :

W precudnem ustroniu kochanej tej ziemi,
Kędy się przyroda czarownie tak stroi,
Z uczuciem przyjaźni, sercami szczeremi
Zebrali się dzisiaj u Tatrów podwoi
I starsi mężowie, i chłopcy te zuchy,
Poważne niewiasty i dziarskie dziewczuchy.

Jedno nas uczucie dziś tutaj gromadzi,
A mniejsza, kto w jakim zrodził się w zaborze:
Wszyscy Cię kochamy, wszyscyemy Ci radzi,
I wszyscy Cię uczyć chcą, zacny doktorze,
Za tyle poświęceń, za trudy i enoty
I serce Twe złote i humor Twój złoty.

Bo czy się choroba zagnieździ pod strzechą,
Czy biedak pod nędzy brzemieniem ulegnie,
Tam zacny profesor bez zwłoki wraz biegnie
Z pomocą dla ciała, dla duszy z pociechą.
A kędy się zjawi, wnet smutek rozwieje,
Jak chmury słońeczko, gdy rankiem jaśnieje.

A każdym tym czynem kieruje myśl wzniosła,
Czy radzi jednemu, czy drugim pomoże,
Czy każe każdego wyuczyć rzemiosła,
Czy tu da na zasiew, czy tam znów śle zboże.
Czy dziatkom strapionym matusię ocali,
Czy Kasę założy dla biednych górali.

I jakaż go za to spotyka nagroda,
Czy order, czy złoto, tytuły, zaszczyty?
Jedyną nagrodą ta luba swoboda,
Gdy ujrzy po pracy wyniosłych Tatr szczyty
I hoży lud górski, potoki i skały
Gdy pieśń mu zagrają gęśliczki Sabały.

Gdy namiot rozbije gdzieś tam pod Wysoką
 Lub stopą zuchwałą Gerlachu szczyt zetrze.
 Gdy w turni ocean zapaści swe oko
 I piersią pochłania to górskie powietrze,
 I wzrokiem przebiega urwiska i szczyby,
 I gdy mu Roj Wojtek szklaneczkę da „herby“.

Przezacny Doktorze, o żyj nam najdłużej,
 Zachowaj wciąż zdrowie i ducha swobodę
 I świeżość umysłu i serce wciąż młode
 I chęć do corocznej w te góry podróży,
 Gdzie sercem nietylko górale Ci bliżcy,
 Lecz wszyscy Cię cenią, kochają Cię wszyscy!

O tych „trudach“ Chałubińskiego, wynagradzanych nie-tylko wrażeniami na wycieczkach, ale i wdzięcznością górali, doskonale napisał w roku 1887 Witkiewicz w swej pięknej książce. Jakkolwiek nie ulega wątpliwości — są jego słowa — że prędzej lub później musiałyby dojść w Zakopanem do tego, co jest dzisiaj, do tego, że Tatry staną się źródłem środków do życia górali, nie przez swoje pasterstwo lub rolnictwo, nie przez „swoje ubóstwo mineralne“, lecz literalnie mówiąc, przez swoje powietrze i światło, to jest widoki; a dalej, że to wszystko, czego ludzie w zwykłych warunkach unikają: niewygoda, niedostatek, niebezpieczeństwo, trud, będzie tak cenionem i poszukiwanem, że zamiast szukać dróg najłatwiejszych, przejść najbezpieczniejszych, ludzie będą starali się o to, żeby choć przez chwilę znajdować się „między życiem a śmiercią“, że w miejsca, gdzie tylko najodważniejsi i najzapaleńsi „polowace“, „koziary“ chadzali, będą się drapali rozmaici „panowie“ i szukali, czego nie zgubili: słowem że się już dokonał przewrót, jakiego nigdy nie przypuszczał żaden z marzących o skarbach baców, żaden ze skupujących „majątki“ gazdów, żaden z „honornych chłopów“, którzy za Tatrami szukali „bogatych zbytków“ do obdzierania; że się to już stało, winne są Tatry jednemu człowiekowi. Że Tatry są już czemś niezbędnem w życiu naszego społeczeństwa, że

lud zakopiański znalazł środki podniesienia dobrobytu i oświaty, że u nas ludzie się przekonywują, iż nietylko na wyżynach alpejskich można znaleźć warunki klimatyczno-lecznicze: wszystko to jest zasługą profesora Chałubińskiego. Po Staszicu, który był może pierwszym podróżnikiem, co tu przyszedł nie po to, żeby się uganiać za kozicami, szukać skarbów, lub „wyzierać z za bucka“, zwiedzali Tatry inni, ale wszystko to były jednostkowe przedsięwzięcia, które nie budziły szerokiego echa w całym kraju. Taternictwo, w tem znaczeniu, co alpinizm, naturalnie ze swemi oryginalnymi cechami, istnieje dopiero od czasów profesora Chałubińskiego. Około jego imienia utworzyła się też legenda: nazwano go „królem tatrzańskim“ i jest to zapewne jeden z najłagodniejszych i najlepszych królów, który w swoim wspaniałem i szczytnem państwie dbał nietylko o szczęście ludu, ale także o spokój kozic i świstaków, o byt limb i smereków, który pamiętał o mchu marnym, i kochał dzikie i ponure głązy, stojące w milczeniu na skalnej pustyni. Jak w stosunku do ludu nie zdaje się on być filantropem na zimno, który zużywa swoje pieniądze i inteligencję na zaprowadzenie porządków teoretycznie uznanych za dobre, lecz człowiekiem, którego wrażliwości na piękno i niezwykle zjawiska życiowe odpowiada nadzwyczajna dobroć; podobnież w stosunku do natury czuć w nim silną sympatję, potrzebę, graniczącą z namiętnością, roztapiania się w jej ogromie i dziwnym czarze jej obrazów. Podczas kiedy w opowiadaniach innych taterników, ciągle widać „przepaść niebezpieczną“, grającą na duszy wędrowca choćby lekkim strachem, w opowiadaniu profesora Chałubińskiego ponad „otchłanią“ unosi się łagodny, spokojny uśmiech i dobroduszny humor. Zajęty obserwowaniem tej natury, pochłonięty przez wrażenia, nie odczuwa on ani niebezpieczeństw, ani trudów, ani niedostatku. Cuda też opowiadają o jego wytrwałości, o jakimś stanie dziwnego podniecenia, w którym nie jedząc nic, kiedy już cała czereda górali padała ze znużenia, on jeszcze

przed zapadnięciem nocy wdzierał się gdzieś na najniebezpieczniejsze szczyty. On się poprostu zapamiętywał wśród tego dziwnego górskiego świata... W rozmowach górali ciągle występuje „pan profesor“. Sabala mówi o nim: „Jego wielkość pan wielkomożny“; inni co chwila mówią: „jakeśmy śli z panem profesorem bez Polski Grzebień“, „na Gerlach“, „na Wysokom“ i tak dalej przez całe Tatry ze wschodu na zachód, z północy na południe, i z poziomu na zenit... Niema zresztą w Zakopanem takiej dobrej sprawy któraby nie była przez niego zapoczątkowaną lub przez niego przeprowadzoną.

VIII.

Tak było do roku 1887, w którym podczas wycieczki na Rohacze, gromadnej jak zwykle, Chałubiński zasłabł nagle, tak, że już nie mógł wrócić do Zakopanego o własnych siłach, lecz przywieziono go chorego, złamanego.

O tym ostatnim okresie w życiu genialnego lekarza tak pisze Stan. Radzikowski:

Lata mijały, Chałubiński, mimo wiek starszy, mimo siwiznę, sprężystym jak dawniej krokiem uganiał się po ukochanych przez się Tatrach. Otaczała go powszechna cześć, widział z radością, że posiew jego wzrasta, i zdawało się, że tak jak dawniej, ciągle jeszcze przez lata śpiew i muzyka, taniec, pójda z nim po halach i turniach. Tymczasem rzeczywistość miała się raz urwać, aby przejść w legendę. Jak żołnierz w potrzebie wojennej, na ostatniej wielkiej wyprawie w Rohacze pochorzał i już nie poszedł na wierchy. Już nie siadł na wózek Marcinka Tadzika, już mu nie zagrał Sablik w pochodzie, nie spoczął już u watry przy dźwiękach zbójnickiego.

Odtąd Tatry stały się dlań niedostępnymi: musiał porzucić na samem już tylko Zakopanem: aż w końcu

prawie się nie wychylał po za obręb swego domu i ogrodu. Były to smutne czasy dla Zakopanego. Wszyscy wiedzieli, że Chałubiński już nie wyjdzie z tej choroby. Kiedy go się spotykało czasami, jadącego bryczką z Sabałą lub Rojem, zgarbionego, z cerą ziemistą, z oczyma przygasłemi, przeczuwało się, że to już niezawodnie ostatnie lato widzi się go w Zakopanem. „Ostatnie lata — pisze profesor Baranowski — były walką z ciężką niemocą, która ten potężny duchowo i fizycznie organizm złamała. Półtora roku, poprzedzające datę zgonu, spędził Chałubiński w ustroniu zakopiańskim. Do ostatniej chwili liczni jego przyjaciele i wielbiciele zimą i latem dążą do Zakopanego, aby krzepić myśli i uczucia widokiem szczytów tatrzańskich, i widokiem człowieka, który długi żywot umiał wypełnić pracą, do jakiej podniętą była miłość nauki i kraju“. Na parę tygodni przed śmiercią Chałubińskiego, bawiący wtedy w Krakowie i koncertujący Paderewski, już opromieniony sławą pierwszego europejskiego pianisty (sławą, którą mu na kilka lat przedtem przepowiedział Chałubiński), dowiedziawszy się, że chory „pan Tytus“ zapewne nie doczeka wiosny, pospieszył do Zakopanego, aby pożegnać się ze swym dostojnym wielbicielem i osłodzić mu ciężkie chwile niemocy swą mistrzowską grą na fortepianie; albowiem gdy z Wiednia, Paryża i Londynu dochodziły nas echa tamtejszych Paderewskiego tryumfów, Chałubiński, już wtedy chory, niejednokrotnie wyrażał życzenie, iż jeszcze chciałby „pana Ignacego“ choć raz usłyszeć przed śmiercią. I oto stało się zadość jego pragnieniu: w chwili, gdy może go się najmniej spodziewał — gdy słoty i wichry jesienne zasepiały całe Podhale — Paderewski zjawia się nagle w Zakopanem, spędza kilka godzin przy łożu dogorywającego przyjaciela i cały wieczór gra mu Beethovena, Schumanna, Chopina, oraz własne kompozycje. Oprócz Chałubińskiego słuchało go jeszcze kilka zaproszonych osób, w tej liczbie: Witkiewicz, Dembowski, a także i Henryk Sienkiewicz, który właśnie zaczynał pisać *Bez dogmatu* (a w opisie kon-

certu Hilstówny i jej interpretacji Sonaty księżycowej Beethovena skorzystał z niezapomnianego wrażenia, jakie na nim wtedy u Chałubińskiego zrobiła ta Sonata w wykonaniu Paderewskiego). Nawiasem mówiąc, wskutek rozdrażnienia nerwowego nie znosił Chałubiński w ostatnich czasach gry na fortepianie. Paderewskiego jednak słuchał bez przerwy niemal parę godzin z rozkoszą. Po wyjeździe jego popadł w smętną zadumę.

— Jakże przyjemny, rozkoszny miałem dzień dzisiaj — wyrzekł do otaczającej rodziny — prawdopodobnie ostatni to już dzień taki w mojem życiu.

W niespełna miesiąc potem Chałubiński już nie żył. Zmarł 4 listopada 1889 roku. Na dzień przed śmiercią, przeczuwając zbliżający się koniec, zaklinał wszystkich obecnych, a następnie każdego z przyjaciół z osobna po kilka razy, aby go pochować w Zakopanem, wśród tych gór i tego ludu, który ukochał całą duszą.

— Nie dozwólcie, przyjaciele moi, pod żadnym warunkiem, aby mnie stąd kiedykolwiek zabrano.

Uroczysty pogrzeb, przy udziale licznych przyjaciół z Warszawy i Krakowa, w tej liczbie doktora Benniego, Andriolego, Stachiewicza i innych, oraz przy tłumnem uczestnictwie górali z Zakopanego i innych wsi okolicznych, odbył się — przy fatalnej pogodzie i ślocie — w dniu 8 listopada. „Nad grobem — pisze Władysław Prokesch w „Kurjerze Warszawskim“ — zabrał głos ksiądz Józef Stolarczyk.

Sędziwemu starcowi, jednemu z najlepszych przyjaciół ś. p. profesora, drżał głos i łkanie przerywało mowę, gdy rozpoczynał swe przemówienie. W prostych, pełnych serdecznej rzewności słowach, zastosowanych do pojęcia zgromadzonych tłumów ludu, zalegających cały cmentarz oraz okoliczne pola, skreślił on w ogólnych zarysach obraz doniosłej, pełnej dobroczynnego znaczenia, a nigdy niezapomnianej humanitarnej działalności ś. p.

Chałubińskiego, i przypomniał zasługi jego dla Zakopanego i całej okolicy. Ilustrując wywody swe licznymi przykładami z życia nieboszczyka, przytoczył charakterystyczny epizod ze znanej działalności zmarłego podczas pamiętnej epidemji 1873 roku w Zakopanem. Opowiadał, jak mieszkając u niego na probostwie, zmarły profesor nocą przez okno wykradał się na wieś nieść pomoc swoją klęską trapiionej ludności, jak własną ręką prznosił chorych, zarażonych epidemją, i urządzał im posłania, nie szzczędząc kosztów, poświęcenia, dając wzór innym lekarzom.

Wzruszającym słowom mówcy towarzyszył płacz i łkanie, tu i ówdzie z tłumu głośniejsze wydobywające, a gdy nareszcie imieniem nieboszczyka żegnać zaczął kapłan wszystkich razem i każdego z osobna, „i tę ziemię, i ten lud, i to powietrze“, i te „Tatry sine“, które tak umiłował — wybuchnął płacz i lament powszechny, lud cisnąc się zaczął tłumnie nad grób, by grudkę ziemi rzucić i po raz ostatni pożegnać swego pana, o którym pamięć podawać sobie będzie z pokolenia w pokolenie.

Strasliwa słota i prawdziwie grudniowy wichur zniewoliły do przyspieszenia końca żałobnego obrzędu.

Trumnę spuszczone do przygotowanego sklepu i zarzucono wieńcami, a lud zgromadzony stał na wicherze i śniegu z okiem boleśnie w grób utkwionem, dopóki kielnia murarza ostatniego nie zasklepiła otworu.

Szarfy wieńców złożono na pamiątkę i rozwieszono po obu stronach nawy kościoła zakopiańskiego.

Uroczy zakątek podtatrzański, tak rozkoszny w porze letniej, smutny przedstawiał obraz w ciągu tych dni żałoby. Snadź natura połączyła się z ludźmi, by dać wyraz żalu swego nad stratą wielkiego człowieka.

Żaden ze szczytów tatrzańskich nie odsłonił się oczom przybyłych: kąpały się we mgle i łzach i tylko szum kosodrzewiny, zginanej wichrem po wierchach

i plusk głośnych spienionych potoków, przypominał za-
błąkanym tu wędrowcom, że się znajdują pod stopami
Giewontu.

Bawiący wtedy w Zakopanem przez całą zimę Sienkie-
wicz napisał pod wrażeniem zgonu Chałubińskiego piękny
o nim do warszawskiego „Słowa“ felieton, w którym między
innymi tak charakteryzował zmarłego i nieodżałowanego
„króla tatrzańskiego“.

W ostatnich czasach Chałubiński, sam już cierpiący
i chory bez nadziei, zajmował się zawsze więcej cierpie-
niem innych, niż własnem. Miałem tego przykład jeszcze
przed kilku miesiącami, gdy dzieci moje chorowały w Za-
kopianem. Chałubiński zapadł wówczas na zapalenie płuc,
i tylko niesłychane wysiłki doktorów Baranowskiego i
Kruszyńskiego zdołały przywrócić go do życia, a raczej
przedłużyć je na kilka miesięcy. Otóż, leżąc na łożu
śmierci, składał jeszcze prawdziwe konsylium z tymi le-
karzami nad chorobą mojego chłopca... I trudno mi po-
godzić się z myślą, że to mieszkanie prawdziwego filo-
zofa dobroczynnego, że ten dom w Zakopanem, otoczony
lasem świerków, będzie stał odtąd pustką, że tam ten
dobry i słodki mędrzec nie podniesie się już z uprzejmym
uśmiechem na powitanie gościa, że przestało już bić to
serce w ludziach rozkochane, że dusza gorąca, która
tak ciągnęła ku sobie inne dusze, jak magnes ciągnie
żelazo... Czem Chałubiński był dla Zakopanego i górali,
każdy wie, ale nie sądzę, aby było powszechnie wiadomem,
że potrafił on być dobroczyńcą nie tylko pojedyn-
czych ludzi, i że cała okolica zawdzięcza mu poprawę
bytu. Jak Minerwa darowała niegdyś Ateńczykom drze-
wo oliwne, tak Chałubiński pierwszy sprowadził dla gó-
rali koniczyne i nauczył ich siać ją. W Chałubińskim,
obok filantropa, mędrca i lekarza, siedział jeszcze poeta.

Był poetą, zwłaszcza w górach. Miłość jego do tych ogromów, do tych samotni, do tych widnokręgów, które widać ze szczytów, a w których gubi się wzrok i dusza, wybiegała daleko po za granicę zwykłych podróżniczych upodobań! Nie! To było coś więcej: to, podług mnie, było jakieś mistyczne pokrewieństwo ducha z tem otoczeniem, jakieś poczucie jednakej organizacji, to była tęsknota istoty wyższej do wyżyn. Ta szlachetna gorąca dusza przeczuwała przez te widnokregi jeszcze wyższe ogromy, jeszcze bardziej niezmierzone widnokregi, po za którymi przestaje istnieć natura, a poczyna istnieć poprostu: nieskończoność¹.

W Zakopanem — jak i w Polsce zresztą — pamięć o Chałubińskim nie zaginie nigdy. W Zakopanem stał się on, z natury rzeczy, legendą, na równi z tyloma innymi legendowymi postaciami zakopiańskimi. Tylko, że legenda o nim, jako o najwybitniejszej z tych postaci, powstała najprędzej. Oto, jak już w roku 1894 dał jej literacki wyraz Kazimierz Tetmajer w swym feljetonie o *T a t r a c h*, drukowanym w „Kurjerze Warszawskim“:

Chałubiński nie „odkrył“ Tatr i Zakopanego, jak się czasem w Warszawie mówi: Tatry na długo przed nim były już zwiedzane, w Zakopanem sporo już osób spędzało miesiące letnie, kiedy Chałubiński tam przybył po raz pierwszy; położył on jednak niezaprzeczenie naj-

¹ Chałubiński był człowiekiem religijnym, jak to wynika z jego niektórych listów do syna, Ludwika. „Bądź pobożnym — pisał mu raz, — módl się krótko, ale mocno!“ — „Bóg z tobą, dziecię moje! (pisał w innym liście). Tem Cię słowem pozdrawiam i tem przypominam, żeś się nigdy samotnym i słabym czuć nie powinien; bo Bóg istotnie z Tobą, i w każdej chwili możesz sercem do niego się zwrócić i zaczerpnąć siły, bez której życie nietylko jest ciężkiem, ale i marnem“.

większe około rozgłosu jednych, a rozwoju drugiego za-
sługi. Nikt też tak, jak on, nie ukochał i nie poznał gór,
nikt tak, jak on, nie wziął ich z tak poetycznej strony, że
już nie mówię o dobru, jakie świadczył głową i ręką Pod-
halanom. Człowiek ten, któremu środki pozwalały iść za
popędem fantazji, a stanowisko społeczne pozwalało na
fantazje najbujniejsze, uczynił się legendowym bohate-
rem Tatr. Wymrą przewodnicy, którzy z „panem profe-
sorem“ przebiegali Tatry od Osobitej po Jastrzębią Tur-
nię, ale ich dzieci i dzieci ich dzieci będą sobie opowia-
dały o tych wycieczkach kilkotygodniowych nieraz,
w których brało udział kilkudziesięciu ludzi, cała banda
muzyczna góralska, a które wprawiały w zdumienie Wę-
grów w Szczyrbie (jezioro Szczyrbskie od poł. strony
Tatr) i Niemców w Szmeksie. Walono całe świerki na
ognisko, rozbijano namioty, Bartek Obrochta, oparłszy
skrzypce o piersi, pochylał głowę na lewo i tupiąc w takt
nogą, a w miarę rozgrzewania się, tupiąc w takt obiema
nogami, puszczał swój gibki i szybki, jak błyskawica,
smyczek po strunach; wtórowały mu drugie skrzypce
i basy, a stary Sabala, zapatrzywszy się gdzieś w prze-
strzeń, „brzęczał na złupcokak“ (złupczaki, albo gęśle,
staroświeckie skrzypce). Od czasu do czasu zaś przerwał,
głowę podniósł i przyśpiewał:

„Z za wysokiej turni orleń się podnosi,
Kozicka gwiznena, pocała kogosi“.

albo:

„Powiadajom ludzie, ze mną zbójnik budzie,
Jak budzie, to budzie, samym wirchem pudzie“.

zaśmiał się, potarł nos rękawem i dalej grał. Tymczasem
już Szymki, Jaśki, Wojtki i Józki, nieodstępni towarzy-
sze Chałubińskiego, poodpinali torby: jedni pieką na wy-
krzesanych w mig rożnach pieczeń zbójcejką, zakrawaną

słoniną, inni warzą „herbę“ (herbatę), a reszta „pozodziwała się“ ze serdaków i dalej do tańca! Już tam gdzieś słychać Walka Brzegę:

„Grajze mi muzycko, jako mi mas zagrać.
Po mojej śmierci mozes sytko zabrać“.

i trzaski i żwir lecą mu z pod kierpców. Ale Chałubiński zagwizdał „zbójeckiego“. Porwali się wszyscy chłopcy, ciupagi w rękach, kapelusze z piórami na głowach, Sabala schował skrzypce w rękaw od czuchy i wywijając toporkiem staje na przedzie. Aż grzmi las od chóralnego prześpiewu:

Hej Janicko serdecko
Kaześ podział piórecko,
Com ci dała?
A ja jechał do wojny.
Upadło mi do wody
Duso moja...“

Puszczają się w taniec dokoła ogniska, profesor zaś siedzi z księdzem Stolarezykiem (zmarłym niedawno proboszczem zakopiańskim) na jakimś pniaku zwalonym i zasłuchuje się w tę dziką, monotonną, dziwną muzykę. Ten „dobry mędrzec“, jak go nazwał w pośmiertnem wspomnieniu Sienkiewicz, ten cywilizowany człowiek, jeden z najzacniejszych, jakich mieliśmy, zamyśla się o dawnych czasach, o dawnych czasach tatrzańskich, o czasach młodości Sabaly, zbójeckich. I ten dobry mędrzec, ten cywilizowany człowiek żałuje, że one minęły. Jest on w tej chwili przedewszystkiem artystą-romantykiem. Zbójnictwo tatrzańskie było tak romantyczne, jak raubrytterstwo średniowieczne. Ze stanowiska etyki trzeba je potępiać, ze stanowiska artyzmu trzeba go żałować. Bujna, szeroka natura Chałubińskiego lubowała się w tem bujnym, szerokiem życiu, które się dawniej na

Podhału wiodło; on je czuł i odtwarzał w sobie imaginacją w całej pełni, w całym tym wielkim a smętnym uroku, jaki ma w sobie każda niepowrotna przeszłość. W dziesięcioro byłby on wynagrodził zrabowanego kupca na Liptowie, czy Orawie, ale radby był, gdyby tak Mateja Wojtek z grobu wstał i zaśpiewał:

„Ja se pijem dwa dni, ja se pijem trzy dni,
Ja się o pieniądze nie turbujem nigdy!..“

Dzieje się to wszystko w jakiejś dolinie Koprowej, Staroleśnej czy Kamienistej. Ogień i dym biją nad las i czerwone światło migota po górach. Głucha cisza puszczy rozbrzmiewa dziką muzyką i dzikimi głosami; gdzieś woda grzmi i huczy, czasem wichler świśnie między konary, a nad szczytami świecą gwiazdy, ciche, zadumane, błękitne. Powoli muzyka przycicha, śpiewy się urywają, ogień przygasa, „pan profesor“ układa się do snu pod namiotem, górale oblegają ognisko, tylko Sabala coś tam majstruje koło swoich „złupców“ i mruczy półgłosem:

„Byli chłopcy, byli, ale się minęli,
I my się miniemy po małućkiej chwili!..“

„Minęli się“ rzeczywiście: „minął się“ i on i Chałubiński, o obu zostanie legendowa pamięć, uwieczniona wspaniale godnem obu piórem Stanisława Witkiewicza, który napisał w „Na przełęczy“ najpiękniejszą rzecz, jaką kiedykolwiek o Tatrach napisano. Mówić szeroko o Chałubińskim i o Sabale, to znaczy jego powtarzać. Nic więcej przedewszystkiem, nic lepiej powiedzieć nie można. My, którzy czasy Chałubińskiego pamiętamy, zawsze ich żałować będziemy. Tatry były wtedy jeszcze nowsze, mniej spopolitowane, miały urok ziemi dziewiczej; Chałubiński wprowadzał w nie jakieś życie dziwne, strzeliste, jedyne w swoim rodzaju, porywał wszyst-

kich za sobą, górom dawał szczególny czar, który wraz z nim przeminął. Zdawało się, że te góry, w których on tak niknie z całą swoją ogromną kompanią na tygodnie całe, są jakieś nieskończenie rozległe i wielkie; jego fantazja dawała im jakąś wybujałą fantastyczność. Chałubiński Tatrami magnetyzował ludzi, jak Chateaubriand Wschodem. Z jego śmiercią nie zgasła piękność Tatr, bo ta jest od nikogo niezależna i wieczna, ale zgasł ten szczególny urok, który tylko ten wyjątkowy człowiek im dawał i którego żaden drugi Chałubiński daćby im nie mógł, ponieważ był pierwszy i ponieważ *czas minął*. Tatry miały swój romantyzm, miały swoją *Sturm- und Drangperiode* i wtedy zjawił się dla nich Chałubiński, jak dla Niemiec Goethe, jak dla Anglików Byron. W swoim czasie swój człowiek. Gdyby się dziś pojawił taki genjusz, jak Goethe, napisałby takie arcydzieło, jak „Goetz“ ale *czas „Sturm- und Drangperiode“ przeminął*.

Pamiętką tej bujnej romantycznej epoki Zakopanego i Tatr, kiedy w nich Chałubiński, jako „król tatrzański“, przeżywał swe najpiękniejsze i najszcześniejsze chwile, a na całe Zakopane padał jakby blask od wspaniałej, prawdziwie bohaterkiej postaci „profesora“, jest w Zakopanem piękny pomnik Chałubińskiego, skomponowany przez Witkiewicza, a wykonany przez Nalborczyka.

Gdy w dniu 26 sierpnia 1901 roku zakładano uroczyste, wobec licznie zgromadzonych gości, kamień węgielny pod ten piękny monument, wygłosił stosowną mowę dr. Stan. Eliasz Radzikowski, przyczem raz jeszcze, w dwanaście lat po śmierci Chałubińskiego, przypomniał jego zasługi dla Zakopanego, w wymownych słowach kreśląc sylwetkę znakomitego „profesora“ na tle Tatr.

Oto, co mówił między innymi:

Pieśń, muzyka, taniec, szły z nimi; przechodzili tak

całe Tatry wszerz i wzdłuż. Tam gdzieś wysoko u Czeskiego Stawu rozbijali namioty, niecili watrę i obtańcowywali ją po zbójnicku dookoła. Chadzali tak lata całe, jak hufiec zbłąkanych rycerzy kresowych, niosąc w okoliczne krainy, w które się spuszczały ze szczytów, na Spiż, Orawę, Liptów, między Słowaki i Węgry, sławę odwagi polskiej, wytrzymałości na trudy, myśl wesołą, swobodną, przyjaźń ku ludziom. I szła ta drużyna bohaterów, owiana chwałą zwycięstw niedostępnych szczytów, nieprzebytych turni, szła zapatrzona w swego wodza rok za rokiem, tak, że wyrobiła się tradycja wypraw i wzrastało już drugie pokolenie starszemu podobne.

Niema gór na świecie, gdzieby alpinizm powstał w podobny sposób. „Było to zupełnie oryginalne, nasze otwieranie nieznanymi szlaków, zapartej głębi Tatr“. Pozostanie to wiekopomną zasługą Chałubińskiego, to nie ulega wątpliwości, że jako „mający już imię i ufność wielką“ w społeczeństwie, on był tym „niezrównanym wodzem“, który w Tatry i do Zakopanego „pociągnął za sobą cały naród“.

Choć na wiele lat przedtem wiadano już u nas dobrze o Tatrach, choć powiedzenie, że Chałubiński odkrył Tatry, można uważać za frazes, to przecież tkwi w nim wiele prawdy. Usiłowania poprzedników były pracą jednostek, które zjednywały mniejszą lub większą garść zwolenników; działania Chałubińskiego znalazło odgłos szeroki, spotkało się z poparciem całego narodu.

Może być, po części dlatego, że już było wołaniem nie pierwszym, może być, że trafiło na chwilę sposobną. kiedy naród odpocząwszy po wysiłkach objawów życia na zewnątrz, wszedł w siebie i zapragnął siebie i własność swoją poznać bliżej; dość, iż głos Chałubińskiego zdziałał niezmiernie wiele: przyciągnął serce

narodu, związał Warszawę z Tatrami, a związał tak szczęśliwie i tak silnie, że dzisiaj o konieczności Tatr dla Polski mówić nawet nie trzeba; czuje ją cały naród, otaczając Tatry troską i miłością.

Nie dziwić się też wypada entuzjastom, z jakim naród wspomina piękną postać Chałubińskiego. Czcząc jego, czci samą ideę, której on stał się idealnym obrazem.

Krzewiąc kult i umiłowanie Tatr, jako gór ojczystych, budując — jak się trafnie wyraził Radzikowski—Tatry w Polakach, Chałubiński pełnił misję tę nietylko z całą świadomością celu, do którego dążył w tej dziedzinie, ale nadto wkładał w dzieło to wiele pracy i mozółu, a nawet osobistego poświęcenia.

Sprowadzał, zachęcał, ściągał tak sam, jak sławę swego imienia ludzi z zakątków Rzeczypospolitej, z Litwy, Ukrainy, z za kraju nawet rozpierzchłe rzesze, pokazywał Tatry, prowadził w nie, wyszukiwał te strony wielkiej, szczytnej idei tatrzańskiej, które dotąd zalegał cień, odsłaniał lud, wskazywał na Podhalań z ich strojem, zwyczajem, pieśnią, muzyką, językiem.

Niemniej też w tem, co zagranica dowiadywała się o nas, przeważny, jeżeli nie wyłączny udział, miał Chałubiński. On wiódł cudzoziemców w Tatry, urządzał dla nich osobne wycieczki, a opisy Le Bon'a, antropologa francuskiego, Tissota i innych, powstały pod wpływem Chałubińskiego, który wprowadził ich w głębię Tatr, oraz dał im możność poznania górali i ich życia.

Bo huczne, głośnie pochody Chałubińskiego przez hale i turnie, to nie była czeza zabawka, lecz wielka, żywa nauka, licząca się z życiem, a nie uczoność, zamknięta w zatęchłej bibule książki.

Kto miał sposobność być z Chałubińskim w Tatrach, poznał je wszechstronnie, poznał nietylko te surowe, zimne skały, ale i to, przez co te skały są nasze, poznał lud tatrzański, i to poznał w otoczeniu, jakie go urobiło, w bezpośrednim związku z przyrodą, w której ten lud wzrósł i z siłami jej mierzył się od wieków.

Tu też, w naszych Tatrach, zadzierżgnął się ten węzeł między przybyszem z dołów a góralem, a zadzierżgnął się pod wpływem wypraw Chałubińskiego. Przewodników, takich, jakich dzisiaj mamy, troskliwych, znających rzecz, wzorowych przewodników, jakich niema gdzieindziej w świecie, wychował Chałubiński.

Ruch przyrodniczy, jaki rozwinął się w Tatrach w pierwszej dobie, poprzedzającej wystąpienie Chałubińskiego, za Zejsznera, Janoty i Nowickiego, ustał potem; drugie ożywcze technienie dał mu wpływem swym Chałubiński; po części nietylko wpływem, ale i własną pracą.

Gorliwym pomocnikiem Chałubińskiego w krzewieniu kultury w Zakopanem był ksiądz Stolarczyk. Były to najlepsze chwile Zakopanego, gdy ci dwaj ludzie w pełni sił współdziałali w jego podniesieniu.

Nie było myśli, nie było przedsięwzięcia, któreby nie oparło się o Chałubińskiego. On radził, działał, pomagał, a to co potem się stało, gdy już jego zabrakło, powstało dzięki początkom, danym przez niego. Wspierał górali materjalnie i moralnie, starał się o polepszenie ich bytu. Założył Kasę zaliczkową w Zakopanem, wprowadził koniczynę na Podhale, dał początek przekształceniu Zakopanego nietylko w środowisko polskiego alpinizmu, ale w pierwszorzędne nasze uzdrowisko. Powagą imienia swego i urokiem niemal cudownego lekarza przekonał społeczeństwo, że zdrowie równie dobrze i u nas mo-

zna ratować. Odtąd zaczął się rozwój Zakopanego, rozwój, który w dalszym ciągu dał dowód, że myśl Chałubińskiego była oparta na rzeczywistych własnościach leczniczych miejscowości, doprowadził do obecnego bądź co bądź nadzwyczajnego stanu, do jakiego doszła dzisiaj prosta odległa ta wieś góraska z przed lat trzydziestu.

Jako dowód wdzięczności za to wszystko, co Chałubiński zdołał dla Zakopanego, postanowiono „opodał jego domu, na ziemi, co należała do jego zagrody, naprzeciw muzeum, które już jest jednym wspominkiem jego życia i działania“, wznieść mu pomnik spiżowy wśród głazów granitu, pomnik, z którego „ten mędrzec z pogodną dobrą twarzą i jasnym czołem“ patrzećby mógł w Tatry, zasłuchany w rap-sodach siedzącego u jego stóp Sabały.

— Niech tak patrzy przez wieki — mówił w zakończeniu swej pięknej oracji Radzikowski—i niech błogosławi pracy następców, pracy, idącej w przyszłość z myślą o przeszłości Podhala; niechaj będzie ogniwem widomem łączności między tem starem góralskiem a nowem polskiem Zakopanem!

Książ Stolarczyk

(1847—1903)

Opisując ruch uliczny w Zakopanem w dzień słoneczny, gdy w pobliżu kościoła „około sklepów, około restauracji, przewodnicy, gazdowie, furmani, goście włóczą się i potracają“, a „około wozów stada góralek w czerwonych płachtach zbite w kupę gwarzą“ — podchwytuje Witkiewicz charakterystyczną chwilę, gdy „nagle robi się między niemi ruch, porywają się i przypadają do ręki jakiejś barczystej, wysokiej postaci w granatowej czamarze i słomkowym kapeluszu, idącej poważnie środkiem ulicy, z głową wyższą nad wszystkie, jakie się widzi: po trzy, po cztery kobiety, czepiają się każdej jego pięści, kapelusze gazdów uchylają się pokornie: to ksiądz Stolarczyk“.

I.

Ten patryarchalny stosunek, łączący księdza Stolarczyka z ludnością zakopiańską, był jego własnem dziełem i zasługą: dawniej bowiem, gdy Zakopane musiało się obywać bez kościoła, kiedy najbliższe świątynie znajdowały się w Chochołowie i Czarnym Dunajcu, górale wcale się nie odznaczali uczuciem szacunku dla księży i duchownych. „Matulu! wyżeże te bezere do pola!“ — wołało dawniej dziecko do matki, widząc księdza, wchodzącego po kolędzie do chałupy. Zdaniem ówczesnych gazdów, mających jak najgorsze wyobrażenie o księżach, „nad tyk księżów pono twardsych ludzi niemas“, bo „przeżre świat i boskom tajemność, a zdziorniki som nawiękse, nagorse“; zaś „te księże pieniądze to takim psim pukem wyńdzie, a nie użyje tego chleba ten, co nie warce“. Do kościoła, gdzie nosili dzieci do chrztu, także nie

chodzili zbyt skwapliwie, raz, że było daleko, a powtóre, że bez tego obywali się wcale dobrze, tłumacząc sobie dowcipnie, że nie trzeba „telo się Panu Bogu naprzykrzać“. Wszak Pan Bóg jest wszędzie, więc niekoniecznie, gdy przyjdzie niedziela, trzeba drałować do kościoła. „Raczej byś do lasu seł paciorek se zmówić, niżli teli cas w kościele siedzieć“, mawiali starzy górale z generacji Sabały, wołąc „przy pniaku w lesie se pomodlić“, aniżeli słuchać mszy świętej w Czarnym Dunajcu. Do spowiedzi też im nie bywało pilno, rozumowali bowiem, że „Ociec Stary“, t. j. Pan Bóg, stoi ponad wszystkimi praktykami zewnętrznymi. „He! mawiali, zaś to i wy-spowiada się cłek, ale tem nie wyplaci, cheba trza będzie tam odpowiadać, kie spytajom.“ A zresztą „jakiogoś mnie, Panie Boże, stworzył, takiego mas“. Djabła nie bali się również, uważali bowiem, że moc jego jest złamana. „I co się djabła mam bać, kie Bóg przenajświętszy za mnie cierpiał, to jemu odemnie zasię!“ Powtóre „Ociec Stary, pierw niżli świat stworzył, wiedział jako na nim będzie“. Że jednak bądź co bądź był to lud katolicki, więc do pewnych religijnych przepisów czuł się zobowiązany, przedewszystkiem do postu, którego przestrzegał z nadzwyczajną ścisłością. Pozatem był wolnym od wszelkiej bigoterji, z której zewnętrznych objawów, u kobiet np. szydził po prostu, i — jak drastycznie wyraża się Witkiewicz — w sadle świstaczem, w którego uzdrawiające właściwości wierzył święcie, widział daleko więcej mocy tajemniczej, niż w mszach i koronkach.

Ale zdarzały się chlubne wyjątki. Takim wyjątkiem w Zakopanem był między innymi gospodarz, Paweł Gąsienica, który na początku XIX wieku, mniej więcej za czasów Staszycy, gdy jeszcze Zakopane należało do parafji w Nowym Targu, a potem do filji w Szaflarach, wybudował na swoim gruncie kaplicę murowaną (stojącą do dziś dnia obok starego kościoła na łączce przed ementarzem) i opatrzył ją przyborami kościelnymi, wystarawszy się jednocześnie o po-

zwolenie odprawiania w niej kilka razy w ciągu roku nabożeństwa. Taki stan trwał do roku 1817, gdy w Poroninie stanął drewniany kościół, jako filialny do Nowego Targu, i gdy doń zabrano przybory z kaplicy zakopiańskiej, przyłączając je do parafji poronińskiej.

W roku 1832 uderzyła wolnomyślność górali na Podhalu także i Goszczyńskiego, który też w swym „Dzienniku podróży do Tatrów“ tak pisze w tej kwestji: „Wiara u górala jest głęboka, pobożność szczerą. Księży ma w poszanowaniu, ale nie jest ich niewolnikiem. Umie i śmie oceniać osobistą ich wartość. Zdarza się naprzykład, że księdzu kazącemu z ambony nie idzie jakby powinno iść w takiej chwili natchnionemu Duchem Świętym: uważają tylko, a oto górale jeden za drugim wysuwają się z kościoła, skupiają się na cmentarzu kościelnym, wtedy jeden z nich, zazwyczaj sędziwszy i poważniejszy, staje pośrodku i przemawia w duchu kazania lepiej, jaśniej, z większą godnością i namaszczeniem, niż kaznodzieja urzędowy, i bywa lepiej wysłuchany“!

Podobne stosunki panowały w Zakopanem, wśród półdzikich górali, aż do roku 1847, w którym to roku, za staraniem księdza Józefa Stolarczyka, po utworzeniu miejscowego probostwa, stanął tu drewniany kościół. Budowie jego, przy której ksiądz Stolarczyk często własnymi rękami dźwigał belki, nowi parafjanie zrazu przypatrywali się nie bez szyderstwa i pogardy, a gdy wreszcie kościół był gotów, nie brakło takich górali, którzy sobie po skończonem nabożeństwie, na wychodnem z kościoła, fajeczki zapalali o świece i lampki na ołtarzu; ale mimo to od tej chwili zaczął się wpływ na nich energicznego proboszcza, wpływ, który z biegiem lat całkiem miał okiełznać te półdzikie i rozhukane natury, a nawet taką w nich wszczepić pobożność, że w roku 1870 — jak to skonstatował Walery Elias — „ideałem marzeń górali stał się stan kapłański syna“; i „dlatego tak dużo mamy księży z gór“. Już to wogóle cywilizacyjny

wpływ, jaki ksiądz Stolarczyk wywierał na swych zakopiańskich parafjan, był zbawienny i dodatni pod wieloma względami. Dość powiedzieć, że gdy w chwili objęcia przezeń parafji była w całym Zakopanem tylko jedna kobieta stara, co umiała czytać, w dwadzieścia lat później całe młode pokolenie „modliło się na książce“, a bardzo wielu umiało nie tylko czytać, ale i pisać. Tępiąc różne zastarzałe nałogi góralskie, ksiądz Stolarczyk nie tylko wpływał na ogładę i umoralnienie okolicznego ludu, nie tylko oduczał pijaństwa, bijatyk i hulanek karczemnych, ale dbał o zachowanie czystości języka góralskiego, którym sam władał wybornie¹, szczególnie nacisk kładąc na to, by górale, przybywający z wojska austriackiego, germanizmami nie zakażali mowy ojczystej. Dzięki wpływowi księdza Stolarczyka, który to wpływ rozszerzał się zarówno z kazalnicy, jak z konfesjonału, jak z osobistych przyjaznych stosunków z ludem, bardzo wielu górali, dotychczas nie wylewających za kołnierz, „ślubowali“ nie brać więcej wódki do ust.

Słynne były kazania księdza Stolarczyka. Wygłaszane w gwarze góralskiej, zupełnie dostosowane do poziomu umysłowego i sposobu myślenia górali, nacechowane zdrowym chłopskim rozumem, a pełne prostoty, mówione po prostu, bez żadnego retorycznego patosu, były to arcydzieła w swoim rodzaju, tembardziej, że wymowny kaznodzieja, doskonale znający psychikę Podhalan, jeszcze pozatem był podszyty poetą, i to utalentowanym; tak, że bardzo często, w porównaniach zwłaszcza, w tem, co mówił z małej ambony, w której jego olbrzymia postać wydawała się tem większą, nie brakło prawdziwie poetycznego polotu. Pamiętam np. jedno kazanie, w którym między innymi mówił o niespożytości Kościoła katolickiego. Kościół ten — prawił — różne

¹ Urodzony w Wysokiej pod Jordanowem, ks. Stolarczyk był również podhalaninem. Wykształcenie odebrał w Podolińcu u OO. Pijarów.

przechodził koleje, a zdarzały się nawet chwile, w których jego blask i chwała ulegały jakby zaćmieniu i upadkowi, chwile, w których wielu już zaczynało wątpić o nim, w których zdawało się niejednemu, że już ma się mu pod koniec. Ale to było złudzenie. Bo tak samo, jak te nasze ukochane Tatry, gdy przyjdzie czas sloty i niepogody, giną we mgłach i chmurach, tak, że czasem przez dłuższy czas nie widać ich zupełnie, i możnaby myśleć, iż znikły z powierzchni ziemi, iż się zapadły niepowrotnie, a gdy wreszcie wiatr rozpedzi mgły i słońce wyjrzy z za chmur, odrazu wszystkie szczyty znów, jak przedtem, wspaniale rysują się na błękitnym niebie, dumne, śliczne, jak malowane; tak samo i Kościół katolicki, choć zdarzały się takie chwile dziejowe, iż go całkiem nie było widać po przez mgły zepsucia i upadku, raptem, gdy znów zabłysło słońce wiary i pobożności, ukazywał się w całej pełni swego boskiego majestatu i posłannictwa. Oczywiście, iż podobne porównanie łatwo wrażało się w mózgi górali, a tem samem rozjaśniało ich pojęcia i wyobrażenia. Bo księdzu Stolarczykowi chodziło przedewszystkiem o to, ażeby być zrozumianym przez swych parafjan, ażeby trafić do ich naiwnych i prymitywnych form myślenia. W tym celu uciekając się do porównań, często w zupełnie homeryckim rodzaju, nie gardził też i takimi, które całkiem poważnie brane przez górali, na inteligentnym słuchaczu niekiedy robiły wrażenie komiczne, humorystyczne, tak, iż mimowoli wywoływały uśmiech na usta, a przynajmniej należało panować nad sobą, żeby się nie uśmiechnąć zbyt widocznie, coby niewątpliwie oburzyło przejęte audytorjum góralskie. Pamiętam np. kazanie, w którym ks. Stolarczyk mówił o djable i różnych sposobach, których się chwytą ten nieprzyjaciel Pana Jezusa, by ludzi wieść na pokuszenie, by ich sprowadzać z prostej drogi cnoty i obowiązków, a wieść na bezdroża złych uczynków i występków. Bo djabeł, gdy z aniołami walczy o duszę ludzką, na którą czyha, jak strzelec na kozicę, jak orzeł na młode jagnięta, nieraz ma wcale niełatwie zadanie,

tak, iż musi chwytać się podstępów, a często rad nie rad musi przerwać swą zgubną robotę, gdy człowiek, np. pogrążony w modlitwie, wprost mu do siebie nie daje przystępu. „Tak naprzykład w tej chwili — prawil ksiądz Stolarczyk — jesteście zgromadzeni w kościele, wysłuchaliście mszy świętej, słuchacie kazania, i zdaje się wam, iż jesteście wolni od mocy djabelskiej, że grzech wam nie grozi pod żadnym względem. Tak nie jest jednak. Djabeł bowiem, który oczywiście nie może przestąpić progu tej świątyni Pańskiej, nie przestaje myśleć o waszych słabych duszach, na które zaraz zastawi swe sidła, gdy tylko wyjdziecie z kościoła. Bo djabeł postępuje z wami tak samo, jak te wiejskie dzieci, które w ten sposób bawią się ze złapanemi ptaszkami, iż im do nóżek przywiązują długą nitkę i potem niby je puszczają na wolność. Uradowana ptaszyna, wyrwawszy się z rąk, które ją trzymały w garści, uszczęśliwiona i przekonana, iż jest wolna, frunie ochoczo, by jak najprędzej znaleźć się z powrotem w swem gniazdku, ale tymczasem dziecko ściga nitkę i nieszczęśliwe ptaszę spada na ziemię, bezradne i bezsilne. Tak samo djabeł często postępuje z wami. Ot, w tej chwili np. puścił was wolno. Jesteście w kościele, modlicie się, i zdaje się wam, iż grzech wam nie da rady. Ale djabeł, który was trzyma na nitce, stoi tam pod kościołem, na ulicy, i czeka cierpliwie aż zaczniecie wychodzić z kościoła, by wtedy ściągnąć nitkę. Bo ledwo znajdziecie się na dworzu, zaraz was zacznie kusić: jednych, żeby poszli na wódkę do Riegelhaupta, drugich, żeby się zalecali do dziewcząt. Takie to są, widzicie, sztuczki djabelskie. Bo djabeł nie śpi. On nawet i tu w kościele nie przestaje broić. Bo iluż tu jest takich pomiędzy wami, co nie dlatego głównie przyszli na mszę świętą, żeby się pomodlić do Pana Boga, ale żeby zobaczyć znajomych, a potem z nimi iść do karczmy. A ileż to jest takich między młodymi, którzy tu przyszli w tej grzesznej myśli, żeby się spotkać ze swą frajerką. A ileż tu w tej chwili jest takich dziewczyn — nie chcę ich tylko wymieniać z nazwi-

ska, — które jeśli tu przyszły tak wystrojone, to nie dla chwały Pańskiej, ale dlatego, iżby się podobać temu lub owemu, który dla tego samego powodu przyszedł w nowej cusze, w nowych portkach, w nowym serdaku, wiedział bowiem, że tu się spotka ze swą dziewuchą, że, pozierając ku niej, będzie jej przeszkadzał w modlitwie. Czyż to robota? Oczywiście, że djabła, który tylko myśli o tem, żebyście grzeszyli nieustannie, żebyście się wysługiwali mu, jak żydowi, złemi uczynkami, chciwością, pijaństwem, rozpustą, lenistwem, lekkomyślnością, cudzołóstwem, nieuczciwością i t. p. grzechami, z których potem spowiadać się musicie przy konfesjonale, a ja muszę sobie głowę łamać, jaką wam zadać pokutę na zmazanie tych grzechów“.

Szkoda niepowetowana, iż nikt za świeżej pamięci nie spisywał tych kazań księdza Stolarczyka, bo że to były kazania jedyne w swoim rodzaju, to nie ulega wątpliwości.

Bywało na nich wiele osób z inteligencji z Chałubińskim na czele.

W pierwszych latach, wkrótce po wzniesieniu kościoła, system, którego ksiądz Stolarczyk, jako kaznodzieja, trzymał się w celu umoralnienia i oświecenia górali, mianowicie karcenie ich *coram populo* z ambony, nie zawsze był bezpieczny, jako drażniący ich jeszcze napół-dzikie zbójnickie instynkty. „Publikując“ po imieniu tych, którzy postępowali wbrew etyce, przykrojonej nawet do miary niewielkich wymagań, o ile z jednej strony dla kontrastu wychwalał lepsze jednostki, głaszcząc ich miłość własną, o tyle z drugiej innych, bardziej opornych, okrywał niesławą, wytykając ich złe narowy i nałogi. A choć czynił to oględnie, z wielką tolerancją w stosunkach życiowych, z uwzględnieniem różnych okoliczności łagodzących, jednak tem samem wyzywał ich krnąbrną butę i zawziętość.

O jednym z takich epizodów, niezmiernie charakterystycznym dla owczesnych stosunków zakopiańskich, mianowicie o zajściu księdza Stolarczyka z ostatnim zbójnikiem.

Wojciechem Mateją, co miał chałupę pod reglami, opowiada w swej książce Na przełęcz y Witkiewicz. Rzecz miała się tak. Zrazu — jak opowiadał Sabała — Mateja „rad go widział, księdza kanonika.“ Ale młody proboszcz, chcąc go skierować na uczciwą drogę, zaczął go „poblikiwać“ w swych kazaniach niedzielnych, t. j. dogadywać mu z ambony. Wobec tego Wojtek zapalał zemstą, co naturalnie równało się osobistemu niebezpieczeństwu dla „Jegomości“. Mateja zaczął się odgrażać między góralami, że sobie poszuka satysfakcję na plebanji, odwiedzając komorę księdza plebana, czyli, że go przyjdzie ograbić.

Zaniepokojony tą wiadomością ks. Stolarczyk, obawiając się o swój dobytek, poradził się Sabały, który był dobrze z Mateją, co ma począć wobec takich gróźb Wojtka? Co robić? Czy może kraty do okien wstawić, albo poprostu wyjechać do Krakowa?

— Juści — odparł Sabała, — prosem ik piknie, kraty som nicem! Kiej Wojtek będzie kciał wejść, to i bez kratę wędzie; a bez te przycynę, co się weźmie kawałek płótna, umaca się we wodzie, uwiąże się u kraty, kij se włoży, zaś potem kręcić, toz to kraty ze słupami razem do pola wyjadom! A kiej fryśny chłop, to odrazu hipnie bez okno na szrodek izby. To ta nie nie płaci ku Matejowi. Cheba, kiej majom śrybło kany albo dudki, niekze to ozdzielom, a w trzok albo kielo miejscak pochowajom, to zaś jakby jedno mieli wzionć, coby drugie ostało!

Pleban usłuchał tej mądrej rady, ale mimo to nie miał spokoju. Więc wziął na odwagę i poszedł na drogę pod reglami „ka chadzał Wojtek, co go nie spotka; juści kciał ś nim ugwarzyć skrony tego intarasu“. Spotkawszy go, rzekł doń, jakby nigdy nic: „Dzień dobry Wojtusi! Cóz ta słychno?“ Mateja równie grzecznie i z uszanowaniem powitał jegomością, poczem proboszcz, wdawszy się z Wojtkiem w rozmowę, zaczął przekładać, że nie niema w komorze.

— Co ta u mnie najdziecie — mówił. — Wiecie, co trzy

papierki dadzą, to zaś pięć wezmą. A jeśli co jest, to dudki kościelne...

Skończyło się na tem, że skruszony Mateja dał słowo, iż nie ruszy kuferków plebana. „Toz to potem ksiądz — opowiadał Sabała — bił z ambony na zbójników, ale Mateja nie publikował!“ W ten sposób pijąc do niego wyraźnie, ile że więcej nie było już w Zakopanem zbójników, zachowywał co do jego osoby dyskretne *incognito*.

Zwalczając chętkę do kradzieży, która wielu górali i góralek cechowała jeszcze do ostatnich czasów, ksiądz Stolarczyk uciekał się do najrozmaitszych metod, bardzo oryginalnych nieraz. Oto np. wypadek, który się zdarzył jednej z pań, która w roku 1891 w lecie mieszkała w domu proboszcza przy ulicy Chałubińskiego. Któregoś dnia skradziono jej z werandy piękny szal. Podejrzanie padło na jedną z góralek. Zaszedłszy któregoś dnia w odwiedziny do swych lokatorek, ksiądz Stolarczyk, gdy się dowiedział o tej kradzieży, obiecał zbadać tę sprawę, co, jak mówił, przyjdzie mu tem łatwiej, że znał obwinioną. Jakoż w niedzielę, gdy ją z ambony ujrzał w kościele, nim rozpoczął kazanie, kazał jej po nabożeństwie przyjść na plebanję, bo ma jej coś do powiedzenia. Gdy się stawiła na wezwanie, skarcił ją, że dawno nie była u spowiedzi, iż radzi jej to uczynić, jak najprędzej. Gdy nazajutrz klękła przy konfesjonale, jegomość przedewszystkiem tak pokierował spowiedzią, że odrazu przyznała się do kradzieży owego szalu. Wobec tego kazał jej zaraz odnieść szal, skąd go wzięła, i prosić pokornie, żeby jej przebaczone ten karygodny występki. Jeszcze tego samego dnia skradziony szal znalazł się z powrotem u swej prawej właścicielki.

Wogóle w postępowaniu swem z góralami trzymał się ksiądz Stolarczyk zasady, że chociaż „duch ludzki nie da się złamać, jak kij na kolanie“, to jednak nie należy się tem zrażać i robić swoje. Wiersz Kochanowskiego:

Służmy poczciwej sławie, a jako kto może
Niech ku pożytku dobra wspólnego pomoże,

wiersz ten „naszego Zygmunrowskiego psalmisty“ stale mu był przytomnym w pamięci¹, gdy chodziło o cywilizowanie i umoralnianie górali. Robił, co uważał za swój święty obowiązek, a że plon z tego zasiewu nie zawsze wschodził od razu, że nań zwykle musiał bardzo długo czekać, nie zrażał się tem bynajmniej. Przedewszystkiem nie ustawał w swej apostołskiej i duszpasterskiej pracy. A że odznaczał się nie tylko wielką inteligencją, ale i niezwykłą znajomością duszy górali (wszak sam był góralem krew z krwi i kość z kości), a przytem miał wiele zręczności życiowej, więc dążąc do swego jasno wytkniętego celu, nie przebierał w środkach, byle dojść do upragnionego rezultatu. Tak np. w pierwszych latach po założeniu parafji, gdy nie widział innej rady, by wolnomyślnych górali nakłonić do chodzenia do kościoła, zaczął ich do tego zachęcać... drobnemi pożyczkami pieniężnemi, a za przyjscie do spowiedzi ofiarowywał im różne podarunki. I stopniowo udało mu się doprowadzić do tego, że czego nie sprawiła wątpliwa pobożność, to uczyniła wrodzona chciwość góralska. Tak to „Jegomość“ umiał posługiwać się nawet wadami swych parafjan, byle ich zapędzić do Chrystusowej owczarni, do której wcale nie czuli nadzwyczajnego pociągu.

Zadanie było, wobec właściwości charakteru górali, niesłychanie trudne, ale na szczęście ksiądz Stolarczyk nie zrażał się łatwo, przeciwnie, miał tyle silnej i dobrej woli, że gdy się zawziął na zrobienie czegoś, to nie popuścił prędeż, dopóki choć w części nie postawił na swoim. Pod tym względem budził podziw nawet w góralach samych, najlepszy dowód, iż mu raz jeden gazda z Czarnego Dunajca, doskonale znający Zakopian, w następujących słowach wyraził swoje zapatrywanie w tej drażliwej kwestji: „Jako że to Jegomość

¹ Cytuje go też ks. Stolarczyk w swym opisie „Wycieczki na szczyt Gerlachu“.

po między temi zbójnikami wytrzymacie: jedna noga tu, a druga tu, a ciupaga zaś tam, a fajki z pyska nie popuści, a oczy mu zaś na śrubie chodzą". Co należało rozumieć w ten sposób, że co Podhalanin to zbójnik, że zawsze chodzi uzbrojony, kroczy z pewną zamaszystością, pipkę wciąż kurzy, a oczami na wszystkie strony strzela i wszystko widzi.

Bardzo być może, że inny na jego miejscu, mniej wytrzymały i uparty, cofnąłby się w połowie drogi, zniechęciłby się w końcu, bo przy innem usposobieniu, przy innych właściwościach moralnych i fizycznych, nie zdołałby uzyskać tego arbitralnego wpływu, jaki niewątpliwie już w bardzo krótkim czasie stał się udziałem księdza Stolarczyka wśród górali zakopiańskich i okolicznych. Ale bo też młody pleban nie tylko umiał sobie nadać stosowną powagę wśród swych krnąbrnych „owieczek“ (owieczek o prawdziwie wilczych instynktach), ale im przedewszystkiem imponował pod wieloma względami.

Najprzód, olbrzymiego wzrostu, był wyższym od najwyższych juhasów i gazdów o głowę. Następnie odznaczał się całkiem niezwykłą siłą fizyczną: dużą beczkę kwaszonej kapusty np. potrafił sam przenieść z piwnicy na furę. Po trzecie — co również czyniło go popularnym między góralami — znakomicie chodził po górach, wcale nie gorzej od najzuchwalszych strzelców, a gdy znużony przyszedł na halę, potrafił dla pokrzepienia się wypić całą konewkę żentycy. Wszystko to wyrobiło mu kolosalny autorytet wśród ludu, autorytet, który mu w końcu wyrobił stanowisko jakby jakiegoś króla-kapłana, teokraty, którego władzy i wpływów — jak się trafnie wyraża Witkiewicz — nie mąciła żadna inna siła, oprócz siły dzielnego temperamentu jego ludu. Bo „dla tych ludzi, którzy jak bohaterowie Homera mają cześć nadzwyczajną dla siły, dobrej budowy ciała, nóg lekkich i odwagi, ksiądz potężnego wzrostu, odważny, chodzący po górach na równi z najtęższemi koziarzami, miał z pozoru, z pierwszego spojrzenia już pewien urok“. A że prócz tego odzna-

czał się, obok energii, wielką dobrocią i pobłażliwością, taktem w postępowaniu, ba, prawdziwie dyplomatyczną zręcznością, a nadto miał wyjątkowy dar oddziaływania na kobiety, które pierwsze stały mu się powolnemi, więc niedługo potrzebował czasu, by górale poznali się na jego przymiotach i zaletach, by doń zaczęli się odnosić z należnym zaufaniem i szacunkiem, a nawet niekiedy z czołobitnością, na którą zresztą, jako dobry i zabiegliwy duszpasterz, zasługiwał ze wszech miar.

Wielce przywiązany do swych parafian, a doskonale zagospodarowany na swej plebanji z ładnym ogródkiem, ksiądz Stolarczyk mało się wychylał z Zakopanego: najwyżej jeździł do Krakowa za interesami, lub do różnych przyjaciół-księży na odpusty. W większą podróż puścił się tylko raz w życiu, w roku 1870, ale za to, skoro się już zdecydował wyjechać na czas dłuższy ze swej parafji, objechał za jednym zamachem Europę, Azję i Afrykę. Podróż ta, cztery miesiące trwająca, to w pierwszym rzędzie pobożna pielgrzymka do Ziemi Świętej, a następnie do Rzymu. Wyjechawszy przez Wiedeń i Trjest do Aleksandrji, w Kairze zrobił przedewszystkiem wycieczkę do piramid; Arabom zaś, którzy go, jak innych cudzoziemców, chcieli prowadzić na piramidę Cheopsa, oświadczył, gdy mu ofiarowywali swoje usługi, że obejdzie się bez ich pomocy. „Ja ta zwyczajny gór — mówił, — mnie pomagać nie trzeba“. Z Egiptu udał się do Jerozolimy, gdzie „choć to miejsce święte i dla księdza przyjemne“ już mu się dała uczuć tęsknota do Tatr, tak, że czuł się najszczęśliwszym, gdy po zwiedzeniu różnych miejscowości biblijnych i ewangelicznych, mógł zrobić wycieczkę na szczyty górskie, na Hermon i Tabor, na Antilibanon. Z Małej Azji, z Bajrutu przejechał morzem, zwiedzając różne wyspy po drodze, do Konstantynopola, poczem przez Grecję, Korfu, Brindisi, udał się do Neapolu. Tam przedewszystkiem zrobił wycieczkę na szczyt Wezuwiusza. Następnie udał się do Rzymu, skąd przez Wenecję, Wiedeń wrócił zadowolony do Zakopanego.

Oprócz Witkiewicza, który w swej świetnej książce poświęcił księdzu Stolarczykowi parę stron doskonałej charakterystyki, pisała o „Jegomości“ obszernie — obszerniej nawet, niż autor. Na przełęczu — Marja Steczkowska w swych Obrazkach z podróży do Tatrów i Piecin. Znała ona „księdza proboszcza“ doskonale, bo bywając w Zakopanem przez dwadzieścia kilka lat z rządu, z „Jegomością“ żyła w serdecznej przyjaźni, tak nawet, że nieraz gdy z rodziną szła w góry, i ksiądz Stolarczyk przyłączał się do jej grona. Tak np. odbył z nią razem wycieczkę na Krzyżne. Ta długoletnia znajomość, przypadająca na lata 1856—1872, sprawiła w następstwie, że wizerunek księdza Stolarczyka, skreślony przez Steczkowską, jest najlepszym i najdokładniejszym ze wszystkich.

Dlatego należy się przypomnieć go *in extenso* dzisiejszemu pokoleniu. Oto odnośny ustęp z jej pięknej książki, niesłusznie zapomnianej zupełnie.

Od roku 1847 Zakopane stanowi osobną parafję. Dawniej należało częścią do Chochołowa, częścią do Poronina. Kościółek tutejszy, niemal w środku wsi stojący, drewniany, malutki, zbudowany bez żadnych ozdób, bardzo schludny i starannie utrzymany. Ołtarze roboty prostego górala z pobliskiej wsi Gliczarowa, tak są zgrabne, że podziwiać trzeba zręczność wiejskiego rzeźbiarza. Roboty jego, nierównie piękniejsze, mają się znajdować w kilku kościołach w okolicy; tutaj szczupłość miejsca stanęła mu na zawadzie. Organy roboty Sapalskiego z Krakowa 1855 roku po największej części kosztem parafjan, a staraniem księdza proboszcza miejscowego sprawione, mają głos tak piękny, że nie zrobiłyby wstydu nijednemu miejskiemu kościołowi. Tak aparaty, jak inne przybory, a nawet kosztowne naczynia kościelne, są pobożnymi darami ubogiego ludu.

Po lewej stronie kościółka stoi plebania, także z

drzewa stawiana, z niewielkim od frontu ogródkiem¹; po prawej jest cmentarz, w ostatnich latach pięknym obwiedziony murem, i organistówka, a zarazem szkółka miejscowa.

Łatwo sobie wyobrazić, jak smutne było — przed dwudziestu pięciu laty — położenie biednego ludu, który oddalony od kościoła, pozbawiony prawie zupełnie nauki słowa bożego, skutkiem tego zaniedbywał obowiązki religijni... Górale zakopiańscy bardzo też umieją cenić szczęście i błogosławieństwo, jakie na nich spływa z ubożchnego ich kościółka. „Jak dzwonią — mówiła mi jedna kobieta, — to aż się serce raduje; przecież teraz jakoś nas bliżej Pan Bóg“. Zaiste, wielkie Bóg dobrodziejstwo wyświadczył ludowi temu, ubogi wśród niego zamieszkując domek, i obdarzając go takim pasterzem, jakim jest obecny ksiądz proboszcz tameczny.

Ksiądz Józef Stolarczyk, objąwszy przed dwudziestu laty zarząd nowo-utworzonej parafji, zastał lud prawie dziki, w rzeczach religji w głębokiej pogrążony niewiedomości. Były w tym ludzie zarody dobrego, poczciwe skłonności, ale te drzemały w duszy, bo zasady religji, które jedynie mogą je rozbudzić, ożywić i upłodnić i w święty zamienić obowiązek, ledwie powierzchownie były mu znane. Ksiądz proboszcz, nie zrażony smutnym stanem biednego ludu, z chrześcijańską miłością, ojcowską dobrocią, a przytem z rzadkim rozsądkiem i taktem, zajął się rozkrzewieniem, pomiędzy trzódką swoją, błogich religji i moralności zasad, złagodzeniem szorstkich obyczajów tych dzieci surowej przyrody, i rozszerzeniem

¹ Gościenny z natury, ks. Stolarczyk gościł u siebie nieraz wielu ludzi znakomitych. Między innymi mieszkał u niego kiedyś Jan Matejko. Jeszcze po dziś dzień na ścianie plebanii znajdują się kredkowe szkice twórcy Kazania Skargi, wyobrażające trzech djabłów w niesłychanie śmiesznych i zabawnych pozach, narysowanych z niesłychanym humorem. Godziłoby się je odfotografować, póki czas...

wśród nich oświaty, o jakiej dotąd nie mieli nawet wyobrażenia. Pobłogosławił Bóg gorliwej pracy. Dziś Zakopanie w znajomości religji, w poczciwości, w zewnętrznej ogładzie, w oświacie, daleko zostawili za sobą innych galicyjskich włościan. Z ułatwionem wypełnianiem obowiązków religji i ciągłą do tego zachętą wzrasta pobożność Zakopian i wpływ swój błogi na całe ich życie wywiera. Ich zdanie się na wolę Boga, ten największy prawdziwej pobożności owoc, budowało mię zawsze i prawdziwym szacunkiem dla nich przejmowało. Pozwolę sobie przytoczyć choć jeden przykład. Pewnemu gaździe dobrze nam znajomemu padło w krótkim czasie 30 owiec i zabiła się w lesie dwuletnia jałówka. Gdyśmy rozmawiali o tem nieszczęściu z jego żoną, użalając się nad nią, ta złożyła ręce, uśmiechnęła się i rzekła: „Moi piękni, to wszystko od Boga; dobrze, co którego z nas nie zabrał, cośmy wszyscy zdrowi“. I lzy wdzięczności zabłyśły w jej oczach w niebo wzniesionych. I ja także poczułam lzy pod powieką, a na twarz wystąpił rumieniec wstydu, bo jakże to daleko do tej prostej chrześcijańskiej filozofji nam, co się chlubimy niby wyższym na rzeczy poglądem.

Co niedziela tłumy ludu, nie mogąc się pomieścić w szczupłym kościółku, oblegają go dokoła. W czasie nabożeństwa lud, wyuczony przez proboszcza, śpiewa przy towarzyszeniu organów. Nigdzie w naszych stronach nie zdarzyło mi się słyszeć tak miłych, czystych, zgodnych głosów. Nie wiem, jak komu, ale dla mnie śpiew ten pobożny, prosty, złączony z poważną organów harmonią, daleko silniej do duszy przemawia, niż owe uczone śpiewy i huczna muzyka, jakie słyszemy po kościołach naszych.

Popołudniu dzwonek zwołuje lud na katechizm. Po katechizmie następuje nauka śpiewu, którą zajmuje się także sam ksiądz proboszcz, potem litanja do Najświęt-

szej Panny i suplikacje. Po skończonem nabożeństwie, lud, śpiewając pieśni nabożne, rozchodzi się do domów swoich, a góry otaczające dolinę, długo jeszcze świętem brzmia echem.

Szanowny pasterz nietylko z kazalnicy wpływa zawiernie na parafjan swoich, ale niemniej korzystnie działa na nich w codziennem przestawianiu z nimi. Wyższe wykształcenie naukowe, wesoły i miły humor, szacunek, jaki sobie umiał zjednać powszechnie, nie przeszkadzają mu bynajmniej, iż obcuje najchętniej z poręczonym swej pieczy ludem, z którym w prawdziwie patriarchalnych zostaje stosunkach. Zna doskonale każdego ze swoich parafjan: ich kłopoty, zmartwienia, rodzinne stosunki, znane mu są najdokładniej. Posiada zupełne ich zaufanie; słowa jego są dla nich wyrokiem; bez jego rady i przyzwolenia nie skojarzy się żadne małżeństwo; a jeżeli gdzie zaszło jakie zwaśnienie, za jego nastawianiem spory się godzą. W każdej potrzebie śpieszą do księdza proboszcza po radę, z tem zaufaniem, śmiałością i uszanowaniem, z jakim dzieci przystępują do ojca. Nawet i bez żadnego interesu przychodzą na plebanię często tylko na pogawędkę.

Ksiądz proboszcz odwiedza także ubogie ich chatki, a te rozmowy są dla nich z wielką korzyścią, bo tym sposobem z łatwością nabywają różnych użytecznych wiadomości, o czem przekonać się można przy bliższem zetknięciu się z tutejszym ludem. W jednej z naszych wycieczek w góry, nocując w szałasie, byliśmy prawdziwie zdumieni dobrem pojęciem obrotu ziemi, planet, słowem całej gwiazdzistego nieba budowy, jakie miał nasz przewodnik, prosty góral. Pytamy go, skąd wie o tem wszystkim? — „O, my to ta z księdzem proboszczem nieraz do północy o tych gwiazdach radzimy“ — odpowiedział. — Nie są im obce krajowe, a nawet europejskie stosunki, o ile rozumieć je mogą; znają powody toczących się wo-

jen, nazwiska monarchów, znakomitych wodzów, ministrów i dygnitarzy, szczególnie krajowych. Miły to i pocieszający widok, jak w czasie Sejmu galicyjskiego górale, zebrani w niedzielę przed kościołem, czytają z największym zajęciem protokoły sejmowe, ciekawi obrotu spraw krajowych i głosu posłów, których znają nietylko z nazwiska, ale nieraz ze sposobu myślenia.

Ksiądz Stolarczyk, przywiązany szczerze do tego ludu, od niego nawzajem jest kochany. Nie wspomną o nim bez pochwał, płynących z wdzięcznego serca, bo górale pochlebstwa nie znają. „Takiego księdza, jak nasz, to nigdzie niema; on jak spojrzy na człowieka, to zaraz zgadnie, co myśli; przed nim zmyślić nie można“ i t. p. W czasie wyboru posła na Sejm, odbywającego się przed kilku laty w Nowym Targu, wdzięczni Zakopianie oddawali publiczne pochwały swemu czcigodnemu pasterzowi. Gdy przed trzema laty ksiądz Stolarczyk odbywał pielgrzymkę do Ziemi Świętej, ksiądz zastępujący go przez ten czas, ledwie nie codzień odprawiał mszę św., zamówioną przez parafjan na intencję swego proboszcza. Dzieci przy wieczornym pacierzu odmawiały zawsze modlitwę o szczęśliwy jego powrót.

Gdy wreszcie tym prośbom stało się zadość, ksiądz proboszcz, zadowolony ze swej podróży, już nie myślał o żadnym nowym wojarzu, ale za to wcale nie zrezygnował z dalszego chodzenia po górach.

Ze apostolska praca księdza Stolarczyka wśród górali zakopiańskich i okolicznych wydała po latach dwudziestu błogosławione owoce, to obok wielu innych stwierdził w roku 1869 w swym Urywku z podróży do Tatr i Pienin, odbytej w r. 1860, Leon Rzecznowski, zamieszczonym w „książce zbiorowej“ p. t. Kłosa i kwiaty. We fragmencie tym, wcale gruntownie opisującym „zatrudnienia i sposób życia górali i podhalań“, ich „wsie i mieszkania“, ich ubiór, ich

urodę i powierzchowność, ich język i „niektóre jeszcze cechy charakterystyczne“, jest także jeden rozdział, poświęcony „religijności i obyczajom“ górali, a niewątpliwie oparty nietylko na własnej obserwacji, ale i na informacjach, zasięgniętych u ks. Stolarczyka. Oto ważniejsze zasadnicze ustępy z tego rozdziału:

Górale tatrzańscy, otoczeni lubo poetyczną, ale dziką naturą, swoich wrodzonych uniesień, silnych wybuchów namiętności nie byli panami; stąd to między nimi dawały się widzieć okropne przykłady zemsty, skłonności do pijaństwa; lecz od czasu, kiedy otrzymali światło i gorliwe duchowieństwo, zmienili całkowicie swoje obyczaje. Wpływ dobrych kapłanów położył zdaje się na zawsze koniec owym niegdyś jeszcze tak głośnym zawziętym bijatykom, a nawet i pijaństwu. Teraz wszędzie tam cicho, spokojnie, największa wstrzeźliwość; o rozbójnikach górskich, owych opryskach, niegdyś tak głośnych, dziś tylko pozostało podanie.

Górale codziennie schodzą się na ranne nabożeństwo do kościoła, przynajmniej ci, którzy bliżej świątyni mieszkają i więcej mają wolnego czasu. W dniu świąteczne lud z całej parafji zgromadzony nie opuszcza kościoła od rana do wieczora. Górale słuchają z największym duszy upragnieniem kazań i nauk kościelnych, spowiadają się bardzo często. Każdy prawie góral, wszedłszy do kościoła, obchodzi na klęczkach cały wielki ołtarz wokoło; widywałem i takich, co cały kościół obchodzili po cmentarzu kościelnym na kolanach. Kapłani, pouczając dobrze znany im lud, zapytują ich tak po imieniu, jak nauczyciele uczniów, dla przekonania się, czy dobrze uważali i zrozumieli wykładany im przedmiot religijny. Takie zapytania dają się nietylko dzieciom i młodym, ale i starym. Duchowni za swą naukę i gorliwość zyskują serca swoich parafjan. którzy patrzą na nich, jako na

swych ojców duchownych; w różnych wątpliwościach religijnych dają zapytania swoim kapłanom i otrzymują od nich chętną i jasną odpowiedź. W góralskich wsiach na Podhalu kapłan jest nie tylko osobą duchowną, ale razem i patriarchą swoich parafjan. Do jego mieszkania schodzą się górale po pomoc, radę i pociechę we wszystkich przygodach i potrzebach, a w razach nieporozumień i sporów wybierają kapłana na swojego sędziego polubownego, na którego wyroku najczęściej poprzestają.

Przez kilka tygodni bawiąc w Zakopanem i częstym bywając gościem u tamecznego plebana, księdza Józefa Stolarczyka, poznałem naocznie ten stosunek patriarchalny, jaki się tam utrzymuje między ludem i kapłanem. Kapłani góralscy, wyszli z łona ludu prostego, znają go gruntownie i jako światli i szczerze religijni przyświecają góralom nauką i dobrym przykładem. Nadto wielką odznaczają się troskliwością, i dbałością tak o utrzymanie ludu w religji, dobrych obyczajach, jakoteż nieobojętni są na ich pomyślność i dobrobyt.

Prawdziwą było dla mnie nowością, gdy znajdując się na kazaniu w kościele, słyszał, jak całe zgromadzenie pobożnych wypowiadało jednozgodnie swoje podziwienie lub zadumę na głos kapłana kręceniem lub kiwaniem głowami i wykrzyknikami: „oho! ho! to tak?“ i t. p. Niektórzy kapłani tameczni nie przemawiają do ludu w świątyni inaczej, jak jego ludowym językiem; to wszakże jest wyjątkowem.

Wszystko, co Rzecznowski napisał o księżach na Podhalu wogóle, odnosi się w pierwszym rzędzie do księdza Stolarczyka i jego stosunku do górali z Zakopanego ¹.

¹ Wład. Ludwik Anczyc w swym artykule *Zakopane i lud podhalski* tak pisze w roku 1874 o księdzu Stolarczyku: „Kiedy parafji w Zakopanem nie było, górale nie mieli chęci biegać o dwie mile do kościoła w Chochołowie, a wielu pacierza nie umiało. Dopiero

O tym stosunku Podhalań do swych kapłanów, a szczególnie o stanowisku księdza Stolarczyka wśród Zakopian niemniej trafnie pisze August Wrześniowski:

Proboszcze po wsiach góralskich po większej części sami są góralami; należąc więc do tego samego społeczeństwa, w którym występują jako pasterze, dokładnie znając zalety i wady swych parafjan, oraz nie będąc ani fanatykami, ani zaślepionymi ultramontanami, pospolicie wywierają zbawienny wpływ, łagodząc obyczaje i siejąc prawdziwą moralność. Ksiądz kanonik Stolarczyk, proboszcz zakopiański, pięknym jest przykładem wzorowego pasterza, którego nawet różnowiercy szacunkiem swym obdarzają. Pod jego zbawiennym wpływem cywilizacja wielkie w Zakopanem czyni postępy; obyczaje poprawiły się i ciągle poprawiają, a obiedwie płcie bardziej są we wzajemnych stosunkach powściągliwe.

Podhalańin chętnie zawiązuje rozmowę, przyczem ma zwyczaj siadać obok zagadniętej osoby bez względu na jej stanowisko towarzyskie, wyjąwszy tylko osoby duchowne, dla których wielki ma szacunek. Siadanie wobec księdza, przynajmniej bez wyraźnego zaproszenia z jego strony, jest w oczach Podhalań wielką nieprzyzwoitością. W Zakopanem górale radzi odwiedzają je-gomościa; w lecie odwiedziny odbywają się na ganku. Proboszcz siedzi na ławce, a góral, wyjąwszy szczególnie poważnych gazdów, pospolicie stoi na zewnątrz ganku

gdy przed dwudziestu kilku laty wystawiono kościół, zmieniło się to na lepsze. Nowy proboszcz, do dziś dnia zarządzający kościołem, ksiądz Stolarczyk, obchodził chatę po chacie, namawiając mieszkańców, aby uczęszczali do kościoła i spowiedzi; udzielał im rad i bardzo zbawiennie wpłynął na poskromienie ich namiętności. Zbójnictwo ustало zupełnie, a rozpusta, i pijaństwo znacznie się zmniejszyły. Tak to religja przykładem żywym zbawienności wpływu swego tutaj dowiodła.“

oparty o jego poręcz i gawędzi, zachowując się z całą uprzejmością i uszanowaniem. Pewnego razu podczas takiej gawędki przyszła do proboszcza para górali z Olezy z prośbą o danie im ślubu i oznaczenie odpowiedniego dnia i godziny. Przyszły pan młody rozsiadł się na ławce i siedząc rozmawiał. Obecny przy tem Zakopianin, nie mogąc powstrzymać swego oburzenia, zwrócił się do narzeczonej i rzekł: „Ty ta jego nie bierz, boć on jakic chory, zaraz sobie siędnął!“ Tym sposobem w bardzo delikatny sposób przymówił on gburowatemu olezaninowi, że jego zachowanie się mogłaby tylko choreba uniewinnić, ale w takim razie nie byłby odpowiedni na małżonka. To odezwanie się Zakopianina zasługuje na szczególną uwagę, albowiem doskonale maluje podhalski sposób mówienia pośrednio, a nie wprost, gdy chodzi o mniej przyjemny dla słuchającego przedmiot.

II.

Olbrzymiego wzrostu, a równie wielkiej odwagi, jak siły fizycznej, ksiądz Stolarczyk był, poza obrębem swych obowiązków kapłańskich, zapalonym taternikiem, rozmiłowanym w trudnych i forsownych wycieczkach. To też znał Tatry, jak mało kto. Zaznacza to i Marja Steczkowska w swej książce z roku 1858, gdzie o ks. Stolarczyku między innymi tak pisze: „Co do kolei, jaką najwłaściwiej odbywać wycieczki, oraz w tem wszystkiem, co Tatrów dotyczy, najlepiej zasięgnąć rady księdza proboszcza, który zna i kocha góry, jak zapewne nikt drugi; był niemal na wszystkich wierchach, od Łomnicy i Lodowego, aż do niedostępnego Gewontu; i każdemu najchętniej udziela potrzebnych objaśnień¹.

¹ W innym miejscu, a mianowicie w opisie wycieczki na Krzesanicę, tak pisze też Steczkowska: „Tymczasem nasi znajomi w Zakopanem bardzo byli niespokojni, gdyżmy nie przyszli na noc... Nasza

Pierwszo wycieczki zaczął ksiądz Stolarczyk robić zaraz po swym przyjeździe do Zakopanego, a więc od roku 1847 począwszy. Najwięcej chodził z księdzem Pleszowskim, proboszczem z Bielan pod Kętami, z księdzem Roszkiem, proboszczem z Poronina¹, albo z ojcem Ambrożym, Reformatem.

O księdzu Pleszowskim tak pisze raz w swej Wycieczce na szczyt Gerlach u, co następuje:

Przypatrując się wzniesionemu nademną Gerlachowi, miałem na myśli przedewszystkiem księdza Pleszowskiego, którego wszyscy znajomi Królem Tatr nazwali, zdaniem mojem bardzo trafnie, bo pewno żaden tak nie pokochał tych gór, jak on. Przyjeżdża on tu rokrocznie podziwiać ich szczyty, spady, doliny, jeziora, i stawy, a powtarza to już on przeszło 20 lat². Był ze mną na Pysznej, Czerwonym Wierchu, Koszystej i Krzyżnem, szedł przez Zawrat do Morskiego Oka, wybrał się na Kopy, nad Zielony Staw, pod Głupią Górę i zwiedził Murań, Hawrań i Polski Grzebień. Na każdym miejscu, skąd się rozkoszny widok przedstawia, zwykł przedewszystkiem śpiewać *Te Deum*. Tu na Polskim Grzebieniu śpiewaliśmy razem *Venite exultemus Domino*; płakał z radości, podziwiając tak wspaniałe cuda Boskie. Taką rze-

gaździna pobiegła z płaczem na plebanję poradzić się księdza Proboszcza, co robić w takiej przygodzie. On jaknajspieszniej wysłał górala na polanę Kondratową, a gdyby nas tam nie zastał, miał się przeprowadzić do Mało-Ląki. Inny posłaniec miał iść w przeciwną stronę i wypytywać się o nas w Miętusiej i na Uplazie. Nie zdążyliśmy na czas, aby uprzedzić pierwszego posłańca, szczęście, że się na tym jednym skończyło i że więcej ludzi nie poszło szukać zguby“.

¹ Ks. Wojciech Roszek (zmarły w roku 1894), drukował swe spostrzeżenia meteorologiczne p. t. Z Poronina w sprawozdaniach komisji fizjograficznej Towarzystwa naukowego krakowskiego. Z jego inicjatywy zajęło się Tow. Tatrzańskie utworzeniem w r. 1876 szkoły snycerstwa w Zakopanem.

² To znaczy od jakiegoś roku 1853.

wnością rozczułał i budował wszystkich. Uważałem, jak górale pobożnie obok niego na kolana padli i szczerzej może i goręcej się modlili, niż w kościele.

Skoro już była mowa o księdzu Pleszowskim, to przy sposobności opowiedział o nim „Jegomość“ jeszcze i następujący, dość zabawny epizod:

Wybraliśmy się dawniej razem na Polski Grzebień, a gdyśmy się pięli do góry, pod samym już prawie szczytem rzecze do mnie mocno zmęczony ksiądz Pleszowski: „Dalej już nie pójdę, bo nie mogę“. Ja za nim idąc, biorę mały kamień i rzucając na bok ściany niepostrzeżenie: Kamień potoczył się na dół i zaszeleściał, a ja wtedy krzyknąłem: „Uciekajmy, bo się wielki kamień na nas wali!“ Na to skoczył mój ksiądz Jędrzej, jak sarna i sam nie czuł, jak lekko na wierzch wyszedł. Uśmialiśmy się potem serdecznie, jak to w niektórych przypadkach strach dodaje odwagi.

Jeszcze dzielniejszym taternikiem niż ksiądz Pleszowski, był ów ksiądz Ambroży, Reformat, specjalny amator najtrudniejszych wycieczek na szczyty, na których jeszcze przeważnie nie postąpiła noga ludzka. Z księdzem Stolarczykiem był na Baranich Rogach, na których jedno niebezpieczne przejście na zawsze wryło się „jegomości“ w pamięć, tak, iż je sobie przypominał przy najtrudniejszych trawersach na Gerlachu; a innym razem, pod przewodnictwem Wali, wdarli się razem na Miękusowiecki Szczyt, na „Miękusowskie Rzy“, jak je nazywa ksiądz Stolarczyk. W drodze na ten szczyt spotkała ich burza z ulewą, która może innych skłoniła by do odwrotu. Ale dzielni księża ani myśleli wracać, lecz postanowili przeczekać słotę, pomimo, iż taki postój na Miękusowieckiej przełęczy, wśród przepaści pod nogami, wcale nie równał się bagateli. Mimo to — opowiada ksiądz Stolarczyk

po latach — „z księdzem Ambrożym i Wałą przeleźliśmy w turniach, tuląc się pod skałę (bo nie było więcej miejsca) cały dzień, chroniąc się tym sposobem od nawalnego deszczu, ale przecież przetrwaliśmy niepogodę i dopięliśmy pożądanego celu“.

Jako proboszcz Zakopanego, nie dziw, iż ksiądz Stolarczyk przede wszystkim miał ambicję, ażeby poznać cały szczyt Gewontu, zwłaszcza jego część wschodnią, uchodzącą za niedostępną. Jakoż wybrał się nań kiedyś, o tem zaś, co go tam spotkało na grani, tak opowiada Walery Eliasz w swych *Szkicach z podróży w Tatry*:

Wędrowni na wschodni szczyt Gewontu o mało nie przypłacił życiem ksiądz J. Stolarczyk, proboszcz w Zakopanem. Siedząc, jak na siodle, po grzbiecie turni posuwał się granią od wschodu naprzód, napotyając szczeliny. Przebywszy taką jedną, którą ze wsi widać w kształcie małej szczerbki, znalazł się w miejscu, skąd naprzód, ani w tył ruszyć dalej nie mógł, wisząc nad przepaściami z dwóch stron. Z potarganą odzieżą, pokrzwawiony na ciele, zawisł ksiądz Stolarczyk na wysokości około 5900 stóp z małą nadzieją ocalenia życia. Nie pozostało mu już nic innego, jak krzyczeć, co sił starczy, aby go usłyszał jaki juhas, szczęśliwem zdarzeniem z owcami w te strony zagnany, i pomocy użyzył. Tym razem szczęście zabłąkanemu posłużyło. Juhasi posłyszeli głos, przybiegli na ratunek i z pomocą liny wydobyli z matni swego proboszcza.

W roku 1849 wyszedł ksiądz Stolarczyk, razem z Maciejem Rojem, na szczyt Świnnicy, przekonany, że się wdarł na jej szczyt najwyższy. Mylił się jednak, bo właściwie wyszedł tylko na jej szczyt niższy, ten, na którym znajduje się źerdka, zatknięta przez inżynierów kwatermistrzostwa austriackiego. Mimo to, gdy Walery Eliasz w swym przewodniku z roku 1870 podał do wiadomości, iż palmę pierwszeństwa, gdy o

Świnnicę chodzi, zdobył sobie dr. Janota, ksiądz proboszcz dał listowny wyraz swemu przekonaniu, iż zawarta w Przewodniku na str. 99 informacja winna być sprostowana. Oto, jak to w swych Szkiecach z podróży w Tatry przedstawia Eliasz:

Gdym o tem nadmieniał w wydanym roku 1870 „Ilustrowanym przewodniku do Tatr i Pienin“, ksiądz proboszcz w Zakopanem zarzucał mi mylność mojego opisu opartego na opowiadaniu dr. Eug. Janoty o wynalezieniu drogi na najwyższy szczyt Świnnicy dopiero w roku 1887, gdy on (proboszcz) jeszcze przed ośmnastu laty miał tam być z przewodnikiem Maciejem Rojem, którego mi na świadectwo przywodził i jego się rzeczy właściwej dopytać radził. Udając się na Krzyżne roku 1870, za przewodnika wziąłem sobie owego właśnie Macieja Roja, starego skryto-strzelca, słynnego w tem rzemiośle. Nie mówiąc mu nic o kwestji spornej, zagadnąłem go, czy był na Świnnicy? Stary gaduła wtedy z szczególną pamięcią określił mi całą swoją wycieczkę na Świnnicę z księdzem proboszczem zakopiańskim, jak szli, co widzieli, jak na szczycie zatkniętą żerdkę zastali, na której ksiądz proboszcz na pamiątkę swego tam pobytu litery swoje wycisnął i t. d. A gdym go zaczepił o ów najwyższy czub Świnnicy, rozwiązał na moją korzyść zagadkę, mówiąc, że tam już nie byli, bo, jak się wyraził, „i koza dzika tam by się nie dostała“. A że żerdka na zwiedzanym dawniej niższym szczycie tkwi do dziś dnia, rzecz się dostatecznie wyjaśniła i mój opis nie podpada wątpliwości.

Na Lodowym Szczycie był ksiądz Stolarezyk dwa razy; raz w roku 1854, raz w roku 1867. Ale dopiero za drugim razem udało mu się wdrzeć na sam szczyt. O wycieczkach tych pisze on sam w ten sposób:

Jak ongi Lodowy Szczyt uważany był za niedostępny i dlatego od turystów omijany (lubo z północnej strony od Nowego Targu najokazalej wygląda), tak też i Gerlach na boku zostawiano, tem bardziej, że wysunięty na południe, z polskiej strony nie tak uderzająco w oczy wpada. Przed ośmiu laty spróbowałem wyjść na sam wierzch Lodowego Szczytu i rzeczywiście dopiąłem mego zamiaru. Wybrali się wtedy ze mną Jędrzej Wala, Szymon Tatar, Wojciech Kościelny, i Wojciech Ślimak. wszyscy wypróbowani przewodnicy zakopiańscy. Wprawdzie byliśmy już tu przed dwudziestu laty z księdzem dr. Grzegorzkiem, ówczesnym profesorem teologii, terazniejszym zaś proboszczem w Podegrodziu, i z p. F. Berdauem, znanym botanikiem; lecz wtedy dotarliśmy tylko do ramienia Lodowego Szczytu, które to ramię niższe jest od najwyższego czuba; wejście zaś na niego zdało nam się niepodobnem¹. Mniemanie to jednak okazało się później mylnem, gdyż pokusiwszy się po kilku latach o wejście z odwrotnej strony, znalazłem je nie tak trudnem, jak sobie wyobrażałem; znam nawet wiele osób, które już po tej mojej wycieczce na Lodowy Szczyt się dostały².

¹ W swoich Szkicach z podróży w Tatry, w opisie wycieczki na Lodowy Szczyt, odbytej w roku 1873, pisze w tej sprawie Walery Elias: „Przed kilkunastu laty czynione starania przez słynnego botanika naszego, Berdaua, wraz z księdzem Stolarczykiem, w celu zwiedzenia dotąd dziewiczego szczytu Lodowego spełży na niczem, bo doszedłszy do pewnej wysokości natrafili na nieprzebyte urwiska. Inżynierowie, co ten szczyt mierzyli, byli na jego wierzchołku, gdyż zatknięta przez nich żerdka w kupie głazów dotąd stoi niewzruszenie. Właściwie tedy utworował wychodzenie na Lodowy Szczyt ksiądz Stolarczyk w roku 1867, dokąd z trzema przewodnikami: Jędrzejem Walą, Szymkiem Tatarem i Wojciechem Kościelnym udał się od strony wschodniej obszedłszy Czarny Staw. Z powrotem udał się południowym bokiem Lodowego...

² Okazuje się jednak, iż Berdau, nie zrażony tą pierwszą nieudaną wycieczką na Lodowy „między 12 a 16 sierpnia“ 1854, wybrał

Zaprzyjaźniony z całą rodziną Homolaczów, u których we dworze w Kuźnicach częstym i mile widzianym bywał gościem, jako miejscowy proboszcz, ksiądz Stolarczyk i z nimi, i z ich znajomymi, również raz po raz robił wycieczki w góry. A były to wycieczki urządzone na wielką skalę, z liczną drużyną górali, z muzyką. Jedną z takich wycieczek, na szczyt Mięguszwiecki, opisał ksiądz Stolarczyk w następujących słowach:

Nad szalałem pod Wysoką przedstawia się piękny widok na Żelazne Wrota (nietknięte jeszcze ludzką stopą), Czeskie i Młynarza. Przypomniałem sobie, jak w Czeskim przed laty biedowaliśmy wspólnie z pp. Homolaczami w wyprawie na Mięguszwskie Rysy. Rzecz miała się następnie.. Przyszliśmy do Czeskiego już po nad koso-

się nań powtórnie we wrześniu, i tym razem wyszedł na jego szczyt najwyższy. „We wrześniu — czytamy w jego „Wycieczce botanicznej w Tatry odbytej w roku 1854“ — byłem powtórnie na Lodowej Turni, przebierając się do niej wprost z Zakopanego przez Wierchy i otaczające je doliny, czyli przecinając w poprzek całe pasmo tatrzańskie z północy na południe. Była to droga nader oryginalna i jedna z najtrudniejszych; a jak mój przewodnik (stary strzelec kóz dzikich) mię zapewniał, nikt jeszcze z obcych, prócz strzelców tej drogi nie przebywał“. W artykule tym pisze Berdau: „W ciągu dwumiesięcznego mego pobytu w Tatrach (w Zakopanem) odbyłem cztery dłuższe, kilkudniowe wycieczki, a dziewięć jednodniowych. Jedną z najważniejszych była wycieczka na Koperszady Bialskie i Lodową Turnię. Później zwiedziłem dokładnie Gewont, Czerwony Wirch. Pyszną, Kasprową, Magórę, Gąsienicowe Stawy, Kościelec, Pięć Stawów i Morskie Oko“. Nadto był na Muraniu (w powrocie z pierwszej nieudanej wycieczki na Lodowy od strony Jaworzyny i Koperszadów), tudzież na Świnnicy. Do Morskiego Oka szedł przez Zawrat. Szczyt Lodowego tak opisuje Berdau: „Rozpatrzywszy się bliżej na samym wierzchu, przekonałem się, iż Turnia Lodowa (Eisthaler-Spitze, jak ją Wahlenberg nazywa) z wspólnego trzonu wystrzela trzema szczytami, z których tylko na południowy i z nich najwyższy wyjść można. Reszta jest nieprzystępna zupełnie...“ Wynika z tego, iż Berdau był na Lodowym na całych 13 lat przed księdzem Stolarczykiem.

drzewinę o godzinie 9 z rana, a było to w lipcu. Naraz zaczął padać śnieg mokry z deszczem, pędzony do tego wiatrem. Schroniliśmy się więc pod ogromną skałę, którą Wala wyszukał, i pod nią przesiadeliśmy cały czas tej burzy, aż do 10 z rana następnego dnia, kiedy już niebo się wypogodziło. Musieliśmy zaś pod tą skałą tak długo pozostać, bo niepodobieństwem było czy to wprzód czy też w tył się ruszyć. Szczęściem mieliśmy ze sobą dwunastu dobranych górali; zwykle w tak licznej towarzystwie pp. Homolacze podobne wycieczki robili, częścią dla wygody, częścią zaś dla niezbędnej pomocy. Jeden z górali musiał być koniecznie kozłem ofiarnym, wybranym na cel rozmaitych figlów i żarcików dla rozweselenia kompanii. Najczęściej był nim Wala lub Krzeptowski; Wala jednak umiał się odcinać i dowcipem swoim nas rozśmieszał. Tych wycieczek tak ożywionych i wesółych nigdy w życiu nie zapomnę. Przez całą ową noc padał śnieg z deszczem, a myśmy długie chwile to gawędką to śmiechem skracali. Pamiętam, jakby dziś się stało, że miałem wtedy na sobie letnią wytartą surducinę, aby łatwiej piąć się po skałach, towarzysze moi także w letnich byli ubraniach, a choć zimno zaczęło dokuczać, jednak żaden nie zaziębił się, ani wycieczki tej chorobą nie przypłacił. Nie wyliczyłbym wszystkich podobnych wspomnień, które mi obecnie na myśl przychodzą, np. w Mięguszowskiej z p. Wł Koziebrodzkim, St. Wodziekim i pp. Homolaczami, kiedyśmy porządnie zimne noce mieli i o takiej porze do Morskiego Oka schodzili: a trzeba wiedzieć, że zejście z Mięguszowskiej do najniebezpieczniejszych zaliczyć należy.

Jak dawniej z Homolaczami i ich znajomymi, tak później z doktorem Chałubińskim i jego towarzyszami odbywał ks. Stolarczyk podobnie liczne i wesole „wyprawy“ w Tatry z góralami, z muzyką, z namiotem, słowem, z ca-

łym taborem. W tych warunkach wybrano się dnia 8 września 1874 roku wspólnie na Gerlach.

Usłyszawszy, iż Gerlach według trygonometrycznych pomiarów ma być najwyższą górą w Tatrach, postanowiłem mimo mojego wieku spróbować szczęścia i wydrapać się na jej najwyższej położony szczyt. Pomyślałem sobie, iż może znów, jak na Lodowy szczyt drogę następnym turystom wskażę; wiadomo bowiem, że nieznaną drogą zawsze trudniejszą się wydaje od tej, z którą przewodnik dobrze już jest obeznanym. O zamiarze moim dowiedzieli się: znany dr. Chałubiński z Warszawy, ksiądz Roszek, proboszcz z Poronina, dr. Władysław Markiewicz, adwokat z Krakowa, i dr. W. Urbanowicz ze Żmudzi, a ponieważ okazali chęć przyłączenia się na tę wyprawę, przeto skwapliwie przyjąłem ich propozycję, bo w dobranem towarzystwie zawsze jakoś weselej i przyjemniej odbywać taką drogę. W wyprawie tej przewodniczyli, a raczej towarzyszyli nam: Szymon Tatar, Wojciech Ślimak, Wojciech Kościelny, Wojciech Roj, i jeden przewodnik z Poronina, który przybył z księdzem Roszkim.

Wyruszywszy furkami z Zakopanego dnia 8 września popołudniu, dobrze już w nocy przyjechano do Podspadów poniżej Jaworzyny i Murania. Stąd, po dobrym posiłku, nie tracąc czasu, w ciemną noc pojechano ku Zdziarowi, a stąd do bielskich borów, gdzie w lesie przy ogniu przespano się parę godzin. Ze świtem ruszono do Kesmarku, a drugiej zawitano do Szmeksu, gdzie zabawiwszy tylko półtorej godziny, puszczono się do Felki, by stąd raniutko puścić się pod górę.

Nie chciałem brać przewodnika, a jest nim na Spizu jeden tylko, organista z Mühlenbachu. który na Gerlach

prowadzić może; uważałem bowiem dla Zakopanego za ubliżające dać się obcym przewodnikom po Tatrach o-
 prowadzać, a prawdę powiedziawszy nie spodziewałem
 się nigdy tak trudnych przejść, jakie na Gerlachu nas
 czekały. Próżna ta ambicja tem bardziej podnieconą zo-
 stała, gdy w Szmeksie na zapytanie moje o przewodnika
 usłyszałem odpowiedź: „*Es ist ohne Führer unmö-
 glich!*“ Na takie *dictum acerbum* odpowiedziałem: Zoba-
 czymy! W duszy zaś pomyślałem: Spiżacy nie będą prze-
 cioż Zakopańców uczyć po Tatrach chodzić!

Nocleg w Felce wypadł nad wyraz miło. „Noc nad niż-
 szem joziorem była tak piękną, jak rzadko kiedy w Tatrach
 się zdarza; dodać winienem, iż w wesołym towarzystwie,
 szczególnie przy niezrównanym humorze dr. Chałubińskiego
 czas szybko mijał. W samej Wielkiej przyłączył się do nas
 p. Kleczyński, akademik, nie pamiętam już z jakiego uniwer-
 sytetu niemieckiego, który piękne ukraińskie dumki śpiewał
 i kozaka tańczył“. Raniutko wyruszono w drogę. Prowadził
 Szymon Tatar. Niestety, po upływie paru godzin przekonano
 się naocznie, iż znaleziono się wśród bezdroża, iż dalej iść nie
 sposób. Nie było innej rady, tylko wracać. „Przyznam się
 otwarcie — pisze ksiądz Stolarczyk — że dobry humor nas
 opuścił i przeciągnęły się twarze. Pomyślałem sobie, iż wiel-
 ki błąd popełniłem, zdając przewodnictwo na kogo innego;
 trzeba mi było w pierw dobrze rozpatrzyć się koło siebie i
 rozpoznać dokładnie położenie miejsca. Ale, jak to często
 w życiu się powtarza, lekceważony Gerlach pomścił się naszą
 porażką“. Była już godzina pierwsza po południu, a więc za-
 późno, by marzyć jeszcze o wyjściu na szczyt, zwłaszcza, iż
 i niebo nie wróżyło pewnej pogody. Wobec tego, na wniosek
 „Jegomości“ puszczono się kotliną w górę, w nadziei, iż mo-
 że tam znajdzie się jakie łatwiejsze przejście.

Im dalej zapuszczamy się w kotlinę, tem większą

widzimy niemożność dostania się na wierzch Gerlachu. Zdawało nam się, iż od lewej strony będziemy mogli wyjść na prawy cypel, wysunięty cokolwiek na północ: w tym więc kierunku co tchu stało w piersiach pięliśmy się do góry. Wyprzedził nas wszystkich zwinny w nogach p. Chałubiński. Dlatego zaś udaliśmy się w tę stronę, że z lewego cyplu w znacznej wysokości zauważyliśmy tam możebność przejścia. Byliśmy już może 7000 stóp np. m., a p. Chałubiński dotarł do samej krawędzi boku: drudzy towarzysze usiedli trochę niżej, bo zmęczenie dało się wszystkim dobrze we znaki. Wtem słyszemy głos pana Chałubińskiego: „Chodźcie podziwiać cuda natury“. Nie chcieliśmy zrazu usłuchać, ale na silne nalegania daliśmy się wreszcie namówić. Gdyśmy więc z wielkim trudem do tej krawędzi dotarli, odezwał się pan Chałubiński: „Popatrzcie tem oknem“. Posłuszni wezwaniu wsuwaliśmy głowę po kolei w ową zdala nieznaczną szczelinę, a kto tylko przez nią wyjrzał, nie mógł się od cudownego widoku oderwać, który się zdumionym oczom przedstawiał; była to dla każdego z nas nader miła niespodzianka, a wszelkie przebyte trudy i mokoły hojnie tym widokiem ze skalistego okna wynagrodzone zostały.

Połamane słupy granitowe, spadające jedne na drugie, utworzyły takie dziwne czworokątne okno, iż w jego framugę człowiek wdrapać się i wygodnie rozłożyć może. Nadzwyczaj szeroka, prawie pionowo ścięta skała, obrócona do widza, a przedzielona od Gerlachu wąską doliną, zakrywa prawie cały widnokrąg. Skała ta, zwana Żelazne Wrota, poszarpana jest cała i najeżona iglicami, jak olbrzymi grzebień. Za Żelaznymi Wrotami wznosi się Wysoka węgierska, czarna, jak omszała butelka, a obok niej sterczą inne dziko i fantastycznie poszarpane i prostopadłe ściany, które patrzącego nań trwożą przejmują i zarazem wprawiają w zdumienie. Ten przedziwny, magi-

czny efekt powiększa się, jeszcze znacznie, jeżeli turysta trafił tu na czas słoneczny i pogodne niebo. Barwa owej prostopadłej ściany staje się naprzemian jasno-zieloną i jasno-szarą. Już około godziny trzeciej po południu przestaje słońce oświetlać stronę zwróconą ku owemu oknu; mnóstwo jednak promieni słonecznych, padających z poza krawędzi południowych gór, tudzież promienie odbite od ścian Gerlachu oświetlają i uwydatniają najdrobniejszy szczegół krajobrazu. Powstaje przez to jakiś szczególny, rzechy można jasny przejrzysty zmrok, coś dziwnie przezroczystego i jakby drgającego w powietrzu, czego żadna wyobraźnia przedstawić nie jest w stanie. Wszystkie te kształty i barwy nadają całemu widokowi jakiś dziwny i czarodziejski urok.

Napatrzywszy się dowoli, choć trudno było stąd oczu oderwać, musieliśmy radzi nie radzi wracać, bo chyłące się ku zachodowi słońce napominało nas do powrotu. Zanim jednak ruszyliśmy z miejsca, podziękowaliśmy panu Chałubińskiemu za jego odkrycie, gdyż żadnemu z nas przez myśl nie przeszło, abyśmy w tem miejscu taką uroczą panoramę zobaczyć mogli; wątpię nawet, czy kto ze wspinających się na Gerlach na to okno choć spojrział, bo idąc na szczyt trzeba znacznie niżej na bok się zwrócić. Na pamiątkę tego odkrycia zgodziliśmy się jednogłośnie nadać odtąd temu oknu nazwę okna Chałubińskiego.

Przykro było wracać z niczem, ale wypadło się spieszyć, bo i chmurzyć zaczynało się coraz bardziej, a powtóre chodziło o to, żeby na noc zdążyć jeszcze do Szmeksu. Gdy tam dotarto szczęśliwie, niebawem zaczął padać deszcz, który lał przez całą noc. Wobec tego zaraz rano wyjechano do Kesmarku, a stamtąd do Zakopanego. „Wróciwszy do domu — opowiada ksiądz Stolarczyk — czułem, że dziwny mnie jakiś ogarnął niepokój; we dnie i w nocy przemyślałem, czy

poprzestać na tem, co już widziałem, czy też jeszcze raz próbować szczęścia i pokusić się o wyjście na sam szczyt Gerlachu.

Po dłuższych argumentach *pro et contra* stanęło wreszcie na tem: koniecznie iść trzeba (i to bez przewodnika Spizaka, na którego w żaden sposób zgodzić się nie mogłem), bo może już na przyszły rok, choćbym dożył, nie zdążyłbym do upragnionego celu; żal by mi zatem było, że mogłem czegoś dokonać, a nie dokonałem. Zresztą *audaces fortuna iuvat*. Właśnie rozpoczęła się prześliczna pogoda, co mi wielkiej dodało ochoty do przedsięwzięcia tej wycieczki. Tym razem wybieralem się sam jeden, ponieważ dr. Chałubiński z powodu reumatyzmu obawiał się dłuższych, a o tej porze już zimnych nocy, zaś księdza Roszka właśnie wtedy nie było w domu, czego odżalować nie mogłem, bo byłby chętnie ze mną poszedł, dzielić to przedsięwzięcie.

Wziąwszy tedy ze sobą najlepszych przewodników zakopiańskich, mianowicie Wojciecha Roja, Szymka Tatara, Wojciecha Kościelnego i Wojtka Gewonta, dnia 20 września rano wyruszył „Jegomość“ znaną drogą przez Waksmundzką popod Wysokę, gdzie dopiero w pobliżu szałasów naprzeciw Młynarza zatrzymano się na dłuższy odpoczynek. Stąd przez Polski Grzebień, na którego grzbiecie już o zmroku rozpoczęto powtórnie, ruszono na dół do Felki, gdzie przy wyższym stawie, w gąszczu kosodrzewiny, ułożono się na nocleg pod gołym niebem, przy rozpalonym ogniu.

Nazajutrz skoro świt, nie już doliną Wielką na dół, jak za pierwszym razem, lecz wprost w górę podążono ku oknu Chałubińskiego, skąd Wojciech Roj puścił się naprzód na poszukiwanie drogi, Wojtek Gewont zaś miał polecenie, aby uważał na niego, którędy się przedziera. Za Gewontem szedł ksiądz pleban z resztą górali. W ten sposób zdołano wyjść

na wysoki grzbiet górski, z którego ukazał się imponujący, ale zarazem straszny widok.

Ukazały się bowiem okropne urwiska, prostopadłe ściany, mniejsze i większe poszarpane turnie, a wszystko to tak przerażające, że zdawało się, iż nikt żywy tam dostać się nie może. Zaręczam, że pierwszy przewodnik, który tu zaszedł, nie odrazu odważył się przechodzić po tych strasznych głazach, ale zapewne, będąc koziarzem, może przez kilka lat próbował, zanim doświadczył, iż po owych turniach przejście jest możebne. Nam na pierwszy rzut oka przebycie tych turni wielkie przedstawiało trudności i gdybyśmy z górami mniej byli obeznani, niż jesteśmy, zapewne cofnęlibyśmy się z tego miejsca, jak to niezawodnie wielu innych turystów uczyniło. Nie tracąc jednak otuchy, spuszczały się za wskazówką Gewonta to szczelinami na dół, to znów drapiemy się w górę. Dwaj przewodnicy Tatar i Gewont naprzemiennie rękę lub ciupagę mi podają, lub niżej na ścianach słabo uciepieni podpierają moje nogi, wszyscy zaś prawie w powietrzu zawieszeni jesteśmy. W ten sposób doszliśmy do miejsca, gdzie Gewont ostatni raz Roja widział... Czułem się potężnie zmęczonym...

Odpooczywamy już nie siedząc, bo na to nie było ustępu, lecz tylko oparci o ścianę stoimy i słuchamy skąd Roj się odezwie. Jednak nic nie było słychać. Oglądając się po za siebie którądyśmy przechodzili, rzekłem: „Gdybym sam wtedy nie przechodził, nigdy bym nie uwierzył, iż przez te łamy i urwiska przejść można“. Za chwilę usłyszeliśmy głos od ściany odbity, który coraz silniej się rozlegał, w miarę, jak oddalaliśmy się od miejsca. Drapiemy się zatem jeszcze wyżej i wciskamy się w przykry od góry do dołu żleb. Spojrzawszy w górę, zobaczyliśmy na samym szczycie nad nami Roja, który dawał znać, aby za nim zdążyć. Wtedy na widok bliskie-

go kresu wycieczki nabieramy jakoś świeżych sił i bez ustanku pniemy się żlebem w górę.

Pod samym szczytem pragnienie mi tak mocno doku- czyło, że krzyknąłem na Roja, aby mi podał trochę wina. Ten, zeskakując z wierzchu zapewnia mnie, iż ten szczyt jest najwyższym. Można sobie wyobrazić naszą radość, gdyśmy się o tej pożądanej przez nas nowinie dowie- dzieli.

Pokrzepiwszy się winem, nie czułem już tak wiel- kiego zmęczenia, tembardziej, że pnącemu się w górę towarzysze moi rękami i ciupagami dopomagali.

Nareszcie o godzinie wpół do drugiej popołudniu zatrzy- mano się na najwyższym szczycie.

Po takim mozolnem wspinaniu się pod górę czu- łem nielada zmęczenie; dlatego też zaraz usiadłem w cie- niu za skałą, sterczącą od strony zachodniej... Wstawszy za chwilę i rozpatrzywszy się na wszystkie strony, wpa- dłem w prawdziwe zdumienie nad temi cudami Bożemi, które się roztaczały przed mojem okiem. Wtedy przyszły mi na myśl owe piękne słowa naszego nieodżałowanego wieszca Pola: „I nic nad Boga!“

Pogoda była prześliczna, zaledwie tylko na samym czubie Łomnicy lekka się chmurka zjawiła. Jak daleko zachwyczone oko sięgnąć może, wszędzie otwiera się sze- roki, daleki cudowny krajobraz. Czy to bliżej siebie, czy w rozległości całych Tatr, czy wreszcie po za Tatrami oko, a raczej dusza widokiem nasycić się nie może. Po pierwszym rozglądnięciu się uklękliśmy i w cichej mo- dlitwie oddaliśmy cześć Najwyższemu, iż nam pozwolił oglądać te dziwy. Wciąż patrząc, rzeczywiście w kłopo- cie jestem, w której stronie, na którym punkcie oko dłu- żej zatrzymać, bo trudno oznaczyć, co i gdzie piękniej- sze, wszystko tu tak silne wrażenie sprawia i wielkością

swoją człowieka przygniata. Na zachód w głębi Tatr rysują się wybitnie tysiączne mniejsze lub większe szare wieże w dziwacznych kształtach, nagie turnie, dziko poszarpane, skaliste, straszne przepaści, wszystko zaś razem tworzy jeden obraz jakby pogruchotanego świata. Ku wschodowi sterczą olbrzymy tatrzańskie: Lodowy Szczyt, Łomnica, Durna Góra, Baranie Rogi, z całym szeregiem innych mniejszych szczytów; na południe zaś roztwiera się stolica hrabstwa Spiskiego i Luptowskiego, a dalej błękitnieją w lekkiej nizie góry koszyckie, różnowskie i starohorskie.

Nasyciwszy się, że tak powiem, tym w swoim rodzaju jedynym widokiem, na którego opisanie pióro moje zbyt jest nieudolne, ukląknęłam jeszcze raz i odśpiewałam z radością przepelnionem sercem *Te Deum*, podczas gdy towarzysze moi po cichu się modlili. Przerwał nam zachwycenie nasze unoszący się ponad szczyty i przepaści Gerlachu wspaniały wielki orzeł, jedyna żywa istota, która tę skalistą górną krainę zamieszkuje.

Wspomniałem poprzednio, iż podobny widok jak z Gerlachu nie tak łatwo znaleźć na świecie; może to wygląda na przesadę, ale może być w części i prawdą, jeżeli ten widok porównamy z innymi.

W podróży do Ziemi Świętej wybrałem się był do Egiptu i nie omieszkałem wdrzyć się na szczyt piramidy Cheopsa, skąd na zachód przedstawia się tylko jedno rozległe morze piasku i nic więcej nie widać; na wschód zaś Kairo z 400 meczetami, z których niezliczone minarety w górę wystrzelają. Ma ten widok wprawdzie pewien urok, ale oko pragnęłoby jeszcze czegoś więcej. Że zaś powietrze jest duszne, a zatem niebardzo przeźroczyste, więc już pod tym jednym względem wielka różnica w porównaniu do widoku z Gerlachu. W Arabii znów za Czerwonem morzem rozlega się smutna płaszczyna, pustynia bez roślinności; dalej ukazują się góry, nie mające

jednak tego czarującego kolorytu co nasze Tatry, zmieniające co chwila wyraz swej fizjognomji.

Zwiedzając górę Tabor, byłem rzeczywiście widokiem z jej szczytu zachwycony; muszę tu jednak nadmienić, że cały krajobraz przedstawił mi się w znacznie ściśnionych ramach, niedosć gubiący się w nieskończoności, bo jak wiadomo góra Przemienienia Pańskiego o wiele jest niższą od Gerlachu. Uważałem również, że z Hermonu, wznoszącego się nad jeziorem Genezareth, byłby nie równie piękniejszy widok. Następnie gdy w Włoszech zwiedził Wezuwiusz, doznałem wprawdzie szczególniejszego wrażenia, lecz już w innym rodzaju, bo tutaj sąsiedztwo błękitnego morza i miasta wiele się do piękności przyczynia.

Co się jednak samych gór dotyczy, to przyznać muszę otwarcie, że wolę nasze Tatry i przekładam je nad wszelkie inne góry. Mają one coś poetyczniejszego w sobie, więcej jakoś przemawiają do mego serca i czuję dla nich prawdziwe zachwycenie. Czy może dlatego, że swojskie? — niechaj to rozstrzygnie kto chce, zresztą jak mówią, *de gustibus non est disputandum*. Ta nagromadzona różnaitość szczytów i turni, które z Gerlachu widzimy, wprawia nas w tem większe zdumienie, jeżeli bliżej siebie popatrzymy. Wszystkie inne góry mają jeden najwyższy szczyt, mniejsze zaś turnie, jak je np. posiada Łomnica, są znacznie niżej położone. Z Gerlachu jednak patrząc rzecz się zupełnie inaczej przedstawia. Rozdzielonym on jest na pięć szczytów ciągnących się od północy na południo-wschód, jednak nie w prostym kierunku. Średni jest najwyższym, kto więc chce powiedzieć, że był na samym szczycie Gerlachu, musi na ten średni wyjść. Północne dwa cokolwiek niższe, od średniego, a południowe co do wysokości także go nie dosięgają. Przejście z jednego szczytu wprost na drugi jest w żaden sposób nie możebne. Każdy z nich to olbrzym straszny,

o którego odarte i głuche ściany tylko wiatr się rozbija. Przed tysiącami lat niezawodnie te pięć szczytów stanowiły tylko jedną górę. Dopiero wskutek tych strasznych wstrząśnień, którym ziemia nasza podlega, nastąpił, iż się tak wyrażę, rozbrat i góra rozpadła się na pięć oddzielnych części i mnóstwo turnic. Naokoło otoczony jest Gerlach wszędzie przepaściami, z których najstraszniejsze znajdują się od północnej strony i od wschodu. Najmniejszej trawki tutaj nie spostrzegłem, a żywego stworzenia ani śladu nie było.. Miejsce na wierzchołku góry nie jest zbyt wielkie i prawie równe. Na krawędzi od doliny Wielkiej ustawiona jest przez turystów mała piramidka z kamieni; poznać jednak, iż ich jeszcze nie wiolu tu było, bo piramidka niewielka.

Pomimo prześlicznego widoku musieliśmy wreszcie wracać, gdyż nocować tu niepodobna, a chylące się ku zachodowi słońce przypominało, że mamy przed sobą trudny i daleki powrót; zmęczonemu zaś, wieczorem lub nocą, nie radziłbym z Gerlachem na dół schodzić, gdyż kroku jednego nie byłby w stanie zrobić. Pożegnałem się zatem z Gerlachem i z wszystkimi widokami ze szczytu jego, kto wie, czy nie na zawsze, bo już tu prawdopodobnie więcej się nie zapuszczę. Z dziwnym uczuciem, jakby boleśnie dotknięci rozłączeniem się z drogą osobą, zaczęliśmy schodzić na dół.

Ponieważ rzeczy pozostały w Felce, więc wracano tą samą drogą, co w tę stronę. Schodzono dosyć szybko, ale w jednym miejscu wypadło omijać skałę, bardzo trudną do przejścia.

Jest to skała mająca kilka kroków długości, a może lokieć szerokości, nachylona cokolwiek jedną krawędzią nad wielką przepaścią. Po tej skale trzeba przechodzić i przeciskać się koło wysokiej całkiem gładkiej i prostopadłej ściany, a nie mając się czego uchwycić przechodzący

musi być nad tą przepaścią nachylonym. W razie zachwiania lub poślizgnięcia nogi runąłby nieszczęsny turysta w okropną przepaść, z której tylko na drobne części pogruchotane kości wydobyć by można. Dlatego też przewodnicy nasi, Szymek i Roj, zdjęli kierpce, a stanawszy po obu bokach skały, uczepili się o ile mogli najdalej i wyciągniętymi rękami zastawiali moje nogi, aby się jakim przypadkiem nie zsunęły. Ja zaś bardzo uważnie szedłem i, na szczęście odwagi, jakiej tu koniecznie potrzeba, nie straciłem na chwilę.

Reszta drogi, choć utrudzająca, już nie przedstawiała nic nadzwyczajnego. „O ile siły pozwalały, schodziliśmy z góry dość rażno, a na spoczynek wybraliśmy ładne miejsce przy źródle, z którego woda, czysta jak kryształ, wytryskała. Moi towarzysze coś przekąsili, ja zaś, niestety nic w usta wziąć nie mogłem. Po krótkim wypoczynku trzeba było zejść do kotliny i tutaj niespodzianie uczułem, że nogi mi jakoś służbę wypowiedziały. Dlatego chwycił mnie Roj za jedną a Gewont za drugą rękę i na sposób kozie szybko przeskakiwaliśmy ogromne jak domy zwaliska, które na drodze powalone leżały; albowiem o obejściu tych głazów nie można nawet myśleć“. Przybywszy do doliny Felki, rozpaliwszy ognisko odprawiono nocleg. Nazajutrz ruszono na Polski Grzebień, nocowano znów pod Młynarzem poniżej szałas, a następnego dnia pod wieczór znaleziono się z powrotem w Zakopanem. „Każdy z nas był w dobrym zdrowiu i zupełnie zadowolonym z wyprawy, bośmy się nadaremnie nie wybrali, lecz pierwszy raz na sam szczyt tak okrzyczanego Gerlachu wydostali“.

W styczniu z. r. otrzymałem był z Kesmarku od p. Döllera, sekretarza węgierskiego Towarzystwa Karpackiego, zapytanie, czy rzeczywiście byłem na szczycie Gerlachu i z którymi przewodnikami się wybrałem? Odpisałem mu na to, że w istocie byłem 22 września 1874

roku na najwyższym punkcie i wyliczyłem wszystkich towarzyszących mi zakopiańskich przewodników. Wkrótce potem odebrałem od tegoż p. Döllera drugi list, w którym mnie uprzejmie prosił, abym moje twierdzenie udowodnił; sądził bowiem p. sekretarz, że się mylę, biorąc zapewne inny, mniejszy szczyt za najwyższy; albowiem trafiło się to już wielu turystom zwiedzającym Gerlach, iż sami siebie oszukując twierdzili o tem, czego nie dokazali. Takie powątpiewanie ze strony Węgrów wcale mnie nie zdziwiło. Gdy byłem podczas pierwszej wyprawy na Gerlach w Szmeksie, i nie chciałem stamtąd brać przewodnika, opowiadano mi, że znany turysta węgierski Maurycy Déchy (Deczi), który miał sam bez przewodnika odszukać wyjście na Monte Rosa w Szwajcarii, przez dwa tygodnie mozolnie szukał przejścia na Gerlach, lecz go nie znalazł. Dlatego też litośnie potrząsali Węgrzy głowami, gdyśmy z naszej pierwszej nieudanej wyprawy z niezem do Szmeksu wrócili, dziwiąc się nad taką naszą, jak nazywali, pychą i zarozumiałością. To mnie najwięcej do przedsięwzięcia drugiej wyprawy pobudziło; obrażona miłość własna, nie dała mi spokoju, dopóki nie dopiąłem swego. Otóż powtarzam, takim niedowiarstwem Węgrów wcale nie byłem urażony, bo wiedziałem, że p. Dölller mnie nie zna i nie wie o tem, iż od 27 lat chodząc ciągle po szczytach gór, miałem sposobność poznać je i umieć dobrze rozróżnić, jaki szczyt jest wyższy a jaki niższy. Opisałem więc p. D. różne charakterystyczne oznaki, które się na najwyższym punkcie Gerlachu znachodzą. W kilka dni później otrzymałem odpowiedź w tych słowach: Es ist gar kein Zweifel mehr, Sie waren auf der richtigen höchsten Spitze. Przekonali się zatem Węgrzy dowodnie o prawdzie mojego twierdzenia. Najmilsze mi jednak to wewnętrzne przekonanie, że mimo doznanych zawodów i trudów pierwszy utorowałem drogę na Gerlach dla następnych turystów.

III.

W miarę, jak Zakopane, za wpływem Chałubińskiego, coraz bardziej stawało się modnem letniskiem ogólnopolskiem, zaczęła wzrastać potrzeba obszerniejszego kościoła; stary, drewniany kościółek z roku 1847, oddawna już był za ciasny, tak, że w niedzielę podczas nabożeństwa, gdy wewnątrz tłoczono się nadmiernie, przynajmniej drugie tyle. zwłaszcza górali, modliło się na dworze, tuląc się do modrzewiowych ścian świątyni. Nawiasem mówiąc, był to bardzo malowniczy widok, utrwalony przez Józefa Rapackiego na jednym z jego zakopiańskich obrazów.

Wobec tego postanowił ksiądz Stolarczyk w roku 1877 zbudować nowy kościół, większy znacznie. murowany, zakupiwszy odpowiedni grunt we wspaniałem miejscu, co mu wobec oporu górali, niechętnych temu kosztownemu przedsięwzięciu, wcale nie przyszło łatwo¹. Gdy wreszcie plan nowego kościoła, sporządzony przez warszawskiego architekta Dziekońskiego, a ofiarowany przez Chałubińskiego, uzyskał potrzebne zatwierdzenia, w roku 1880 stanęły fundamenty, poczem budowa z wolna postępowała naprzód, gorliwie popierana przez zabiegliwego „Jegomości“, który nie szczędził trudów, gdy chodziło o zbieranie potrzebnych funduszków. Od tej chwili różne koncerty i przedstawienia „na budowę kościoła“ stałe były na porządku dziennym zwłaszcza w czasie sezonu.

Po sezonie. we wrześniu, gdy już goście rozjechali się na

¹ „Tak czy owak — pisze Witkiewicz — działalność księdza Stolarczyka nie przeszła bez śladu; założyła ona podwaliny porządku społecznego, ociosła etyczne pojęcia górali, zgruba, ogólnie, gdyż, jak mówi w swym pysznym stylu pleban zakopiański, duch ludzki nie da się złamać, jak kij, na kolanie, i dziś po pięćdziesięciu przeszło latach, znajduje on, że rezultat jego pracy jest znacznie mniejszy, niż się spodziewał“. To też było powodem, iż ksiądz Stolarczyka nieraz, jak do tego przyznawał się Witkiewiczowi, ogarniało „zwątpienie i pesymizm“, tak dalece, że była nawet chwila, iż chciał opuścić Zakopane.

wszystkie strony, a pogoda ustalała się pod znakiem polskiej jesieni i babiego lata, ksiądz kanonik, dobrawszy sobie do towarzystwa Wojciecha Ślmaka, albo Wojciecha Kościelnego, szedł w góry, najczęściej do Czarnego Stawu, bo już na większe uciążliwe wycieczki nie pozwalał mu wiek podeszły. Ale za to przy Czarnym Stawie, lub poniżej hali Gąsienicowej pod jednym ulubionym świerkiem, z pod którego cudny był widok na cały łańcuch Tatr od Koszyckiej po Świnnicę, prześadywał po kilka dni, żyjąc głównie żentycą i pięknosciami natury górskiej, dla której miał tak wyjątkowe zrozumienie i kult.

Bo ksiądz Stolarczyk, choć pochodził z ludu, choć był człowiekiem pierwszego cywilizowanego pokolenia, odznaczał się nietylko bystrą inteligencją, ale podobnie jak Chałubiński, był podszyty poetą, wrażliwy na piękno wogóle, a zwłaszcza na piękno w przyrodzie, na którą patrzył nietylko okiem człowieka religijnego, pełnego podziwu dla dzieła Stwórcy, ale i okiem artysty, umiejącego odczuć istotę tego piękna, np. jego walory kolorystyczne, które tak trafnie i subtelnie uwydatnił np. w swym opisie Okna Chałubińskiego pod Gerlachem. Wykształcony humanistycznie, dobry łacinnik, wcale niezgorzej władający językiem niemieckim, rozmiłowany w poetach Złotego Wieku, zwłaszcza w Kochanowskim, posiadał nietylko znakomicie zaopatrzoną piwnicę z całą kolekcją win węgierskich, które gromadził z amatorstwa, sam pijąc bardzo mało, ale i doborową bibliotekę, bo choć do tego nie przyznawał się otwarcie, miał... żyłkę literacką.

Że nie był pozbawiony i talentu pisarskiego, tego przede wszystkim dał dowód w swym mistrzowskim, a poniekąd klasycznym opisie swej „Wycieczki na szczyt Gerlachu“, napisanym tak bezpretensjonalnie i poprostu, a tak pięknym językiem i stylem, że wcale nie przesadza Witkiewicz, gdy na jego „pyszny styl“ zwraca uwagę.

Ten „pyszny styl“ księdza Stolarczyka przejawiał się również w jego uroczystych przemówieniach okolicznościowych

przy różnych nadarzonych okazjach w Zakopanem, styl, którego mu wielu mówców kościelnych i świeckich mogło pozazdrościć.

Zachowały się dwa z tych jego przemówień: Mowa, wygłoszona dnia 30 lipca 1882 roku na uroczystości poświęcenia Dworca Tatrzańskiego w Zakopanem i mowa wygłoszona dnia 29 lipca 1883 roku na uroczystości poświęcenia Szkoły Snycerstwa w Zakopanem.

Pierwsze z tych przemówień, wypowiedziane na sali, szczerze wypełnionej publicznością, wśród której, obok Zyblikiewicza, Chałubińskiego, Baranowskiego, Eliasza, znaleźli się i dwaj goście belgijscy, August Couvreur i Karol Buls, przemówienie, które „na słuchaczach głębokie wywarło wrażenie“, brzmiało jak następuje:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Na chwalebne życzenie szanownych mężów Towarzystwa Tatrzańskiego dopełniłem poświęcenia domu tego. Dawny to obyczaj w Imię Boże przez kapłany błogosławić domy, przez co się niejako świątyniami stają, zatem i dom ten od dnia dzisiejszego jakoby świątynią, nad którym Bóg w szczególniejszy sposób opiekę mieć będzie, co mu pewną przyszłość wróży bo inaczej nie byłoby tak, jak psalm mówi: *Nisi Dominus laboraverit civitatem in vanum laboraverunt qui edificant eum*; — z tym też go przywilejem Szanownego Towarzystwa Tatrzańskiego ze strony kościoła świętego polecam.

I któżby był przed niedawnym czasem marzył, iż na tem, jak się zdawało, tak mało obiecującym miejscu, tak okazały gmach powstanie; przecież przed laty warunków ku temu nie uznawano, z początkiem mojej tu bytności rzadki się turysta pojawił, który oglądawszy cokolwiek pobieżnie wnet stąd znikał. Jednak Opatrzność Boska, jak się zdaje, inaczej postanowiła. Odnaleźli się mężowie, którzy te wyjątkowe dzieła Boże zrozumieli, opisywali, i, co więcej, przez dłuższy czas pilnie badając te wysokie skały tu przebywać poczęli. Nareszcie korona pojedynczych zapatrywań, poczucia i chęci,

stało Towarzystwo Tatrzańskie, a w następstwie i dom ten wspaniały który opatrnościowym nazywam. Spodziewać się bowiem należy, że się tu będą zgromadzać rozprószone dzieci jednej matki Polski, tu się będą bliżej poznawać, i do jedności, jako bracia i siostry, kojarzyć, i jak na ciele tak i na duchu pokrzepienia nabierać.

Stara bardzo legenda prawi, że w Tatrach śpią starzy polscy rycerze, którzy czekają, aby powstać i waleczne swe czyny odnowić i strapione praprawnuki pocieszyć. Schowała ich w ten zakątek, w to zacisze wyobraźnia ludu, pokryła ich olbrzymiami mogiłami, aby się stąd nigdzie nie podzieli, przeczuwając, iż powstałych niby z grobu dawnych wojowników, którzyby wielec duchem, jakby Tatry wyrosli, dla ratunku ojczyzny koniecznie potrzeba, co nam daje wiele do myślenia i do ostatniego spełnienia.

Prawie od początku rodzaju naszego zawsze myślący ludzie do gór podążali, czego świadkiem historia i sam Pan Chrystus nam w tym względzie przykład pozostawił, gdyż na górach swe tajemnice spełniał. Więc nie dziw, że i my się tu gromadzimy: właśnie dziwnie by wyglądało, gdyby nas tu nie było; może nas tu popycha głos w głębi duszy się odzywający, który niedawno temu wielki polski kapłan wyśpiewał:

Na góry, na góry,
 Tam bliżej do nieba;
 Tu na dole chmury,
 Nam nieba potrzeba.

Podziwiamy więc te śliczne doliny, dziwne źródła, głębokie stawy, kryształowe rzeki, zaś ze szczytów, wznoszących nas ponad zwykły poziom, przedewszystkiem podziwiamy rękę wszechmocnego Boga, który nam w tej świątyni całej Polski tak wspaniały ołtarz zbudował, mówiąc z św. Dawidem: „Ucieszyłeś mię, Panie, w robocie Twojej, w dziełach rąk Twoich weseliłem się. O, jako wspaniałe są

działa Twoje, jak głębokie się stały myśli Twoje!“ Potem oglądajmy się na szeroką i daleką ojczyznę naszą, lepiej ją, stąd, niż skądinąd widać; wtedy wspomnijmy na tych, co w tych górach spoczywać mają; nie śpią oni zawsze, bo jak legenda dodaje, czasem się budzą i rycerskie swe zbroje czyszczą, jak należy, opatrują, nawet mają być i tacy, którzy podkowy dla koni dniem i nocą kują. A wspomniawszy to, wspomnijmy i drugie, byśmy nie zmaleli, czem to dawne córy i synowie polscy byli; zapewne doda nam to bardzo wiele chęci do służenia Bogu i ojczyźnie, do wypełniania obowiązków św. religji naszej, w której owi nieśmiertelni na rycerskich olbrzymów wyrosli; zaś w tym domu, to czytając, to się wzajemnie budując, hartu duszy nabierajmy, każdy w swoim zawodzie na rycerza się pasując. Powinna się też z tego domu i od wszystkich z różnych stron tu przybyłych, zacnych, znakomitych obywateli dobra oświata, dobry przykład i zachęta do dobrego rozechodzić, aby ten lud prawdziwie polski się nie zmarnił, nie jeno materjalnie, lecz co więcej moralnie skorzystał. Żalby mi było ludu tego i w grobie bym się przewracał, gdybym się dowiedział, iż dopiero co z moralnej nędzy wydobyty, znów się do „ciemności śmierci“ wraca. Pamiętać bowiem należy, że materjalna korzyść bez moralnej podstawy, to śmierć, to ostatnia zguba. Dotąd dzięki Bogu i czcigodnym osobom, które tu przybywały, dość dobrze poszło; spodziewam się, iż coraz to lepiej będzie. Więc, czy w tę, czy w ową stronę popatrzę, przy pomocy Bożej, można na dobrą przyszłość liczyć. Z tej przyczyny, jak Towarzystwo Tatrzańskie, tak i ten dom nie powinien być dla nikogo obojętnym, i owszem, każdemu powinien utkwąć w sercu, jako pospolite dobro i chwałę Bożą na celu mający. Niechajże te czarujące góry, gdzie prześlicznym widokiem człek się uwesela, gdzie tyle siły i dzielności nabrać można, nigdy zapomniane lub lekceważone nie będą. Zatem życzę Szanownemu Towarzystwu Tatrzańskiemu i wszystkim, którzy tu przybędą i progi tego domu kiedykolwiek

przekroczą, aby Szanowne Towarzystwo Tatrzańskie w coraz to większe drzewo się rozrastało, pokrywając się zielonym liściem i pożywnym owocem; życzę, aby każdy tu stąd pocieszony, wzmocniony i zahartowany do domu swego powracał z czystym wspomnieniem, jak powietrze i woda tatrzańska, formując sam z siebie w swem powołaniu, to bohater, to bohaterkę, aby ich, nim powstaną, na teraz zastąpić. Boże daj, aby się stało, jak powiedziałem, a nakoniec z Dawidem za Janem III. powtórzmy: „Nie nam Panie, nie nam, ale imieniowi Swemu daj chwałę!“

Mowę swą, po uroczystym akcie poświęcenia Szkoły Snycerskiej, wypowiedział ksiądz Stolarczyk w sali szkolnej, szczerze zapełnionej gośćmi i góralami, a nastroiwszy ją na górnieszy ton religijny, po dłuższym wstępie, modelującym różne ustępy z pisma świętego, o samej szkole mówił między innymi, co następuje:

— Zgromadzeni tu Uczniowie i Panowie Nauczyciele! Pierwszą powinnością waszą, religję, jakąście z piersi matek wyssali, bacznie pielęgnować! Chcecie mieć Boga za sobą i szczęśliwą przyszłość przed sobą, choćby wam anioł z nieba inaczej mówił, nie wiercie! Zresztą słyszeliśmy historję o marnotrawnym synie i tysiąc różnych smutnych wypadków; na tej drodze pewna zguba i dosyć! Wiara, bogobojność, krzepić was będzie, że coraz to wyżej rozrastać się waszymi talentami nie przestaniecie, wyroby wasze coraz to doskonalsze, będą nie tylko pochwały, ale i podziwu godne; pomnażajcie się w mądrości, której początkiem jest bojaźń Boża, wzrastając w łasce u Boga i ludzi!

Szkoła jest przysionkiem kościoła Bożego; pobyt w niej tylko z skromnością i przykładnym obyczajom odpowiada; żąda się, i słusznie, od szkoły, aby wychodzili stąd pracowici, porządni i uczciwi obywatele, na ustach bez zdrady. Wstępują tu młodzi, wstępują i starsi. Młodszy, przyzwyczajajcie się do przykładnego prowadzenia, starsi, jeżeli by nieprzyzwoite nawyknienia mieli, muszą się ich pozbyć, szatę moralności oblec,

by spać który nie usłyszał: „Przyjacielu, jakoś tu wszedł, nie mając szkolnego obyczaju na sobie, wynoś się stąd, nie możesz tu dłużej pozostać!“ i musiałbyś uciekać zawstydzony, z gorzkim przypomnieniem: Ze szkoły mię wypędzono. bo byłem niepotem!

Mowa, którą opowiadam, nie jest moją, ale tego, który mię posłał, Jezusa Chrystusa, którą nietylko dla was, ale i dla następców waszych pozostawiam. Jestem kapłanem Najwyższego, nietylko mi o doczesność waszą chodzi, lubo i tę chciałbym widzieć jaknajlepszą, lecz stokroć więcej wagi kładę na wasze zbawienie; wiem bowiem dobrze, iż jak na zbawienie zarabiać będziecie, i pomyślność doczesna was nie minie; wszakże powiedziano: „Szukajcie naprzód sprawiedliwości Bożej, a reszta będzie wam przydana“.

Widzę, niejednakiego gatunku są tutaj roboty; są trudniejsze, są mniej trudne, idą coraz wyżej, aż do Matki Boskiej, którą człowiekowi trudno, jako Niepokalaną Dziewicę. z powagą macierzyństwa, oraz matkę Syna Bożego przedstawić; jeszcze trudniej aż do Pana Jezusa, w którego ludzkim obliczu niezmiernie ciężko śmiertelnikowi boskość uwydatnić; ręka tu prawdziwie pobożna z pomocą samego Boga coś dokazać może! Więc macie śliczne pole do bardzo miłej pracy! Któżby tu w tym domu o czem innem myślał, tylko jak w doskonałości postąpić aż do wyrobienia niebieskiej piękności Matki Boskiej i dziwnej, ludzko-boskiej twarzy Pana naszego, Jezusa Chrystusa!.. Nie równej miary mają wszyscy talenta, lub od Boga nabędą, ale ile komu dane, tyle z lichwą zwrócić winien, by nie wzięto, co ma mniej a dano innemu, co ma więcej, Boskie bowiem rządy takie!

Były tu pod halami czasy, kiedy religijnie zaniedbani próbowali żyć bez pracy, wygodnie; rozlatywali się po wilczemu za zdobyczą w nocy, nawet często w strony dalekie. Pomarli... pozostały po nich niemiłe bezprawia powieści, ze zdobyczy nic: chyba cierpkie wspomnienia niewynagrodzonej ludzkiej krzywdy! Jednak Opatrzność Boża dla „dziesięciu“ chciała

ratować resztę; powstaje kościół, przy kościele szkółki, narazie przybywa tu nigdy nie spodziewana snycerska szkoła, która uczciwą pracą szeroko, daleko w świat poleci szukać grosza dla zaradzenia biedzie, lecz o ten grosz uczciwie nabyty nie będzie na sądzie Bożym ni sromoty, ni zgryzoty! O, jakże dziękować Bogu wszechmocnemu mamy, z którego Opatrzności stało się, co się stało! Niechże więc Boska chwała ma w tej szkole stałą swoją siedzibę! Nie było by dla przeniewierstwa nazwy, jeżeliby się inaczej, czego Boże chroń, stać miało, jużbym dzisiaj rzewnie zapłakał.

A teraz spuśćmy się myślą z nieba na ziemię i dobrodziejów naszych, których nam Opatrzność boska wybrała, poszukajmy, by im z serca, na ile nas stać, podziękować, bo przecież wdzięczność jest jedną z pierwszych powinności człowieka, osobliwie chrześcijanina.

Najprzód znajdujemy Najjaśniejszego Monarchę naszego, pod którego rządami szczęśliwe dni nasze: już z tego względu, że wszędzie mamy obronę od złego, zachętę do dobrego! Ze wszech stron wołają na nas: „Pracuj uczciwie, a żyć będziesz!“ Życzliwość Najjaśniejszego Monarchy przeszła na rządy jego, rozlała się wszędzie, czuje ją każdy i dlatego wdzięczność dla niego i Jego całej rodziny jest i powinna być wszędzie. Błogosław mu Wszechmogący Boże w jaknajdłuższe lata!

Widzę dalej i spotykam Towarzystwo Tatrzańskie, które na szczęście nasze Opatrzność Boska jakby ze snu wywołała, ze wszech miar naszym górom przychylna. Na czele tegoż stanęli zaraz dzielni, jak rzadko, obywatele, sprawę szkoły snycerskiej w ręce wzięwszy, swą ofiarą, różnemi kłopotliwymi zabiegami i potężnym swym wpływem u Wysokich Rządów doprowadzili do tego, aby szkoła stanęła i należycie czynności swe odbywała. Towarzystwo Tatrzańskie naprawdę i sprawiedliwie, jako twórca tego zakładu, na węgielnym kamieniu ku wiecznej pamięci wyrytem być powinno; splywa to na wszystkich, którzy Towarzystwo zawiązywali, którzy

niem kierowali i dzisiaj kierują, i na wszystkich, którzy doń należą; wszyscy mają w miarę swej ofiary schowaną zasługę u Boga, którą w swoim czasie odbiorą! Przyczem zbieg opatrnościowy sprawia, iż właśnie na najwyższych stolicach zasiedli z gruntu szlachetni mężowie, którzy, rzecz zrozumiawszy, skutecznie ją popierali: jak c. k. Ministrowie, tak marszałek Krajowy, na prośby i podania pisali: „Oto macie, tylko róbcie“. Znikąd nie słyszano niechętnego: „Nie!“

W rządzie dobrodziejów spostrzegam jeszcze nad podziw górskiemu ludowi życzliwego przyjaciela, który o tej szkole już od dawna mówił, radził i nawet, gdzie należało, pisał; a ten jest, którego imię góral z uszanowaniem wspomina: Dr. Chałubiński, Nie z mniejszą od innych życzliwością dla tej szkoły nadarza się również z imienia głośny Dr. Baranowski, którego staranność uczniowie co rok dobrze czują. Nie mogę pominąć, aby nie wspomnieć pana budowniczego Łuszczkiewicza, który plan szkoły z bardzo rozumnym pomysłem wykonał i wspaniałomyślnie ofiarował. Gmina też Zakopane nie chciała pozostać bez niczego i ile mogła, tyle dała; spodziewa się po szkole wyroku, jak ów kulawy w przysionku jerozolimskiej świątyni: „Powstań z biedy, chodź prosto, nie bieduj i chwal Pana Boga!“ Niepodobna, aby dla tych wszystkich dobrodziejów i innych, których wyliczyć bardzo trudno, do wdzięczności się nie poczuwać. A wy, co ze szkoły najwięcej korzystać będziecie, do śmierci za nimi Pana Boga gorąco prosić powinniście.

Atoli Opatrzność Boża na tym punkcie miłosierdzia swego nie kończy. Ot! Wysokie Rządy posyłają dyrektora Franciszka Neuzila, rzadkiej uczciwości człeka, bez którego, co najmniej ciężko było by poszło. Swą gruntowną nauką, doświadczeniem, wytrwaniem i dobrą wolą, ile można było, użytkował i na szczyblu terażniejszej wysokości postawił! Przybyli do pomocy pp. Galet i Selecki, niedawno temu i Regiec, w nowym zawodzie doskonali, nauczyciele wzorowi, po których poznać, iż im szkoła na sercu leży. Dzięki Bogu!

wszystko się zbierało na jedno szczęśliwie jako w Tatrach różne prądy do jednego źródła. Źródła tatrzańskie nie ustają i posyłają daleko swe wody. Boże! daj tej szkole trwałe życie, aby wyrobami swymi tryskać nie przestała, póki górskiego ludu stanie!

Uczniowie! Jesteście w tej szkole pierwsi, jesteście początkiem w tem miejscu zamiarów Bożych, co dopiero pokosztowaliście pracy. Starajcie się, by wam do smaku zasmakowała: przykładowymi obyczajami, modlitwą szukajcie pomocy Bożej, aby Ojciec z nieba, co braknie dodawał i ludzie sprzyjali i dokądkolwiek się rozejdziecie, znać było po was, żeście w dobrej szkole byli. Jak imiona wszystkich dobrodziejów, nauczycieli, tak i wasze zapiszą się w księdze historii Szkoły snycerskiej w Zakopanem, i po stu latach i dalej czytać ludzie będą, jakimiście byli i coście za jedni, czyście się dobrze sprawowali, pilnie uczyli, śliczne rzeczy wyrabiali, życia utrzymanie sobie ubezpieczyli. A jakby się który sprzeniewierzył i stąd z hańbą wyleciał, i to się zapisać nie zapomni! Jesteście synami polskiej ziemi, której królową jest Matka Boska Częstochowska; doświadczycie od Niej wiele i cudów doznacie, czego się nawet nie spodziewacie, i to tem więcej, iż jesteście uczniami snycerskiej szkoły, z której się ta Królowa cieszy, iż ma takową w swem królestwie; lecz musicie tę Matkę Zbawiciela, tę Panią i Królową naszą, nie na sercu, ale w sercu nosić. Będzie ona na drodze waszego przeznaczenia pewną obroną i stałą pociechą. Nie zapominajcie o tej Matce, Pani i Królowej nigdy a nigdy!

Oddaję wam dzisiaj ten dom czysto wymieciony; jedynie Opatrzność Boża ma tu swoje prawo i siedzibę; pilnuj każdy siebie, by snadź lekkomyślnie szatanowi powrotu nie ułatwił; bo wtedy zdrada szkoły, a zły, niestety, uczeń, jej zdrajca. Czego, Boże, nie dopuszczaj! Już kilku z was, osobliwie dwóch, Michał Król i Antoni Święch, pięknem prowadzeniem, pracą i zdolnością naprzód się wysunęli; inni za

nimi biegną raźnie; smutnie byłoby, gdyby który z lenistwa okulał i z wstydem na pół osiadł drogi. Zbierajcie siły rąk i głowy, proście Pana Boga, aż dobiegniecie przeznaczonej wam od Opatrzności Bożej mety.

Zapewne Królowa nasza, Matka Boska, u Syna swego, Pana Jezusa, wyprasza, że się w narodzie polskim coraz więcej duch prawdziwie katolicki ożywia, który szuka i pragnie, aby z najlichszego kątką współbraci swych wydobywać i do umoralnienia pożytecznej pracy i na godnych obywateli swej ojczyzny podnieść. Dlatego nie masz, ktoby wam dobrze nie życzył, bylebyście zadania wasze jaknajwierniej dopełniali: stąd to przyszła kolej i na podtatrzańskie schronisko, że góralskie syny i dziewczęta do ślicznego zawodu powołano. Spodziewać się należy, że wzniesie się okazały kościół, ku uwiecznieniu katolickiej, bratniej, polskiej miłości!...

Doskonały mówca i pisarz prozą — czego obie te mowy, posiadające wybitną wartość literacką, są aż nadto wystarczającym dowodem—ksiądz Stolarczyk niemniej biegle umiał się wypowiadać wierszem. Bo pisywał i wiersze. Pisywał ich nawet sporo, a niektóre o ile to były pieśni pobożne, przeznaczone dla ludu, dla parafjan, rozpowszechniał w formie drukowanej, na osobnych arkusikach, bezimiennie oczywiście.

Oto naprzykład jeden z takich wierszy, zatytułowany *Lament grzesznika nad sobą*, wydrukowany wprawdzie w krakowskiej drukarni Anezyca, jako „nakład ks. Stolarczyka“, ale podpisany tylko literami: ks. J. S. w Z.

Dziś mój Boże, myślę sobie
O mej duszy przyszłym grobie
Ach, niestety, nie dobrego
Nic nie widzę pociesznego.

Grzechów mię ciężary męczą,
Wyrzuty sumienia dręczą;
Samo, samo utrapienie
Gorsze, niż ciężkie więzienie.

Dręczy mię wszystko i trwoży.
 Bo się wiele złego mnoży;
 Grzechy rosną: jak to będzie.
 Gdy raz Bóg sądzić zasiędzie?

Lękam się bardzo, o Boże!
 Bez Ciebie któż mię wspomóż?
 Zginęły mi dary Twoje;
 Biedne teraz życie moje.

Grzechy moje powracają,
 O pomstę na mnie wołają;
 Chcę je stracić, lecz nie mogę,
 Zewsząd mi zachodzą drogę.

Widzę je we śnie, na jawie,
 I żyję w ciągłej obawie.
 O, smutna ma dola, smutna,
 Każda ma chwila okrutna.

Czarne chmury przelatują
 I coś straszego zwiastują;
 W oczach mi się ciemno robi...
 Któż wie, co ze mną Bóg zrobi?

Tam mnie kusi, tu mnie zwodzi,
 I coś złego przy mnie chodzi;
 Tam iść straszno, tu urwisko:
 Może już piekło mnie blisko.

Ciężko, smutno na umyśle;
 Zdaje mi się, gdy pomyślę:
 Że widzę piekielne męki,
 Że słyszę przeklętych jęki.

Bez pociechy, bez ratunku,
 Nie mam folgi w swym frasunku.
 Niemasz, niema ulgi z nieba,
 Niemasz, co mej duszy trzeba.

Trudno znaleźć teraz Boga:
 Zginęła mi prosta droga:
 Znaleźć jej teraz nie mogę,
 Zgubię mą duszę niebogę.

Był Bóg moim ojcem w niebie,
 Jezus chciał mię mieć u siebie:
 Teraz nie z tego, powiada.
 Ach, biada mej duszy, biada!

Grzechy moje, jako morze,
 O, mój Jezu, miły Boże!
 Krew się ścina; serce ściska,
 Gdy na Twój Krzyż spojrzę z bliska.

Widzę rany, bok przebity,
 Całyś Jezu, krwią obmyty;
 A ja, zamiast mej miłości,
 Wracam złości same złości.

Zrobiła mi to niecnota,
 Że się tułam, jak sierota;
 Ni na słomie, ni na gnoju
 Nie mogę znaleźć spokoju.

Cóż ja pocznę teraz, Panie!
 Miej nademną zmiłowanie!
 Ach, Ojczy! wołam do Ciebie.
 Nie odpychaj mnie od siebie!

Nie potępiaj mojej duszy,
 Którą boleść straszna suszy.
 Że Cię ciężko obrazila,
 Ojca swego opuściła.

Śmierć, grób, piekło i sąd Boży
 Bojaźń, trwogę we mnie mnoży;
 Przecież nie tracę nadziei,
 Chociaż błędę w tej zawiei.

Cóż dopiero, gdy śmierć przyjdzie?
 Dusza moja z ciała wyjdzie?
 Nuż ją pomroki otoczą
 I czarci z piekła obskoczą.

Ale przypominam sobie,
 Co słycać. Boże, o Tobie:
 Że grzesznych przyjmiesz w swym dworze.
 Jeżeli wrócą w pokorze.

A więc żaluję, boleję
 I lzy żalu z oczów leję;
 Nie oschną moje powieki;
 Płakać będę, choć na wieki.

Drogi Jezu, Synu Boży!
 Niechże mię rozpacz nie trwoży;
 Wejrzyj na strapioną duszę,
 Zmniejszaj mą straszną katuszę.

Wspomnij na śmierć, mękę Twoją
 I na duszę chrzczoną moją;
 Niech, gdy była okupiona,
 Niechże i będzie zbawiona.

O, poproszę Twe kapłany,
 Co to goją duszy rany,
 By raczyli mocą Twoją
 Uspokoić duszę moją.

Święci także wiele mogą:
 Raduję się, że pomogą.
 Mam też Matkę, która cieszy.
 Kto tylko do niej pospiesz.

O, Marjo ukochana!
 Nam za matkę grzesznym dana,
 Do Ciebie ręce podnoszą
 I o ratunek Cię proszą!

Słysz, Marjo, Twoje dziecko
 Płacze, woła: Ma Mameczko!
 Grzechy trapią, serce boli.
 Poratuj mię w tej niedoli.

Dla mych złości i swawoli
 Jęczę w grzechowej niewoli;
 Już mię wartują złe duchy...
 Broń mię, Matko, dodaj skruchy!

Wszak od wieków głośno wszędzie,
 Co Ty, Matko, możesz w biedzie;
 Zwróć też na mnie oczy Twoje,
 A ustaną bóle moje.

Powiedz, Matko: „Precz szatany!“
 Wnet spadną ze mnie kajdany,
 I zaśpiewa dusza wierna,
 Żeś Ty, Matko, miłosierna.

Spojrzyj na me utrapienie!
 Wyproś, Matko, pocieszenie!
 Wyproś koniec mych katuszy,
 Niech mam miły spokój duszy!

I wy, Święci Patronowie,
 I wy, Anieli Stróżowie!
 Pociągajcie mię do siebie,
 Bo chcę z Wami wraz być w niebie!

Pragnę w końcu we wieczności
 Widzieć niebieskie jasności;
 Pragnę, gdy zawrę powieki,
 Z Bogiem Ojcem żyć na wieki!
 Amen.

Oprócz powyższego *Lamentu* znany jest jeszcze drugi wiersz „księdza kanonika“ Stolarczyka, mianowicie jego *Hymn* z roku 1879, wydrukowany w Tarnowie przez Rusińskiego, a podobnie jak poprzedni wiersz, wydany nakładem autora samego. *Hymn* ten, zdaje się wcześniejszy od *Lamentu*, ma następujące brzmienie:

I.

I grzechy nasze i winy
 Naszych boleści przyczyny;
 Ach, Bóg ciężko obrażony
 Zostawia nas bez obrony.

II.

Niemasz ulgi, odpoczynku,
 Bez Twego, Boże, ratunku;
 Ach! na te ciężkie niemocy
 Już może nie dasz pomocy.

III.

Ależ z Twym Kościołem świętym,
 Teraz srodze uciśniętym,
 Gdy błagać poczniemy Ciebie,
 Raczysz wejrzeć na nas w niebie.

IV.

Tej nadziei nie tracimy,
 Nigdy jej nie porzucimy,
 Za Twe miłosierdzie Boże!
 Nasze za życia być może.

V.

W naszym smutku, utrapieniu,
 W naszym wołaniu i pieniu,
 Matko Boża, wysłuchaj nas,
 Prosimy, nie opuszczaj nas.

W lipcu 1893 roku, przeżywszy lat 77, ksiądz Stolarczyk po stosunkowo krótkiej słabości rozstał się z tym światem. Umarł w Zakopanem, w swojej plebanji, żalowany i opłakiwany nie tylko przez górali zakopiańskich, dla których był jakby apostołem wiary chrześcijańskiej, ale niemal przez całą Polskę, przez tych przynajmniej, co na lato zwykle przyjeżdżali do Zakopanego, a czytali *Na przełęczy* Witkiewicza.

Pochowany na cmentarzu zakopiańskim.

IV.

W roku 1915, a więc we dwadzieścia dwa lata po śmierci ks. Stolarczyka, wydał z jego manuskryptu Adam Wrzosek „Kronikę parafji zakopiańskiej“, którą zmarły „spisywał przez długie lata stylem niemal kronikarzy średniowiecznych“, a która istotnie „stanowi materiał nie tylko do jego charakterystyki“, lecz także ma pewne znaczenie dla historii Zakopanego.

Kronika ta, zrazu pisana po łacinie, a potem już do sa-

mego końca po polsku, w sposób „bezpretensjonalny“, ujmujący prostotą, doskonale odbija duchowe oblicze autora, oraz jego głęboką wiarę.

Pierwszy rozdział tej „Kroniki“ jest ważnym przyczynikiem do historii budowy kościoła w Zakopanem. Zapisane w nim różne wydarzenia od roku 1848 aż do 1858. Oto ważniejsze z nich ustępy:

Pod górami karpackimi położona jest wieś zwana Zakopane, której mieszkańcy należeli od początku częścią do parafji Czarny Dunajec, częścią do kościoła Szafarskiego, który był filią Nowotarskiego; po jakimś czasie część należąca do Czarnego Dunajca wcielona została do parafji ustanowionej w Chochołowie, część zaś druga wcielona została do parafji ustanowionej w Poroninie; zawsze przecie z powodu wielkiej odległości odczuwano potrzebę własnego kościoła i dlatego też tak się stało, iż pewien mieszkaniec, Paweł Gąsienica, powziął postanowienie, aby na roli Osiedle wystawić przynajmniej kaplicę, w którejby od czasu do czasu mogła być odprawiana ofiara mszy świętej i gdzieby można udzielać ludowi nauk religijnych.

Gdy przez licytację tych dóbr stał się ich właścicielem Wielmożny Pan Emanuel Homolacz, skierował on całą swą troskę ku urządzeniu parafji; jednak gdy on zmarł wczesnie, małżonka jego, Wielmożna Pani Klementyna Homolacz z domu Sławińska, stawszy się dziedziczką tych dóbr, ze swoim drugim małżonkiem, Edwardem Homolaczem, udotowawszy probostwo, w dniu 10 sierpnia 1837 roku urzeczywistnili ten projekt, lecz z powodu różnych okoliczności dopiero w roku 1842 przedłożyli do zatwierdzenia Najdostojniejszemu Majestatowi. Najjaśniejszy Pan przez uzupełnienie kongruy dla Proboszcza projekt ten w dniu 12 sierpnia 1845 roku pod Nr. 24.218 zaaprobował.

W następstwie tego mieszkańcy Zakopanego i Kościeliska wraz z Dominium Zakopane pobudowali kościół, a kolatorka tego beneficium i kościoła, Wielmożna Pani Klementyna Homolacz, sprawiła potrzebne przybory.

Pierwszy proboszcz, Józef Stolarczyk, urodzony w r. 1816, wyświęcony na kapłana w roku 1842, instytuowany kanonicznie 29 listopada 1847, a instalowany 6 stycznia 1848 roku prowadzi zarząd parafji.

Kościół ten jest drewniany; część jego przednia została zbudowana w roku 1847 i przyozdobiona jednym ołtarzem i czterema chorągwiami. Cieśla, człowiek leciwy, nazywał się Sebastjan Gąsienica alias Sobczyk. Część zaś tylna z wieżą, zaczęta w roku 1850, ukończona wreszcie została w roku 1851; część tę wykonał Jakób Topór, wieiki pijak, i Jan Topór.

Kościół ten wizytował w r. 1848 Najprzewielebniejszy Biskup tarnowski, Józef Wojtarowicz; zabawił tu trzy dni, zwiedził hutę żelazną i górę Kalatówki zwaną.

Plebanię zbudowali parafjanie (z wyjątkiem mieszkańców Olczy) wraz z kolatorem, Cieśla, Jan Cipka, wraz z 7 innymi zginął wskutek pijaństwa.

Organistówka razem ze szkołą za staraniem Plebana usilnem w roku 1851 wystawiona, ale, gdy zima zapadła, ukończona tego roku nie była. Budowali ją Andrzej Czarniak, Michał Gąsienica, za 130 Reńskich, które gromada Zakopane i Kościelisko (oprócz Olczy) złożyła.

Ponieważ małe organki, jakie na początku kupione były, zupełnie się popsuły, że już na nich grać nie można było, aby więc chwała Boża nie ustawała i serca ludzi wiernych więcej się do Boga podnosiły i zagrzewały, pomimo wyż opisanego nieurodzaju i stąd niedostatku i biedy, na napomnienie swojego Pasterza postanowili parafjanie tutejsi złożyć się i sprawić nowe organy, aby pokazać, iż i w biedzie i braku Bogu w Trójcy jedynemu na Jego część i chwałę co mogą to poświęcają, w ten

przekonaniu, iż co dla Boga zrobią, nie bez zapłaty nie pójdzie, ale im odda Wszechmogący w czasie i w sposób upodobania bożego swego. Dla wiecznej pamiątki tutejszej parafji, by potomcy i dobry przykład brali i za duszami swych ojców i praojców się modlili, zapisują się w tej księdze pamiątek imiona i nazwiska tych wszystkich, którzy jaki taki dar na ten cel w ręce pasterza swego dobrowolnie złożyli.

Tu następuje dość długa lista ofiarodawców, między którymi prym trzymali Gąsienicowicze, poczem okazała się potrzeba jeszcze następującego dopisku:

Na końcu przy ogólnym obrachunku okazało się, iż jeszcze każdy numer, mogący płacić, ma złożyć tak w Zakopanem, jak Kościelisku, 2 R. 46 kr. w. w., a jak to złożone będzie, wtedy po odtrąceniu wszystkich kosztów i potrzebnych wydatków na podróże i furmanów zapłaci się suma 800 R. i organmistrz zaspokojony będzie. Organy będą własnością zakopiańskiego kościoła. Zatem organy kosztują u organmistrza Sapalskiego w Krakowie 800 R.; wydatki około krzątania się, np. sprowadzenie, zamówienie, przeistoczenie kościoła z tej okazji podjęte, około 100 R. Utrzymanie znowu organmistrza z czeladnikiem podczas postawienia organów kosztowało plebana przeszło 20 R., którą to kwotę daruje.

Ołtarze przyboczne Matki Boskiej i Ś-go Stanisława wystawili: Matki Boskiej Wojciech Walczak inaczej Wojciak, a Św. Stanisława Jan Michna i Michał Samek.

W roku 1856 zasypała w lutym lawina w dolinie Kościeliskiej pięciu górników z bani. Zapisawszy ten fakt dokładnie, opatruje go ks. Stolarczyk następującym komentarzem:

Dla częstych zdarzających się w Dolinie Kościelskiej nieszczęśliwych wypadków, rozeszło się i prawie wkorzeniło między ludem mniemanie, że w tej dolinie jakiś zły duch przemieszkuje, że tam osiadł od tego czasu, kiedy w niej przed wieki były kopalnie na srebro i kuźnice, że wtedy bardzo dużo złęgo w tem miejscu i przez tyle wieków, w których srebro wyrabiali — o czem wyrobiska podziemne oczywistym są dowodem — popelniono i ducha złęgo sprowadzono, który dotychczas przebywa i jest przyczyną częstych po sobie następujących w owej, zresztą od Stwórcy cudnie uformowanej dolinie, nieszczęśliwych wypadków, o jakich w innych stronach Tatrów prawie nigdy nie słyhać. Do tego przyczyniają się różne krążące od starszych przodków odebrane powieści, które są bardzo stosowne i zdolne wyż wspomniane mniemanie potężyć. Może się kiedy następcy mojemu to napomnienie, które tu jako krążącą i istniejącą między ludem opinię kładę, na co w swoim czasie przyda.

W „dosyć dobrym“ roku 1859 zapisał pleban takie zdarzenie:

Żył w Zakopanem, i to w Olczy, pewien gospodarz, Wojciech Mrowca inaczej Gał. Ten niedobre życie prowadził. Ciągłe na niego były skargi, że kradnie, pije, cudzołoży. Do spowiedzi świętej chodzić zaprzestał. Otóż gdy się przed towarzyszami wysławiał, iż się poprawić nie myśli i chce swawolne prowadzić życie, niedługo potem, w sam wielki tydzień, będąc w młynie, bo był młynarzem, coś chcąc poprawić, złapany ręką między koła, prawda, siłą swą olbrzymią młyn zastawił, ale rękę mu wyrwało z ramienia. Niedługo umarł.

W roku 1860, w szóstą niedzielę po świętkach, zapowiedział ks. Stolarczyk składkę na papieża..

Nadspodziewanie po większej części parafianie, osobliwie od Bachledy począwszy aż do Kościeliskiej Doliny, okazali się chętnymi i dali co mogli. W kilku dniach złożyli przeszło 2 R. 30. Jeszcze tu tkwi wiara katolicka u ludku prostego. Boże, dzięki Ci.

W „błogosławionym od Boga“ roku 1861, w którym „wszystko się porodziło, osobliwie ziemniaki“, z powodu pamiętnych manifestacji patriotycznych pod zaborem rosyjskim, stanął na cmentarzu zakopiańskim pomnik, o którym ks. Stolarczyk w swej „Kronice“ tak pisze:

Postawiony został na cmentarzu krzyż z cierniową koroną okazały, za staraniem Edwarda Homolacza, syna właścicieli Zakopanego, a dyrektora fabryki żelaza. Wążył z 12 cetnarów. Niesiony był z hut do kościoła, z kościoła na cmentarz. Ludu było wiele. Usypano mogiłę koło niego na pamiątkę poległych 8 kwietnia tego samego roku w Warszawie i Wilnie. Miałem przy końcu mowę religijną stosowną, którą wszyscy bardzo dobrze przyjęli. Jednak w ogólności u prostego ludu, lubo mniej jak gdzie indziej, jest uprzedzenie do sprawy polskiej, bo lud polski łączy sprawę Polski z sprawą szlachty, której się bardzo lęka, aby przy przywróceniu Polski znowu rządów w ręce nie ujęła i nad nim nie panowała, jak dawniej. Przy tem wszystkim oświata się wzmaga. W szkołach, to przy kościele, to w hutach, to w Olczy, uczy się ze 150 dzieci, co przy boskiem błogosławieństwie najlepszy rokuje skutek. O, Boże daj, aby lepiej było!

W tym samym roku Jakób Bachleda, gospodarz bezdzielny, majątny, popadł w rozpacz za grzechy swoje, z którą się przedemną taił, u innych księży pociechy szukając. Ci, nie znając go, korzystnie na niego nie wpłynęli. Powróciwszy od nich z Chochołowa, obwiesił się. Pochowany we Wałowej Górze, a majątek jego, zanadto

troskliwie zbierany, między sukcesorami proces i kłopoty wzniecił. Beztestamentalnie skończył.

W ciągu roku 1863, w czasie powstania styczniowego, wybudowano przy kościółku zakopiańskim „dla dzwonów niewielką dzwonnice”. „Panowie Homolacz dali drzewa, parafjanie zrobili“.

Ku końcu wiosny piorun uderzył w dom i zabił kobietę, matkę 9 dzieci małoletnich. Jedno z nich, obok niej stojące, nie tknął, gdy przeciwnie małe prosię zabił. Ziemniaki i owsy obfite, prześliczne. Gości letnich było mało z przyczyny walki z Moskwą.

Na wypływie rzeki płynącej z Królowej Olczyjskiem do Olczy, przy końcu żlebu, jest ciepłe źródło Jaszczurówka. To źródło, przez doktora Dietla z Krakowa obejrzane, a przez Aleksandrowicza, aptekarza w Krakowie, rozbierane chemicznie, i za skuteczne na niektóre słabości, osobliwie oczów, uznane zostało. Dlatego p. Adam Uznański, właściciel tego miejsca, gdyż ono do obrębu dóbr Szaflary należy, których tenże jest dziedzicem, w r. 1862 kąpiele, ocembrowawszy to źródło i odbudowawszy, założył. Przytem przybudował kilka stancji z wozownią i karcznią. I to jest jedyne w Tatrach źródło ciepłe, mające 16 gradów.

W roku 1864 przybył kościółkowi zakopiańskiemu „pająk szklanny ze szkladek sprawiony, z Wiednia sprowadzony“, kosztujący 61 Reńskich, z czego trzecią część ks. Stolarczyk pokrył z własnej kieszeni. W roku tym miał ksiądz proboszcz niemało kłopotu z następującego powodu:

Pewien gospodarz, Wojciech Walczak alias Wójciak, bardzo porządny gospodarz, był dwa razy na wójta obrany, za co niedługo podziękował. Żył ze mną w przyja-

znych stosunkach. Wpadł wreszcie wskutek defektu sercowego i płucowego w melancholję niejaką. Pomimo perswazji, dnia 6 września w swojej izbie popołudniu, jak się miał za poradą moją do Mikołusza do doktora wybrać, z pistoletu zastrzelił się. Pochowany z wielką biedą, gdyż tam parafianie nie chcieli, pomimo, iż go wszyscy lubili i żałowali, na kraju cmentarza przy kostnicy. Zostawił sześcioro dzieci i znaczny piękny majątek... Dnia 2 października, w sam odpust Różańcowej Matki Boskiej, śnieg od rana padał. Pokrył całą ziemię. Leżał na drugi i na trzeci dzień, a 5-go taki był mróz, iż z ciężarem jechał po zamarzej błotnistej drodze. Zielone owsy zmarzły. Ludzie lamencą, krzyk. Boże, zmiłuj się. Notując to, dodaję: iż całą zimę i stąd grożące nieszczęścia lud przypisuje temu, iż ów wspomniany Wojciech Walczak przy cmentarzu zaraz był pochowany. Wiele bardzo pracy mię kosztowało, nim mogłem tego nieszczęśliwego trupa od wykopania obronić.

Motyw to zupełnie w rodzaju Klątwy Wyspiańskiego, wykazujący dowodnie, jak zabobon jeszcze jest silny, nawet wśród tak trzeźwego ludu, jak górale.

W styczniu 1865 roku odebrał ks. Stolarczyk przez konsystorz rezolucję z namiestnictwa w Krakowie, zakończającą legalnie ustanowienie inwentarza parafji zakopiańskiej. To dało mu asumpt do zapisania w swej „Kronice“ następujących arecyiekawych informacyj, dotyczących jego instalowania się na probostwie w Zakopanem.

Nastąłem i byłem instalowany po instytucji 29 listopada 1847 roku, dnia 6 stycznia 1848 w same Trzy Króle, przez księdza Dziekana Nowotarskiego a plebana Czarnodunajeckiego, Tomasza Bryniarskiego. Co się tyczy kościoła, to była jedynie nieduża kaplica z drzewa i wielki ołtarz i aparata co najpotrzebniejsze, zresztą ani

organów, ani dzwonów, jedyna w tej kaplicy sygnaturka. Ani plebanji, ani organistówki, ani szkoły.

Przyszedłem od katedry z Tarnowa, gdzie byłem jako wikary, jedynie tem powodowany, iż w Tarnowie chorych w szpitalu dla mojego usposobienia, bez pewnego wstrząśnienia (a w tym roku 1847 było chorych bardzo wielu) opatrywać prawie mi się długo niepodobienstwem stało, i wiedziałem, że długo nie wytrzymam, a powtóre dlatego, iż wtedy lud góralski z swej łagodności zasłynął, a każdy, osobiwie młody, czuł wstręt do ludu z równin, który się w roku 1846 tak wielkich zbrodni dopuścił.

Jednakowoż przyszedłszy do Zakopanego, gdzie zamieszkałem u pewnego gospodarza, którego Staszeckiem nazywano, a pisał się Gąsienica Jan, i rozpatrzywszy się wszystkiemu powoli, ujrzałem się w bardzo przykrem położeniu. Pleban bez plebanji, bez kościoła, bez inwentarza, zgoła bez wszystkiego; do tego lud na pół dziki, chytry i chciwy, którzy zbiegali się koło mnie aby coś zyskać, nie z nauki, ale z grosza, a ja byłem bez grajcara: za funkcje, np. za pogrzeby nic nie płacili, bo mając jedną kobietę, co im trupy do kościoła do Chochołowa odwoziła, na pokropieniu przestawali. Poznałem to wszystko i jeszcze, że mało kto O j e z e n a s z uczeiwie zmówić potrafił, oprócz niektórych przecież o zbawienie dbalszych, pomimo, iż tak w Chochołowie, jako i Poroninie mieli najgorliwszych pasterzy, ale dla oddalenia mało kiedy, po większej części raz lub dwa razy na rok zajrzeli do kościoła.

Widząc to wszystko, uczułem żal i tęsknotę, ale pomyślawszy sobie, iż na takim stanowisku coś może więcej, niż gdzieindziej, przyczynić się mógł będę, i będąc pierwszym plebanem, urządzenie parafji z pomocą Bożą rozpocznę i da Bóg to dokończę, odstąpiłem od rezygnowania, wziąłem się szczerze do pracy, a pod słowem kapłańskiem wyznaję, iż przy wielkiej biedzie i prawie o

suchym chlebie, gdyż oprócz 170 Reńskich z kasy nie więcej nie miałem, jeno z instalacji dług, który się powoli jeszcze powiększał. Wiadome każdemu rozprężenie 1848 roku i następnych lat czyniło reinwentaryzację niemożliwą; ani się o coś doprosić, a lud do niczego z chęcią przyłożyć się za darmo nie chciał.

Sam jeździłem z niektórymi gospodarzami, których uprosiłem, po drzewo do lasu na plebański budynek, aby i ich zachęcić; i z takim mozołem postawiliśmy plebanję ze stodołą, stajnią i chlewem; rozszerzyłem i powiększyłem kościółek, organistówkę razem i szkółkę; słowem, co było potrzebnem, zrobiło się. Jedno przydać muszę, iż ze strony kolatorstwa¹, co się ich tyczyło, nie robili żadnej trudności, wszystko dawali. Gorszy był lud, który chciał, aby kolator wszystko zrobił. Zgoła wszystko, co teraz się tu znajduje, w kościele i na plebanji, jest dzięki Bogu mojem staraniem zrobione, z czego pewną radość i zadowolenie czuję, a nadewszystko, iż z łaską bożą lud się o tyle poprawił, że ani jest teraz po siedemnastu latach do poznania i z przeszłym nie do porównania. *Sed non nobis D...i.*

Teraz przystępuję do inwentarza. Po pierwszej komisji oddano mi takowy, ale cóż mi było z niego, kiedy parafjanie tego, co w nim na nich nałożone było, uiszcząć nie chcieli, twierdząc, iż się do tego, co od nich żądano, nigdy nie zobowiązali, co się rzeczywiście prawdą później pokazało. Stąd pisania, podania, komisje za komisją, i tak się ta rzecz przez 17 lat wlekła, aż przeciw tego roku nastąpił dzięki Bogu koniec, tak, iż inwentarz z wielkim pisaniem (czego dowód w protokóle Gertionis), kto potem i wydatkiem, i ze stratą, został ustalony i zlegalizowany...

Napisałem w krótkości wszystko, co ku potomności

¹ Homolaczów.

podać za potrzebne i może kiedy ciekawe uważałem. Niechże Bóg w Trójcy jedyny stąd odniesie chwałę swoją i ja też biedny grzesznik-kapłan, łaskę i miłosierdzie boże. Więcej nie żądam.

W związku z tym szczęśliwie zakończonym inwentarzem pozostawała niewątpliwie wizytacja w Zakopanem biskupa tarnowskiego, o której pod datą 10 sierpnia tegoż roku 1865 ks. Stolarczyk tak pisze:

Wizyta biskupia odbyła się jaknajlepiej. Cały dzień strzelano. Lud wystąpił przybrany i przygotowany. Odebrałem za to, jako znak kolmplacencji, dekret pochwalny i *expositorium canonicum*. Wogóle rok był u nas szczęśliwy, tak dla duszy, jako i dla ciała tutejszych parafjan. Za co niech będą Bogu dzięki.

Pod rokiem 1866 zapisał pleban w swej kronice między innymi następujący szczegół:

Na 1 maja już buki i jesiony rozwijać się poczęły, wszystko się zieleni, jak dawno przedtem nie było. Gdy wszystko powschodziło i prawie zakwitło, nadchodzi zima, śnieg i mróz; około 20-go maja wszystko śniegiem pokryte. Jesiony zmarzły, liście obleciały, a nowe pączki puściły i rozwiły się. Buki zaś jeszcze w wilję Świętego Jana czerwone są i suche na nich liście, jakby w późnej jesieni. Reszcie drzew mróz nie zaszkodził. Mróz zaś był taki (nie wiem ile miał stopni), iż sople na dachu porośły na dwa i trzy łokcie polskie.

Pisząc to, przychodzi mi na myśl, że tylko co powróciłem z ogródka, gdzie oglądałem modrzew tego roku przesadzony, który się przyjął... Tu dodaję, iż w początku mojej bytności wszystkie modrzewie i jesiony i jawory i t. d. za mojem staraniem są przesadzone, tak koło ko-

ściola, jako i plebanji i na cmentarzu te zaraz od wejścia modrzewie. Zaś znowu w pośrodku i u dolnego końca posadzili krewni nad grobami zmarłych. Pisząc to 22-go czerwca, myślę sobie, iż to może komu po latach przyda się na co.

W roku 1867 napisał ksiądz Stolarczyk list do panny Wandy Boerner, córki superintendenta w Płocku, która, bawiąc w Zakopanem w ciągu lata, Gewont i Czerwone Wierchy „wierszem ładnym“ opisała i wiersz ten Jegomości przysłała, co mu dało powód do mniemania, „iż się sława Tatr coraz bardziej rozszerza“. W lutym t. r. był wybór na wójta gminy.

Po żwawych sprzeczkach *pro et contra* wybrany jednogłośnie, gdzie i ksiądz pleban głosował, Jan Gąsienica Staszeczek z pod Nru domu 101. Ma szczere chęci i obiecuje wiele.

Dnia 17 września o godzinie wpół do pierwszej z południa wyszedłem ja Pleban z Jędrzejem Wałą, Szymkiem Tatarem, Wojciechem Gąsienicą Kościelnym i Wojciechem Ślimakiem pierwszy na Szczyt Lodowy, dotychczas za niedostępny miany, na którym rzeczywiście jeszcze żaden turysta nie był. Tym sposobem byłem już na wszystkich szczytach, oprócz jeszcze Garłuchowskiego, i poznałem całe Tatry.

W roku 1869 „nie osobliwego nie zaszło, oprócz, iż pani Homolaczowa państwo Zakopane pewnemu bankierowi z Berlina, panu Eichborn za 400.000 sprzedała i z ostatnim grudnia odstąpiła“.

W roku 1870 w pierwszych dniach marca, zapisał ks. Stolarczyk takie pamiątne słowa:

W Imię Trójcy Przenajświętszej! Wybierając się do Ziemi Świętej i Rzymu, dnia 5 marca z domu wyjeź-

dzam. Proszę Boga zastępów i Matki Boskiej, abym mógł te miejsca, tak dla serca i duszy drogie, obejrzeć i zdrów powrócić. Amen. To na pamiątkę zapisuję. Wyprawiają mię na tę podróż daleką z rzewnem współczuciem moi parafjanie.

Po uływie czterech miesięcy, stanąwszy szczęśliwie z powrotem w Zakopanem, zapisał ks. Stolarczyk na wieczną rzecz pamiątkę co następuje:

Podobało się Wszchemogącemu Bogu, że mię, niegodnego tej wielkiej łaski, do Ziemi Świętej zaprowadził i szczęśliwie oprowadził i napowrót przez Italię do domu powrócić dozwolił. I tak: przez Wiedeń do Triestu, do Aleksandrji, do Kairo, do Suezu, na Czerwone morze, do Arabji, napowrót z Arabji do Suezu, kanałem do Port Said, do Jaffy, do Jerusalem, do Jordanu, Martwego morza. Nocleg w Saba przy Jordanie, nocleg w Jericho. Stąd znowu do Jerozolimy, do Betleem i Hebronu, Św. Jana z Emaus, w Jerozolimie do wszystkich miejsc świętych i widzenia godnych. Z Jerozolimy przez Samarią do Nazaretu, Naeni, Tabor, Tiberias, Kapharnaum, rozmnożenie chleba, Kana Galilejska. Z Nazaretu do Kaify, Góry Karmelu, Studnia Eliasza, Antilibanon, Eden, Damask. Bajrut, Smirna, Chios, Lesbos, Mileto, Konstantynopol. Bosfor, Czarne morze. Z Konstantynopola przez Grecję, Syrę, Korfu do Brindisi (w Grecji zwiedziłem różne miejsca, których tu nie notuję, np. Cypr, Rodus, Lemnos, górę Athos i innych wiele). Z Brindisi do Neapolu: Pompei, Wezuwiusz, klasztor Kartuzów, klasztor Gatzinu. Rzym: w Rzymie wszystko co ważniejsze. Byłem na uroczystości w Watykanie, na uroczystości w Lateranie, gdzie Ojciec Święty dawał z ganku błogosławieństwo, na którem było 200.000 i przeszło różnych narodowości: prawie wszystko płakało, gdy Pius IX ręką swą bło-

gosił. Widziałem go pięć razy; zrobił na mnie wrażenie jakieś dziwne, nadnaturalne, którego ani wypowiedzieć, ani opisać nie potrafię. Z Rzymu do Ankony, Loreto, do Bolonji, Padwy, Wenecji; stąd do Pontresiny kolejną, dalej do Wiednia, Oświęcimia; stąd do domu.

Dnie 4-go czerwca, o godzinie 9 wieczorem, w sobotę czyli wilję Zielonych Świątek przybyłem do domu zdrowo, lubo sponiewierany: najbardziej jazdą na koniach razem 19 $\frac{1}{2}$ dni, to burzą na morzu straszną, która trwała jeden dzień i noc całą. Podróży na morzu było 21 $\frac{1}{2}$ dni razem ze wszystkimi.

Uszczęśliwionym się czuję, że byłem i widziałem nawet więcej, niż pragnąłem. Nie żałuję ani mienia, ani zdrowia. Bo i cierpiało się dużo. Ciepło w Egipcie 28-go marca na szczycie piramidy Cheopsa, o godzinie 9-tej rano, 33 stopni; o godzinie trzeciej w „Hotel du Nil“ 42 stopni Reamura. Wyszedłem na piramidę jako góral bez pomocy Arabów, których inni koniecznie potrzebowali. Było nas 25 osób. Wyszło za mną dwóch Anglików, dwóch Niemców. Pojechałem z domu sam jak palec. Spotykałem się z różnymi ludźmi, to z księżmi, to ze świeckimi. Na wschodzie widziałem się z jednym tylko Polakiem z Krakowa, który na Cyprze ożeniony mieszka.

Było by bardzo wiele do opowiadania, ale tego nie piszę, żeby się nie zdawało, że chcę o sobie coś dużego powiedzieć. Słowem, byłem i widziałem bardzo i bardzo wiele, za co Bogu dzięki składam, a Pan Jezus Zbawiciel nasz i Matka Jego Najświętsza niechaj będzie pochwalony po całym świecie od Arabów i Murzynów i od wszystkich na wieki wieków. Amen.

Łatwo sobie wyobrazić, jak zajmującymi musiały być kazania księdza Stolarczyka w najbliższym czasie po jego powrocie do Zakopanego, gdy swym parafjanom opowiadał o wszystkim, co widział w ciągu tej podróży do Ziemi Świętej

i Rzymu, i z czego oczywiście stosowną umiał wyciągnąć naukę.

W roku 1872 o mało co nie spalił się kościółek zakopiański razem z plebanją. Oto, jak ten wypadek opisuje ksiądz Stolarczyk:

Dnia 12-go września o godzinie 10-tej wieczór, co dopiero położyłem się, gdy nagle usłyszałem dzwonienie. Porwawszy się, zobaczyłem od kościoła łunę. Pobiegłem na drzwi zatyłne i zobaczyłem tuż zaraz za kościołem ogień, który wprost nachylał się w stronę kościoła: iskry już dach kościelny obsypywały. Widokiem tym przerażony. krzyknąłem na czeladź, co już spała, pobiegłem tak jak z łóżka wyskoczyłem do kościoła, porwałem Sanctissimum, a gdy takowego tak na plebanię, którą, od zamieszania myślałem, że zamknięto, jak i do altany, już oczywiście zamkniętej, nie mogłem położyć, położyłem je w trawie obok ula pszczelnego. Tymczasem Bóg Wszehmogący, za wstawieniem się Matki Boskiej i Wszystkich Świętych, których pobożne dusze, krzycząc w niebogłosość, o pomoc wzywały, odwrócił wiatr na cmentarz. Ogień zwalniał, tak, iż cały zrąb ocalał. Niebezpieczeństwo trwało największe pięć minut, a razem zważywszy wszystko, widocznem było, że Bóg dobrotliwy i miłosierny cudownie kościół, plebanję i resztę mieszkańców uchronił od spalania. Ja, co to piszę, nie mogę się opamiętać z przerażenia i żalu, jaki mię za kościołem i dla reszty nieszczęścia ogarnął.

Bo nie brakowało wiele, a całe mozolne dzieło księdza Stolarczyka poszłoby z dymem.

W roku 1873 grasowała w Zakopanem cholera. Oto, co o niej pisze w swej „Kronice“ pleban:

Cholera rozpoczęła się 1-go września. Ustała zupełnie

10-go października. Gdyby byli ludzie trochę lepiej na siebie uważali, to by był może nikt, chyba pierwszy Jędrzej Raj, nie umarł. Był tu z Warszawy doktor Chałubiński, bardzo znakomity lekarz i zacy człowiek; ten postawił krzyż żelazny na Gubałówce i solennie go dał poświęcić. Podczas epidemji ratował bezinteresownie z największem poświęceniem i nawet mnie samego prawie od śmierci wydobył; zasłużył sobie na wdzięczność. Pomagał mu w leczeniu dr. Urbanowicz ze Żmudzi, emigrant, również bardzo zacy człowiek. Gości tego roku było więcej, jak bywało: koło 400 osób. Najwięcej z Warszawy i Krakowa.

Że pomimo 25-letniej działalności apostolskiej ks. Stolarczyka wśród górali jeszcze ich dzikość raz po raz ujawniała się nader jaskrawo, dowodzi jego następująca zapiska z roku 1874:

W świąteczny poniedziałek 6-go kwietnia zeszli się wieczór u tak zwanej Kacki, wdowy po zbójniku, co na Wiśniczu umarł, Wojciecha Mateji, na żywczańskim, zaraz pod lasem, Jan Walczak, tejże stryj ze swoją kochanicą Maryną Jarząbek, Stanisław Sobczak, konkurent do onej wdowy, i Maciej Walczak Nawieś, rywal Staszka Sobczaka. Wszczęła się bójka, w której dwaj pierwsi zamordowali Maćka Nawisia. Owego Jaśka Walczaka, który miał żonę starą, z którą dla majątku się ożenił i żył z nią 19 lat, nic od wszystkiego złego wstrzymać nie mogło. Miał majątek duży, nic nie robił, tylko lampartował się i do strasznej katastrofy doprowadził. Jego dziad zabił żonę swoją; i on był gwałtowny. Zaś Staszek, dopiero 21 lat mający, nic jeszcze wprzód nie pobroił, ale ojca, co mu w zeszłym roku na cholere umarł, nie słuchał.

Skazani poprzedni winowajcy, Jan Walczak na dziesięć, a Staszek na sześć miesięcy aresztu, i to dlatego, iż zabity Maciej ich niejako napadł. Ale Bóg inaczej osą-

dził. Ten sam Jan Walczak dnia 12 października 1876, znaleziony w wodzie, i to w tej rzece, która od tego domu płynie, gdzie Maćka zabił, nieżywy.

Jan Walczak, powróciwszy z aresztu, jeszcze stał się gorszym: ani Boga, ani co dobre znać nie chciał. Był zupełnie złym człkiem: zbrodnie, grzech, było u niego nic. Jakie życie, taka śmierć..

Opinia powszechna niesie, iż go Jan Sierocki, mąż Katarzyny, której Jan Walczak był stryjem i u której Maćka zabił, z którym prowadził o sukcesję proces, życia pozbawił. Jest uwięziony, podejrzany. Śledztwo w toku.

Posądzony o zabójstwo Jan Sierocki, który z Janem Walczakiem wiódł proces o grunt żywezański po swej żonie, uwolniony został równemi głosami w sądzie w Sączu, i na tem się skończyło.

O trudnościach. z jakimi się spotkał ze strony górali. gdy szło o budowę nowego kościoła na wzgórzu św. Jana. tak pisze pod rokiem 1877 ksiądz Stolarczyk:

Co się tyczy sprawy budowania nowego kościoła. toć walka o plac budowy od roku się ciągnęła. bo jedni chcieli na starym placu, drudzy przed Szostakiem, inni u Kasprusia przed Gładczanem, zaś inni tam przystawali. gdzie się murować zaczął, przy św. Janie. Ja jako pleban. uważałem za najodpowiedniejsze przy św. Janie: miałem wiele przeciwności do zwalczania, gdyż cała góra, począwszy od kościoła, na to przystać nie chciała. Jednakowoż przemogłem i na dniu 12-go sierpnia 1877 roku zrobiłem po sumie na to miejsce procesję. Bawił natenczas u mnie z Tarnowa reverendissimus Józef Matusiewicz, kanonik katedralny i uczestniczył w procesji, miejsce poświęcił, a ja miałem stosowną przemowę. Na drugi dzień rozpoczęto brać fundamenta, zaś murowanie dopiero się w październiku rozpoczęło, pod kierunkiem majstra Uznańskie-

go z Nowego Targu. Oleza do roboty przystać nie chce.

Trzy lata pracowałem w kościele i poza kościołem, nim się ta myśl o potrzebie murowania nowego kościoła przyjęła, gdyż z początku o tem ani słyszeć chcieli. Oprócz Olezy, już jedni większą, drudzy mniejszą ochotę pokazują. Gorliwych bardzo mało: dlatego słabo pójdzie, ale w Bogu nadzieja.

Dnia 18-go kwietnia 1877 grunt przy św. Janie pod kościół oddali właściciele tegoż, kółkami wbitemi w ziemię otoczyli: Jędrzej Bachleda, synowie jego, Jakób i Jan Bachledowie, Michał Walczak, Jan Staszeczek, Jakób Bachleda Galica, Jakób Gąsienica Jędrusiów, przy świadkach: Jakób Goralowski, pisarz gminny, Jędrzej Stachoń, Jan Kwaśnica, Jan Walczak, Maciej Bachleda, mnie proboszczowi, jako zastępcy Kościoła, wzywając Boga na świadka, co ja przyjąłem. Zaś w środku tego, co wyż wspomniani gospodarze dali, największą parcelę kupiliśmy za 250 reńskich, na co dał Wojciech Bachleda Księżyk 100 r., Jan Staszeczek 100 r., a 50 r. dałem ja. Taka jest pokrótce do dziś dnia 19-go listopada 1877 cała, że tak powiem, historia początków budowy nowego kościoła. Co dalej nastąpi, Bóg sam wiedzieć raczy.

W roku 1879 wyrównane zostały fundamenty pod całą nawę kościelną, z wyjątkiem presbiterjum. Całe fundamenty były gotowe w czerwcu 1880 roku. W tym samym czasie rozpoczęto budowę papierni. Poświęcił ją ks. Stolarezyk, w wielki poniedziałek w roku 1881. ..Byli wszyscy, choć protestanci, zgromadzeni urzędnicy i sam terażniejszy dziedzic, Magnus Pelz, zięć przeszłego, Ludwika Eichborna“. Tegoż roku zimowała w Zakopanem hrabina Róża z Potockich z Krzeszowie Krasieńska, ordynatowa z Opinogóry, dla zdrowia syna Adama. Pod rokiem 1882 pisze o niej ks. Stolarezyk, który częstym u niej i mile widzianym bywał gościem:

Mieszka tu przez zimę hrabina Róża z Potockich Kraśńska, Ordynatowa opinogórska, dla zdrowia swych dzieci, Adama, Elżbiety i Zosi, wdowa, pani bardzo szlachetnego z wszechmiar usposobienia, wszelkiego szacunku godna; wszyscyśmy jej radzi. Była u niej w odwiedzinę jej matka, Adamowa Potocka z Krzeszowic, i była u mnie na plebanji, bardzo grzeczna.

Dnia 30-go lipca 1883 roku „w przytomności licznych gości“ poświęcił ks. Stolarczyk świeżo otwartą szkołę snycerską w Zakopanem. Dzwoniono już na to kazanie od dawna, bo że górale mieli przyrodzone zdolności do rzeźby, do zdobnictwa w drzewie, o tem przeświadczeni byli wszyscy¹.

Dnia 31-go lipca 1886 roku przyjechał do Zakopanego z wizytą kanoniczną ksiądz biskup krakowski, Albin Dunajewski.

¹ Już autor Wycieczki w Tatry, drukowanej w „Czasie“ w roku 1863 pisał w tej kwestji, co następuje: „Zawszem przypuszczał, a przynajmniej przypuszczać pragnąłem, że górale tutejsi, obdarzeni byстрым umysłem i życia fantazją, powinni z drzewa wyrabiać rzeźby, jak to często spotykać można u plemion góralskich Szwajcarii, Tyrolu i Szwarcwaldu. Przy małym zatrudnieniu w polu, a w lecie przy pasieniu bydła na halach, jakżeby użytecznie ten czas mogli zapelniać rzeźbieniem różnych drobnostek, szczególnie chłopaki, co to lubią bawić się nożykiem...“ Do tego samego (za przykładem prof. Janoty) namawiał i Br. Gustawicz w roku 1879 w swych „Kilku wspomnieniach z Tatr“ (w „Wędrowcu“). „Już oddawna było wskazaniem — pisał w tej sprawie — aby który z małych Zakopian był się nauczył toczyć. Drobiazgów z kosodrzewiny gustownie toczonych nie mało pozbyć się można nietylko między gośćmi, ale indziej także jeszcze. Gdyby pozwalający sobie na przybycie swoje stawiać bramy tryumfalne, zamiast tak dziecinnego i ekliwego dogadzania próżności swojej, byli raczej pomyśleli nad wprowadzeniem i utrwaleniem w Zakopanem jakiego zatrudnienia łatwego do wykonania, a zapewniającego stały zarobek, rozsądniej i lepiej byli by postąpili, niż rozmyślnem rozrzucaniem i wyrzucaniem pieniędzy, nie przyczyniającem się do istotnego dobra Zakopian.“

Przybył po południu. Wyjechało naprzeciw 120 koni, po drodze strzelano. Były dwie bramy tryumfalne: jedna na Starej Polanie, druga gotycka zaraz za mostem. Lud wielki i cała publiczność była zgromadzona. Strzelano z moździerzy i torpedy z Krakowa sprowadzono. Przyjęcie było tak wspaniałe, iż nawet innowiercy byli poruszeni, jak sami zeznawali. Wizyta trwała od 31-go lipca do 4-go sierpnia: po południu odjazd nastąpił do Poronina.

Dnia 1-go sierpnia była niedziela. Sumę celebrował ks. kanonik Pelczar. Kazanie miałem ja, pleban miejscowy, aż półtorej godziny po ludowemu. Dnia 3-go sierpnia była wycieczka do Kościeliskiej Doliny. Jego Excel. Księżę-biskup wybierzmował przeszło 1400 ludzi, był z wszystkiego zadowolony, bardzo serdecznie do ludu przemawiał. Lud płakał, a przy odprowadzinach do bram na głos beczał. Rozstanie było bardzo rzewne, bo też to biskup, jakich może mało jest w kościele bożym. Jego szlachetne, ojcowskie, prawdziwie apostołskie obchodzenie się w każdym kierunku było do podziwienia. Nie mam słów na to określenie; wszystkich nas oczarował. Niech mu Bóg da zdrowie.

Państwo hr. Raczyńscy dali mi nietylko kucharzy, ale i wiele z swego dopomogli: hr. Edward Raczyński i Róża z hr. Potockich 1-o voto Krasińska, 2-o voto Raczyńska. Do stołu zasiadło 50 osób, to księży, to świecików z gości tu bawiących.

Jednem słowem wizyta odbyła się bardzo pomyślnie.

W roku 1887 „było w Zakopanem więcej, jak po wszystkie lata gości“: przeszło 3000. A wśród nich znalazł się jeden specjalnie dla ks. Stolarczyka miły: ksiądz biskup Krasiński, „z Wilna wywieziony r. 1863 do Wiatki, gdzie 22 lat przebywał, przecierpiał“.

Tenże ks. biskup w sierpniu poświęcił w Kościeliskiej Dolinie tablicę pamiątkową na pamiątkę Kantaka z Poznańskiego, który, odwiedzając często Zakopane, był między innymi bardzo czynnym członkiem Towarzystwa Tatrzańskiego.

W roku 1889 kupił Zakopane hr. Władysław Zamoyski z Paryża, syn generała. Z powodu tego pożądanego faktu ks. Stolarczyk zamieścił w swej „Kronice“ następującą wzmiankę:

Dnia 9-go maja 1889 kupił na licytacji dobra Zakopane hr. Wład. Zamoyski... z czegośmy się niezmiernie uradowali, bo żydzi koniecznie nabyć chcieli. Hrabia Władysław Zamoyski, jego matka, wdowa po jenerale, i jego siostra, Marja, są to ludzie głęboko religijni i ze wszelkich miar przecacni i znakomici.

Te dobra od Homolaczów przeszły na Eichborna w r. 1870. Od Eichborna przeszły na zięcia jego, Magnusa Pelza, który zbankrutował przez złe gospodarowanie.

Eichborn Ludwik był przechrzta, zaś Pelz chrześcijanin z rodu. Obydwaj byli bardzo serdeczni i dobrzy ludzie.

W roku 1890 tyle się gości zjechało w Zakopanem, że „pomieszkań stał się wielki brak“. W ciągu tego lata, po konsekracji kościoła w Ludźmierzu i Klikuszowcy, zjechał do ks. Stolarczyka nieoficjalnie w odwiedziny kardynał Dunajewski, co było dowodem, że doń przed czterema laty wielką powziął sympatję. Uradowany tem wyróżnieniem, ksiądz Stolarczyk tak o tej swojej radości pisał w „Kronice“: „Chociaż niespodzianie, jak mogłem, tak przyjąłem z największą ochotą: przecież to był dla mnie wielki zaszczyt, a co dalej, z takim kardynałem i biskupem zetknąć się, to zdrowia przybywa, gdyż, jak wszystkim wiadomo, jest to rzadkiej uprzejmo-

ści, słodyczy i popularności biskup. Niech mu Bóg da zdrowie w jaknajdłuższe lata.

Na tej zapisce kończy się „Kronika“ ks. Stolarczyka. Żył jeszcze trzy lata, ale, coraz bardziej podupadający fizycznie, już w niej nie zapisał żadnego zdarzenia. Czyżby w tym czasie nic się nie działo w Zakopanem? Z pewnością miało się przeciwnie, tylko że przekroczywszy drugą połowę ósmego krzyżyka, „Jegomość“ coraz bardziej zaczynał czuć brzemie wieku, a tem samem tracił wrażliwość na wiele wypadków, które by go dawniej pobudziły były do pisania. W końcu przyszła choroba, a 6-go lipca 1893 roku nastąpił zgon.

W zapisaniu smutnego faktu, którego on sam już nie mógł omówić w swej „Kronice“, wyręczyły go krakowskie i warszawskie dzienniki i czasopisma. Oto, co o tej śmierci pisał w „Czasie“ z dnia 11-go lipca 1893 r., dobrze przez najbliższe otoczenie poinformowany korespondent E. C.¹

Zakopane, 7 lipca.

Ustron tatrzańska pogrążona od wczoraj w smutku i żałobie. Zmarł tu ksiądz Józef Stolarczyk, proboszcz Zakopanego, kanonik honorowy, który przez pół wieku pełnił obowiązki na tem zaszczytnem, a tak trudnem stanowisku. Urodził się w roku 1816 w Wysokiej pod Jordano-
weu z rodziców stanu włościańskiego, gimnazjum kończył na Węgrzech, dwa lata filozofji w zakładzie OO. Jezuitów w Tarnopolu, a teologję św. w Tarnowie. Tamże wyświęcony 1842 roku, był wikarym katedralnym, potem w Poroninie i Nowym Targu. Probostwo tutejsze otrzymał w roku 1848, a był to pierwszy proboszcz zakopiański wogóle. Wystawił plebanję i kościół pierwotny, umoralnił i wychował w wierze przodków trzy pokolenia. Lud kochał prawdziwie i był sumiennym rzecznikiem spraw jego: to też praca ta, chociaż cicha i skromna,

¹ Edmund Cięglewicz, znany tłumacz „Arystofanesa“.

prowadzona wytrwale, unikająca rozgłosu, wydała bardzo dobre owoce. Dość powiemy, jeśli przypomnimy, że przed 50 laty lud podhalski był na pół dziki, rozhukany, samowolny, że sprzyjał rozbójnictwu i nie uważał w tem nic zdrożnego. Wśród takiego ludu kazał nieboszczyk pół wieku słowy Ewangelji św. i lud tem gorącym słowem i przykładem przemienił i uszlachetnił.

Zmarły był człowiekiem gorących uczuć, był szczerym patriotą, surowym dla siebie, a pełnym miłości dla bliźnich. Był w Ziemi Świętej, znał doskonale Europę, podróżował wiele, a jednak miłością tem większą otoczył Podhale i nasze uroczyska Tatry. Był on pierwszym Polakiem, który się wdarł na szczyt Gerlachu i wycieczkę tę w odcinku „Czasu“ w roku 1875 opisał¹; tworzył on pieśni kościelne, które lud dotychczas śpiewa podczas procesji i pogrzebów. Był jednym z założycieli Towarzystwa Tatrzańskiego i jego honorowym członkiem. W ostatnich latach zapadł na zdrowiu, uległ nawet częściowemu paraliżowi, mimo to odprawiał Msze Święte i w kościele się zaziębiwszy, dostał zapalenia płuc, niestety, śmiertelnego. Do ostatniej chwili był zupełnie przytomny. Opieką pełną miłości i troskliwości otaczał zmarłego dr. Chramiec i dr. Florkiewicz; leczyli go oprócz nich dr. klimatyczny Smorągiewicz, dr. Chwistek i dr. Kulczycki. Zmarł o północy ze środy na czwartek, a krótko przed śmiercią wyrzekł do swojego siostrzeńca, księdza Sutora te słowa: „Dziękuję Bogu, że mi nic nie dolega, ani nie boli, chociaż wiem, że zaraz umrę“.

Przy śmierci byli obecni: brat zmarłego, Jan, wójt z Wysokiej wraz z synem i synową, ks. Aug. Sutor, przeor Augustjanów, ks. K. Kaszelewski, oraz dr. Buzdygan. Ciało ubrano natychmiast i wystawiono na widok. Lud z bliska i daleka cisnął się z płaczem do tej

¹ „Czas“, 1875. w numerach 14, 15 i 16 października.

trumny, aby zobaczyć po raz ostatni swojego opiekuna i kapłana-wychowawcę. W sobotę odbędzie się obrzęd pogrzebowy, a żałobną mowę wypowie w kościele ks. Czesław Bogdalski; oprócz niego przemawiać będą: delegat Towarzystwa Tatrzańskiego i reprezentant gminy.

W tymże numerze „Czasu“ znalazł się następujący opis pogrzebu księdza Stolarczyka:

Zakopane, 8-go lipca.

Smutny obrzęd pogrzebowy ś. p. Józefa Stolarczyka, pierwszego proboszcza tutejszego, odbył się dzisiaj wśród nader licznego udziału górali z całego Podhala tatrzańskiego, jak niemniej licznych gości, bawiących tutaj. Kondukt pogrzebowy prowadził sędziwy dziekan, ks. Chmielowski z Szaflar, otoczony zastępem sąsiedniego duchowieństwa. Wyprowadzenie zwłok do kościoła odbyło się wczoraj, przyczem przemówił do ludu wicediekan ks. Roszek, proboszcz z Poronina. Dzisiaj zaś po odprawieniu żałobnej Sumy, miał mowę pogrzebową znany kaznodzieja ks. Bogdalski, wyliczając zasługi zmarłego około moralnego wychowania tutejszego ludu.

Zanim spuszczone drogie zwłoki do grobu, przemawiali ks. Brosig, proboszcz z Czarnego Dunajca, p. Schworm, naczelnik gminy tutejszej, i p. Świerz imieniem Tow. Tatrzańskiego. Liczne wieńce złożono na grobie, a między temi od grona nauczycieli szkoły zawodowej przemysłu drzewnego w Zakopanem, od Szkoły koronarskiej, od Towarzystwa Tatrzańskiego, którego zmarły był członkiem honorowym. Nie potrzebuję dodawać, iż wszystkie tutejsze szkoły wzięły udział w pogrzebie. Wśród całego obrzędu smutnego lud zanosił się od płaczu, żegnając z nieklamany żalem swego proboszcza na wieki.

W „Kronice parafji Zakopiańskiej“ zaczął się nowy rozdział: proboszczem został ksiądz Kazimierz Kaszelewski.

Tymczasem ks. Stolarczyk szybko zaczął się stawać legendą. Oto, co o nim już w roku 1894, a więc zaledwie w rok po jego śmierci, pisał Kazimierz Tetmajer:

Była to osobistość tak zrosła z Zakopanem, że kiedy umarł, pytaliśmy się siebie: co teraz będzie? Trudno sobie było Zakopane bez tego olbrzymiego księdza wyobrazić. „Minał się“, jak inni, i jak „my się miniemy po małućkiej chwili“, a równie jak Sabala i Chałubiński, żyć będzie w tworzącej się nowej tradycji podtatrzańskiej. w tradycji cywilizacyjnej.

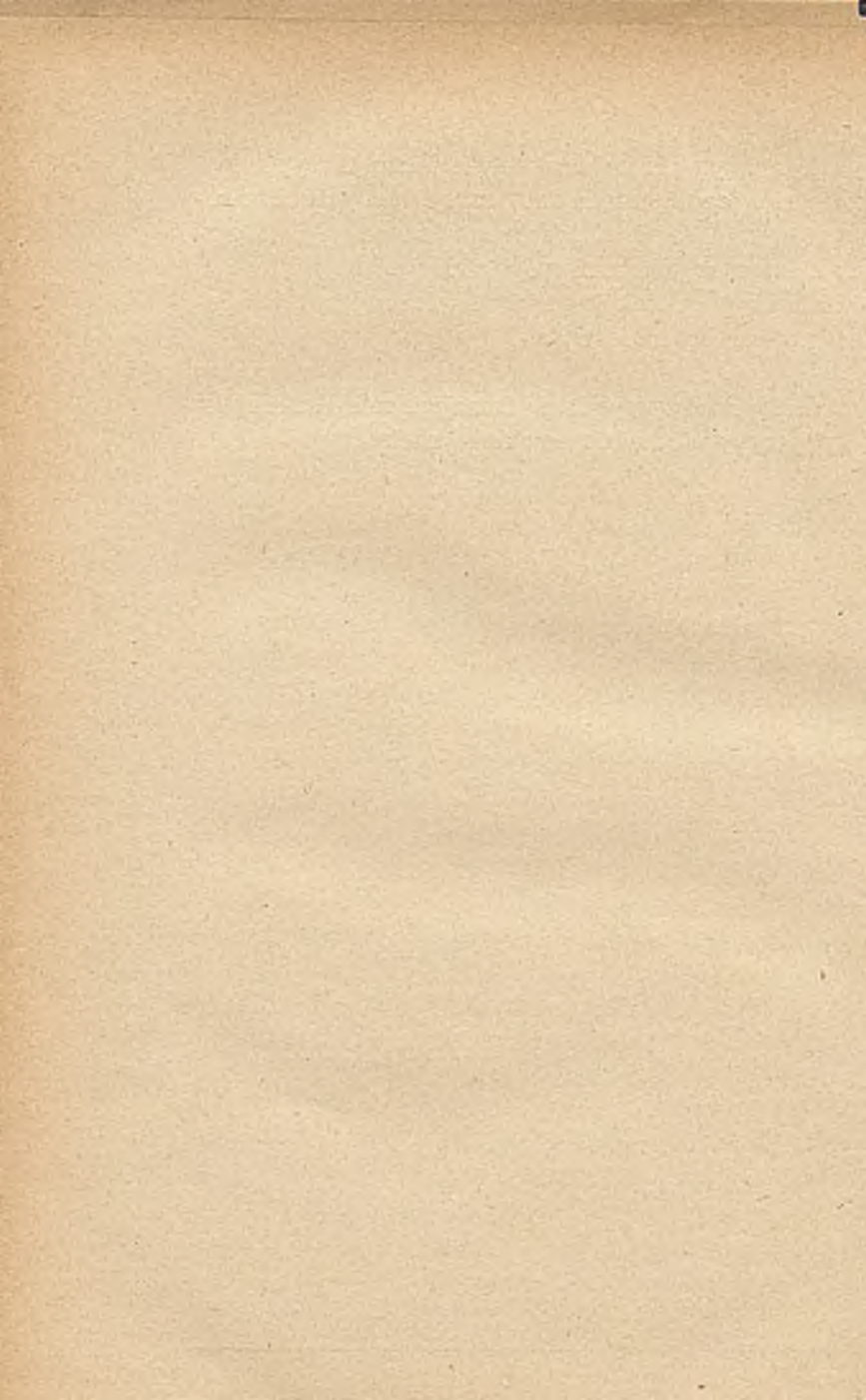
Kiedy w Zakopanem pół wieku temu kościół wystawiono i kiedy Stolarczyk tam przybył, chłopci po mszy ścigali lampę wiszącą przed ołtarzem i fajki od niej zapalali. „zbójnicy“ zaś miejscowi zapowiadali proboszczowi swoje odwiedziny, które jednak szczęśliwie nie przyszły do skutku. Trzeba było takiego rozumu, jaki miał ten rubaszny i prosty, ale niepospolicie mądry ksiądz, aby pozwolił, w pół dzikich ludzi, których w dolinie pod Gewontem zastał, wszczepić jakieś pojęcia etyki chrześcijańskiej.

Ksiądz Stolarczyk należy do tych, którzy się najbardziej przyczynili do znajomości Tatr. On pierwszy z Polaków wszedł na Gerlach. (Polacy, prócz szczytów po stronie galicyjskiej, o ile wiem, pierwsi wdrapali się na szczyt Mięguszowicki i Staroleśniański (Warze). Kiedy już wiek nie dozwalał mu się puszczać gdzieś pod Krywan, czy Świnnicę, przynajmniej raz w rok, upatrzawszy piękną porę, ksiądz Stolarczyk w towarzystwie najczęściej kościelnego, maszerował na halę Gąsienicową (nieopodal Czarnego Stawu Gąsienicowego), siedział tam jakiś czas w szałasie przy wiatrze (ognisku), wypijał niesłychaną moc kwaśnego mleka i przepędzał noc pod u-

przywilejowanym „smrekiem“ (świerkiem). Przypominało to i jemu jego „starodawne“ czasy, kiedy beczkę kapusty w rękach dźwigał, „drobnego“ tańcował i po granicach o lepsze z juhasami mógł chodzić.

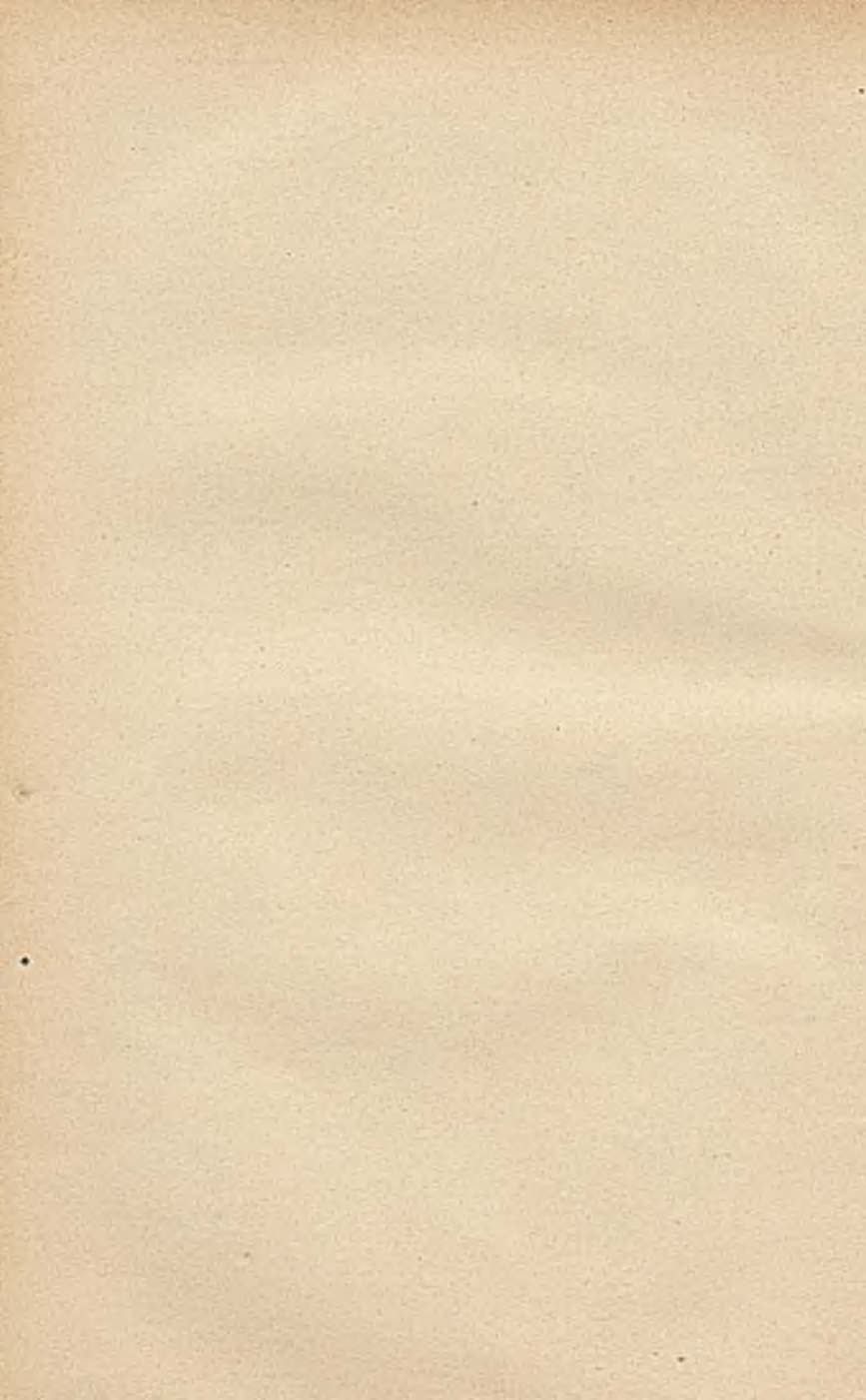
Stolarczyk był tak jedyny w swoim rodzaju, jak Sabala; i z niego będzie legenda.

A im więcej wody upłynie w Dunajcu, tem bardziej legendzie tej przybywać będzie epickiego uroku...



S a b a ł a

(1809—1894)



„Siedliśmy wokół ogniska, wsłuchani w tę ciszę tatrzańską, która aż w uszach drzwoni. Zbliżała się już i godzina spoczynku, gdy nagle Sabała podniósł swą pomarszczoną twarz, podobną zarazem do głowy starego sępa i do twarzy Milтона; chwilę popatrzył szklanemi oczyma w ogień, i tak zaczął opowiadać“. Takim mistrzowskim portretem Sabały, który, choć nakreślony zaledwie paroma rysami odrazu stawia nam postać jego, jak żywą, przed oczyma, rozpoczyna Sienkiewicz w roku 1891 swą *Sabałową bajkę*. Na kilkanaście lat przedtem, w roku 1879, Bronisław Rajchman w swym opisie *Wycieczki na Łomnicę* porównał Sabałę, jako bazarza, z Ezopem; a w dziesięć lat później, w roku 1889, w swej słynnej książce *Na przełęczu*, Stanisław Witkiewicz, rozpisując się o niepospolitym talencie narratorskim Sabały, zestawił go, jako prawdziwego poetę-epika, ni mniej, ni więcej tylko z Homerem. Nie było takiego poety w Polsce, wobec którego te porównania z Miltonem, z Ezopem i z Homerem, nie okazały by się przesadnymi: a jednak w odniesieniu do tego starego górala, który nie umiał ani czytać, ani pisać, nie raziły one nikogo; przeciwnie, wszyscy godzili się na nie, uznając ich prawdziwość i trafność. Miał Sabała szczęście pod tym względem. Już to wogóle urodził się on w czepku, bo nietylko pisali o nim najznakomitsi w Polsce ludzie, ludzie tej fidjaszowej miary, jak Sienkiewicz, Chałubiński, Witkiewicz, Dembowski, ale nadto z pewnością nie było sławnego człowieka w naszym kraju, którego by tyle malowano, rysowano i rzeźbiono, co Sabałę. Stąd imię jego, w literaturze zarówno, jak i w sztuce polskiej, niezatartemi zapisało się zgłoskami. Pamięć o nim nie zaginie.

Najsubtelniejszy jego wizerunek skreślił w roku 1879 Chałubiński w swej „Wycieczce bez programu“, gdzie tak między innymi pisze o Sabale:

Sabała ma lat około 70, jest suchawy, ale krzepki, skóra twarzy prawie pergaminowa, wzrok nieco przynglony, ale rysy twarzy wyraziste i piękne. Całe życie był strzelcem na swoją rękę: ubił dużo niedźwiedzi, a innej zwierzyny bez liku. Pomimo osłabionego wzroku, ubiegłej jeszcze jesieni strzelał do niedźwiedzia, którego nikt lepiej od niego nie „wyszlakuje“. „A jakżeż wy to, Janie, z takimi oczami możecie chodzić jeszcze na niedźwiedzia?“ „Eh, proszę ich Miłości, to już tak jest, albo ty mój albo ja twój“, odrzeknie nieustraszony strzelec, dla którego zresztą, jak dla większej części górali, narażenie życia należy do takich małości, że i mówić co o tem niema.

Latem i zimą nie zagrzeje miejsca w domu. Rządna gaździna, żona jego, i dobre pracowite dzieci prowadzą gospodarstwo i dzięki temu p. Jan źle się nie ma. Czasem dla ochoty weźmie się do kosy i siekiery. Ale wnet, zapatrzywszy się w kierpce i naładowawszy torbę, idzie z gęślikami do lasu lub w hale. Na Orawie, Liptowie, na kilka mil w około, wszędzie go znają i wszędzie „radzi widzą“, tak dla jego muzyki, jak i przypowiastek, tudzież doskonałego humoru.

Kiedyś przed laty przyciśniętemu jakiemiś opłatami prowadzono ostatnią krowę na sprzedaż. Jasiiek usiadł przy drodze i grał, „żeby jej (krowie) weselej było opuszczać zagrodę“. „A jakoż to wy Janie weale się nie trapiacie, że wam resztę statku zabierają?“ „Eh, smutkiem żyć to się nieopłaci“, rzecze nasz filozof i gra dalej.

Muszę ci się przyznać czytelniku, iż z Jasiem w bar-

dzo życzliwych jesteśmy stosunkach. „Oj Jasiu, Jasiu, mówię mu kiedyś, jaka to szkoda, żeśmy na świat nie przyszli oba ze sto lat wcześniej, bylibyśmy może razem i poza buczki wyskoczyli (zostali zbójnikami)“. „O hej“— rzecze śmiejąc się Jan, któremu aż się oczy zaiskrzyły i potarł nos rękawem, bez żadnych naglących powodów, ale tak sobie z przyzwyczajenia.

Sabała jest nieodzownym członkiem każdej wycieczki, bo rad z nami chodzi. A nie sądz, aby to znów było tak bardzo łatwą lub zwyczajną rzeczą; choć grzeczny i uprzejmy, nie rad idzie między ludzi, a przez wieś nawet kroczy jakby przez las nie patrząc po stronach i grając na piszczałce lub na gęślach. Przy plebanji tylko przystanie na chwilę, zwłaszcza, jeżeli to jest wieczorem, a nawet w nocy, i zagra jedną albo drugą „staroświecką“, bo wie, iż „Jegomość“ to rad słyszą. Wiadomo, że zacny i pełen zasługi pleban zakopiański, nie znosi śpiewów i muzyki po drogach, po ulicach we wsi, ale Sabała stanowi wyjątek i słusznie... Po ogłoszeniu nowego prawa o pijaństwie, Sabała bojąc się, aby go śpiewającego i grającego po drodze nie wzięto za pijaka, mówił, że sobie musi kupić garnek i że w garnek będzie śpiewał, by go daleko nie było słyhać.

...Ciemność już zupełna i wokoło najuroczystsza cisza, Jaskrawo odbija od tego grono wesołej gromadki górali, i jaskrawiej jeszcze bujny płomień, podsycany obficie kósówką. Wsuwam się do połowy w otwarty namiot, aby zyskać ramy do tego zawsze powtarzającego się a zawsze świeżego obrazka. Górale pokończyli wszystkie przygotowania do noclegu, posilają się skromną strawą i obsiadają ognisko. Czy spojrzysz na siedzących z tamtej strony ognia, na to wyraziste, inteligentne rysy uwydatnione obok głębokich cieniów jasnym czerwonym odbłaskiem płomienia; czy na czarne sylwetkowe postacie siedzących po tej stronie, każde z tych swobodnych dzieci gór

stanowi nieoceniony model dla artysty. Sabala na jakimś, trochę wyżej podniesionym głazie, panuje nad gromadką. Że też on zawsze musi obrać jakiś punkt, jakąś przybrać postawę, co go od drugich wyróżnia. Już wydobyl „gęśliki“, dostraja je i oto już brzmi butna, a zarazem taka rzewna nuta „kościeliskiej“ pieśni. Naturalnie Józek już się porwał do tańca, jakby poczuł gwałtowną potrzebę rozruszać sobie trochę nogi. Grajek spogląda na chłopca z uśmiechem, porusza jedną nogą do taktu, to już jest u niego nieodzownem, i przechodzi w „drobnego“. Lecz wkrótce uśmiech ten przybiera wyraz smutny, prawie bolesny. Jasiek patrzy przed siebie, ale już nic nie widzi swego otoczenia, już myślą nie jest z nami, on patrzy w przyszłość. I to się za każdym prawie razem powtarza, gdy grać zacznie. Z motywu do motywu przechodzi i już się wtedy niełatwo z nim dogadać. On wtórzy myślom swoim, gra dla siebie. Ileż razy, gdy towarzysze zajęci są jakąś czynnością, on wymyka się niepostrzeżenie, wybiera jakąś samotną urwistą skałę i stanąwszy na niej z nienaśladowaną swobodą i wdziękiem, gra jeszcze rzewniej, jeszcze tęskniej. Poznawszy ten jego obyczaj, staram się zawsze z za jakiegoś krzaka lub głazu napatrzeć się, nasłuchać się tego typu „ostatniego staroświeckiego górala“. Że Jasiek nie o przeszłości marzy wtedy, świadczy ten uśmiech tęskny i smutny. Kiedy on myśli o przeszłości, to uśmiech jego jest wesołym. Wszakże według własnego świadectwa tego poety-filozofa, on „ani jednego dnia w życiu nie był nieszczęśliwym“. Ale przyszłość to zawsze niepewna. Czy w przyszłym życiu będzie mógł błędzić po swoich ukochanych wirchach? „Bo ja i tam długo na jednym miejscu nie usiedzę“, mówi on o sobie.

Instrument Sabaly jest rozpaczliwy, powiedziałbyś niemożliwy prawie. Nie są to bowiem skrzypce, ale w pierwotnej formie, jakie dziś można widzieć jeszcze np.

w Muzeum Mozarta w Salzburgu. Mimo największej biegłości grajka niepodobna tu uniknąć nieraz skrzywienia lub dojmującego pisku. A jednak w górach muzyka ta nie tylko nie razi, ale jest pożądaną, upragnioną. Jest ona harmonijnem dopełnieniem prawdziwie tatrzańskich wrażeń. Tak jak wprawny już taternik zapominać musi o nierówności drogi, o skałach zawadzających jego krokom; jak nie odwróci jego uwagi od cudnych efektów światła, od śmiałych konturów dzikiej turni, jakieś przejście wydające się mniej wprawnemu już „karkołomnem“; jak głód lub pragnienie, upał lub zimny, nieraz przeszywający wiatr nie zmniejszy uroku tych majestatycznych obrazów, tak samo wadliwość konstrukcji owej gęśli, jakiś ton ostry i zbyt przenikliwy nie zatrze głębokiego wrażenia melancholijnej, ale barwnej pieśni dawnych „zbojników“, lub ochoczej, skocznej, lubo nieco wrzaskliwej melodji nawpół dzikich „juhasów“. Przytem Sabała jest niewyczerpanym w *perifrazach i fioriturach*; rzadko kiedy dwa razy jedną melodję w zupełnie ten sam odda sposób. Do tańca górale dzisiejsi wolą muzykę Bartka, Kowala i innych dobrych skrzypków, ale wszyscy się na to zgadzają, że dawnych pieśni nikt już tak nie zagra, jak Sabała.

Przed kilku laty wybrałem się z kilku turystami i kilkunastu góralami, aby do Osobitej, ostatniej w łańcuchu zachodnim Tatr góry, przejść graniami (grzbietami) całe polskie Tatry. W przeddzień rozpoczęcia tej kilkudniowej wycieczki przybył do Zakopanego p. Robert W., krzepki gimnastyk i chętny towarzysz do gór. „Pójdź pan z nami“, rzekłem do niego. „Najchętniej, ale proszę, aby pan... (znany i zasłużony artysta muzyczny z Warszawy), z którym przyjechałem, mógł iść także. Silny jest i dobrze chodzi“. Naprózno przedstawiałem mu niepraktyczność tego zamiaru. Wiadomo, że najwytrwalsi piechury, nawet strzelcy z dolin, nie mogą bez poprzedniej

wprawy chodzić na większe wycieczki w górach. Nie będę tu spisywał przygód pana... przez ciąg jednego dnia, jaki z nami przeżył, dość na tem, że przed wieczorem był tak zmęczony, że wśród równej zresztą drogi po jakiejś grani, padł jak nieżywy, ani ruchu, ani słowa nie można było z niego wydobyć. Zbiegliśmy się wszyscy, starając się go ocucić z tego jakby letargu: napróżno, nawet oczu nie otworzył. „Jasiu, zawołałem wtedy na Sabałę, zagraj no temu panu, bo to też *muzykant* (przepraszam, ale nie umiałem się zrozumialej wyrazić): to mu pewnie najlepiej pomoże“. „A zaraz, proszę ich Miłości“, rzecze Sabała, który i w mowie i w muzyce ma swoje staroświeckie formy. Dobywa coprędzej swoich „gęślików“ z rękawa cuchy, w którym je zwykle nosi, i dalejże jakąś pieśń góralską. „A toż cooo?“ zapytał otwierając oczy i machinalnie podnosząc się pan... Sabała grał dalej, a pan... dzięki tej muzyce zabrał się do herbaty, którą pokrzepiwszy się mógł z przewodnikami swymi zejść w Chochołowską Dolinę, skąd na noc dostał się szczęśliwie do Zakopanego. Odtąd śmiejemy się z Jaśka, że i umarłych swoją muzyką wskrzesi.

W swoim barwnym opisie wycieczki z Chałubińskim w r. 1877 do Morskiego Oka, w której naturalnie i Sabała brał udział, tak o nim pisał Bronisław Rajchman, jako o „pierwszorzędnej gwiazdzie muzycznej w Zakopanem, którą zawsze dr. Chałubiński bierze na wycieczkę w roli honorowego członka, jedynie gwoli muzyki“.

Sabała, usadowiwszy się na przednim siedzeniu (furki), opierając się plecami o p. Ludwika (Chałubińskiego), rzępolił od ucha od chwili wyjazdu. Grał jakąś ulubioną góralską melodię dr. Chałubińskiego, która na mnie takie wrażenie sprawiała, jak gdyby mi kto uszy zgrzeblem pocierał, lub jak gdybym na własnej grzesznej skórze ob-

suwał się po ostrej skale. Wolalbym już, żeby nam przekładane nogi zupełnie się pogniotły i nie dały odróżnić od tortu przekładanego, aniżeli słuchać tej skrzypiącej muzyki. Profesor jednak lubował się nią bardzo i opowiadał, że Sabala jest ostatnim samorodnym muzykiem tatrzańskim, iż po jego śmierci cały ten skarb zaginąłby, ale na szczęście przyjechał do Zakopanego warszawski skrzypek p. Górski, którego uwagę zwrócił profesor na te melodje, a ten spisał znaczną ich część. „Muzyka ta, dodał w końcu profesor, wydaje się panom zapewne dość nieprzyjemną, gdyż składa się z mnóstwa dysonansów, ale upewniam was, że się do niej przyzwyczajacie, a wtedy odkryjecie w niej pewną oryginalną piękność“. Wiedząc, że profesor nic na wiatr nie mówi, nie protestowałem przeciwko temu. Nie przeszkodziło mi to jednak pomyśleć w duchu: zanim słońce wejdzie, rosa oczy wyje.

Ale już tego samego dnia wieczorem, podczas popasu przed noclegiem, przekonał się Rajchman, iż Chałubiński miał słuszność. Poczestowany śliwownicą, Sabala „zaczął grać z większym jeszcze zapalem, niż rano na furec“, i, o dziwo! muzyka ta zaczęła robić swoje.

Gdym usłyszał pierwsze dźwięki, owinąłem głowę w pled i zatkałem uszy palcami. Pomimo to dźwięki dochodziły do mojego słuchu; ale nie wydawały mi się już tak przykreimi jak rano; odsłoniłem więc otwory uszu. O cudo! melodia wydała mi się smętną. Ten utwór, pomyślałem sobie, jest jeszcze jaki taki: nawet, doprawdy, dodałem ostrożnie, nieco przyjemny, ale broń Boże, żeby zagrał ulubioną melodję profesora Chałubińskiego. Ledwie myśl ta w mojej głowie powstała, a już profesor zawołał:

— Mój Sabalo, zagraj no tamto, już wiesz... Uszanowanie dla osoby przywódcy wyprawy nie dozwoliło mi

prosić go o oszczędzanie moich nerwów. Postanowiłem mężnie wytrzymać tę napaść dyssonansów na moje błony bębenkowe. Lecz, o cudo powtórne! nawet ulubiona melodia doktora wpadała dość mile w moje uszy. „Czy to śliwowica tak podziałała na ręce Sabały, pomyślałem, czy to otoczenie?“ Na tym punkcie popełniłem omyłkę. Zmiana była nie w muzyce, lecz w moich uszach, w całej raczej mojej istocie.

Odoczynek na kamieniach wśród kosodrzewiny, dekoracja nagich gór, ognisko wśród dzikiej ciemności, rozwiewane przez wiatr to w tę to w ową stronę, iskry sypiące się deszczem na ludzi i kamienie, twarze koczujących błyskami przerywanymi oświetlane: oto tło, z którym muzyka Sabały była w najzupełniejszej harmonji. Potrzebną ona nawet była do całości obrazu, a kto wie, czy mazurek Chopina lub sonata Beethovena nie wydawałaby się fałszywą nutą w tej ogólnej harmonji dzikości.

Przyzwyczyłem się tedy do melodji Sabały, znalazłem w niej nawet pewien urok, choć nie mogłem tego pierwotnie przypuścić. Im dłużej grał, tem chętniej go słuchałem; a gdy niektórzy z górali tańczyć zaczęli, spostrzegłem, że jeszcze tego szczegółu brakowało, aby obraz był skończonym.

Jak w rezultacie fascynująco działała muzyka Sabały, zwłaszcza na górali, o tem świadczy scena, zanotowana przez tegoż Rajchmana w jego opisie *Wycieczki na Łomnicę*, przy przejeździe przez wieś węgierską Jurgów.

Sabała grał na naszym wózku bezustanku i dźwięki jego muzyki powyciągały z chat całą prawie ludność Jurgowa. Młode dziewczyny i chłopcy rzucili się do tańców, starsi przytupywali przynajmniej nogami do taktu, wszyscy porzucili robotę, aby się muzyce przysłuchiwać, a

nawet cieśle składający rusztowanie dachu na jednym z domów, rzucili siekiery i dalejże w płasy na dachu. Z tańca tego można było także poznać ich identyczność z góralami polskimi.

II.

Urodzony dnia 26-go stycznia 1809 roku w Kościelisku, z ojca Jana Gąsienicy, Sabała miał jeszcze trzech braci, Andrzeja, Wojciecha, Józefa, z którymi razem przezwali się później Krzeptowskimi. Dlaczego i kiedy? Nie wiadomo. Wiadomo jednak, że Sabała nazywał się od posiadłości, którą dziedziczył po ojcu, i że w różnych miejscowościach, poza obrębem Zakopanego i Kościeliska, znany był i pod innymi nazwami: jednym był znany, jako Janko Sablik, a byli i tacy, dla których nazywał się Janek Czakor.

Pochodząc z najarystokratyczniejszej rodziny zakopiańskiej Gąsieniców, po przodkach swoich, a w pierwszym rzędzie po ojcu¹, bardzo mądrym człowieku, odziedziczył rozum życiowy, sztukę pożycia z ludźmi, zmysł praktyczny, to-

¹ O dziadku swoim tak opowiadał Sabała: „Miałek dziadka, co bacował, bogobojny cłek był, Boga za Boga miał, juźci miał na upłazie halom, nad Kościeliskom. I co się nie zrobiło, zajęło mu coś te owce, przyńdzie wiecór zajmie, a na świtanie do dojenia som wysyćkie, i strąśnie dobrze doilo, zaś kiej z temi owcami sło, to śpiewało:

Ani ja porteczek, ani ja curecki
Kiej se musem paść tę cudne owiecki.

Wynosili mu sera. zętycy, toz to zętyce piło, hej piło, a i ser tez jadło. No, i dobrze nie bardzo co nie uradzili: trza mu odzienie usyć, ze tak dobrze pasie. I usyli mu i wynieśli to odzienie. ale mu juz wypłacili tem, i posło z płacem. Mozeby jesse pasło, ale bez to odzienie odesło, i owce porzuciło, i nie było przy nik. I nie wiem, coby zaś ono być miało, cy to niebosecyk pokutował, abo duch, to musiał być towarzysza dziadka, hej!“ Ten domniemany „towarzysz“ dziadka pozwala się domyślać, że i dziadek Sabały musiał zbudować za młodu.

warzyskość, słowem *ernstes Führen des Lebens* oraz *die Frohnatur*, jakby się wyraził Goethe. Sam to podkreślał, że mu „eliwo“ było bez ludzi, że od dziecka był „od ojców wyucony, żeby z każdym człowiekiem, czy on żyd, luter czy katolik, ugwarzyć, poradzić albo se poradzić“. Ojca swego wspominał Sabala czule w następującej śpiewce.

Oj. tatusiu, tatusiu,
Oj. gołąbecku siwy,
Potelaz nam dobrze,
Pokielaś nam żywy.

W każdym razie wiadomem jest, że ojciec Sabaly, troskliwy o dzieci, odznaczał się wielką przedsiębiorczością. Tak np. zajmował się kontrabandą owiec do Węgier na wielką skalę. Dość powiedzieć, że raz przeprowadził wirchami, bez granicznej opłaty, aż kilkaset owiec dla pana Adasia Pongraea i Dinga, jego brata z Andruszowej. Gdy w początkach XIX wieku rząd austriacki chcąc pozbyć się dóbr koronnych dawnej Rzeczypospolitej, zaproponował góralom nabycie Zakopanego, ojciec Sabaly, jako jeden z najwybitniejszych gazdów, znalazł się w liczbie delegatów góralskich, którzy wystąpili na przyjęcie dostojnika cesarskiego. „Jużci przyjechał z Widnia — opowiadał Sabala — cheba nie sam cysarz, ino jaki radca cysarski. To zaś Homolace przy Morskiem Oku brome takom zbudowali, a mój ojciec i Samek stali przy niej w takik rogatyk z bójnic kikapkak. He, to zaś potem dziwki i parobcy tańczyli na płycie i ten pan śniemi jechał“... Że stary Krzeptowski nie gardził zawodem zbójnickim, to również zdaje się nie ulegać wątpliwości. A że go Homolacze wybrali z pomiędzy tyłu innych, by w rogatej zbójnickiej czapie stał przy bramie tryumfalnej, jak karjatyda, to pozwala się domyślać, że musiał być dorodnym chłopem na schwał. A jakie miał „lekkie nogi“, t. j. jaki był „fryśny i prędkie“, tego się pozwala domyślać wspomnienie o nim Sabaly, który tak raz mówił: „Na

urodzinach Józka, ojciec dwoma palcami oparł się i hipnął bez stół, skłonkę (butelkę) i kapelus na niej postawił na stole i hipnął“. Tę zawadjacką fantazję odziedziczyli po ojcu jego wszyscy synowie, a Sabała w pierwszym rzędzie. Wiadomo też, że ojciec jego, dopóki był młody, namiętnie oddawał się myśliwstwu.

Po którym z rodziców otrzymał Sabała w dziedzictwie *die Lust zum Fabulieren*? Po ojcu, któremu zawdzięczał rosłą postawę, czy po matce? Zdaje się, że po matce, której śpiewał w jednej ze swoich piosnek:

Oj, jessesz mie matusiu
Oj, w korytku lulala;
Wtedy juz nad mojom
Skórom narzekala.

Musiała to być bardzo dobra i czuła matka, bo jej w innej piosence zarzuca Sabała zbyt wielką wobec niego łagodność i pobłażliwość.

Oj, matyeko miła.
Oj, cemuś mnie nie biła.
Jak ja budem wisiał,
Budzies se hańbiła.

Wynika z tego, iż Jasiek, jako dziecko, musiał być niesfornym chłopcem, że często zasługiwał na wały, których mu jednak poczciwa „matusia“ w nadmiernej swej dobroci oszczędzała.

Ale jednocześnie był ślicznym chłopcem, a gdy wyrósł na młodzieńca, przedzierzgnął się w pięknego rosnącego chłopca wspaniałej postawy, o niezmiernie bujnej naturze, w której obok burzliwego i porywczego temperamentu, jeszcze było dość miejsca i na łagodność charakteru, i na pewną marzycielskość. Niezmiernie rasowy i uduły pod każdym względem, silny zarówno w rękę, jak inteligencją, pełen fantazji i werwy, ognisty, odważny i lotny, jak koń arabski, doskonale

nadawał się do czasów, w których mu żyć było sądzone, a zwłaszcza na które przypadła jego młodość.

O czasach tych, które właśnie poznał z opowiadań Sa-
bały, tak pisze Witkiewicz:

Więcej niż połowa jego życia wiąże się z temi czasami bytu zakopiańskich górali, kiedy oni stanowili jakieś odrębne społeczeństwo, żyjące poza stosunkami, obowiązkami w szerokich i zewsząd dostępnych dolinach. W tych czasach, kiedy na całej dolinie Zakopanego stał jeden las czarny, kiedy „traców nie było, tylko łupali jedle i z takich łupanic stawiali chałupy wielgie, wysokie“, kiedy nie było w Zakopanem ani kościoła ani dróg jezdnych, w czasach tych wszystkie formy bytu były tak różne od tego, do czego jesteśmy przywykli w dolinach, że się o nich słucha, jak o bajce, że w najprostszym opowiadaniu, dotyczącem najzwyczajniejszych stron życia górali, dosłuchuje się jakichś ech z bajek, które w dzieciństwie gwarzyły niańki. Pasterstwo, myśliwstwo, zbójnictwo były wybitnymi przejawami życia Podhalan. Lud pasterski musiał stoczyć walkę z właściwymi tubylcami tej dzikiej ziemi górskiej, wyzwolić się z ich przemocy, a potem być ciągle przed nimi na straży. Niedźwiedź, wilk, orzeł były tymi pierwszymi nieprzyjaciółmi, które czyhały na stada owczarzy, z którymi należało się przedewszystkiem rozprawić. Ponieważ jednak człowiek i względem ludzi bywa wilkiem, więc co się nie dało wystrzydz z grzbietów owiec, co się nie zdobyło na skórze i mięsie niedźwiedzia i wszystkich innych zwierząt dzikich, to się dobierało, „pożyczało“ z komory liptowskich wolarzy, hrubych gazdów, orawskich panów i bogatych baców. Z drugiej strony lud ten siedząc na pograniczu, weześnie bardzo i jasno uświadomił swoją osobowość narodową, ponieważ jego sąsiedzi po tamtej stronie, którzy też „tęgie chłopcy bywają“, nie myśleli wcale darmo

oddawać ani swoich wołów, ani owiec, ani „srybła“, i w halach zawrzała nienawiść plemienna, będąca niestety, dotąd jednym z koniecznych zdaje się pierwiastków narodowego wyodrębnienia się.

Z drugiej strony były to czasy patryjarchalne, w których ludzie po wsiach, w długie zimowe wieczory „schodzili się na prządkę“, podczas których kobiety snuły lniane nici, a starzy opowiadali młodym „dziwnie na wobraźnię działające powiastki o zaklętych w granity królewnach, o dziadulach śpiących w środku turni, czarownicach i czarownikach, o grotach i pieczarach, któremi można było na wylot przejść ziemię... Smoki strzegące tej drogi i kości ludzkie, rozrzucone po zjedzeniu ciała na cztery strony świata, ukazywały się młodym we śnie i napawały strachem“¹. Były to czasy najbujniejszego rozkwitu miejscowych podań ludowych, czy to o zaklętych skarbach, czy o legendowym Janosiku i zbójnikach, czasy jednym słowem, które Tetmajer z tak genialną intuicją odworzył w swem *Skalnym Podhalu* i w swym *Bajecznym świecie Tatr*.

Wytworem takiego pół-dzikiego otoczenia, żyjącego zupełnie po za obrębem praw obowiązujących, był i młody Jan Krzeptowski, razem ze swymi braćmi. Młody, dorodny junak, chłop na schwał, z wielkiem szczęściem do dziewczuch, a niebezpieczny dla rywali, bo, jak sam opowiadał, pod wpływem „palenki“, gdy mu się we łbie paliła, tracił pamięć z gniewu i nie panował nad uniesieniem, nie znał, co strach, co to liczenie się z niebezpieczeństwem. „Za młodek — opowiadał nieraz sam — wydziwiał i wyrządzał ludziom, bo kie na mnie przysły psie lata, tok doma wystrzymać ni móg nijakim świecie“. Nie znaczyło to jednak, by go np. nęciło życie pasterskie na halach. Nie uśmiechało mu się to bynajmniej. „Pasterzem — mówił — to byk nie był za nic, bo to je życie

¹ Porównaj Andrzej Stopka „Sabała“.

wesołe, haj, ale biedne, haj. Ino zyntyce hlipaj, co brzuk zdoli, a ino wyńdzies ze sałasu, to znowa jédz i pij, haj. Bo ci zaros cosi kajsi po brzuku jeździ“.

Największy dla niego urok miała „polowacka“, i to o ile możności na grubego zwierza, na niedźwiedzie, na dziki, na wilki, na rysie. To też, jako znakomity strzelec brał udział we wszystkich obławach kłusowniczych, bądź z innymi góralami, swymi przyjaciółmi, z Szymkiem Tatarem, z Maciejem Sieczką, z Wawrzkiem Nędzą, z Mardulą, i z braćmi swoimi, Jędrusiem, Wojtkiem i Józkiem, bądź w wielkich wyprawach myśliwskich, które od czasu do czasu urządzał dla swoich gości Edward Homolacz, którego, nawiasem mówiąc, Sabała był wielkim faworytem, i jako myśliwy zawołany, i jako gawędziarz niezrównany, i jako muzykant doskonały.

Ale najchętniej wybierał się w góry na łowy sam, albo we dwóch, np. z bratem swym, Jędrzejem. Czynił to już od najwcześniejszej młodości, zrazu ukradkiem przed ojcem, który mu na to nie pozwalał, „bo mu wej było zozrość, ze sam był stary i juz ni móg“. Potem, dorósłszy, raz po raz opuszczał chałupę, ażeby włóczyć się po górach i lasach, a choć czasami musiał lazić dłuższy czas, żeby nie wrócić z pustą torbą, nie zrażał się takim niepowodzeniem. W każdym razie wolał to, niż siedzieć w domu.

Najgorzej było ze strzelbą, bo pierwsza flinta, jaką miał Sabała zapalała się jeszcze krzemieniem, słowem miała wiele podobieństwa do tej unieśmiertelnionej w Panu Tadeuszu „horeszkowej jednorurki, starej obwiązanej w sznurki“. Z powodu tego złego „sprzętu“ pudłował bardzo często.

„— Ale to drzewi — opowiadał Witkiewiczowi — o sprzęt było trudno, nie było flinty, ino na krzemień. Alek zrazu więcej wypsuł, wygnoił, niżli do użytku przyniósł. Nie tak strzelać, jak nabijać nie umiał, hej! Flinta kee być cysta. Niek po wirchu bedzie brzyéka, ale w nukak trza jom mieć cystotnie, a i ogień, coby nie zdradził. Bo i od proku tak zro-

bi; strzela się, strzela, to tam zrobi takom przyware i ogień nie proku nie chyci. Kie zaś na krzemień, to jak juz odchyliła osetkę i skra siadła, dobrze, ale trza było prok zawilgły poruszyć, coby nie był zbarylonny“.

Dopiero w 23-cim roku życia, a więc około 1832 roku, udało się Sabałę kupić fuzję nowoczesną, kapiszonówkę. Była to jeszcze strzelba o jednej lufie, mniej więcej taka, jak owa jednorurka Gerwazego, a choć jako „fuzyjka“ pod żadnym względem nie mogła mierzyć się ani z ową słynną „Sanguškówką“ Asesora, ani tembardziej z niezrównaną bałabanowską „Sagalasówką“ Rejenta, zwłaszcza, że miała twardy spust, to jednak od tej chwili zaczęła się w życiu Sabały, jako strzelca, nowa epoka.

— Skoro potem kapśliki nastaly — opowiadał raz Witkiewiczowi — to juz to rzezało, jak brzytwy. Toz to z Polski od księdzów przynosili, ale wiedziątek o flincie w Chochołowie, co i kulom rzezała, a i dwoma, a drugom znał u kapitana w Dzianisu, to i ta dobrze kulki nosiła. Przywiózł potem za półtorasta rymskik z Wiednia Homolacz pierwszy, he! to była drutówka dobra. A i na krzemień dubeltówki dwie grzene miał. Było mi trzy dwadzieścia roków, kie kapśłówke kupił; ale to było twarde, to mało co chybił, to alboś przybocył, albo unizył. Spusty majom być lekkie w takik sprzętak, co sie strzela; jak juz ma twardy spust, to musi unizyc hej! Nabij godnie, zamierzaj dobrze, strzel pewno! A jak strzelas daleko, albo piono nabijes, z tego nic! Po jeden nabije tak, co albo ołowu przylozy, albo proku chybi. Tak da proku mało, a ołowu moc, przebiere ciężarem, no to źle! Ołowem nie trza przebierać. Prokem jak strzelec kłamie, to nie okłamie sam, bo to mu ino przylepi do dźwirza, a do nuka nie pójdzie. Dopiero flinta proku przyjena garzć, a i kulami dwoma strzelił na sto kroków, nie osfyrkły sie telo, jak dłoń, no to juz go mas!

Z biegiem lat doszedł Sabała i do dubeltówki, a gdy go pytano, jaka strzelba dogadzała mu najbardziej; odpowiadał:

„Mnie ta, prosem pięknie ik miłości, każda do sukwy się zdała. Ino dubeltówka wse lepsa. Wy ta macie takie, co telo razy strzelajom, hociaj raz nabijes. He! kieby ja jom miał, to sytkie bydłeta moje, haj!... Ale to i myśliwiec musi być do sprzętu. Bo zaś jest taki, co choćby ta jaki godny sprzęt miał w garzci, jak niedźwiedzia uwidzi, to tak zdygoce, co albo brzezek ka postrzeli, albo zaś Panu Bogu w okna! haj!“

Zdarzył się raz i Sabale fatalny wypadek z fuzją: czy ją nabił zbyt silnie, czy coś się popsulo w lufie, dość, że mu flintę rozerwało w rękę i kawał żelaza wbił mu się w rękę „pod pulsowom zyłę“. Poszedł z tem do Nowego Targu do doktora; ten jednak, obejrzawszy ranę, powiedział, że w niej nie niema, zrobił opatrunek, wziął honorarjum, no, i rana się zagoiła niebawem. Ale po upływie kilku miesięcy zrobił się na tej ręce powyżej łokcia guz, ramię spuchło całe i rana się otworzyła...

— Wypukło telo, jak pięść. Juźci zytnie ciasto z jajkiem na te rane przykładali, i nic a nic, i ta ręka tak zesłała, cok jom położył przy sobie jak drewnianom saite, a takik był słaby, widziało się co hnetki umrem, hej! Baby się pozłaziły, wzięły jajceć, ale ja ta nie rad słucham takiego larmu; juści rzeke: „Trzysta djabłówście zjadły z tem piskiem, idźcie prec, do pola, kiej macie wolom krzyceć!“ I zona mię pyta: „No, Jaśku, jakoz cie do truchły ubieremy, ka w jaki przyodziewek cie odziać?“ „He, rzeke, nie kładźcie me kapelusa, ino capke na usy, coby mi zaby nie burzyły po głowie!“ No, dobrze. Przysła jedna baba i kazała królika zabić, a te flaki i skórke, ciepłe przyłożyć. I, hnet, juz cujem, co me to zratowało i popuściło to całkiem. Juźci, kiej juz do władzy przysel, wziętek sydło, ozrytek te rane, he! cosi zbyrce! klepiem, a to zbyrce, jak podkowa! Wziętek pilno pazdurem i to zelazo wychyciłek! A tego był kęs godny, i to siedziało w ręce rok i seś niedziel, hej!

Po operacji tej, zrobionej szydłem i paznogciem, zostało Sabale tylko słabe zdrętwienie w wielkim palcu.

Jakkolwiek w owych czasach zwierza w Tatrach było dużo, to przecież kłusownicy zakopiańscy tępil go nadmierne. Zwłaszcza Sabała był z tego sławny. Sława jego i jego braci, sięgała aż na Węgry, tak dalece, że aż zanoszono skargi do Homolaczów, by temu starali się położyć tamę.

— Było to tego pirwej, co było do cego strzelać, opowiadał później Sabała. Dopiro pani z Orawy i gróf taki z Kubina odkazowali, coby Krzeptowscy nie bili; jużci Homolacce pytali, co by ik nie despetować. I dobrze, zamnożyły się koło Kościelisk, a i dolinom sły jak woda, bo to nie obitelne. Dopiro sam ten gróf pismo posłał, coby Sabała strzelał. Wzienieimy krzesać, hnet wykrzesali!

Lubo wolał polować z flintą, zastawiał Sabała z braćmi także oklepce na zwierzynę, którego to sposobu nauczyli także i swych znajomych z Orawy. „Orawskik — opowiadał — nauczyli my stawy stawiać: cy przyńdzie z Luptowa, cy od nas, od polskiej strony, bo to sędy ma swoje przechody. A Luptowscy zelaza stawiajom, oklepce. Nie słyszałek, co by Luptacy moc zastrzelili, ino do oklepca łapiom. Ale my, my bili!“

Gdy z czasem kłusownictwo zostało surowo zakazane, musiał i Sabała z braćmi, jak tylu innych górali, polować po kryjomu. Był na to sposób taki. Strzelcy rozbierali fuzje na kawałki i, ukrywszy je pod odzieniem, wychodzili ze wsi np. pod pozorem interesów w mieście, lub kupna serdaków w Liptowie, poczem rozbiegali się po lasach i halach, ale na to tylko, by się spotkać na umówionem miejscu w górach o umówionej godzinie. Tam, złożywszy strzelby, rozpoczynano polowanie.

.III.

Najbardziej nęciło Sabałę polowanie na niedźwiedzie. Zabił też ich moc, podobno trzynaście, nie licząc tych, które postrzelone, uciekły „z bekim“, konały w długich męczar-

niach głodu i bólu, i zaginęły bez wieści. „Coby te niebości-ki—chwalił się kiedyś—stany, cok ik wybił, toby hetki w Zakopanem i w Kościelisku sićko pojady i ludziby sie pote hycily“.

— Nie mas nad kule do niedźwiedzia, prawil raz Witkiewiczowi. O, kuli usłuchnie! Cheba, co niżej pod komore sie strzeli, to dziewięć dni będzie zyl, pokieli flacyska nie zgnijom. I broki przebijom, ale trzeba uważać, kie pokrocy, uchyli łopatke, wtedy łupnąć. A to hoće, mocniejszego miesa, to juz trzeba tęgo strzelać, hej! Niedźwiedz ma kudły, to jak słabe nabicie, to się w kudły owinie i on od tego nie zdeknie, zarosnie piknie; który zaś w jesieni tłusty je, to sadłem rane zawłócy. I dobrze, kie juz wies nabić, cobyś wiedział, jak strzelić. Z grzybietu, ze zadku, a i na gardło nie pewne strzelenie: z przodku, z piersi samoto, to ino tak lotki uwieznom, jak w błocie. W głowe, tu tok to się osplascy kula, ale haw, między ocy, to som takie dziury, sionki, to i lotek, kieby trafił, to do mózgu doleci. A, i strzelec musi być serca zatwardzialesgo, co by się nie bał, hej! Strzelec nie ma co sie go bać przed strzeleniem. Po jeden strzelec z radości, a po jeden ze strachu drgnie, takiemu nimas co wierzyć. Ale nimas strzelca, jako taki, co w sercu nie zedrzy.

Takim właśnie był Sabała, strasznie na niedźwiedzie zawzięty. To też z przygód, jakich zaznał na tych niebezpiecznych łowach, bądź sam, bądź z towarzyszymi, a o których na starość opowiadał chętnie, dałaby się złożyć cała epepeja myśliwska. Niestety, spisano tylko niektóre z tych jego opowieści. Ale i te dają dostateczne wyobrażenie o rodzaju tych awanturnicznych zmagani się z tym najgroźniejszym mieszkańcem Tatr.

Choć miał „pewne oko“ i strzelał znakomicie, a przytem nawet w największem niebezpieczeństwie nie tracił zimnej krwi, przecież zdarzało się i jemu, że chybił. Wtedy z niedźwiedziem nie przelewki.

— Raz poseł i strzelelek, opowiadał kiedyś Stopce i jego

rówieśnikom. Miłońskich bieda zjadła, haj, aj zjadła, haj! Hybiłek, miałek pojedyńke, wyniosek się na smreka. On mi sie przypatruje ze spodku, a ja siedzem cicho, ino ze dyhom. Stanon na łapak, ale mie dostać ni móg, haj. Jazek tak to wysiedział. Wytrzymała mie wereda długo, nie krótko, a ręce mi cysto pięknie zglegwiały, co strak, haj. On sie zaś poseł paść na borówki. Poseł niżej, a tyćko się na mnie boke jednem oke przypatrował. Ja sie zaś zacon wyzej śtyrbać, cyby jakosi się cego lepszego nie hycić. Siadek na gałęź, ale sie złamała. Była słaba. Toż to, dobrze nie barzo, zjehalek na ziem, haj. Ja w uciekaca, on za mnom. Jazek lewdy dopad bucka dość grubego i wylazek, nie wiele myślący, na niego, na gałąś, haj. Byłek ślebodny, bo buk był hruby. Ino ze mi cosi kajsi po brzuku strasnie jeździło, bok długo siedział, a jedzenia ni miałek. Było ostawione przy smreku. Kieby mi miał wto flinte podać ze spodku, to onoby ta było syćko dobrze, bok prok i kapśliki w tórbce miał. Ale nika nic, haj. W Ornacku mi się wse nie scęściło, haj, nie scęściło mi się, o nie!

Mimo to w końcu jakoś dał sobie z niedźwiedziem tym radę i wymknął mu się z pazurów...

Innym razem, w Ciemnych Smreczynach, taka mu się z bratem Józkiem zdarzyła przygoda, którą z czasem po latach w ten sposób opowiedział Witkiewiczowi:

— Idziemy z pod Krzywania ku Ciemno-Smreczynom, ale my nie jedli już drugi dzień i dopiro ja patrzem: Niedźwiedź! Idzie, rusa kudłami, jak Madziar gaciami. Widzis go! Juści brat myślał, co Luptacy, porwie się biedz, dopiro go wołam, hipnął ku mnie. Pokazujem mu niedźwiedzia: idzie proci nas, do to teli jak sałas! „Wyjmuj lotki, bij kulkę a hybaj za wode; siądz za smrekiem, a puść blisko!“ Juści on przeleciał za wode; syćko my odbiegli i torby, i cuchy, prasnalek i kapelus, ino flintę do jednej, ciupagę do drugiej garzci, lecem! No, juz zaleciałek, pozrem, nic nie widzom. Co się to mogło stać? Pozieram pilno po tyk zieleninak, widzom jego

pośrzodku, pasie sie, obraca. Przypadłek po za smreka; flinta lotkami nabita, a na wierzchu kulka w kłaku, proku nasulek dość, coby niedźwiedź nie myślał, co mu załujem. Ale, z tej gronki strzelić było nijako, smrek prawie zastaniał; a tu śtyrbno, takie turnie gładkie dó dołu. Juści rzekę: Nie porada mnie ku tobie zejść! Toz to na grzybiecie, na łokciak zjechałek dołu, on się przykrecił bokiem, strzelił! Spadł, ani nie beknął!... Wartko nabijam flintę, juze prawie kapślik nakładam, przyleci Józek i zabiadkał: „O mocny Boże! juze on nam useł!“ Dopiro mu ukazujem, ten się porwie do niego: „Stój! rzekę, póki ja sie nie sprawie, a odwiedź flinte, bo jak on jesce zywy, to myby z telo zdrowi nie wyśli“. Dopiro chodzem z daleka, patrzem, a mu ta ocy mgłom zielonom zasły, ale jesce mruga, hej! Wziółek skale, bar! w niego. Sarpnął sie w jeden bok i lezy. Kula jakok zamierzował przesła bez serce, zaś jeden lotek był w pięcie, a drugi za usami. No, i dobrze nie bardzo. Wyjąłek nóz z torbki, toz to kiej mu nozem brzuk ozeprół, on sie cofa, cofa i palcami rusa... Co tchu nakładli my ognia; Józek wątrobe piók, ja zaś sadła nawinał na patyk, wnet naciarało to w kapelus. Pojedli my sytno; ino soli nam chybiało; onoby jesce lepsze było ze solom. Bo niedźwiedzie mięso je godne! Śpitwać co telu, coby się nie zaparzyło, to ono ta bedzie dobre. Cok przyniół kany niedźwiedzia do domu, to to chłopci wnet skiełtujom. Co się nie zrobiło, Józek poleciał dó domu, przyseł z Jędrzkiem bratem i pacholkiem, baryłe wódki przynieśli; naskwarzyłek sadła w kapelus, ale im to było niedopowiednio, i dobrze niebardzo, tu kapelusa na głowę trza, tu sadła zal... Wypilek! To mnie tak wymaściło w plucak, cok pięć roków krzypoty nijakiej nie miał. Jak juz potem trza było iść, niedźwiedzia tego my zabrali, ale nie mogli zdoleć w pięci chłopów zabrać syćkego: kark ostał.

Ale największym tryumfem Sabaly, jako strzelca, był wielki niedźwiedź, zabity przezeń w zimie na wielkiej obławie z Edwardem Homolaczem na czele. Były to łowy, zupeł-

nie godne zestawienia z wielkiem polowaniem na niedźwiedzia w „Panu Tadeuszu“, a dla Sabały o tyle zaszczytniejsze, że jemu właśnie przypadła w nich rola księdza Robaka, podczas gdy wszyscy inni musieli poprzestać na drugorzędnych rolach Tadeusza i hrabiego, Asesora i Rejenta, a w najlepszym razie Gerwazego i Wojskiego.

O łowach tych raz opowiadał Sabała swym epickim stylem Witkiewiczowi:

— Raz, co sie nie zrobiło, znalazł hutman orawski, ka do dziury na gniazda naniósł (niedźwiedź) cetyty. Ale sie bali orawscy strzelcy i odkazali po nas, babami odkazali, coby przyńść. Juści myślę se: baby jako baby, babie plotki! Dyc kie go hań mas, to bij sam! Dobrze nie bardzo psłi cosi pięć dwadzieścia strzelców. A tam dziura była do skale, jak pod ten stół; nie trza było i strzelać, mógł siekierom w kark zaciąć, zabiłby. Wzieli dwa psy owcarskie, idom pod te skale, a ten se lezy w tej dziurze, ale nie śpi, bo *On* nie śpi. Świstaki po Michale, kiek znalazł śpiące, tok go prasnon kielo dole mógek, nie obódził sie; ale *On* nie śpi. Juści psy przyńdom do tej dziury: Au! au! a niedźwiedź, z nuka: He! he!... Idzie... Pociskali flinty. hybaj, ka który móg: *Niek cie sto bohów zabije odebrałbyś mnie żywo życie!*... Dopiero ja tam ide, było trzy tyżnie przed ostatkami, w miesopusty. Idem i widzem, cosik sło. I, cózby zaś miało być? Cłek nie cłek, łapy duze, łamał ten śreń, bo to na śniegu; ale taka zima była, co desce łąy, to takie śrenie urobiło, co bieda było przebić. A to *On* był. Juz był wygnany, juz przesęł bez trzy doliny. I haniok, na jednej skale woły legały, on sie tam pasał i legał. Miał gniazdo, ale łośskie, pod wolarniom i zawse sły-szał, cy ka ludzie drogom nie idom; a i cuł, bo *On* cuje bardzo. Bez ocy mógłbyś go kijem zabić, ale kie zacuje, kipnie! Z daleka trza go obeńść, bo jakby wlażł na ten ślak, coś go obchodził, to *On* juz wie, co go strzelec obeseł. Juści obende go z daleka; nie wyseł. Tu ześ! Cóz ja ci tu bedem robił? Bo to było wielgie: obydwoma nogami byś stąpił do jego jednej!

I, dobrze nie bardzo, obsłakował go, przylecem po Jędrusia, po brata. Radzimy. My by go tam zabili choj który sam, na lezysku, coby kciał cekać. Ale cóż sami dwa będziemy robić? Kieby nas było choć šturok, hej; Skoda takiego dźwirza wypuścić, bo to jest wielgie, brzyćkie. Juści uradzili po Siecke, po Maćka, wiedzom — zje ba jesse zywy — i po Samka postać. Poleciał Jędreka, ja zaś ostał tamok w kolibie, przy węglarzak. Sędy mi nocnik grzecny; strzelec pierzyny nie nosi, bo haw som gotowe: jedne gałęzie se upościelam, drugimi się okryjem, i ciepło!... Przyleci Jędrus; nie było ik doma, byli w Magórze na bani. Pójdź Jędrus za nimi. I, dobrze, zabrali sie ci, lecom na mroku i zajdź do karcymy; a Homolac Edward prawiutko z Rabki z polowania przyjechał i wlaźł ku nim. „A co wy tu robicie?“ „Tak i tak, Jasiek obsłakował niedźwiedzia. He! zabrali sie panowie wartko, choć i éma była. Strzelcy lecieli na nogak, a pani chyba na wozie, zaś Mali sankami. Dobrze nie bardzo, lezem hań w kolibie, przyleci Symcio Tatar: „Bywaj! Przyjechali panowie!“ Dopiero wyrzecz; panowie nasi! Ka jaki sprzęt mieli: flinty, stućce, rewulwerty zabrali. Juści Edward Homolac rzece: „Powiedz mi Krzeptowski, cy ten niedźwiedź jest?“ „Jest je!“ „A powiedz mi otwarcie, cobyś zrobił, kieby na cie przysel?“ „Przepraszam wielkomożnego pana, juz jak my dwa sie zeńdziemy, to albo ty mój, albo ja twój. Takek mu pedział i takek mu wykonał... Poślimy. Było nas sesnastu: Homolac, Mali, Symcio Tatar, Samek, Jędrus brat, Wawrzek Nędza, Maciek Siecka, Wojtek brat, nie wiem, cy go znali, co miał Gackule, Śleboda orawski, i, dobrze nie zbacem, którzy ta jesse chłopci mieli być. Ale, dobrze nie bardzo, podeśli my do doliny, a ten Śleboda poseł wyzej, a rąbał wykrota, ogień kładł, bo sie bał, coby na niego nie przysel. Ja wypatrzył z doliny takom przełęczke: Muis haw przyńś! Była pyrzcś, ale taka między skale, i zarośniona skorusynom, smreckami, posprzywalana wantami. Stanonek pod takim gałęzistym smrekiem, cekam. Miał Jędrus psa: puścili, sceka, sceka, ale

jednym razem ustał, ani telo nie skwicał, jak mys, bo byk go słysał. I co się stało? A ten niedźwiedz tak zrobił: kłapnon łapom w grzybiet i bechnon pieska z turnie. I dobrze: na kwile się ucisyło, cekam. Aze dopiero słyssem, we wirchu kłoda hruba strzescała; bo to jest dźwirz ciężki. Stoje pod tym smrekiem i... trzask druga. Juześ ty!... Wnet patrzem, a tu skorusy, smrecki rozchylajom sie, co jakbyś jedle puścić... Idzie!... No pódź! Idzie prosto: tu była wolarnia, ale on nie seł ku niej, bo była huściawa; wzion sie po pod nie. Casem widzem: tu usy, tu grzybiet, grzywa wielga... Jak juz widzem na tej pyrzi, trzymam flinty przy pysku: dopiro wyt-knon łeb, przysły przednie nogi... toz to łupnon pod łopatke, ale wtencas strzelił wyraźnie! Nie becał nic, za to co bez same płuca mu kulki przesły i zalało mu gardło krwiom. Jednegok tak trafił, co mu te zyły od serca odciął, to jako stał, padł: ani wieprzek tak od noza pilno nie zdeknie, jako On. Cheba jak sie nie trafi, to jedzie w las becały. Juźci padł! Juz widzem syćkie śtyry nogi wyciągnon. Lezy na kwile ciutko. Aze pote dźwiga głowe, dźwiga... Razem stał na przednie nogi i patrzy w to miejsce, skąd strzelony. Ja sie łapiem gałęzi, hybaj! na smreka. Po strzeleniu trza strasnie warować niedźwiedzia. Jak juz poraniony godnie, hipnie obces. On nie lubi, cobyś mu koło nosa kłół, hej... I, dobrze nie bardzo, jako stał na przednie nogi, napirw słucha, ozmyśluje... Na ostatek sie obacył, zrozumiał, co jest zdziabniony, jak wzion pyske prać po tyk ranak, gryzł, kopyrtał sie, aze poleciał skorusy targający. Ja za nim: pen! w grzybiet!... I prawiutko naseł takiego wykrota, łęg se piknie, przednie łapy ułożył i głowe na nik jak do spania, i widziało sie, co zdek... Przyńdzie Wawrzek Nędza i chciał ku niemu hipnąć. „Stój! rzeke. Strzelem mu po usak, to przecie pomysli, co usy furkajom, to sie strząśnie, a nie strząśnic, to pójdzies, bo kie jest po-strzelony, to waruj!“ Nabilek biegunek seść, strzeliłek, ale ani drgnon. To był wielgi dźwirz. Dwanaście piędzi miał z pomiędzy usy do ogona. Stare to było, ale on rejestru nie

nosi, cy mu ta pięć, cy seść roków, hej! Dobrze nie bardzo, przyleci taki Jasiek z Pająkówki: „Wiecie co pedział Śleboda, orawski leśnicy? Co go nie wyda, pokieli pismo od panów z Orawy nie przyńdzie“. Juźci rzeke: „Bede ja ci tu pisma cekał! Cemuześ go nie bił sam, kie je twój? Trzysta djabłów zjadłeś!“ Zleciałek ku panom i powiedział: panowie pojechali, a od drugiej strony zaśli. Juźci, pedzieli my Ślebobdzie, co Józek trzy razy strzelił, ale chybił i *On* poseł na polskom stronie. Dopiro wzieli my tego niedźwiedzia i ciągli na wirch ku granicy: a to było przykro, do wirchu. Juźci wciągli na turnice: „Tu mu będziemy śpiewać!“ Skrzyceli my jednym głosem i strzelili sytka wraz. I były haniok takie rzeźnie, kany drzewo spuscali, ja puścił tego niedźwiedzia... jedzie! Siedek na toporzysku, jadę za nim, aze śnieg sie kurzy. Zjechali my dołu, konie uwidziały, hnet się osfyrkły ka w jakim stronie. Tak my polowali, haj!

O innym niedźwiedziu opowiadał Sabała, jak następuje:

— I tak było: Poleciałek do hal, idem i były takie wielgie kosodrzewiny, widzem idzie ś nik niedźwiedź, a taki popod łopatki biały i głowe miał białom, ale takom żółtawom. Myślałek co ku mnie pójdzie, ale on poseł dołem i bez taki źlebek, zaś potem wyseł na takom gronke i stał na syćkie styry łapy jako stał — odesła go włada — i spadł na kumore, bo smrecek zaslaniał i wiatr tom gałązkom ruستاł, toz to strzeliłek ponizej na bandzioch. A on kłakł na syćkie stryry łapy jako stał — odesła go włada — i spadł z gronki. Ja tu pilno kciałek nabić i strzelić, ale jakek ku niemu pelznał, zdjąłek tórbkę, bo zbercała, juźci biegam, tu sukam, nie mogę najś! No i dobrze nie bardzo: niedźwiedź wstał i poseł. Toz to ślakował go ku wodzie i on seł temi wodami, opił się jej, ślak nasełek łapy na mule. Juźci idem za nim, toz to w jednym miejscu dwa kęsy krwie zaskrzepłej leżały na mehu. No i co się nie zrobiło, ja poseł za nim dołu, a on zaś w takie wiersyki zasał i tam zdek! Cały tydzień go sukatek. Do dnia na smreku siedział, a pozierał, ka tez ha-

wrani na te marsine ś niego polecom. Toz to potem owcarze naleźli go potarganego: kuny, liski, hawrani ozniesły to, zaś tam ino kudły wałaly sę, a kości, aj!

O jednej niedźwiedzicy opowiadał Sabała taki wstrząsająca epizod z polowania:

— Raz polowace naśli niedźwiedzice z dwioma małemi i postrzelili jom; toz to sła i kopała doły na zdekniecie; piętnaście dołów wykopała, aze w sesnastym zdekła. A te małe jom jesce dopadły i ssały zdeknieciom, aze sie zapieniły. Dopiro se pomiarkowały, co ona nieżywa, to zaś posły temi samemi ślakami, skąd przysły, bośmy ik ślakowali bez Polskom Tomanowom. Ale, to małe było a mądre, i one wiedziały, jak się na zimę ułożyć!

Jednego niedźwiedzia zabił Sabała w turniach Mięguszowieckich. Był to nietylko wielki szkodnik, który od dłuższego czasu niepokoił pasterzy na pobliskich halach, ale nadto miał tyle sprytu, że na nic zdały się wszelkie na niego wyprawy.

— Był strasznie mądry, haj. To się trafi, prosem piknie, taki dzwierz, co, prosem piknie, i cłek rozumu telo ni ma, Straśnie je smysny.

Jakoż i Sabałę, gdy już ten zawziął się na niego, „mylił“ bardzo długo, ale doświadczony myśliwy chodził za nim dopoty, póki go nie zabił w końcu.

Z innym niedźwiedziem zdarzyła mu się następująca oryginalna przygoda:

— Kie my przyśli na Orawe, toz tok poślakował niedźwiedzia i zabiłek go. No i dobrze nie bardzo, obłupiłek go, haj, i upiók co zwięksa. Jaze przylatuje ku mnie taka wartka liska. Straśnie była pokorna, ogon trzymała między nogami, haj! Ni mogek sie jej obegnać, a strzelać sie do niej nie opłaciło, bo była młoda i był byk se dzwirza postrachał, haj! Jazek sie długo nie namysłał. Myśliwskie prawo krótkie. Łapiłek jedne pieconke, co okapowała na patyku i prasnonek jej to. Łap i poleciała.

Wogóle różne miał Sabała przygody z niedźwiedziami; ale raz trafiła kosa na kamień. Bo znalazł się taki sprytny niedźwiedź, który samego Sabałę potrafił wyprowadzić w pole; dość powiedzieć, że zjadł przynętę, obstawioną pięciu nabitemi i połączonemi drutem strzelbami, i poszedł, jakby nigdy nic na borówki. O tym jednym niedźwiedziu mówił Sabała z respektem:

— Trzysta djabłów zjadłeś, toś ty mędrszy, jako ja; kiejs ty potrafił wystrzelić, to ty potrafis i nabić!

Już to wogóle wielkiego zwierza, a szczególnie niedźwiedzi, było wtedy w Tatrach wiele.

— Drzewi — opowiadał Sabała Witkiewiczowi — kies poseł na sarny, niedźwiedź tu! Bo to tego było moc, ale to strzelcy stępiłi. Wawrzek nędza, Samek, Myśliwiec, Matus Karpiel i inni. Strzelcy duzo broniom od niedźwiedzia, od wilka, od złodziei, a i zbójniki sie bojom strzelca, bo to chłop! Dziękuję ci tez Boze, coś me nie stworzył popem, ba chłopem!

Nie brakło wówczas w Tatrach i dzików, a Sabała był na nie równie zawzięty, jak na niedźwiedzie. Miał też ich niemało na sumieniu. Polowanie to było może niebezpieczniejsze jeszcze, niż na niedźwiedzia, więc nieraz obfitowało w przygody, które Sabała dobrze zapamiętał do końca życia. W jaki sposób udało mu się raz zabić wielką maciorę, tak o tem kiedyś opowiadał Stopce:

— Raz ja i Marduła nieboscyk pošlimy lemze świt, jak ino śnieg zesel, do Luptowa, rzekomo na serdaki. No, i dobrze nie bardzo, zmarzliśmy tego, bo to było co ino po zimie, na wiesne było. Zmarzliśmy setnie, haj. Co ja nie robiem, ozłożyłek wieldzażnom watre, coby sie nie przygrzać co przy niej, haj. Marduła sie tez wyciongnon przy watrze; przy watrze sie dobrze śpi. Kosulsko mu sie popaliło, ale spał tego, haj. Kie sie tak cysto, pięknie zespał, ja tymcase hybaj. Marduła nie był taki zawzięty na dzwierzynie, jako ja. I co ja

nie uradził, zostawił go tak, a ja tymczasem poleciałem z flintem, haj. I tak mi się jakosi trafiło, że inożek się obezrał, widzę małą świnkę. E, myślałem się, będzie tu kajska i duża, bo kazby się mali brali, kieby dużyk nie było, haj. Ale jej jeszcze nie widzę. Miała się już na ostrożności, żeby mi ze zadku nie przywitała, ino z przodu, po honorowemu, haj. Patrzem, czy kapsliki mam. Syćko było w porządku, ino jeszcze nie było do kogo strzelić. Z tą małą biedną, to mi się nie opłacało babrać, haj, bo to szkoda. I co się nie stało, stoję tak, jak na trzy stajania, a tu widzę usyska i ryło. Sjoniek kapelus z głowy i prasnon, żeby mi, prosem pięknie, nie zawadzał. Ona hudošina myślała, że ja się ś niom witam i lezie ku mnie, lezie pomału, bo już była drugi raz prośna. Jaze ja hyc za bucka. Skryłek się, przymierzył i ben w nie, haj. Strzelił. Zaczyna tońcyć, ale się może spocyna. A ja wyjon nóż pilno. Urznonek jedno łydke. Przyniosek ku wiatr i upiók. Dobrze nie bardzo, jem i oblizuję się i skwarkik już skwarzył, toż tok pilno włożył do ognia skałę, żeby się opaliła. Wyjoniek jom cerwonem i włożył do wody, cokol jom do dolinki na skałę nalał. Nasułek mąki i była kluska. Uwarzył jom. Kiek tak syćko dobrze, syćko pięknie porobił, zaczął już jeść. Jaz Mardule zapachło pod nos i obudził się. Myślał, że kany świni ukradł. Nie chciał mi nijakim światem wierzyć, żeby ja tak pilno upolować miał, haj. Ja mu się sumiętuję, a on nie. No już, jak cłek śpi, to mu wrona do gardła nie wpadnie, chociażby ją szerzej otworzył hubku, jak wrota, haj. Zabraliśmy to, może do czasu Bożego mieliśmy na kwilke coś jeść. Było cym brzuch omaścić, haj. Zratowaliśmy się dość godnie.

Naturalnie, że jak tyłu innych strzelców, tak i Sabała namiętnie polował na kozice i świstaki. Nabił ich też bez liku, przyczem oczywiście nie obeszło się i bez przygód, często dramatycznych w najwyższym stopniu, tak, że nieraz musiał dobrze śmierci w oczy zajrzeć, zanim z zabita kozą lub ca-

pem udało mu się wrócić szczęśliwie do domu. Raz np. kiedy był po tamtej stronie Tatr „na kozach“ obścapił go „z flintami przy zębach“ leśniczowie węgierscy, związali, osadzili w więzieniu i mieli kije bić, a puścić go nie chcieli ani za sto, ani za „dwieście rymskich“, i z pewnością skończyło by się z nim niedobrze, gdyby nie wstawili się za nim pan Adaś Pangrac i Dingo brat jego z Ondrusiowej (ci sami, którym jego ojciec owce przeprowadzał z Podhala) i nie uwolnili go swymi wpływami.

„Do sytkiego trzeba zdania“, prawil raz Witkiewiczowi: „i do medycyny, i do wojny, i do polowania, a i ciekawości. Nimas to teraz takik ludzi ciekawyk, jako my bywały drzewi. Mnie nie ciężko było do dnia doline oblecieć; cy haw co ciekawego nimas. Nie było juz tak ciekawego na wilka, na niedźwiedzia, na kozę, a i miał sprzęt do tego“.

Raz np. wybrał się z Józkiem Obrochtą na polowanie. Chodzili przez siedm dni i nie upolować nie mogli.

— I nie mogli my na jedno się zgodzić, i juści rzekę: „Skoro ty na mnie nie kees przystać, to i ja na ciebie nie!“ Dopiro zajdem ku bratu, ku Józkowi, na pile rzeze. „Pójdź!“ „Ze cemu byk nie miał iść?“ Toz to poseł z nami i chodzili my cosi do sesci dni. Wylecieliśmy pod Krzywań... Zajdziemy do takiej dolinki cok wiedział, ze je miejsce godne na świstaki, juze było prawie pociemniało. Mieliśmy takom małym motyckę, wziętek se grzebić. Ziem była lekka, bez skale, grzebiem od wiecora do rania, ale zaś potem były takie skale, dziura się pod nie chowała, juści grzebiem a pilnie pozierałek do nieba, cy nie uwidzem kany jakik gości. Dopiro z tej émy cosi prasło piargiem. Józek mówi: „Cap!“ ja zaś: „Cłowiek!“ To zaś potem świsto trzy razy... porwę flintę... myśliwskie prawo krótkie! Cekam, nic! Daj grzebić! Skoro na świtanium, jest stary, wielgi świstak. Ale zabił sie do skale, nie móg go dostać. Dziubne flintom, a on gryzie. Wezmę rymać, kciał to wkręcić w skucine, zaś wywlec; odciął zębami rak na ry-

macu. No rzekę, juz ja cie dostane! Juźci paf! z jednej flinty do dziury; posiedze na kwile! paf z drugiej! No, i co się nie zrobiło, dymem go zdusiło: idzie z tej jamy jak pijany; ja ko łap za skucinę, ten się sarpnął, skucina w garści ostała, uciok!

Ale nie wszystkim świstakom tak się szczęściło z Sabałą, co w równej mierze i wilki powiedzieć o sobie mogły, a prócz wilków i sarny. Nawet cietrzewiom nie darował, nie mówiąc już o ptakach drapieżnych, jak orły i sępy.

— Raz, co się nie zrobiło, z Jaworowej z Luptowskiej na głuchanie poleciałek. Juźci spał z wieczora w sałasie i do dnia wyleciałek takim źlebem do góry, słysem: klepka! Ale nie widzem, a on siedział przy smreku, ja zaś go wypatrzował we wirchu. Dopiro skrzydłami ruszył, tok go uwidział, no, juźci rzekę: „Pockaj az flintę do zębów podniesę...” i durknałek! Toz to spadł po gałęziak. Ale, jakek spał w tym sałasie, juźci smąd weseł do głowy, ptakowi iść, nawaliłek watre wielgom, to sie raz grzybietem, to zaś brzukem obracam, pilno grzejem sie i popuściło piknie, ten smąd wyciągło. Hej! przy ogniu zratuje sie i cłowiek godnie.

I niejednego orła miał też Sabała na sumieniu. O pierwszym, jakiego mu się zabić zdarzyło, tak raz opowiadał:

— E, to je honorny ptak! to je wirchowy ptak! A jaki dąb trzysta roków rośnie, tak oreł a i kruk trzysta roków zyje. E, to je honorny ptak! Raz, cok był jesce małem chłopcyskiem, ubiłek orła, hej! Na przynętę. Maluśko namieniało na świtanie, a on tu, przynęcie. Juźci ma takie kapy nad ocami, toz to prościutko półkulka trafiła popod nie i wypaliła oba ocy. On się zdźwignął, alek go dopadł za skrzydliska i dobił takom sajtom bukowom, hej!

Ale jakkolwiek był zdania, że myśliwiec musi być „serca zatwardziałego“, to przecież, nieubłagany wobec wielkiej zwierzyny, nie strzelał Sabała nigdy do zwierząt młodych i drobnych; chyba, żeby mu wpadło do głowy chwycić żywcem jakiego capa lub kozę. „Bo to prosem piknie, dźwierz

jak młody, to strasznie piękny; toż to ukwaliliśmy, cyby go jako żywego nie hycić“. Jakoż czynił to nieraz.

IV.

Charakteryzując „motywy silne i dzielne“, z których się składają opowieści Sabały, stawia Witkiewicz na pierwszym miejscu jego i Podhalan wogóle „bitwy homeryckie z Liptakami“. Były to przeważnie bitki o zwierzynę, której Liptacy, gdy została upolowaną na węgierskiej stronie, wydać nie chcieli. Pod tym względem musieli Zakopianie bardzo się mieć na baczności, bo, przyłapani przez Liptaków na gorącym uczynku, odrazu znajdowali się w bardzo niebezpiecznej sytuacji, często w niebezpieczeństwie życia. Liptacy bowiem, broniąc swego, często strzelali do „naszych“, jak się strzela do złodziei. Z drugiej strony i „nasi“, ponieważ „myśliwskie prawo krótkie“, jak mówił Sabała, także nie namyślali się długo, gdy chodziło o strzelenie do Liptaka. Stąd niejedna kula lub lotka, przeznaczona dla niedźwiedzia lub kozicy, nagle znalazła się w ciele Podhalanina lub Liptaka, a nie brakło i wypadków śmiertelnych.

Sabała, który włócząc się po górach sam lub z towarzyszami, nigdy nie zważał na granicę, dzielącą Tatry węgierskie od polskich, przez całą młodość ciągle miał z tego powodu z Liptakami spory i zatargi, z których nie wszystkie się kończyły na niczem, tak, jak te dwa niewinne epizody, z powodu owego niedźwiedzia, zabitego przezeń w Ciemno-Smreczynach.

— Józek z Obrochtą — mówił — poseł do jednej doliny, ja do drugiej i, cy djabli was tu przynieśli, przyszli Luptacy! Józek uwiidział ik z gronki, ale nie śmiał wołać, zaś kiej my chadzali bracia Krzeptowscy, to my się z wirchu na wirch dogadali kapelusami, juźci brat zawiesił cuche na flinte i ukazuje Obrohcie, ale ten się nie obraca. No, i dobrze nie bardzo, Luptacy zaśli Obrochtę z drugiego boku. Dopiro ten

się obezro, uwidział! no, już wtedy w uciekaca! Luptacy za nim. To go przegnali z drugiej strony z pod Krzywiania do Niecheyrki. Ten leci takim źlebem, śniega tam były do cienia, to się go łapał pazdurami a seł, ci zaś obuci stąpić nie mogli: uciok! Dopiro brat wyleci naproci mnie: „Luptacy Obrochtę zajęli!“ a Obrochta uciok ze sytkom stawom!

Tym sposobem przez dwa dni chodził Sabała z bratem na głodno i dopiero zabity drugiego dnia niedźwiedz dostarczył im upragnionego posiłku. Gdy go potem, już w pięciu, taszczyli do domu, znów ich przy tej robocie wypatrzyli Luptacy.

— Jużci idziemy. Strzelił Józek do kozy w wiecór, ale nie mogli my jej najśé, éma taka była. W nocy, kiej zamirnie cłowiek we wirchu, bieda zejśé, choć kany mignie sobom. Dopiro naśliśmy w lesie wielgom wante i przy niej takie wykroty, co wiater powywalował: bardzo godne miejsce na nocnik; tamok watre nałozyli, mięsa tego nawarzyli i tam spali. Skoro my się zabrali, malučko namieniało świtać, jaz widzem nad nami capa, co stoi! „Pójdziemy hań!“ Pośli ci z jednej strony, ja z drugiej, ale wiater źle zaduwał, jużci wyjrzem z za turnicki, cap poseł we wirchy. Józek prawie kciał lecieć takom gronkom do góry, tu Józek krzycy: „Niechaj to!“ Dopiro co tchu lecem do niego: Juz on tam darmo nie krzycy! hej! Co się nie zrobiło! Luptacy przyśli na noc do lasu, cosi trzy, cy styry ognie kładli, seści ik było, a my ik nie widzieli, i śniezek przepadował, krew z torby kapala: poślakowali nas! Józek nie bojący chłop był, zaraz: „Bij kulkę do flinty!“ Bylibymy to poprali na kupę! Tam nie było, nijakiej wymówki! Rzekę: „Stój! hybaj do domu!“ A oni zabrali te torby z mięsem! Tak my wtedy wyjechali!

Wogóle w większości wypadków udawało się Sabale szczęśliwie wychodzić z różnych podobnych opresji z Liptakami, ale czasami nie obeszło się bez bitki, w której jednak fizyczna siła Sabały zawsze mu dawała przewagę nad przeciwnikiem, o ile tych przeciwników nie było więcej.

— Wolałek Luptakowi trzy razy dać w gębę, jak sobie raz co włożyć. Ja łakomy nigdy nie był.

Ale nie zawsze się kończyło na daniu w gębę Luptakowi. Niekiedy, zwłaszcza gdy Luptaków było kilku wypadało uciekać się do ostrzejszych środków obrony. Tak np. gdy Sabała zabił owego niedźwiedzia pod Mięgoszowieckim, właśnie gdy był zajęty jego rozpruwaniem i „piłwaniem“, zaalarmowani strzałem nadbiegli Liptacy, a było ich trzech. On jednak nie stracił przytomności, choć był sam, lecz nie namyślając się długo, do źlebu którym drapali się ku niemu, spuścił wielki kamień, który ich odrazu zatrzymał w drodze, bo tak ranił dwóch, że już im się iść dalej odechciało, „bo mieli swojego mięsa dość“ i na niedźwiedzie przestali się łakomić.

Innym razem, gdy postrzelił capa, a ten mu uciekł między woły Liptaka, Sabała — jak o tem opowiadał z czasem Stopce — zdjął skromnie kapelusz i począł prosić pokornie, kłaniając się Liptakowi, żeby mu pozwolił capa zabrać, bo cap jego. Liptak przecież, ośmielony uniżoną postawą Krzeptowskiego, tem pewniej obstawał przy swoim, twierdząc że choć Sabała postrzelił kozła, ale on się później zmięszał z jego wołami, więc też do niego prawnie należy. Widząc, że z nim sobie dobrocią nie poradzi, Sabała odszedł na pięćdziesiąt kroków, nasypał niepostrzeżenie piasku do strzelby, bo była tylko lotkami nabita, i strzelił do Liptaka, a choć w nogi tylko mierzył, to jednak trafił go tak nieszczęśliwie, że „oko i śtery zęby djascy wzieni“. W jakiś czas potem przypadek kazał im gdzieś spotkać się ze sobą. Liptak poznał jednym okiem Sabałę, ale kiedy zażądał od niego tłumaczenia się, Sabała przekonał go wymownie, że bierze go za kogo innego, widocznie podobnego do niego z twarzy i postawy, on bowiem nigdy w życiu nie polował na kozy, i nie tylko nie zajmuje się myśliwstwem, ale nie wie nawet, jak strzelbę trzyma się przy zębach. Liptak uwierzył mu w końcu.

Ale nie wszyscy Liptacy byli tak mało sprytni i łatwo-

wierni, i nie zawsze Sabale tak się szczęściło z nimi. Raz np. tak go w bitce pokłóli nożami, że długo nie mógł się wyliżać z otrzymanych ran. Gdy jednak wyzdrowiał w końcu, taką zapalał zemstą ku nim, tak srodze mścił się swej porażki, że drżeli na sam dźwięk jego imienia, bojąc się go, jak ognia, i uciekając zawczasu, byle tylko nie zetknąć się z nim oko w oko. Z tego to powodu dumny z tej grozy swego imienia na Liptowie, śpiewał Sabala:

Oj, cemuz wy Liptacy
O, z Polskiej uciekacie?
Sablik juz pozdrowiał
To się go boicie.

Ale i w walkach z Liptakami przestrzegał Sabala pewnych zasad rycerskiego honoru. Gdy widział, że mu przychodzi się sprawić z przewagą liczebną, gdy on był sam, a ich więcej, wówczas nie przebierał w środkach walki, nie cofając się przed niczem, gdy jednak wypadło mu potykać się z Liptakiem oko w oko, uważał, że jest bardziej zaszczytnie, zamiast od razu dać ognia z flinty, mierzyć się silnemi ramionami. „Wte warto zginąć. Było to bardzo możliwe, bo do tej walki trza było dwok, a do ożyjścia się i udobrowiania ino jednego. Juz w głowak była ta dwojakość, co napierwej mieli oba dwie, a pote to nios jeden trzy“.

Ale honor honorem, a instynkt instynktem. To też Sabala wogóle nienawidził Liptaków. Że jednak przez całe życie stykał się z nimi często, więc przyswoił sobie wiele ich wyrazów, piosnek, a nawet góralskie przerabiał na liptowskie i na odwrot. Co najciekawsze, to, że rad się popisywał językiem słowackim, który znał doskonale. Widocznie — wnioskuje z tego Stopka — że mimo wszystko Liptacy imponowali mu siłą i odwagą.

Zresztą niezawsze pozostawał z nimi na wojowniczej stopie: co innego spotkanie w górach, na polowaniu, przy zabitym niedźwiedziu lub capie, a co innego w spokojnych wa-

runkach, na jarmarkach lub odpustach, u żyda w karczmie lub w drodze do miasta. Powtóre Sabala miał dość szeroki pogląd na świat, a interesował się ludźmi obcymi, choćby o nieszczególnej reputacji. Tak np. kiedy w roku 1848 kozacy dońscy stali przechodem w Dzianiszu, Sabala zaraz poleciał „ugwarzyć ś nimi“. I jak najlepsze zrobili na nim wrażenie.

— Grzeczne ludzie do rzeczy — opowiadał o nich Witkiewiczowi — juźci pili my bez cały dzień; a ten ik oficerz cy wakmistr, to zaś mówił po polsku, jako i ja; toz to pedali, co u nik świat bogaty, ludzi moc i zycie majom dobre. No, juźci wolałek uwierzyć, jako mi pedali, niżli isć pytać! Hej!

Nie znaczyło to jednak, by Sabala był obojętnym indyferentem politycznym, by nie posiadał uświadomienia narodowego, by się nie czuł Polakiem. Że jako taki myślał patrijotycznie, tego dał dowód w roku 1846 podczas tak zwanego powstania chochołowskiego przeciw Austrii i Metternichowi, w którem to powstaniu wraz z innymi góralami z poza Chochołowa czynny brał udział, ryzykując albo życie, albo osobiste poznanie się kazamatami twierdzy w Szpilbergu...

Ale były to czasy, w których jeszcze w Tatrach kwitło zbójnictwo, kiedy nie brakło górali, co na Liptów szli nie tylko dla łowów na zwierza, ale i dla obłowienia się bogactwem Liptaków. Był w ich liczbie i Sabala, który w młodości „zbójował“ tak samo, jak wielu innych. „Przyznawał się do tego sam, ale tylko przed tymi, o których był przekonany, że nie będą nań spoglądać, jak na prostego zbrodniarza, ale zrozumią, usprawiedliwią; bo isć na zbój nie znaczyło isć na rozbój, i zabijało się tylko wtedy, gdy nie było innego punktu wyjścia, więc nie rozmyślnie“. To zbójowanie, to „wyzieranie z za bucka“, to na starość było tajemnicą Sabaly, tajemnicą, o której wiedział tylko on i... Krzywań. Tę to tajemnicę, starannie ukrywaną przed ludźmi, miał Sabala na myśli, kiedy śpiewał:

Oj, Sabala zaśpiewał,
 Oj, Krzywań mu odpowiedział.
 Bo o jego sprawie
 Nikt inny nie wiedział.

W każdym razie to jego zbójowanie trwało niedługo. Skoro został mężem i ojcem, poniechał „wyzierania z za bucka“; bo kochając żonę i dzieci, nie chciał nietylko ryzykować życia, ale i rozstawać się z nimi. „Luto mi było baby i dziecisków“, przyznawał się Witkiewiczowi, bo choć nie miał ochoty wisieć za „pośrednie ziobro“ na zamku orawskim, to jednak nie uważał tego za dyshonor. Albowiem — tłumaczył Witkiewiczowi — „na subienicy wisieć to ta honorna rzecz. Bo tam dziadów nie wiesajom, ino chłop! Tam dzia-da nie wołajom, ino co natęzsy chłop to musi wisieć!“

Takie życie awanturnicze, pełne najrozmaitszych przygód i przejsć, w których nieraz życie było stawką, zrobiło swoje. Gdy przyszła starość, imponująca i wyniosła postawa Sabaly pochyliła się, przykrzywiła; na policzkach potworzyły się doliny i zmarszczki, czoło porało się bruzdami, oczy zaczęły zachodzić mgłą, włosy posiwiały przedwcześnie.

Z powodu tej swojej siwizny dowodził Sabala, że nigdy by nie miał siwych włosów, gdyby nie wypadek z ogniem, który mu głowę opalił. Było to na polowaniu, z kilku towarzyszami. Rozłożyli się pod grubym świerkiem „na nocnik“ i rozpalili wiatrę. Gdy w nocy zerwał się wiatr, zabrał drobne węgle z ogniska i wsypał je we włosy najbliższej śpiącemu Sabale.

— Tok sie zerwał co thu i krzycem: Hej, chłopcy wstańcie, bo gore! Otrzepowatek sie strasnie ręcami, haj, toz to mi pomogło. Zgasilek. Ono mi pomogło sprawnie. Alek se ucho otrzefon, ino ze nie przy kości z krzęściom, toz to mi pote odrosło. Ba, kudły, to mi sie tak popśniły, co mi hetki osi-wiały pote, zaconek sie lenić, haj!

Na stare lata, gdy już nogi były sztywniejsze, wypadło wyrzec się kłusownictwa. Ale myśliwy z temperamentu, Sa-

bała nigdy nie wyrzekł się polowania zupełnie, a nie mogąc zapuszczać się w góry sam, chętnie to czynił z młodymi, by się uczyli, jak podchodzić zwierza. Ale w zasadzie uczył dość niechętnie, wychodząc z założenia, że każdy sam się wszystkiego nauczyć powinien. Gdy go raz mały Stopka prosił o wskazówki, jak należy celować, wytłómaczył mu:

— Naprzód trza podrósć, coby strzelbinkę utrzymać w garzei i lekko jom ku zębom przyłożyć, a pote to ona ta samo przyńdzie, ino coby mieć oko dobre, i rękę pewnom i miernom. Ja sam nie wiem, jakoto trza. Ino oko mam mierne, toz to vse trafiem.

V.

Gdy w roku 1847 ksiądz Stolarczyk osiadł w Zakopanem, niebawem między nim a Sabałą zawiązał się stosunek serdeczniejszy, bo jakkolwiek Sabała nie odznaczał się nadmierną gorliwością religijną, co księdzu plebanowi odrazu nie uszło baczności, to jednak od pierwszej chwili zaimponowali sobie wzajemnie, jako dwa rosłe chłopcy.

Gdy się pierwszy raz zetknęli ze sobą, Sabała na widok tego księdza-wielkoluda, od którego on sam był prawie o głowę niższy, powitał go następującemi słowy:

— E, psiakrew, jegomość! Wyros tez s was chłop. Ej, ha! Je kaz tez ta teli wyros. No s wami to byk sie nie namyślał, ale byk sie dziś we dwok do Luptowa poniós.

Podobnie i Sabała bardzo się spodobał młodemu proboszczowi. A cóż dopiero, gdy go poznał bliżej, gdy się zaprzyjaźnili ze sobą, gdy ksiądz przekonał się o jego niezwykłych darach duchowych, o jego inteligencji, o jego twórczej fantazji poetyckiej. Jakoż z biegiem lat, doszedł ksiądz Stolarczyk do przekonania, iż „Sabała jest wielkiem dziełem Boga, ale szkoda, że niedokończonem“.

Tego samego zdania był o nim z czasem i Chałubiński,

pomimo, że gdy w roku 1873 poznał Sabałę, ten dźwigał już siódmy krzyżyk.

Chałubiński swym genialnym wzrokiem odrazu przeniknął niepospolitą indywidualność Sabały, a poznawszy się na nim, z tą samą chwilą uczynił go swoim ulubieńcem. Przewszystkiem, gdy chodził w góry, nigdy nie wybierał się bez Krzeptowskiego, a nazywając go w rozmowie „Jasiem“ nie traktował go nigdy, jak zwykłego przewodnika, ale raczej jak towarzysza, niemal przyjaciela. Przewodnikami byli Siczka, Tatar, Giewont, Ślimak, i inni; tymczasem Sabale przypadała rola muzyka i gawędziarza, rola poety, który był łącznikiem między dawnymi a nowszymi czasy. I dla Sabały miały te wycieczki z Chałubińskim, dla którego był przejęty uwielbieniem, całkiem niezwykły urok, bo przypominało mu to lata młodości, kiedy w odmiennych warunkach chadzał po tych górach i dolinach. Zachowało się wspomnienie, że kiedy któregoś dnia wyszli na jeden z najwyższych szczytów tatrzańskich, a ksiądz Stolarczyk zaintonował uroczyste *Te Deum*, wówczas i Sabała, wzruszony widokiem modlącego się Chałubińskiego i towarzyszy „prasnon ciupage i kapelus i zacon paciorze mówić“, pomimo, iż naogół nie bardzo był skory do modlitwy.

Z nastaniem jesieni, po wyjeździe Chałubińskiego z Zakopanego, Sabała zagrzebywał się, jak niedźwiedź, w swojej chałupie w Kościelisku, robił zbójcekie noże lub inne rzeczy, by w lecie mieć co podarować Chałubińskiemu, jego przyjaciołom i znajomym, a prawie nie opuszczając chaty, i grzejąc się przy ogniu na nalepie, zdawał się zapominać o swej dawnej awanturniczej przeszłości.

Ale gdy zbliżało się lato, gdy do jego domu w Kościelisku nadeszła wiadomość, że „pan profesor“ przyjeżdża na wakacje do Zakopanego, wówczas Sabała, uradowany, że znów ujrzy swego „pana wielkomożnego“, wyświeżony i wesoły, w czystej koszuli i onyckach, z kapeluszem, z fantazją na bakier nasadzonym, a zdobnym, prócz kostek, w pióra bazancie,

głuchonie i cietrzewie, a niekiedy i w kwiaty, z ciupagą, wyglądającą ostrzem z za kołnierza zarzuconej na ramiona cuchy, z gęślikami w rękawie, zjawiał się, tak wystrojony, jakby odmłodzony, ze śpiewką na ustach, w Zakopanem, na Krupówkach, zdążając w kierunku willi profesora, ażeby tam bliższych o „panu doktorze“ zasięgnąć wiadomości.

Gdy wreszcie Chałubiński przybył do Zakopanego, Sabała ciągle był w ruchu. „Zawsze codziennie wczesnym rankiem suwał krypcami z Kościelisk ku Zakopanemu. Od czasu do czasu spoglądał w górę jednym okiem, jak orzeł, przechylając głowę to na prawo, to na lewo, chcąc zbadać, czy chmury się nie robiom, czy pogoda będzie trwała i czy będzie można dalej się wybrać“. W domu „profesora“, z którym nieraz na ganku przegawędzał całe godziny, a gdzie zawsze był mile witany przez wszystkich, czuł się jak wśród przyjaciół. Nieraz też zostawał na obiedzie lub na kolacji, co nawet dało powód do nieuzasadnionych plotek, rozsiewanych przez zawistnych, że nadużywa dobroci lekarza, że wysiaduje u niego, bo mu dobrze jeść dają.

Jeżeli chodzi o „nadużywanie dobroci lekarza“, to Sabała, mając u niego wielki wpływ i szacunek dla siebie, korzystał z tego dość często, ale to równało się tylko pomocy w wykonywaniu dobrych uczynków, z których Chałubiński zresztą słynął w Zakopanem. Gdy kto prosił o wizytę doktorską, Sabała, licząc się z tem, że Chałubiński, bawiący w górach dla odpoczynku, powstrzymywał się od praktyki lekarskiej, uciekał się do różnych wybiegów, by go namówić do odwiedzenia tego chorego.

— Ja taś nim znajomy, mówił, a może i krewny.

— Jakże bliskie pokrewieństwo?—uśmiechając się, pytał lekarz.

Wówczas Sabała zaczynał opowiadać, jak z tym chorym, gdy byli młodzi, chodzili na kozy, ile ich zabili razem. „My się z jego ojce strasznie radzi widzieli, choćmy spółnikowali“. Raz zagadnięty przez Chałubińskiego w ten sposób, gdy się

nie mógł szybko polapać w pierwszej chwili, a powtarzać się nie chciał, rzekł: „E, my ta byli, prosem pięknie ik wielkomozności, z jego ojce kumotrami, ale przez mojom babe“. Innym razem tak znów motywował swe wstawiennictwo: „Ja, tok jego krewny, bok od niego kobylicko kupił i udała mi się strasnie“. Gdy raz tłómaczył doktorowi: „Ja ta é nim kumoter“, a na to jeden z obecnych przy tej scenie górali zapytał go: „A kogożeście trzymali?“. Sabala, odpowiedział dowcipnie: „Éc wej, worecek we młynie, kie mie baba po mąkę posłała, kie jom młynarz do worecka suł, haj!

Pewnej góralce — opowiada Stopka — zachorował syn; pobiegła więc prosić Chałubińskiego, żeby go odwiedził. Deszcz lał jak z cebra, a wysłany po „budkę“ Sabala nie mógł jej znaleźć. Tymczasem profesor wypytywał się o objawy choroby, a zmiarkowawszy, że niebezpieczeństwo w zwłocze nie grozi żadne, rzekł: „Poczekajmy, może się przecie skończy ta lejba“. „O, ono się skończy — perswadował Sabala — bo strasnie pilno leje. Ono ino, prosem piknie ik wielkomozności, niek-ze idom. Cuhe im dom, to sie odziejom. A kie horosé przysła, to ono ta trza jom wygnać, boć i śmierć będzie kajsi nie prec. Bedzie koło wędlów zajézdzać. Ony, to som jest siostry, a śmierć, to strasnie wartka baba, haj!“ To mówiąc, przydział lekarza własną cucha, a sam przewróciwszy serdak do góry kudłami, suwał lekko po błocie przodem i mrucał pod nosem: „Ono, ja tak uwazujem, co sie musiało gazdowstwo w niebie popsuc, abo jako? Tak leje i leje bez porzadku“.

Przejęty kultem dla Chałubińskiego, Sabala czcił w nim prawdziwego „króla tatrzańskiego“, przyczem w jego wyobraźni „pan doktor“ nosił wszystkie tytuły hrabiowskie, a nawet książęce, przekonany był nadto, że Chałubiński jest bogatszy, niż wszyscy hrabiowie i książęta, „bo — mówił — niekze ci tu wtorego zeby był i bardzo wielkomozny, tak radzi widzom, jako jego“.

Dzięki Chałubińskiemu poznał Sabala u niego bardzo

wielu sławnych ludzi w Polsce, dość wymienić arcybiskupa Stablewskiego, Modrzejewską, Paderewskiego, Sienkiewicza, Witkiewicza.

Znajomość z tym ostatnim, datująca się od roku 1887, gdy Witkiewicz poraz pierwszy przyjechał do Zakopanego, niebawem zamieniła się w serdeczną przyjaźń. Kiedym poraz pierwszy poszedł odszukać Sabałę — opowiada Witkiewicz — było to w zimie:

Zastałem go w czarnej izbie góralskiej chałupy, niańczęcego wnuka, w strasznym zaduchu i gorącu, w otoczeniu siedmiorga jagniąt i pary cieląt, zimujących w izbie. Chudy był i schorzały. W mroku chałupy, światło okienka przełamywało się w jego przygasłych oczach, czerwonym, fosforycznym blaskiem, jakim świecą oczy owiec w ciemnościach. Uradował się z naszego przyjścia, bo Sabała lubi świat i ludzi; nie trzeba też było długo namawiać, żeby z nami poszedł. Zrzucił cuchę, która zadźwięczała strunami gęśli, ukrytych w rękawie. Obwiązał chorą głowę kawałkiem szmaty, wziął ciupagę i poszliśmy. Mały wnuczek, przywiązany do dziadka, wygramolił się przez próg i dreptał za nami bosemi zsiniałymi nóżkami po śniegu. Z trudem zatrzymano go przy chałupie, Sabała mówił: „Prosem piknie, to takie miłe, dobre chłopcy! A takie śpata sprzętne, wywyrtnie, z pieca cy kany to to hipnie, jak dziki cap, hej!”

Witkiewiczowi i jego książce „Na przełęczy“ zawdzięcza Sabała swą sławę na ziemiach polskich. On go utrwalił w pamięci ludzkiej, on go spopularyzował w Polsce, on mu postawił pomnik wiecznotrwały.

On w „Na przełęczy“ skreślił jego mistrzowską charakterystykę, arecydzieło w swoim rodzaju, on spisał najciekawsze opowiadania Sabały o jego polowaniach na niedźwiedzie, i „walkach homeryckich z Liptakami“, które nazywa „wspa-

niałemi epopejami“, on wreszcie, przez swe dwie znakomite książki o Tatrach, stał się tym pisarzem w Polsce, na którego styl i język, doskonale posługujący się gwarą góralską, Sabala wywarł najsilniejszy wpływ.

Ze z sobą żyli w przyjaźni, że Sabala bardzo często odwiedzał Witkiewicza w jego domu na Krupówkach, że nieraz całe długie godziny przegawędzali z sobą, to się rozumie samo przez się. W końcu zostali nawet „kumotrami“.

Lecz mało tego. Gdy w roku 1891 Modrzejewska, przyjechawszy z Ameryki na gościnne występy do kraju, bawiła w lecie w Zakopanem, przyszło za sprawą Witkiewicza do tego, że mu z Sabalą trzymała dziecko do chrztu, nawiasem mówiąc, dziecko nie w pieluszkach i poduszce, lecz dobrze już wyrosłe, tak, że go wcale przy chrzcie wobec księdza Stolarczyka na rękę z kumą trzymać nie było potrzeba, bo samo doskonale stało na nogach.

O tych pamiętnych chrzcinach tak raz Sabala opowiadał Stopce:

— Raz siedzem se przy piecu na nalepie i warzyłek se klóski i grzałek sie przy ogniu. Jaze przylatuje nadysane kuharcontko od pana Witkiewica i zacyna tak padać: „Sabala, Sabala, zbierajcie sie pilno“. „Zje, kaz pudziemy?“ I dobrze nie barzo ni mogek sie ś niom dogadać, toz to udutkowalek jej, ze zaraz przyńdem, ino sie przewleke, haj. Toz tok sie jej pozbył na kwile, a tu na drugi dzień znowu je tu, haj. Jazek sie juz w te zabrał, idem co thu, jazek jon zagrzał, bo ona tak wartko nie była zwyczajna. Straśnie mi było pilno, bok sie dowiedział, ze mnie ik miłość, kumoter Witkowiec, keom haj. Keom se mnom gadać. Straśnie mi było pilno, haj. Straśnie mi było pilno. Zachodzem i pokłoniłek sie, jako sie patrzy i pytam sie, coby miało być takiego pilnego. Zejta pilnego nic, a co jest, to jest, haj. „Sabala, Sabala, bedzicie mi trzymać dziecko do krztu“. Zej sie namysłał nie bedem. Myśliwskie prawo krótkie. Tok pedział tak, ze dziecko przytrzymiem. Inok jesse nie wiedział wtóre. Hnetki mi pedzieli,

zek miał trzymać z kumosiom Modrzewskom. „Prosem pięknie. jako? Znajom jom?“ Tak, to ta dryjaternicka wielga, co kajsi wse za morzem siedzi, haj. Ja sie zląk strażnie, bo ta z rzecom takom figlów nie strój, coby sie nie pohańbić, haj. Toz to ja hybaj pilno do nasego jegomościicka i tak mu padam: „Przepytyjem tez wasom duchownom osobe i sićkie świętości, jakie ta we was siedzom, coby ja tez ta jako tego dziecka nie przytrzymał, haj. My ta drzewień rzadko trzymali, bo brali takik, co nie pili. Ja pił, toz tok dziecisk nie trzymał, coby sie na mnie nie popoddawały, haj. I dobrze nie barzo pytam sie jegomościicka, co pedzieć mam, kie mie przy chrzcie się spyta. Dawniej, kie ksiądz kumotra spytał sie: „Zje cegos ty kees od kościoła Bozego?“ to mu pedział tak: „Zej wy ta jegomość lepiej wicie, boście ucony, haj“. Toz to i ja sie pytam, jako ma być, cyby ja na uwziętego nie przytrzymał tego dziecka do krztu, haj“. E, dyć przytrzymies, cemuz byś nie przytrzymał“. I, dobrze nie bardzo, toz tok sie pote naucył, jako mam kiedy pedzieć i byłek se juz pote ślebodny, bok był mądry, haj! Pedział mi, ze sie ta i bez trzymania obeńdzie, bo to ta juz był łycok setny, ten mój, krzesny, haj. Jazek sie za łeb hycił i zgłupiałek cysto pięknie. My drzewień i teraz wse w kościele dzieci krzcili, a ja tego krzesnego tok trzymał w izbie, haj. Honoruk w kościele nijakiego z kumosiom Modrzewskom nimiał, haj. Kumosia mie potek strażnie uracyła. Jeść pote i pić, prosem pięknie, było mnoheńko; toz to my strażnie jedli i pili. Kumosia mi dała swojom potografjom i ja jej tez, a kie mi strażnie bez niej kotwi, to se jom pobośkom, haj. Tak to prosem pięknie, ostolek kumotrem, haj. Coz z tego, kiek honoru nijakiego ni miał“.

Drugim niepospolitym człowiekiem, którego przyjaźnią Sabala szczycił się przez szereg lat, a z którym stosunek łączył go równie serdeczny — a może jeszcze serdeczniejszy — niż z Witkiewiczem, był Bronisław Dembowski.

Wogóle, jeżeli chodziło o ludzi znakomitych w Polsce, to wszyscy, o ile przyjeżdżali do Zakopanego, starali się poznać

z Sabalą, podejmowali go u siebie z otwartemi rękoma, czy to byli profesorowie uniwersytetów, warszawskiego, krakowskiego, lwowskiego, z profesorem Baranowskim na czele, czy sławni literaci i uczeni, jak Sienkiewicz, Chmielowski, Matlakowski, Karłowicz, Pawlikowski, Asnyk, Tetmajer, Kasprowicz, Rydel, czy artyści pędzla i dłuta, jak Matejko, Siemiradzki, Guyski, Gerson, Madejski, czyto muzycy, jak Paderewski, Kleczyński, Noskowski, Górski: wszystko to garmęło się do Sabalę, pragnęło go poznać, chciało posłuchać jego opowiadań i bajek, chciało posłuchać jego muzyki, jego śpiewek.

A znalazła się i kobieta w tem gronie, kobieta ze wszechmiar niepospolita, która dla Sabalę stała się w Zakopanem tem w przybliżeniu, czem dla Mickiewicza na emigracji stała się Klaudja Potocka: to pani Lilpopowa z Warszawy. Nie mógł znaleźć lepszej i troskliwszej opiekunki na swoje stare lata.

VI.

Odkąd do Zakopanego na lato zaczęło się zjeżdżać coraz więcej gości, dla Sabalę zaczęła się nowa epoka, bo obok Wali, Siczki, i Tatara, przedzierzgnął się w pierwszorzędnego po Tatrach przewodnika. A dopieroż, gdy zaczął oprowadzać po nich Chałubińskiego!

Kiedy początkowo górale nie mogli zrozumieć właściwie, po co tyle gości „lezie na próżniacke do Zakopanego“, on nie dziwił się temu bynajmniej, a przytem karciał tych, co utrzymywali nie wiedzieć na jakiej podstawie, że ci goście całe życie tak nie nie robią, jak w Zakopanem. A nie oryginalniejszego, jak sposób, w jaki Sabalę przedstawiał zwykły tryb życia gości w ciągu całego roku.

— Oni — mówił — siadujom w takik rowniak, co nika nie nie widno. Ja wiem ka, bok ta był. Albo siedzom w mieście, to ino widzom do drugik murów. Kazdy ma swojom

robote, jak du domu zajedzie. Straśnie som jest ci panowie ciekawi. Straśnie duzo radzi wiedzom. To takie małe bedzie, co mu jesce matka na portecku sukna załuje i do ziemie mu ik nie syjom, a juz go ucom. Straśnie te dzieciska męcom. Ale oni sami majom wielgom do tego nature. Cytają we dnie i w nocy.

Chodząc z gośćmi, jako przewodnik, w góry, nie czynił tego dla zysku wyłącznie, ale i dlatego w znacznej części, że mu to łażenie po górach, przypominające młode lata kłusownictwa, sprawiało wielką przyjemność. „Ja ta biedny nie jest. Dziecyskak wycęściował, to majom co jeść“.

Gdy przed wyjściem na wycieczkę, nie chciano mu dać torby ze względu na jego wiek podeszły, irytował się z tego powodu.

— Cozto, prosem pieknie, ja dziecko, cy co? Wiatry dujom wielgie, toby cęka zabrało, kieby był leki, haj.

I napakowawszy sobie torbę wiktuałami, ochoczo zarzucał ją na barki, poczem, zaśpiewawszy jaką piosneckę, ruszał na czele drużyny.

Znając każdy szczyt, każdą przełęcz i grzbiet górski, każdy żleb i perć każdą, każdą kryjówkę i kolebę, był nietylko pierwszorzędnym przewodnikiem, ale nadto wyjątkowo miłym towarzyszem. Znakomity improwizator, zarówno w opowiadaniach, jak i melodji, ceniony i lubiany był przez gości powszechnie. Jedni z nim chodzili dlatego, że znał góry, jak mało kto, a drudzy dlatego, że nie nudzili się z nim nigdy. ..Wiele przeżytych wypadków — pisze o nim Stopka — bogate w przygody własne życie, lub wreszcie dowcipy i opowiadania, które od innych górali słyszał i na swój sposób przetapiał i zmieniał, oraz łatwość zmyślania, czyniły go zdolnym przez całą drogę w góry i z powrotem opowiadać tak dowcipnie, że słuchacze wybuchali co chwila homerycznym śmiechem, i nie wiedzieli nawet, kiedy odbyli najtrudniejszą wycieczkę, przeszli najkarkołomniejsze miejsce.

W pogodę napawały oko turysty zachwytem widoki tatrzańskie. Kiedy jednak nagle mgła zasiadła całe przestrzenie i widnokrąg ograniczyła do koła o jakich dwóch tylko metrach średnicy, wtedy pocieszne, rubasznie-joywialne opowiadania Sabala były nieocenione. Odwracały uwagę od niebezpieczeństwa i niewygód, a stosownie wybrane i zastosowane nadawały otuchy i wytrwałości. Kiedy się kto wsłuchał w te epizodyczne opowieści, akcentowane umiejętnie miejscami, do których tło rysował rękami w powietrzu, głową i gestami, zapominał nieraz, że to Sabala opowiada. Zdawało mu się, że mu ktoś czyta proste i naiwne opowiadania Odysseusza.

Rozsławiony przez Chałubińskiego, Sienkiewicza i Witkiewicza, Sabala cieszył się ogromną sympatją i popularnością wśród gości zakopiańskich, co między innymi objawiało się w ten sposób, że go wciąż zapraszano do siebie, to na obiad, to na podwieczorek, to na kolację, a przy obfitszym poczęstunku, przy butelce wina węgierskiego, proszono nieraz aż do uprzykrzenia, by opowiadał bajki, by śpiewał swoje piosnki. Zaproszeń takich w sezonie, miał zawsze Sabala więcej, niż mógł im podolać. Zapraszano go ustnie, przy spotkaniu na ulicy, skąd go wprost zaciągano do siebie, albo za pomocą biletów wizytowych. „To też trudno się było nieraz wstrzymać od śmiechu, gdy Sabala nabierał tych biletów kilka, a nieraz nawet kilkanaście, a powtykawszy je do okoła kapelusza poza kostki, szedł ku Kościelisku, śpiewając sobie i grając po drodze. Każdy, kto go spotkał, kręcił nim, jak kołowrotem, odczytując ową proskrypcję ludzi, nawet niekiedy bardzo wybitne stanowiska zajmujących, którzy skazywali się dobrowolnie na przyjmowanie i goszczenie staruszka“.

Jednocześnie zamęczano go prośbami o pozowanie do portretów i biustów. Jeszcze pół biedy, gdy proszącym był prawdziwy artysta lub artystka, jak Witkiewicz, Madejski, Brzega, Gersonówna, Nalborezyk, Roźniatowska; ale powoła-

nych malarzy i rzeźbiarzy jest mało, podczas gdy dyletantów, a zwłaszcza dyletantek, ulegających modzie, zawsze jest za-trzęsienie. Otóż te malarki-amatorki, rekrutujące się głównie z pośród Warszawianek, poprostu nie dawały Sabale spokoju: wciąż go malowały olejno lub akwarelą, ołówkiem lub kredką, omal nie włóczką na kanwie!...

Pewnego wieczora — opowiada Stopka — wracał Sabała późnym wieczorem z wycieczki. W tem zabiega mu drogę Warszawianka. Zaczęła zapraszać, więc wstąpił, bo zaproszeniu odmówić było by nie „pięknie“. Wnet, mimo spóźnionej pory, pozapalały jej córki świece, rzuciły się do bloków, i nuż szkicować węglem siedzącego starca. Lecz on, obyty już z tego rodzaju męczeństwem, jakie sprawia pozowanie, spostrzegł zaraz, co się święci, a gdy jeszcze się przekonał, że nie „wielgiemi sprzętami“, ale węglem go malują, tak począł mówić:

— Prosem pięknie pańicek, dajcie pokój! Nie trza, nie trza! Mnie ta juz duzo razy malowali, haj. Mieli wielgie przyrzędy, sprzęt setny. Scoteckami mie malowali, haj. Wielgie mieli przyrzędy i przyprawy i sprzęt setny. Ale to bieda, bo kiebyś im strasnie cichutko siedział, a ja tego nie rad widzem.

Niezmiernie sympatycznym i ujmującym był stosunek starego Sabały do młodych górali, najprzód do tego pokolenia, które wydało młodych przewodników, jak Bachleda, Pękowie, Gładczan, Obrochta, Gewont, a następnie do tego najmłodszego pokolenia młodych już kulturalnych góralczyków, które wydało Stopkę, Brzege, Orkana, Suleję, Nalborczyka, Gałka i innych.

Gdy chodził z Chałubińskim na jego słynne wycieczki, a młodzi górale, w roli tragarzy, nieśli namioty, pledy, koce, obfitą żywność i napoje, Sabała, idąc pomiędzy nimi, uczył ich nazw szczytów, zwracał uwagę na piękność widoków, wskazując, do czego ta, lub owa turnia podobna. Swoje objaśnienia — jak świadczy Stopka — przeplatał różnymi swego wymysłu dodatkami, lub śpiewem i grą na gęślach. Towarzy-

sze skakali chętnie do taktu czyto skrzypiących jego „złóbeczków“, czy też przy muzyce Bartka Obróchty. Ciekawy to był widok, gdy Obrochta, zwany zwykle „Bartkiem“ zagrał, a drużyna z Sabałą na czele zapomniała, że ma na sobie ciężką torbę, że przebyła tak długą i uciążliwą drogę i puściła się w ochoczy taniec zbójecki.

Wogóle Sabała lubił chodzić w góry z młodymi, i z tym samym humorem szedł z bogatymi gośćmi, opakowany butelkami szampana, węgryzna i różnymi doborowymi wiktuałami, co i znami — opowiada Stopka — wzięwszy do tórbki kawałek suchego „moskala z króźlickom koziego masła“... Nieraz wzywał nas sam w góry, mówiąc:

— He, hłópcy, hybajcie se mnom. Weźcie kawałek chleba, ja masło mam. Nie starajcie się nic. Pudziemy pod Krzywań. Hań mnoho śrebła i złota gnije, bedziemy sukać. Przecie go hań ja dość nahował. Catek go dni sukał. Sukałek go kielka roków, alek go nie nalos, bok tego nie był godny, haj. Ale wy młodzi. Hybajcie, ja wam ukazem, ka trza sukać. Inok se zabocył pod wtorom turniom zakopane kotliki. Hybajcie wartko. Sukajcie. Moze wam sie co zaświeci, boby wam sie przydało. Beńdziecie mieć sićkiego dość, haj. Ino hybajcie.

Tak to umysł jego i fantazja młodniały wśród młodych górali.

VII.

Z natury gwałtowny, tak, że nawet na starość jeszcze potrafił zapłonąć „ogniem gwałtowności“, gdy go podrażniono nadmiernie, Sabała, pomimo wszystkiego, co broił za młodu, jako „parobek do rzeczy“, wogóle miał usposobienie prawe, charakter równy, serce pocziwe.

Dopóki był niezonatym, a dziewczęta i mężatki „straśnie go rade widziały“, nie żałował sobie, „wydziwiał“, ile się dało, bałamucił baby i nie przepuścił żadnej, gdy mu się nawi-

nęła pod rękę, a czyto z „frajérkami“ czy z „towarzyszami“ nie wylewał za kołnierz, ani pod ławę, lecz pił zdrowo, bo głowę miał mocną, i gdy innym już język plątał się w gębie, a nogi odmawiały posłuszeństwa, on jeszcze był przytomny i trzeźwy, choć podniecony. Ale też i zadzierać z nim wtedy było niebezpiecznie.

Z chwilą jednak, gdy się ożenił, ba, gdy się zaręczył, zmienił się odrazu, na pokusy stał się odpornym. Oto, co sam opowiadał w tej materji:

— Ja w rzeczy stary, ale baby sićkie wse rad widzem. Raz co sie nie stało, idem se do góry źlebem i śpiewalek se i grał, co jaze gielcało po reglak. Jaze wyskoczyła ku mnie skądsi dziewczka strażnie piękna i tak mi pada: „Hybajze, siedniemy se na wancie i będziemy sie bośkać, haj“. Ja jej zaś, nie wiele myślęcy, tak padam: „Jakoz cie zalubić i bośkać mam, haj, kie ja mam doma dziewkę. Za tydzień bedzie wesele, haj“. Ono wyjena cycki, strażnie długie były, toz to se ik pozarucała na ramie i hybaj za mnom. Ja uciekał przed niom, jagek móg, bok sie jej bał, haj, bok poznał po cyckak zaraz, ze boginka była, co w dziurak w uspiskak siadujom. Zdysalek sie strażnie, toz tok ustał, a ona mnie dopadła, haj, i sprala mnie strażnie temi cyckami. Uciogek pote, nie zabiła mie. I dobrze nie bardzo, moja sie dowiedziała i sićke baby i dziewki, haj. Raty, preraty, rady mie tez pote widziały, zek sie z boginkami zadawać nie kciał, haj. Strażnie mie wse rady widziały.

Ceniły w nim bowiem wiernego męża, który, odkąd się ożenił, nietylko z boginkami (a raczej juhaskami w górach), ale i z żadnemi innemi kobietami w grzeszne amory wdawać się nie chciał. Kochał swoją żonę, kochał swoje dzieci, których miał kilkoro, i dla nich żył. To była jego zasada. Uważał, że człowiek za młodu może wydziwać, bałamucić baby, popuszczać sobie wodze i nie bać się nikogo, ani niczego na świecie, ale gdy się ożeni, przepadło wszystko. Wtedy musi pozostać wiernym jednej. Jakoż, tego będąc zdania,

był dobrym mężem i wzorowym ojcem, a tylko do małego wzrostu i ograniczenia swojej żony przymawiając, opowiadał (jak świadczy Stopka):

— Ja ta, prosem pięknie, mam doma takom babinku, co-by jom do tórbki sował. A kieby jom, strzez Boze, oreł porwał, to jom na Krzywań zanie sie i nika nie odpocnie!... Moja tara sie nie stara, skąd niesem, i co niesem, haj!

Pracowita z natury, chętnie pracująca za siebie i za męża, żona Sabały tak mawiała o nim: „O! Jasiiek to nas syćkik nauczył pracować, bo sam ta nigdy nie nie robił“. Tak źle nie było jednak, bo Sabała, choć laufrował po górach, a w domu przesiadywał nie często, jak się wziął do roboty, to musiał narobić za dwóch. Zdarzyło się raz naprzykład, że najspokojniej tłukł się z towarzyszymi po wirchach, lub pił „na Kirach“ w karczmie, gdy tymczasem jego owies i jarzec, już żrałe, stały i czekały, aż je chyba wiatr halny skosi, bo baba nie mogła chłopów do koszenia dostać. W tem wraca Sabała do domu, a dowiedziawszy się o kłopotach żony z powodu nieskospzonego owsa, jak wziął kosę, to trzy dni i noce kosił. „Na cwarty dzień — opowiadał potem — nie trza było kosa pokładać, sama z garści wypadła“. Owies został na pokosach, a Sabała raptem wziął znowu strzelbę i poszedł na Orawę na niedźwiedzia. Gdy zaś go pytano o zdrowie żony, odpowiadał z pogodnym uśmiechem: „He, stęka! Kto się z młodości roboty bał, to się jej dość nie naje, to stęka. Ja ta jej nigdy łakomy nie był!“ Tak to lubił szydzić ze swego życia, które spędził głównie na myśliwskiej włóczędze.

Było to możliwe tylko przy takiej pocziwej żonie, która całą duszą oddana domowi i dzieciom, dla męża-włóczykija, aż nadto była pobłażliwą i wyrozumiałą. „E mnie sie ta wse dobrze wie dzie, mawiał. Dziecyska mi poza usy nie płacom, juźci ohta mnie zbiera poskakać. Doma ni moge wysiedzieć, ni jakim światie. Straśnie mi sie kotwi“. Więc jeśli nie w góry na polowanie, to przynajmniej szedł „ku kościolowi“ dla ga-

wędy ze znajomymi przed domem organisty lub w karczmie. „Biedy na mnie nimas nijakiej. Roboty doma nimam...”

Pod tym względem miał on wiele wspólnego z Sokratesem, który też, zamiast siedzieć w domu z Ksantypą, wołał filozofować na rynku, w otoczeniu młodzieży ateńskiej, a żonie pozostawiał wszystkie kłopoty gospodarskie. Wogóle przypominał Sabalą niejednym rysem Sokratesa, choćby tym jednym tylko, że, jak Sokrates, sam nic nie pisał, pozostawiając to swoim utalentowanym uczniom i czcicielom: bo jak Platon w swych dialogach dał wierny obraz filozofji Sokratesa, tak Witkiewicz w swych książkach utrwalił cały sposób myślenia Sabaly; a czem dla życia Sokratesa był Xenofont, tem dla Sabaly stał się Stopka, jako powołany biograf. Nie da się zaprzeczyć również, że jak Sokrates był popularnym filozofem na tle Aten i Grecji, tak Sabala był na swój sposób filozofem w Zakopanem i na Podhalu.

Filozofja Sabaly, choć w ciaśniejszym zakresie, też miała wiele wspólnego z filozofją Sokratesa, bo jak mędrzec ateński sceptycznie odnosił się wobec bogów i panującej religji, a głównie swe zasady opierał na etyce i miłości bliźniego; tak samo Sabala, mający wiele zastrzeżeń w kwestjach religijnych, przedewszystkiem wygłaszał nauki, mające za podstawę moralność chrześcijańską.

Religijność Sabaly, z punktu widzenia katechizmowego, pozostawiała nader wiele do życzenia i z nauką kościelną oficjalną nieraz stała w dość jaskrawej sprzeczności.

Przedewszystkiem o Bogu miał pojęcie... dziwne, gdy twierdził: „W Pana Boga wierz, ale Mu nie wierz”. A więc polegaj na sobie, na Pana Boga się nie spuszcza. Nie znaczyło to jednak, by Sabala nie wierzył w Boga. Owszem, pod tym względem był deistą, tylko, że to, co myślał o Bogu, nie zawsze było w zgodzie z katechizmem. „Ociec Stary — zdaniem Sabaly — pierw, niżli świat stworzył, wiedział, jako na nim będzie”. Dlatego też „majestat boży granicy nie ma nijakiej, a tego cłek wypowiedzieć nie może”. Mimo to, jak

wszyscy górale, tak i Sabala, wyobrażał sobie „majestat boży“ w antropomorficznej postaci starego doświadczonego gazdy, który ma pola i lasów „mnoheńko“, więc też hojnie rozdaje ludziom dobrym, stara się o nich, „bo ma z czego“, Ma ludzi i zwierzęta pod swoim panowaniem, ale władzę nad zwierzętami dał lwu, a „orłowi nad ptactwem“. Wszystko na świecie przez Niego stworzone, ale woli ludzi, „bo się ś nimi może dogadać“. „Ojciec Stary“, w pojęciu Sabaly, mieszka w chacie „całej cyfrowanej“ z ławami po pod okna bogato rzeźbionymi z osobliwie pięknym sosrąbem“, a nosi się po góralsku, a więc oprócz zwykłego ubrania chodzi także z torbką, a w niej ma składak. Gospodarstwo posiada duże, bo też pomagają Mu w zarządzie aniołowie, „bo by se ta sam rady nie dał“. Jako mądry gazda chodzi, dogląda roboty i zachęca do pracy, a ludzie nieraz całe kopy snopków znoszą na sobie, by się tylko jemu przypodobać. Czasem gniewa się Pan Bóg na swych mądrzejszych poddanych t. j. ludzi, to też karze srogo „złemi rokami“ w których się nic nie rodzi i są postrachem dla całej ludności.

Głównym pomocnikiem „Ojca Starego“ jest „Paniezus“, który głównie zajmuje się sprawami ludzkimi, do których Pan Bóg naogół mniej się wtrąca. On też dba głównie o zbawienie ludzi, co także pociąga za sobą, że ma do walczenia z djabłem o dusze ludzkie. Dlatego Sabala, który wiedział o tem, nie bał się djabła, bo ufał w moc Chrystusową. „I co sie ja djabła mam bać, mówił, kie Bóg przenajświętszy za mnie cierpiał, to tobie odemnie zasię!“ A jeśli Panu Jezusowi cierpieć i umrzeć na krzyżu za grzesznych ludzi i dla ich odkupienia wypadło, to trochę w tem było także winy i „Ojca Starego“, który, tworząc człowieka, zamiast stworzyć doskonałość, stworzył go słabym i ułomnym, podatnym do grzechów wszelkiego rodzaju; co Sabala wypowiadał w krótkim zdaniu, tłumaczącem także i jego różne słabe strony: „Jakiegoś mnie, Panie Boże, stworzył, takiego mas“. Gdyby nie

ta okoliczność, miał by Pan Jezus, jako gazda od ludzkich uczynków, daleko mniej do roboty. Ażeby Mu jej ile możności oszczędzić, trzymał się Sabala w stosunku do Niego takiej metody, że gdy np. w kościele modlił się do Pana Jezusa (o którym, nawiasem mówiąc, mnóstwo opowiadał bajek i przypowieści), to np. takie Mu poświęcał ofiarowanie:

— Okwiarujem też ten paciorek Panu Jezusickowi, okwiarujem i polecam, jakby kciał przyjońć; a jak nie, to ja sie też ta ś nim nie sprzecom.

Matkę Boską przedstawiał sobie Sabala, jako nadzwyczaj miłosierną, dobrą i sprawiedliwą gaździnę, która wszystkiemu roztropnie na czas zaradzić umie i nawet trudny podział bez niczyjej krzywdy skutecznie potrafi. Wogóle był z Nią bardzo spoufalonny. Opowiadał np. że miał raz widzenie. Zobaczył Matkę Boską, idącą grzbietem Gewontu i „wyskakuującą“. To znowu wołała na niego, dążącego po pod regle: „Janicku, ho, ho, ho...“ On zaś odzywał się Jej: „Panienko Marjo! hop, hop, hop...“ W pacierzach swoich, przez to ciekawych, że w nie wstawiał mnóstwo dodatków i przekręcań, miał specjalną słabość do Matki Boskiej. Oto np. jakie Jej raz złożył ofiarowanie po zmówieniu w kościele dwóch paciery.

— Okwiarujem też ten paciorek Naświęcej Paniencie Maryjce, Paniezusowi i świętemu Janowi, patruniowi. Ale ik też barz pięknie przypytujem, bo też paciorecków ino dwoje, a ik do podziału troje, haj. Tu by trza zmówić lo świętego Jana jeden, a to pan wielkomożny¹ bedzie sie ciskał, ze mie nima. Ale wiem, co robiem. Ja też to okwiarujem Najświęcej Paniencie Maryjej, a ona ta sićkik dobrze dorówności podzieli i nikomu krzywdy nijakiej nie robi, haj.

Choć w mniemaniu wielu górali uchodził za niedowiarka, Sabala mimo to wierzył nawet w nieśmiertelność duszy, w życie zagrobowe, zwłaszcza w niebo. Wierzył też w zmartwych-

¹ Chałubiński.

wstanie. „Niejeden nie wie, mawiał, cy go Bóg stworzył krowom cy niedźwiedziem; on myśli, co tak skapie, jako i dzwierz! Nie wierz, ty człowieku! Kiej Bóg przenaświętszy zmartwychwstał, to i my mozemy zmartwychwstać“. Śmierci się nie bał, bo nie wątpił ani na chwilę, że się dostanie do nieba, ale choć żył długo, choć go starość pochyliła ku ziemi, nie wzdychał za śmiercią. Kiedy mu raz jakaś sędziwa staruszka z Warszawy napomknęła w rozmowie, że już bardzo dużo przeżyli oboje i już czas im myśleć o innem mieszkaniu na innym świecie, tak jej na to odpowiedział:

— Toz to prosem pięknie ik miłości, to samiutko mi moja baba sićko poza usy tyrlikała, pokiela była zdrowa, haj. Ze juz trza koło Paniezusa zajezdzać, haj. Ale ja haw nie taki wartki. Ja by się naprzykrzać Panu Jezusickowi hańbiel. Ja umierał jesce nie bedem, o dusne zbawienie się nie stracham. Ja tam mam kajsi w niebie matke, dziadka, he, i babka tam tez. Oni mie strasnie radzi widzieli, bok był parobek do rze-cy, haj. Zje, kieby oni djascy robieli w niebie tele casy, coby oni mi ta nie zrobieli jakiego miejsca, haj, coby mi nie uprzatneni ka w kąciku abo za piecem w niebie. Ja nie przekłaśny, ja i pod ławom bede lezał, coby ino w niebie. Oni mi zrobiel miejsce, haj, bo oni mie barz radzi widzieli. O, oni mie radzi widzieli, haj.

Samo niebo także sobie wyobrażał czysto po góralsku. „Niejeden człowiek myśli, mawiał, kiej sie do nieba dostanie, jużci będzie królem. Hej! Ja tam nie potrzebujem królem; niekby mi ino te cielęta (kozice) dali paśś, cobyk se przy niedzieli pukną!“ Tak rozumując, nie wiele dbał o to, gdzie będzie pochowany po śmierci, wiedział bowiem, że zewsząd trafi na sąd ostateczny. „Mnie ta, cy pod Krzywaniem, cy w Zakopanem na cmentarzu lezeć, to jedna rzecz. Niechaj ciało lezy, jako kee, a dusa idzie, jako kee. Pan Bóg ta ma ocy, to mie i pod Krzywaniem najdzie, kiej mu bedem potrzebny. Ja zaś by nie zycyl, ino z kozami we wirchach lezeć“. Tak to sobie wyobrażał życie przyszłe.

Do wykonywania praktyk religijnych, oprócz jednego postu w piątek, nie był skory. Do spowiedzi jeżeli dał się nakłonić przez księdza Stolarezyka, to tylko w ostateczności. Uważał bowiem, że Ojciec Stary jest wyższy ponad te praktyki zewnętrzne i mało o nie stoi. „He, zaś to i wypowiada się cłek, ale tem nie wypłaci, cheba trza będzie tam odpowiadać, kie spytajom“.

Do kościoła też niezawsze w niedzielę isé mu się chciało, bo, gdy pogoda była piękna, to „wolał przy pniaku w lesie se pomodlić“. „Racje byś do lasu seł paciorek se zmówić, niżli teli cas w kościele siedzieć. Jaby się hańbił telo Panu Bogu naprzykrzać“. Chciał być z Bogiem dobrze, ale żywcem do nieba dostać się z powodu nadmiernej pobożności nie myślał. Kciały „baby-dewotki mnie odrazu do nieba po drabinie weгнаć, ale ja zaś nie rad tak bardzo Panu Bogu schlebiam. Mnie ta to niebo nie pilno było“.

O trzeźwości Sabały odnośnie do różnych zabobonów, co do których górale wogóle okazywali się zawsze dość sceptyczni, tak pisze Witkiewicz:

Sabała, tłukąc się samowolnie po halach, myślał o wszystkich zagadnieniach, jakie sobie umysł ludzki stawia, i na wszystkie znalazł wyjaśnienia, albo bardzo bliskie tego, co uważamy za prawdę, co przez długie wieki wogóle wystarczało ludziom; a jeżeli jego pojęcia o zjawiskach natury lub życia ludzkiego są czasem jakieś bajeczne, to ukazują się w tak poetycznej formie, że trzeba je szanować. Przedewszystkiem umysł jego jest wyższy nad wszelkie zabobony. Z jednej strony nadzwyczajna inteligencja, z drugiej życie w ciągłych niebezpieczeństwach, w ciągłym zetknięciu się z tym światem, w którym się lęgną zabobony, a do którego on szedł uzbrojony odwagą i trzeźwą myślą, doprowadziły go do przekonania, że to są wszystko plotki, o których stare dziady sobie rozpowiadają. On sam o tem opowiada,

ale jak o bajce: „Ja ta cokog juz nie zaznał, ka juz nie był, a nigdzie nigdy nikamy, takik figlów, duków nie widziałek“!

VIII.

Ale choć nie sobie nie robił z przesądów i zabobonów, mimo to był daleki od braku zasad etycznych. Wprawdzie „były one takie, jakie zaczerpnął w swojej młodości i zatrzymał w swoim konserwatywnym umyśle“ i „prawie zupełnie pokrywały się zbójeckimi“, jakkolwiek musiały zblednąć wśród innego otoczenia i warunków; ale niezależnie od tego były to bądź co bądź dodatnie podstawy moralne. „Jak ciek zbijał — filozofował Sabała — to nic. Ino nie zjedz sam, daj biednym, a na kwałę Boskom téz co obróć“. Przebiegłość jednak, zwłaszcza w stosunku do przedstawicieli władz rządowych, zajmowała w jego etyce miejsce poczesne. Tak np. karecił podstępne napady, ale mylić ślad i zjawić się w biały dzień tam, gdzie się przeciwnik najmniej spodziewa, oznaczało, jego zdaniem, rozum w głowie. Oburzał się zawsze, gdy kto, poturbowany przez drugiego, włożył się po sądach, lub brał „dutki“, jako odszkodowanie. To było niehonorowo. „Jak zandar przyńdzie — mówił — to go wyzeń. Co on ma się do twojego miesać. Jak winowatemu darujes, toś chłop i tak sie patrzy, ale jak cie przepyta. Krew to nie wódka, cobyś jom dudkami u zyda zapłacił, haj, ale znowu krwiom, haj“. Wogóle dla stróżów porządku publicznego, czy to był żandarm, czy leśniczy, nie czuł Sabała nigdy najmniejszego respektu, cieszył się z ich porażki w zetknięciu ze ściganymi, a gdy raz taki leśny węgierski, spotkawszy się na wąskiej perci w górach z jednym z zakopiańskich klusowników, dał do niego dwa chybione strzały z dubeltówki, potem padł od kuli górala, Sabała, opowiadając o tem zdarzeniu, dodawał szydereco, bez cienia współczucia dla zabitego, choć ten padł ofiarą obowiązku: „I ten leśny brzyćko patrzył,

to mu ta skale dwie na ocak położył, a taki go zał zdjął, co mu ta zara buty ściągnął“.

Dzięki swemu lotnemu i niespokojnemu temperamentowi, który mu w domu usiedzieć nie dawał, a który go niósł tak daleko, jak się ciągną Tatry, tak wysoko, jak tylko sięgną ich szczyty, i dzięki któremu znany był nietylko na całym Podhalu, ale i w liptowskich szalasach, i na Spiżu, i na Orawskich zamkach, odznaczał się Sabała dziwną ruchliwością i wszechstronnością inteligencji, co sprawiało, że myślą ogarniał szerokie horyzonty, że interesował się całym światem, że choć stary, chętnie by np. wybrał się do Ameryki, aby tam spróbować owego ośmnasto-strzałowego karabinu, o którym mu opowiadano takie cuda. To też gdy mu Chałubiński, Witkiewicz, Dembowski i inni, opowiadali o Warszawie, o Krakowie, o innych miastach Europy i Azji, a swoich dalekich podróżach, słuchał z wyjątkowym zainteresowaniem. Nęcił go daleki świat.

Niemniej nęciło go życie, ludzie, natura. Pod tym względem hołdował jakby horacjuszowskiemu epikureizmowi, za wszelką cenę unikając smutku i frasunku. Posiadając w najwyższym stopniu te przymioty, które Schopenhauer uważa za konieczne warunki szczęścia, mianowicie wesołość i zdrowie, uważał, że kto chce długo żyć, przedewszystkiem nie powinien się smucić, „bo zgryzota i smutek to zła choroba: pilno cłeka złupi“. „Smutne serce — mawiał — gorse, niżli choroba, pilniej cłowieka uśmierci“. Jak Kochanowski był zdania, że „troska w pół wieku zgryzie człowieka“, tak i Sabała nie radził się martwić, „bo z turbacji, a ze smutku krew do serca uchodzi; a jakże jom gonić? Cheba weselem“. Dlatego też niepowinien się człowiek do niczego przywiązywać zbyt; bo w przeciwnym razie trudno być szczęśliwym. „Cłowiek serca zatwardziałego, to se smutku na serce bardzo nie popusca, choć i zło przyńdzie“. Jakoż on sam nie smucił się nigdy, nawet wówczas, gdy nie brakło poważniejszych do troski powodów. „Smutkiem się żyć nie opłaci“. „Cłekowi ze smutke

wnuku, to tak nijak żyć, jako niedźwiedziowi z kulkom w brzuku. Pan Bóg nawet, jak widzi człowieka smutnego, to banuje, co takiego stworzył. Wyzyń ze sobie smutek, to ci i życie będzie zaraz milse“.

To też rzadko zdarzało się widzieć Sabałę smutnym. Chyba nań przyszła choroba, osłabienie. Wtedy zaczynała go trapić starość, niedołęztwo, markocił się i mocował z życiem, ale gdy tylko skrzepił się nieco, zaraz próbował sił, szedł na wirchy, a wracając stamtąd, czuł zaraz, że świat jest wesoły i piękny. Wnet odzyskiwał humor, a wtedy przedewszystkiem zaczynał stroić żarty na temat swej choroby, zwłaszcza na temat doktorów, gdy mu nie wiele potrafili pomódz. Oto, jak raz o jednej takiej swojej chorobie opowiadał, wyzdrowiawszy, Witkiewiczowi:

— A ja prosem ik piknie, takek przychorował, co źle się widziało se mnom. Jak już psota, zawierucha, to ten gościec nie dobrze robi. Wlazła kolka za łopatke i w jednym noge, alek nie nie robił: Kędyś wlazła, to se idź! Z tego coś tak chycilo, co widziało się nie porada na świat wrócić. Ino zamgleć i zamgleć. I, dobrze nie bardzo, przysłali państwo dochtora. Juźci przysel, oburzył po grzybiecie, oburzył jak zołna po zgnitym pniaku, i wzion jakomsi trombecke i słuchał, cy ta owce ka we mnie nie becom. Mocny Boze! Dopiero przyńdzie Ślimak, dobił me bańkami, jak luptowski pas guzikami, umaścił okowitom, ale i z tego nic. Toz to wziena me drzeć krzypota, dodarla me godnie, wypucowało tutok, het! po pod pluca, cok ani smarowacki nie seł pytać, cysto, piknie nie popuściło, cok teraz taki zdrów, jak piniądz.

Już to wogóle był Sabała optymistą, a na życie zapatrywał się filozoficznie, nie wymagając od niego za wiele. Uważał, że należało się godzić z losem, bo i tak musi tak być, jak jest, a człowiek nie w tem poprawić nie zdoła. „Życie cłeka—mawiał—to je dobre, godne, ale niewygodne, a co wto teniu winy jest, ze żyć musi. Kie ojcowie kcieli, cobys żył, to ty musis tez kcieć, a narzekać i labidzić nima co, bo tu tego nie

wiečność, haj, nie długo. Nie przeżyjemy Gewontu, bo on nas syćkik pochowa. Muru głowom nie ozbijes, tozto daj pokój lepiej“.

Ale ponieważ człowiek najczęściej sam jest szafarzem swojego szczęścia lub nieszczęścia, więc od tego jest życiowa mądrość, żeby szczęście do siebie przyciągnąć, a nieszczęście odepchnąć. „Mądry i głupi, zdaniem Sabala, to sie nigdy nie nadadzom, bo głupi bedzie mądremu zawse ciućkał, ze je głupi, a mądry sie głupiego nie hyci, coby go nauczył, haj, bo sie ś nim babrać nie bedzie keciał“. Lecz sama mądrość jeszcze nie jest wszystkim. Należy być i dobrym. Pod tym względem sądził Sabala ludzi bardzo przenikliwie. Gdy ktoś raz chwalił jednego z mądrych i bogatych gazdów, mówiąc, że to dobry człowiek, Sabala odrzekł z subtelną ironią: „E! on je dobry, ale djabel je lepsy, co go dotąd nie wziął“. Bo nie wystarczało być bogatym, żeby imponować Sabale: człowiek bogaty, ale pozbawiony zalet charakteru, a zwłaszcza taki, który do majątku doszedł wątpliwymi drogami, zawsze dlań reprezentował niewiele. O jednym takim gaździe, posiadającym parę domów w Zakopanem i dużo gruntu, zdobytych w sposób niezaszczytny, wyraził się Sabala kostycznie: „On ta ze śmierzci nie bedzie miał hasnu; bo mu w niebie takik majątków nie uświadcom“.

Takie same pogardliwe pojęcie miał i o kobietach. Przedewszystkiem o ich rozumie trzymał niewiele. „Pierwej dziłkom świnię naucy tańczyć, niżli babe rozumu“: było jego stałem przysłowiem. „Po jeden koń ma takom *psiom kudłę*, co nijak do wody nie kee iść; baba, ta ma tez takom *psiom kudłę*, co nijak jej nie namówić i nie zjednać“.

Jak przeważna część górali, tak też i Sabala bardzo często posługiwał się dowcipem w określeniach, a zwłaszcza w odpowiedziach; a że dowcipnym był z nautry, więc jego niektóre powiedzenia jeszcze przez to zyskiwały na dosadności i plastyce. Żydowi, napastującemu go, żeby mu oddał parę pożyczonych dudków, odpowiedział na pocieszenie:

„Dam wam Osobitą w procencie wykosić, jak Orawcy zejdom z owcami“. Gdy mu władze dały do poznania, że nie wolno grać i śpiewać po drogach, odparł: „A kto je to prawo pi-sał? Cheba niedźwiedz na turnicy pazdurami!“ Gdy mu raz zajęto krowę w lesie, tłómaczył zajmującemu: „Krowa to ta lasu nie zje, ino siekiera!“ Gdy ktoś raz twierdził przy nim, że dawniej ludzie pili mniej, niż dzisiaj, mniej pieniędzy zostawiali żydomi po karezmach, odpowiedział szyderezo: „E, to prawda! ze samego Zakopanego do Bochni zajechał, a u zy-da nie był, bo go nie było, bo zaś chrześcijanie po karemach siedzieli a synkowali“.

IX.

O sławie Sabaly w kraju zadecydowały jego opowiadania, jego bajki. „Gwarzenie“, którego miał dar niezrównany, sprawiało mu w obcowaniu z ludźmi największą przyjemność. Lubił opowiadać, bo miał wiele do opowiadania, bo wiedział, że oryginalnością tematu i mowy zawsze zabawi i zainteresuje słuchaczy. Opowiadając zaś, nie troszczył się o to, czy słuchacz zgodzi się na jego zasady, czy go treść powieści zbuduje lub nie. „Sobie śpiewał, nie Muzom“.

Opowiadania jego, ich epiki rodzaj, ich niezrównaną plastykę i sugestyjność, ich niezem nieskażoną odrębność i samorodność, ich homerycki pierwiastek, najlepiej secharakteryzował Witkiewicz w „Na przełęczy“, gdzie o nich tak pisze między innymi:

Sabała należy do ludzi, których wartość jest niezawisłą od nabytych z zewnątrz bogactw, znaczenia lub nauki; to, co stanowi jego wyższość, jego istotną wartość, leży w nim samym, w szczególnej, wyjątkowej, oryginalnej budowie jego natury. Ludzie tacy nie mierzą się poziomem swego otoczenia; można ich przeprowadzić przez wszystkie szczeble społecznej drabiny: pozostaną

zawsze tem, czem są, i nie roztopią się w pospolitej masie tłumu. Biedny, napół ślepy góral, którego całym majątkiem jest dziś kozi serdak i cucha, w której rękawie zaszytym mieszczą się jego *gęśliki*; chłop, który zaledwie umie czytać i pisać, którego cała nauka leży w obserwacjach, zebranych w walce z dziką naturą i Liptakami, ten biedny starzec byłby zwykłym dziadem, o którego „uprzątnięcie“ dopominałyby się w mieście brukowe pisemka, gdyby nie jego nadzwyczajna dusza, rzucająca na jego postać i słowa światło, w którym można odnaleźć blaski, bijące od dzieł wszystkich wielkich poetów.

Na opowieści Sabala złożyły się, zdaniem Witkiewicza, następujące „silne i dzielne motywy“: walka z dziką naturą górską, polowania na grubego zwierza, utarczki z Liptakami, historie zbójników tatrzańskich, dziwne obrazy pasterskiego życia, i wreszcie „legandy i bajki, streszczające całą umysłowość górali“.

Pomimo wszystkich trudów i niebezpieczeństw życia strzelca, ciągłego czuwania z odwiedzionymi kurkami, latania po wirchach, szybkości, z jaką przebiegają wypadki, pomimo tego wszystkiego Sabala naturę obserwował, podpatrywał, zapamiętał tajemnice jej życia, ruchu, kształtu i barwy, stąd też jego mowa jest tak silną i obrazową. Wirchy i przepaście, orły, niedźwiedzie, świstaki, kozice, blaski słońca, cienie chmur i mroki nocy, skały i śniegi, i wonna zieleń smreków, i czarne krzaki kosodrzewiny, i szum wód spienionych, słowem, ten cały świat górski żyje w jego mowie, wzajemnie się objaśnia, ozdabia i uplastycznia. Zwięzłość, wyrazistość, jasność i dobitność określenia jest niezrównana. Prostota i wielka szczerłość tej mowy robi to, że wszelkie fartuszki, narzucone przez konwenans na wyrazy, wydałyby się tu śmiesznymi. Sabala nazywa wszystko po imieniu, a nigdy

jednak nie zdaje się być trywialnym. Nie mówiąc już o uroku jaki ma sama przez się gwara góralska, uderzająca bogactwem wyrazów i form językowych, gwara ta, użyta przez Sabałę, staje się czemś tak artystycznym, że niektóre jego opowiadania lub bajki są skończonemi wzorami doskonałości wyrażania ludzkiej duszy i świata za pomocą słowa.

Samo jednak słowo mu nie wystarcza. On nietylko dobrze myśli, umie dobrze tę myśl wyrazić, on umie mówić, opowiadać; opowiadając, żyje życiem, które wspomina. Jego nieporównanie wyrazista i ruchliwa twarz mieni się wszystkimi odcieniami uczuć, i tak jak ton głosu, ilustruje wypadki, podkreśla spokój lub grozę położenia. Sabała w opowiadaniu jest i sobą i niedźwiedziem, i orłem, i skałą, i Liptakiem, i kozicą. Jego ręce rysują w powietrzu kontury grani, opadają po stromych ścianach skał, lub wazą się, jak orle skrzydła nad przepaściami. Kiedy Sabała mówi: „Do wirchu“, wznosząc oczy i palce ku górze, to się widzi szczyt zaobloczny.

Sabała nigdy nie kłamie. Jego opowiadania nie są „szklarstwem“, obrachowaniem na wychwalanie i wynoszenie siebie nad innych. Nigdy nie wyciąga siebie na pierwszy plan; on jest jednym z działaczy poematu, momentem akcji i nie więcej. Sprawiedliwość, z jaką wychwala czyny innych strzelców, pobłażanie, jakie ma dla tych, którym się nie powiodło, przytem sympatja dla młodszych, których dzielność go cieszy, usuwają z jego opowiadań to wszystko, coby je mogło uczynić natrętne i nudne.

Sabały opowiadań słucha się tak, jak się patrzy na dobry, niezmanierowany obraz, jak się czyta po wiele razy pieśni Homera, z którymi mają one wiele wspólnego. Odrzuciwszy formę wiersza, której Sabała nie używa, to wszystko, co stanowi treść życia, ten materiał, z którego są zbudowane obrazy, w jednym i w drugim wy-

pa d k u s ą t e s a m e. Przedewszystkiem górska natura prowadzi do tych samych porównań; życie ludzkie, życie pasterzy u Sabaly i u Homera jest tak podobne, że jeżeli na miejsce bohaterów Iljady i Odyssei, jakkolwiek oni się nazywają, podstawimy naszych Walczaków, Pitoniów, Gąsieniców i Mardułów, nie będziemy potrzebowali dodawać im więcej, oprócz „złota i srybła“, których homerydzi mieli do zbytku, a o których pasterze hal tatrzańskich tylko marzyli. Skala uczuć, poziom etyczny, stosunek do natury są tak dalece te same, że kiedyśmy raz, siedząc w zimie u ogniska w Roztoce, czytali Odysseję góralom, słuchali jej, jak opowiadań Sabaly, i bawili się również dobrze, a nadewszystko sam Sabala niewymownie się cieszył z pomysłów Odysseusza.

Według najgłębszego przeświadczenia Witkiewicza, „podobieństwo między treścią opowiadań Homera i Sabaly mogłoby stanowić materiał osobnego studjum“, a „wartość artystyczna Sabaly opowiadań nie często ustępuje pieśniom Homera“.

Jak Homer, niezależnie od wartości artystycznej, od tej przyjemności, jaką sprawia umysłowi ludzkiemu sztuka, ułatwiając powstanie w nim obrazów i wyobrażeń, ma wartość świadectwa pewnej epoki rozwoju ludzkości, historycznego dokumentu; podobnie opowiadania Sabaly streszczają w sobie pojęcia, wierzenia i ustrój życiowy pewnego społeczeństwa, które przechodzi już do przeszłości i które pomimo małych granic przestrzennych, na których się rozwijało, przedstawia jednak nadzwyczajny i wielostronny interes dla badaczy.

Pewne gatunki ludzi, jak pewne gatunki zwierząt, muszą zginąć z powierzchni ziemi, razem z wielkimi przeobrażeniami w naturze, w zewnętrznych warunkach bytu. Myśliwy czerwono-skóry, jak polowacz tatrzański,

stają się z czasem niemożliwi; zaczyna być tak ciasno, że jest więcej ludzi, niż „dzwierza“, a lasy, które dawniej „od Spiza bez Polskom do Orawy“ skrywały świat, teraz znikły i z nimi znikła przyczyna, wywołująca do życia takich ludzi, o jakich mówi powieść Sabala.

To też Sabala, jako „starego wojska straż ostatnia“, budzi interes nadzwyczajny, niezależny od interesu, jaki budzi jego własna indywidualność. Z jego opowieści trudno wykroić moralną książkę, dla dzieci lub dorastających panienek, ale też i w Homerze trudno szukać przykładów cnót, które uważamy dziś za konieczne w ludziach. Słuchając tych opowiadań, żyjąc z tym ludem, schodzi się na ich poziom, przestaje się od nich żądać, żeby się stosowali do prawideł, o jakich nie mieli pojęcia; podziwia się natomiast skalę, na jaką było nastrojone to dawne ich życie.

Bardzo wielu z pomiędzy bywających tu podróżnych, którzy spotykając Sabalę po drogach, zaciągali go do siebie, leli w starca wódkę i wyciągali na anegdoty, myśleli, że kilka sprośnych konceptów które usłyszeli, są najlepszą stroną Sabala. Jest to bardzo mylne wyobrażenie. Sabala ma tyle i tak różnorodnych rzeczy do opowiadania, że da każdemu, czego on szuka: i mądrym mądre, i głupiemu głupie; wygodzi każdemu. Ponieważ nie jest on machiną, powtarzającą bezmyślnie zawsze te same słowa, bez podkładania pod nie swego uczucia, myśli, życia; przeto jedne i te same tematy opowiada bardzo rozmaicie i z różną wartością artystyczną. I kto przeleje miarę, kto zanadto „omaszcza“ herbatę, podejmując starca, ten nie usłyszy najlepszych opowiadań. Nie każdemu zresztą on chce opowiadać, nie z każdym chce „ugwarzyć“. Ma on swoich przyjaciół, towarzyszy, jak np. Wojtek Roj, z którym całe noce czasem nie śpiąją, jak się zejdą w zimie, i wtedy we wściekłym gorącu

kuchni, humor i werwa, obrazowość i bogactwo opowiadań Sabały są nieporównane.

Kto więc chce znać przeszłość góralską i naczytać się Sabały w najpoprawniejszej edycji, ten niech go słucha „we wirkach kany, przy wiatrze“, albo w szalasiu, jak on opowiada to swoim towarzyszom, dobrym znajomym z pomiędzy „panów“, młodzi góralskiej, która się go zaśluchuje, lub wspomina ze starymi bacami dawne czasy.

Jego opowiadania są rzeczywistą epopeją górskiego ludu, krystalizują w sobie wszystkie jego uczucia i myśli w sposób niezwykły. Na tym przelomie do nowych form życia, jego opowiadania są jak luna świecąca nad dogasającym ogniskiem, jak ostatni promień wspaniałego słońca, które się obiera po świetle świetnemi blaskami, nim zgaśnie na zawsze.

Jak świadczy Stopka, który najwięcej spisał opowiadań i bajek Sabały, nietylko mu nigdy nie brakło słów do wypowiedzenia swoich myśli, ale tę samą powiastkę, lub ten i ów szczegół potrafił przedstawić z różnemi warjantami, w sposób odmienny, a zawsze misterny i zręczny, stosownie do audytorjum. Inaczej to samo opowiadał w obecności kobiet, inaczej mieszanemu towarzystwu młodszych i starszych, inaczej samej młodzieży. „Elastyczność mowy i wieczna przytomność umysłu pozwalała mu zawsze znaleźć dowcipną i stosowną odpowiedź dla tych, co go chcieli zbić z tropu i udowodniali mu nieprawdopodobieństwo faktów, które przytaczał. On wierzył w to, co mówił...“

Opowiadania jego nie zawsze miały ze sobą związek, a to dla różnych epizodów. Bo jak Wojskiemu ze słynną historją Domejki i Dowejki, tak i Sabale zdarzało się nieraz, że początek czegoś opowiadał z rana, a potem zeszedł na manowce, zagubił się i zapomniał, od czego zaczął; dopiero później, przypomniawszy to sobie, nawiązywał przerwany wątek i kończył.

Z mowy jego „wiało jakieś marzycielstwo“ obok chęci przedstawienia rzeczy wiernie, wyraziście i dobitnie, a to „z tą tragiczną grozą, przed którą słuchacz truchleje i ma pewne poszanowanie dla siły i namiętności bohatera“. Oprócz historii myśliwskich, godnych zestawienia z najlepszymi epizodami łowieckimi z „Pana Tadeusza“, ze szczególną predykcją opowiadał Sabała różne dramatyczne historie zbójnickie, najczęściej kończące się w lochach węgierskich zamków nad Wagą, lub w więzieniu na samej łysinie Orawskiego zamku, skąd więzień mógł się ratować, podarłszy swoją bieliznę w strzepy i powiązawszy w długą taśmę, tylko, że niestety, liny takie, na których się spuszczało po wyłamaniu lub przepiłowaniu kraty „Sabałowi honorni chłopci“, nigdy nie dosięgały ziemi... Bolał nad nimi opowiadający o nich Sabała, że tak wcześnie musieli gnić w lochach, lub ginąć na szubienicy, „bo byli setni i dobrze towarzysowali, a jeden za drugiego byłby się dał na drobne kąsecki porąbać“.

Ale wśród tych sabałowych historii zbójceckich nie brakło i wesołych, jasnych, świadczących o niesłychanej fantazji tatrzańskich opryszków. Takim był np. słynny Mateja (ten sam, który miał ową pamiętną rozmowę z ks. Stolarczykiem), o którym Sabała, taką np. opowiadał awanturniczą wyprawę, najprawdopodobniej jako jej uczestnik:

— Była, prosem pięknie wasyk miłości, na Orawicak wielga karema, a w niej synkowała hruba karcmarka, a hłopa miała nic pote. Siedział sićko przy niej doma, ale sie nie radzi widzieli, haj. I dobrze nie bardzo, strasnie był cujny. Dudki miał w komorze i strasnie ich cujnie strzeg. I co sie nie robi, zwiedział się o nik Wojtek Mateja, tozto hodził i zahodził koło karemy i kumory, haj, ale ani on, ani towarzyse jego ni mogli zmylić karcmarza, i co się do dutek zabierom, to ik odegnali, bo sie zwiedzili zaraz. I co Mateja nie robi, tak im napedział: „Hybajmy jesece raz, kiby to byli, ajby byli, siem djasków zja-

dło, aj zjadło, coby my dutków nie zabrali, kie wiemy, ze som jest i kany. Hybajcie! ja sie bedem brał do karmarki, a wy sie biercie do dutków, bo som jest wielgie w kumorze showane, haj“. I pošli. Jasiak¹ poseł do karmy. Przynióś osecypków mnoheńko, toz to uracył karmarza, kacmarę i muzyków. Ale sie to karmarzewi nie widziało, toz to strasnie pilnował, coby mu Mateja karmarki nie bośkał, haj. Wojtek, ze był hłop piękny, widział sie jej, a kacmarz sie go bał. Muzyka zacyna grać. Mateja hypnon do tańca, a kacmarka za nim. Boćkowała mu. Tańcom, tańcom, a za tela towarzysowie podkopali sie do kumory. Ale mek ze ściany od kumory podpadał, toz to było ik widno. Mateja se tańczy, a kie widział wtorego bez spare, to im śpiewał, jako majom robić, haj. A kacmarz, ani kacmarka sie nie nazdali, zeby ik tak wywieść miał, haj. Naprzód se zaśpiewał tak:

Oj, tańcuj ze se tańcuj,
Oj, kacmarecka tłusta,
O, bo na jutro bedzie
Kumurecka pusta.

A kie kapelus bez spare dożry, to tak śpiewa:

Ej, shylaj ze se Józek,
Bo ci kalabuk widno;
Ej, jak kacmarz uwidzi,
Bedzie s nami biedno.

Zaś kie juz zabrali, co mieli, uciekali: to se im tak nakazał:

Hej, zbijajcie, zbierajcie,
Hłopcy uciekajcie,
Ej, na mnie we wąwozie
W Kirak pocekajcie!

¹ Pewno sam Sabala (Jan Krzeptowski).

Pote jesece tak zaśpiewał:

Oj, kacmarecka rada,
Ze się wytańczyła,
Ej, ale karcmarz nie rad,
Bo bendzie hojco jad!

I poseł za nimi. Tak to, prosem pięknie, dokonali swojego, haj. Mateja był wse strasznie śmiały, haj.

Historja ta jest niezmiernie dla zbójników zakopiańskich charakterystyczną, właśnie przez to, że bezkrwawa. Maluje ona rodzaj tych rozbojów, w których chodziło o rabunek, ale o ile możności bez rozlewu krwi. To dopiero następowało w ostateczności.

Bo do okrucieństw weale ci góralscy zbójnicy nie byli skłonni. Przeciwnie, poza rządzą rabunku, często powodowali się i dobrem sercem. Nie byli to źli ludzie z natury. Owszem w wielu wypadkach dawali dowody poczciwości. Zawzięci na bogatych, których starali się pozbawić ich bogactw, dla biednych mieli dużo współczucia i radzi wstawiali się za nimi, gdzie mogli, lub pomagali im.

Ten ciekawy i znamieny rys ich charakteru uwydatnia następująca opowieść Sabały o jednym z takich zbójników, spisana przez Stopkę:

— Seł raz zbójnik do miasta¹ na zycie, a miał tez nakazane, coby nakupił garków i kotlików na pieniądze. I dobrze nie bardzo przychodzi na jarmark i zacyna obierać garki, ale był rad, coby go nie poznali, ze je zbójnik, haj. Cłek był mądry, toz to co łapiel garnek, to go nie pukał, cy zwoni, ino hyciel za kraje i ciągnie, co mu jaze ocy na wierk lazły. Ale on ino tak na despet, prosem pięknie ik miłości, bo garka ozerwać nie kciał, haj. Jaze, co sie nie robi, przyleciała baba. U niej rozum krótki, toz to widzi hłopa, jako oźciał garnek i prógował go, cy

¹ Do Nowego Targu.

mocny. Toz to i ona keiała tez tak obierać, ale na oza-
 jest ciągnena i ozerwała dwa garki. Hudobina była. Ni
 miała cym zapłacić garków, bo dudków ni miała nijakik,
 Jaze zbójnik garcorza tak zagada: „Ona ni ma płacić,
 haj, bo garnek był słaby“. Ale sie garcarz o to nie pyta,
 poleciał do urzędników. Ci przyšli i zabrali babie osta-
 tniom spudnice, haj. Zbójnik, ze był winowaty, kupiél
 dwa cale garki, zapłacił ik, jako sie patrzy, i poseł, haj.
 Baby mu sie luto stało, przyleciał nazad, sjon kapelus
 i pyta garcorza, coby tez tej kobyle, co jego była i garki
 przywiezła, podzwoliél na kwilke jutro do niego przyńść.
 Pada mu tak: „Syn jej u mnie na zimowisku, setny ś nie-
 go źrobcok, a bedzie sie jutro zeníł. Wesele mu sprawiem,
 bo mi sie udał i darzy mi sie. Toz to kazał, cobyk jego
 matke pytał, haj. „Ja jest pytac“. A garcorz mu tak
 pada: „Tyś chłopie strażnie głupi. Ja kobyle nie dam íść
 na zadne wesele, bo mi jej trza, haj“. Zbójnik go zaś
 pyta, coby mu dał ś niom przegwarzyć dwa słowa. Ona
 nie zając, to nie ucieknie, ani nie sól, to mu jej nie zli-
 ze, haj. Garcorz przystał na to. Gwarzy zbójnik kobyle do
 ucha dość sprawnom kwilke, a pote podziękował barz
 pięknie garcarzowi. „Cożeś jej pedział? he. Cóż ci ona
 pedziała?“ „Ej, mi pedziała, co miała, haj, ze jej nijakim
 świacie, nie dacie íść na wesele, bo jom strażnie męcycie.
 Ale kie nie, to nie, to ona se i tak poradzi. Tu odbeńdzie
 to wesele, haj“. I poseł ka miał íść, haj. Za małom kwil-
 ke kobyla zacyna fukać, kręcić ogonem, a praskać zadke,
 a pote zacyna tańcyć po garkach i fukać, haj. Wytań-
 cyła, prosem pięknie, cysto pięknie sićkie garki, haj. Bo
 ono, prosem pięknie ik miłości, zbójnik był głóbiś i kie
 ś niom gwarzył, toz to zapoliél próhno i włożył jej do
 uha. Toz to piekło jom strażnie, kręcieła głowom i wy-
 tańcyła sićkie garki doimentu, haj. Tak sie, prosem pié-
 knie wasyk miłości, zemściél zbójnik na garcarzu za bie-
 dnom babe, haj.

Niemniej charakterystyczną jest opowiadana przez Sabalę przygoda kleryka ze zbójnnikami, dowodząca, że ci ostatni, choć mieli respekt dla osoby duchownej, to jednak woleli się mieć na baczności przed nią, bo strzeżonego Pan Bóg strzeże, a jego słudzy bywają łasi na pieniążki.

Set raz kleryk bez luptowskom granice i przyseł ku wielgiej wancie. Patrzy, a to siła hłopa pod skalom leży, haj. Jedni grzebli coś kajsi w ziemi i zagrzebali pote, a drudzy sie ino przypatrzowali i wyrządzali jeden drugiemu. Kie kleryka użreli, toz to hip do niego i zacyni go zagadować, coby nie patrzył, ka piniądze kładom; co by nie zabrał, bali się, haj. Ciężko to, nie leko, uzbijali w Luptowie i na Węgrak, toz to bali sie, haj. Jaze jeden tak pada: „Wies co, księzycku, powiedz nam końcem kazanie. My juz dawno go nie slyseli, toz to nam powiedz, ale takie, coby nam sie widziało, haj“. Tak go wej kciał zabawić, coby na dudki nie patrzył. Kloryk sie przezeгнаł i paciorek zmówił, coby go nie zabili. Pomodlił sie końdek. Potem wyseł na turniom i tak kazanie pada: „Wase, zbójnicy zycie to cokolwiek takie, jako Paniezusowe, haj. Ino som jest różnice. O jest. Paniezus tak, jako i wy, włóczył się po świecie, ino ze on pięcioma rybeckami to sićkik nakormił, a wy tobyście i sto krów zjedli i jesece by wam mało było. Piniądze w Luptowie i na Węgrak i na całym świecie byście zabrali i jeseceby wam mało było, haj. Paniezusa hycili i was tez hycom i bedom bukowcami opalonymi bicowali, a pote moze i powiesom“. Jaz zbójnicy krzycom: „Nie damy sie. Zrućmy go z turnie“. Ale dali pokój, bo piniądze nie były jesece pohowane. „Bóg ze wie, co bedzie: moze i tak źle nie, pada kloryk. Paniezus wstąpił do piekła, a wy ta tez tam patrzycie. Cy wam sie widzi to kazanie, cy nie?“ Jaze zbójnicy padajom: „Gadajcie dalej. Widzi sie, widzi...“ A obzierali sie, cy piniądze pohowane, haj. Przy-

leciał harnać, zgarnon kloryka ze skały, prasnon mu garzśé talarków, co sie z kotlika zwyśyły. Toz to dał mu te dukaty, a kloryk łap i uciók, haj. Jesce im przed odchodnem pedział: Paniezus wstąpił do nieba, ale wy ta juz nie wstąpicie!“

Oprócz różnych historji myśliwskich i zbójeckich, w których niejednokrotnie sam *magna pars fuit*, opowiadał Sabała chętnie zwłaszcza młodym góralom, rozmaite podania i legendy tatrzańskie, przywiązane do wielu miejsc w Tatrach i na Podhalu. Jedno z takich poetycznych podań, przywiązane do Skały Pisanej w dolinie Kościeliskiej, a opowiadane raz przez Sabałę młodzi góralskiej, w Roztoce podczas słoty, spisał Wojciech Brzega, znany w Zakopanem rzeźbiarz. Oto rzeczona legenda:

W Staryk Kościeliskak, ka się skręca na halom Smytniom, jest turnia wysoka, a nazywa się Pisana, haj. Drzewień jom inacej nazywali, ale dzisiak jom panowie przekrzieli, bo sie tam na tej turni pisajom, haj. Różne ta o niej ludzie gadki gwarzom, ze tam wnuku w tej skale jest staw, co ś niego Dunajec idzie, a na tym stawie pływa złota kacka, co djamentowe jaja niesie, ale ino jedno na rok, haj. Raz, co sie nie robi. zabrał sie ta juhas po te kacke, ale nie doseł, bo ta woda strasnie zimna, a źleb, co nim woda idzie, ciasny i ze omalućko sie nie utopiét, haj. Boginki stawu strzegom, toz to nikogo tam puścić nie keom, bo go bałamucom, coby sie ś nimi bawiét, haj.

Mnie zaś pedział stary Fakla, co był dziuge porazony, takom gware, ze w tej turni ma być wojsko zaśpionne, haj. Było zaś, prosem pięknie wasyk miłości, tak. Raz przychodem do tego Fakli, a tu stary ledwo zywy, lezy na pościeli. Ja se siednon przy nim i pytam sie go, coby mu brakować miało. A on mi tak pada:

— Miły, mocny Boze! hlopec, se mnom źle. Bóg mnie

pokarał, i jako widzis, lezem tu jak Łazarz moc roków. Dziecko, tyś młodszy, do świataś, a ja dziś, a jutro. Słuchaj mie, to ci powiem moje zywoybie. I ja był kiejsi tęgı hłop, do rzecy, a miałek kuźniom i kułek, co komu było trza. Kowal był se mnie setny, toz to robotyk miał wse mocki, haj. Raz, co sie ne robi, kujem ku wiecorkowi, a tu włazi do kuźnie jakisi cłek. Ładnie, pięknie pozdrowień Pana Boga, toz tok mu odpedział i zgłupiałek, bok sie na niego przypatrzył i jescek w zyciu takiego cłeka nie widział. Niby wojak, bo zbroj na nim, broda popaś, a głowa ze stali, a gęba taka ładna, jak u anioła w niebie. I, dobrze nie barzo, pyta sie mie, cybyk mu podków złotyk nie narobieł. Ja padam: „Cemusby nie, dyć jek od tego kowal“. I, dobrze nie barzo, zacyni my te robote. Ja kujem, on mieche rusa i robota sła. Narobielimy podków i klincy mnoheńko, toz to mój wojak pada, coby zabrać to syćko w torbe i isć s nim. Dyć padam mu, cemusby nie, dyćjes cłek i nie źle ci z ocy patrzy. Kie isć, to isć. Myśliwskie prawo krótkie. Zebrałek sie. Idziemy. On na przodku, ja zaś z podkowami na zadku. I tak idziemy przez Kiery do Kościelisk. Zachodzimy ku Pisanej, a on się do mnie obraca i tak pada: „Nie bójze sie, a cicho sie sprawuj, a strzez cie Boze nakłońć, kie tam wędziemy“. Włazimy w jakiesi źleby i dziury, a turnie to jakby sie ozestempowały przed nami. Idziemy, idziemy i zaślimy do nuka. Patrzem. a tu telo luda, a sićko lezy, głowy na siodłak, a sićkie brody som jest dłuzaśne po pas, haj. Ja sie pytam po cichutku, co to za jedni, a wojak pada, ze to wojsko polskie takie zaśpiane i ze jak przyidzie cas, to sie przebudzi, wstanie i pudzie sie bić za wiare, a ze wojna sie pocnie kajsi precki, a skońcy sie na zelaznym mostku w Kuźnicach. Zacyni my konie kuć. Ja wbijał klince i podkowyk do kopytów zdajał, a on nogi trzymał. A kiek juz sićko, ka co brakowało, ponaprawiał, nabrał wojak struzyn z kopyt i wsuł mi w torbe i tak

pada: „Mas tu placom!“ Pomyślałek se, ze kpi se mnie, ale mu sie sprzycał nie bedzies, hoć mi strasnie markotno było, bok cały dzień minon. Wzionek torbe i wyhodzący wysulek te struzyny; ale kiek wyseł na pole, patrzem w torbe, a tu ni ma struzyn, bok nie sićkie wysuł, bo mi sie po torbie obrały, ino som jest dukaty. Było ik kielka. Kiebyk był sićkik struzyn nie wysypał, byłbyk sie zratował dość godnie, ale jek musiał być nie godny. Pomyślałek se: „Dziadowi nie daj konia, ba torbe i kij“. I posełek. Zahodzem do hałupy, a baba mie ze zębami przyje-na: „Kaś ty był tyle casy, co cie trzy dni doma nie było?“ mi sie to ino kwilka widziało, ale se myślę: Nie bedem haj, Nie wiedziałek, kie ten cas tak warto przeleciał, bo sie z głupiom babom dogadował, bo to u nik włosy długie, a rozum strasnie krótki, haj. I kułek pote dalej, to siekiery, to co sie kany trafięło; jaz tu znowu po kielku rokak przyseł mój wojak i znowujek mu robięł podkowy, a jak juzek dość narobięł, to my pošli tam ka i przyndzej. Myślę se, nie bedem ja juz taki głupi. Nie bedem struzyn praskał. Kujemy. Ja sie ucion w palec, haj, toz tok naklon głośno, a tu co sie nie robi, wstajom ci na około mnie. Mnie strak obujon. Jeden sie pyta: „Bracieł cy juz cas?“ Ale mój wojak mu tak pada: „Nie jesce, śpij dalej!“ Na mnie sie ostro popatrział i pogrozięł mi palcem. Jak my kuć skończyli, to mi znowu wsuł przygarznie struzyn do torby, haj. Idem. Kiek wyseł, patrzem w torbe. Kielo bedem dudków miał, a tu w torbie trzaski z kopyt, jak były. Ja sie ozpajędzięł, bo mi casu było zal, alek se pote pedział: „Zej ja tu bez to dziadem nie bedem“. Wysulek trzaski i poseł. Na Kierak wskocyłek, haj, telęzego do zyda. Wypięk, a kie sie ozór pomaści, to i lekcej hodzi. I tak wypaplałek syćko zydowi. Zyd ozgadał po świecie, cok mu napędział, haj.

I teraz co sie nie robi, roki lecom i lecom, a konie nie kute, bo ta teraz bodaś kogo nie puscom, bo musi

być taki parobek, co ku dziewczkom nie hodzi, haj. Ja za kare sie zaraz oznimóg i lezem tak juz moc roków. Z Panem Bogiem nie bedzies w karty grał, haj.

Tak to prosem piknie, gadał mi ten Fakla, a świercki, to mu ciurecke z ocy leciały, haj.

Szkoda niepowetowana, że nie spisano więcej takich legend, opowiadanych przez Sabałę.

X.

Nierównie większe szczęście miały Sabałowe bajki i przypowieści, które znalazły wielu ewangelistów, a w tej liczbie i takich, jak Sienkiewicz, Witkiewicz, Dembowski, i najbardziej zasłużony pośród nich wszystkich, Andrzej Stopka, który sam jeden spisał ich około dwudziestu. O bajkach tych powiada Witkiewicz, że są one „jako kompozycja całości, ścisłość i obrazowość wyrażenia, postawienie każdego wyrazu tam gdzie należy i właśnie takiego, jak trzeba, jako wypunktowanie, podkreślenie sensu moralnego, zupełnie nadzwyczajnymi zjawiskami artystycznymi“.

Z bajek tych, jedynych w swoim rodzaju, największą sławą i popularnością cieszy się w Polsce, w całej Polsce jak długa i szeroka, „Sabałowa bajka“, spisana w r. 1891 przez Sienkiewicza, a wydrukowana poraz pierwszy w „Tygodniku ilustrowanym“ z szeregiem ilustracji Piotra Stachiewicza, w ciągu tegoż roku 1891. W rok później ogłosił nieco odmienny jej tekst Bronisław Dembowski, a w roku 1897 podał ją jeszcze w innej redakcji Stopka w swej książce o Sabale.

Który z tych trzech tekstów jest najautentyczniejszy? Trudno orzec, albowiem wszyscy trzej ewangeliści Sabałowi, i Sienkiewicz, i Dembowski, i Stopka, spisali tę słynną bajkę na podstawie opowiadania Sabały, które słyszeli z jego własnych ust. Ale Sabała opowiadał ją rozmaicie, za każdym razem wprowadzając różne drobne warjanty. Dlatego wszystkie

trzy teksty są pod względem autentyczności sobie równe, z tą różnicą jedynie, że tekst Sienkiewicza jest najartystyczniejszy, tekst Dembowskiego ma wszelkie znamiona, że jest niewątpliwie zaaprobowany przez samego Sabałę (ile że Dembowski żył z nim w najściślejszej przyjaźni), a tekst Stopki jest najkompletniejszy ze wszystkich, najbardziej obfitujący w drobne a wielce charakterystyczne szczegóły. Najwyżej też stoi pod względem językowym, jeśli chodzi o czystość gwary góralskiej.

W każdym razie wszystkie te trzy teksty, zestawione obok siebie, dadzą najdokładniejsze wyobrażenie o tem, jak Sabała warjował i modelował swoje tematy, jak je opowiadał nie stereotypowo, lecz z „warjacjami bez końca“.

Oto trzy rzeczony teksty:

**Tekst
Sienkiewicza:**

Prosem piknie wasyh miłości, raz set chłop ze świdrem i rąbanicą, do Nowego Targu na siacie. Jakoś pod Poroninem stowarzysyła się z nim stara baba. Chłop, że był mądry gazda, poznał Śmierć i zara myśli, jako się jej pozbyć. Wzion wręście wiercić dziurę do wirby, wiercił póki nie wywiercił, a potem w nią zagląda.

**Tekst
Stopki:**

Set róz — prosem pięknie ik miłości — budarz na zarobek do miasta. Zracno już było, ale ze miał zarucenom cieślice i świuder bez ramię, toz to, co krocy, to mu świuder o cieślice zwoni, haj. Usłysała zwonienie śmierć, co na Bańkawkach, hłopa brała i wyskocyla na dróge jako stara baba ku niemu, stowarzysowała sie ś nim i idzie dołu drogami, haj. Hłop, ze był mądry gazda, poznał zaraz śmierć i myśli, jako sie jej pozbyć ma. Nie wiele myślaczy, kie przyšli tym-

**Tekst
Dembowskiego:**

Raz set budarz na robote do miasta, a niós cieślice i świuder, i stowarzysyła sie ś nim jakasi stara baba, a wysoka i chuda. On zara poznał, ze to je śmierć, ale nie nie pedział, ino set drogom, ka były wirby hrube, dudławe, wzion świuder i wywiertał dziure do ty wirby.

case do Białego Dunajca, sjon hłop świ-der z iamieniã i wzion wiertać dziure do wierby, pokiela nie wywiertał, a pote za-ziëra do niej.

— Cego patrzys? pyta śmierć.

— Chces uznać, to sama zażrzyj.

Zażrzała Śmierć do dziury, nie widzi nie; a bez ten czas ociosał se chłop rąbanicã bukowy kolek.

— Nie widzę nic, powieða Śmierć.

— Wleż całkiem, to obacys.

Ledwie Śmierć wlażła całkiem, zatkał ci ją chłop—prosem piknie—bukowym kołkiem, przybił kołtek obuchem i poseł.

Aż tu rok po roku idzie, chłop zyje i zyje; ludziska przestali umierać; zajaziło sie od nich w Zakopanem, w Białym Dunajcu, w Chochołowie, wse- dy, ze cłek koło cłka stał, jako smereki stojom w borze. Chłopisko się zestarzało, bieda pocena go gnieść, robić juz nie mogło. Naprzykrzyło mu się w ostatku żyć,

— Cego tam patrzys — pyta sie go śmierć.

— Kces sie przekonać, to sama zażrej. Tam na dół widno het prec do świa- ta, a ta mnohenko lu- da, a staryk najwię- cej, haj.

Wyskrobała sie śmierć na wierbę, za- żrzała do dziury, ale nie widzi nic. Wlażła cała, coby lepiej było uzreć.

Hłop za tela okrze- sał cieślicom kolecek kwardy ze sęcke, przybił ś nim śmierć we wierbie i poseł, haj.

I dobrze nie barzo, co sie nie robi, roki wielgie lecom. Hłop zyje i zyje. Ludziska przestali tez umierać i zajaziło się od nik w Zakopanem, w Ko- ścieliskak i na Bań- kówkak i sędyj, ze cłek koło cłka stał jako smreki w hu- ściawie, haj.

Naprzykrzyło się, prosem pięknie ik mi- łości, i hłopu juz żyć

— A co hań robis?

— A zażryj, to o- bacys co robiem. Wla- żła w dziure.

— Nic nie widzem.

A on gada:

— Ino wliż lepi!

Wciaęła sie het z nogami, chłop wzion zakrzesał pilno kolek bukowy...

„Kieś ta wlażła, to se siedź!“ I zabił dziu- re.

I ludzie bez długi čas nie marli, zajazi- ło sie ludem na świe- cie, ba jakoz mieli u- mierać, kie śmierć we wirbie zabita?... Ale i on budarz żył długie casy, dzieci mu poro- sły i wnęki, sam ostał, robić ni móg, kotwiło mu sie na świecie i prosił Boga o śmierć. Ale umieraj-ze, kie i śmierci ni más, haj! Dopiró se zbacył, ze

poseł i odetkał Śmierć z wirby.

Jak Śmierć — prosem piknie — skoczy, jak weźmie kosić, w Zakopanem, w Białym Dunajcu, w Kościeliskach, w Chochołowie, to tyła się luda wykopyrtło, ze i chować gdzie nie było.

Przychodzi wreszcie Śmierć do jednej gaździny wdowy: siedmioro sierot u niej, i biere ją. A tu dzieci, kiej nie zacnom lamentować:

— Nie bier matki, nie bier matki!

Zlutowała się Śmierć nad dziećmi, idzie do Pana Boga i powiada:

— Panie Boze, ja koze mnic matkę brać, kiej dzieci tak prosom, tak lamentujom, aze mi się luto stało.

tyle casy, bo go bięda pocena bić. Zarobić juz nijakim światnika nie ni móg.

Jaze se zbącył o śmierci we wierbie, poláz do Dunajca i odetkał bięde z wierby.

Jak śmierć, moi piękni, nie skoczy, jak nie łapi kosy, kie nie zacnie kosić! W Zakopanem, w Kościelisku, w Poroninie, w Hohofłowie i na Dunajcu, to telo sie naráz ludzi wykopyrtło, co ik ani wto, ani kany ni miał pohować.

A śmierć se ino dalej kosi i kosi.

Jaze zawadziła kosom o jednym gaździnom: wdowa była, a siedmioro sierot u niej w hałupie. Biere jom, a dziecyska w krzyk, co jaze giecało po halak, tak lamentujom i labidzom.

— Nie bier nam matki, nie bier matki.

Zlutowała się śmierć nad dziećmi, posła do Pana Boga i tak mu padła:

— Panie Boze mój! ja tej wdowy brać ni mogę, bo jej dzieci tak płacom i lamentujom, ją sama baba i

śmierć we wirbie za-bitá, poseł i kolek wyjon.

On kciát, coby ona go napirwy wziena, ale kie śmierć wyjechała z wirby, hnet go odesła, i brała moc ludzi. Marli tego...

Aze dopiró przysła w jedno miéjsce, kany béła gaździna ze siedmiorma dziećmi. Juz te matkie biere, a dzieci lament robiom, wzieny za tom matkom krzyceć i płakać. Luto ji było tyk dzieci; posła śmierć ku Panu Bogu i pojada:

— Jak ja te matkie bede brać, kie te dzieci tak krzycom, lament robiom i płacom!

A Pan Bóg powiada tak:

— Ja w tych rzeczach nie gazda, jeno Pan Jezus gazda. Idźże do Pana Jezusa, niech ci ta powie, jako ma być.

Przychodzi Śmierć do Pana Jezusa i powiada:

— Panie Jezu, jakozie mnie gaździę brać? Siedmioro sierot w chałupie, tak prosom, tak lamentujom, aże mi się luto stało.

A Pan Jezus prask Śmierć w pysk:

— Chybaj do morza, przynieś skałkę!

Skoczyła Śmierć do morza, na samiusienkie dno, przyniosła skałkę kwardom okrągłuchnom jako bochenek chleba, a Pan Jezus do niej:

— Gryź!

Gryzie Śmierć, gryzie, zębiska ją bolom; zgryzła wręście calusienkom skałkę, i patrzy: az w środku

jaze mi się ik luto stało.

A Pan Bóg jej tak padà:

— Ja ludzi stwarzam, ale ik nie zabięram, ze świata. W tyk rzecak to Paniezus gazda. Idze do Niego i spytaj sie, jako ma być, haj.

Przychodzi śmierć do Paniezus a i tak mu padà:

— Panie Jezusicku, jakoz ja mam tom gaździnom brać, kie je wdowa, siedmiorgo ma dziatek w hałupie, a tak pytajom i lamentujom, co jaze mi sie ik luto zrobięło, haj.

Paniezus prask śmiertecke w pysk, prask w pysk.

— Hybaj — pada jej — i w ocymieniu przynieś małom skałke z morza.

Skoczyła śmierć wartko i przyniesła okrągłom skałke, kolwicek jako hleb.

A Paniezus jej okazal tak:

— Gryź skałke!

Gryzie, śmierć, gryzie, zębiska jom bolom, jaze przecie zgryzła jom i patrzy.

Jaze co sie nie robi, wnuku mały hro-

A Pan Bóg, niewiele myślęcy, prask śmierć w pysk: aże przysiadła bo ręka boska tego bije. Tak do niej Pan Bóg:

— Hybaj do morza a przynieś mi skałkiel!

Zasła do morza, o bięra, ta mała, ta wielga, obrała takom, jak kurze jajko, i posła ku Panu Bogu i pokazuje, a Ón ji pojada:

— Weź te skałkie a gryź, pokiel nie ozgryzies.

Śmierć gryzie, aże zuchwy zgrzypiom, oscypila zębami te

chorobocek maluski siedział:

A Pan Jezus prask śmierć w pysk:

— Widzis, powieda, to ja i o tym maluskim chrobocku, na dnie morza, wiem i pamiętam; a ty myślis, że ja o sierotach nie będę pamiętał? Chybaj, bier matke!

bácek siedzi i rusá sie, haj.

A Pániezus przyskoczył do śmierci i prask jom znowu w pysk.

— Patrzajze, kanalija jedna, ja wiem, ka tak małe hrobácki siadujom i zyjom i nie dam im z głodu skapać, a o dzieciak byk zabácył. Hybaj wartko, bier wdowe!

Zabrała śmierć matke, ale sie dzieci wychowały. Setne hłopaki były toz to ik sędzej radzi widzieli i dobrze im sie powodziło, bo rozum mieli, haj.

skalkie na poly, a hań w pośrzodku mały hrobácek sie rusá.

Pan Bóg gwarzy:

— Co hań widzis?

— A widzem hrobácka, co zywy je.

Dopiro do niej Pan Bóg pojada tak:

— Jako o tym hrobácku wiem, tak i o tyk siérotak dobrze wiem. Te dzieci by sie przy matce zwilczyły i dlatego śmierć na niom posłał.

I posła śmierć i wziena ono matkie...

W swojej Wycieczce na Łomnicę, z Chałubińskim, opisując drogę powrotną przez Dolinę Zimnej Wody, opowiada Bronisław Rajchman, jak w pobliżu Równianki, w czasie odpoczynku na przełęczy nad Zmarzłym Stawem, Sabała zabawiał całe towarzystwo swemi anegdotami i bajkami.

Rzecz szczególna a charakterystyczna dla ludu zakopiańskiego: żadna z tych bajek nie dotyczyła czarownic, strachów, i t. p., lecz wszystkie były w rodzaju Ezopowych. Zdaje się, że wiele z nich zawdzięcza swój początek samemu opowiadaczowi, znanemu z rzeczywistego dowcipu. Dla charakterystyki przytoczę jedną z nich, starając się zachować styl i wyrazy góralskie.

— Kie Pan Bóg ozdawał wyzywienie sytkiemu stworzeniu, to sie wilk nabarzy dokładáł, cym ón bedzie żył. Pan Bóg mu pojada: „Bedzies orał, bedzies siął..“ A wilk gwarzy: „A tera bede jąd!“ ..O ni, mój wilku, pirwy be-

dzie rosło, dopiró żrałe skosis...“ A wilk znowu: „A teraz bede jąd!“ „O ni, trza pirwy snopy powróstem wiązać, susyć, trza wozic do sopy...“ Wilk krzyczy: „A tera bede jąd!“ „O ni! pirwy musis mlócić, a pote we młynie zboze mleć...“ Wilk ni móg sie dockać końca, kie go bedzie jąd, i pojada Panu Bogu, ze on takiego zycia nie fce. „No, kie nie fces, gwarzy Pan Bóg, to idź, pasie sie hań kobyła ze źrebieciem, to jaz te kobyłe zjés“. Idzie wilk ku nij, źrebie fuk pod kobyłę, kobyła ze zębami do wilka, kie sie zaś ze zadku obrócił, to kobyła zadkiem rzezała, ze ni móg rady dać, i poseł ku Panu Bogu i pojada, ze on kobyłe nijak rady nie moze dać. „Ha, kie nie mozes, gwarzy Pan Bóg, widzis hań na młace pasie sie baran tęgi, pudzies i tego barana zjés“. Dobrze nie bardzo, idzie wilk ku temu baranowi i gada: „No, baranie, mnie Pan Bóg takie prawy wydał, cobyk tobie zjádł.“ „Ha, kie boski wyrok taki, to darmo, baran sie temu nie sprociwił, ale do wilka w proźby, i pyta go bardzo piknie: „O, mój wilcásku, o mój bracisku, nie jedz-ze mnie tak potrose, chéba pudzies do brzysku, zapres sie doń zadkiem, ozedres garło, to ja całkiem do tobie hipne! Wilk poseł, zapar sie, ze jaz zadkiem do brzysku, ozdard kufe, baran ozegnał sie, ze jaz do niego skocy... bah! bechnon wilka rogami telo, ze sie nie ockon aze za dwie godziny; a zacym wilk spął, to baran uciuk i skrył sie. Wilk sie obácył, ozpatruje sie, barana ni más nikany, dopiró se siád na zadek, a kręci łbem i mruce sam do siebie: „Cym go zjád, cym go nie zjád?“ I tak se umyslił, że go chéba zjád: „Bo já, cy jém, cy nie jém, to na cco nie rád śpiem“¹.

Każdy ustęę tej bajki, ozywianej nadzwyczaj oryginal-

¹ Br. Rajchman podał tę bajkę z pamięci, a że nie znał dobrze gwary góralskiej, więc spisał ją bardzo niedokładnie, językiem literackim raczej, niż Sabalowym. Dlatego przytoczyłem tu bajkę tę w tekście spisany przez Bron. Dembowskiego, jako nierównie autentyczniejszym.

nym akcentem i gestykulacją Sabały, wywoływał wielką radość, a gdy opowiadający skończył, wesolość zamieniła się w jakiś frenetyczny śmiech z głupiego wilka, który z tego, że spał, wniósł o tem, że jadł, bo nie lubił na czezo zasypiać.

Jedną z bajek Sabały, przy których słuchaniu Chałubiński zaśmiewał się do rozpuku, była powiastka „O chłopie i djable“, co to na różnych kobyłach przyjechali, a ten miał zbierać jarzec, który na piękniejszej przyjedzie. Bajka ta, spisana przez Stopkę, a którą Sabała w obecności pań opowiadał w znacznie zlagodzonej formie, miała taką osnowę:

Nastały, prosem pięknie, strasznie złe roki, haj. Nika nie rósć nie keiało, toz to zycia nie było i głód był wielgi sędy. Jaze było dwók kumotrów i jeden drugiemu tak pada: „Wiécie co, kumotrze, ja mam jarzec, a wy macie stajanie prózne, haj. Dajcie mi jedno stajonko, a ja wam siacia dam, haj. Zasjejemy, urośnie nam, bo bedziemy przyzierać. Jarzec dobry. Kiby to djascy byli, coby nie urós, haj“. Jaze mu kumoter tak pada: Weźcie stajonko jedno, a mnie na drugie siacia dajecie. Sprógujemy, cyby nie urosło haj“. Kie juz zasiali i zaskródlili, hodzom i uwazujom, cy jarzec rośnie, ale nie rós, ino taka bięda. Straśnie był płony. Oskradział, haj. Jaze co sie nie robi, zaźrał kumoter, co dał jarcu, zgniewał sie, ze jarzec kumotrów końdek więksty od jego, i pedział: „Bier djable taki jarzec“. Przysel do domu i strasznie mu smutno było, bo mu jarcu było zal. Ani zań nie pił, ani go nie jad, ino zeskradział na zagonie, haj, zahubił sie, toz mu go strasznie luto było... Ale kie znowu na jarzec poseł zażreć, był juz wielgi, więksty jak kumotrów. Wartko poleciał do domu, wyklepał kose, hybaj kosić jarzec, bo już żrały, haj. I dobrze nie barzo, przychodzi na zagon, pobrusieł kose i zacion. Jaze wyskocy djabeł. Łap mu za kosisko i pada: „Stój! Nie beés kosić“. „A bez co?“ „Bo jarzec mój“. „Lo cegos twój, kie ja go nasiał?“ „Temu, ześ pe-

dział: Bier djable taki jarzec! Toz to ja se go wzion, haj. Kazalek mu rość, i teraz se go bedem kosić, a ty nie, haj.“ Wzieni sie za garła. Hłop, ze był mądry gazda, djabła sie nie bał. Ale był i tak słabsy od niego. Trzymał sie setnie na nogak i nie dał sie przewyrtnąć, a strasnie go prał po pysku, haj. Jaze mu djasek tak pada: „Wies co hłopie, zalożmy sie“. „Ja nie od tego“. „Wto na piękniejsej kobyle przyjedzie jarzec kosić, to se go skosi i zabiere, haj.“ Hłop przystał, bo co miał robić. Przyseł do domu, łep zwiesił, jak pies, kie ma zdehnać, abo kie co pošlakował. Baba jego smutek uźrała, toz to sie go wartko pyta, cegoby taki smutny być miał? Jaze, dobrze nie barzo, hłop jej opediał, ze tak a tak sie stało. A baba mu tak pada: „O, dajze pokój, dajze pokój. Zej, do jutra sie jesce nie raz namyślimy. Hybaj spać ku mnie na pošciel, to se bedziemy ukwalować. Jak ukwalujom, tak ukwalujom, jaze ukwalili. Raniutko, lemze świt, jechał djasek kosić jarzec na kobyle siwej, talarkowatej, haj, co kwiatek to był na niej iny. Hłop se ta zaś ino wyjehoł na golej babie. Jaz go djabeł uźrał i zdaleka juz wołał: „Bier jarzec, koś jarzec, twój jarzec, haj“. Bo ona ta, prosem pięknie wasyk miłości, ta hłopowa kobyla była smyśna, haj. Tu ka miała mieć grzywe, to jej ogon wisiał, haj. Zaś na zadku, ka miał być ogon, to była grzywa, haj.

Gdy Sabała opowiadał tę bajkę, Chałubiński — jak świadczy Bartek Obrochta — pokładając się od śmiechu, powtarzał:

— Ej, Jasiu, Jasiu, przecie też z ciebie pies!

XI.

Bronisław Dembowski zapisał według opowiadania Sabały sześć z jego bajek i ogłosił je w roku 1892 w warszawskiej „Wiśle“. Oto niektóre z nich:

O świni i chłopie.

Kie Pan Bóg życie ozdawał ludziom i sytkiemu stworzeniu, to kciał świni (przepytujem) dać nádlugse życie. Świnia przysła i dziękuje, co ona nie stoi o długie życie, bo keć krótkie a dobre. Pan Bóg ji sie nie sprociwił, a wzion i dał to długie życie chłopu. I chłop do dziśka to świńskie życie dozywa, co go świnia nie kciała, ino choćkie na starość, kie robić nie moze, a bięda go bije, to tyj świni zawidzi, co krótsze życie ma, ba nie takie twarde jako jego.

◀ O świętym Pietrze.

Drzewi, kie Pan Jezus żył jesse na świecie, a więra ón kázdy biędy kciał wyznąć, to chodzili se wraz ze świętym Pietrem po ludziak, wrzekomo ubogie dziadki, po pytaniu. I zašli do jedny chałupy, co im dał gazda baranka. „No, spraw ze, Pietrze, baranka i uwárz, tobykmy się pozywili, a ja za tela wyńde na brzyzek i uspozięram se po świecie“. I wysęł Pan Jezus do pola, a mój Pieter sprawił baranka, ale warzęcy, plucka ś niego i serce zjád. Wraca Pan Jezus, połednina gotowa. „A kaž som Pietrze, pluca i serce z baranka?“ Święty Pieter pada: „Ni miał ik Panie“. Pan Jezus nic sie nie odezwał, pojedli se oba i pošli. Idom bez pola i idom, i co sie nie zrobięło, Pan Jezus naseł skárb; moc bęła piniędzy, zółtyk i białyk, i pojada se: „Trza sie nam podzielić“. Schylił się i ozgarnon piniądze na trzy kupki. A święty Pieter gádá: „Nas dwók, Panie, jakoz bedzie, la kogóz trzecia kupka?“ A la tego, co zjád plucka i serce z baranka“. Dopiró Pietrzysko, niżli pirwy przáł, to wzion se hnet przyznajác, ze to on zjád plucka i serce, a Pan Jezus kazał mu se wziąć obie kupki z ónego skarbu, a sam wzion jednom, i oćiskal jom ręcami na sytkie strony świata, zaś święty Pieter zagrzób swoje do ziemi i jesse wantom przyložyl.

I pošli oba dali, i tak do dziśka, ino jedna część skárków shodzi pomiędzy ludzi, ta, co jom Pan Jezus ościskał, a te Pietrowe obie kupki, wse w ziemi siedzom.

O Maciusiu i o Kubusiu.

Maciús z Kubusiem radzili se, kie to dobrze zyc, a nic nie robić. Maciús pojada: „Wis ty co, Kubuś, pude ja wysy chałupy kole drogi, wybiorem dziure w zagonie i włożymy hań nogi, to bedom ludzie myśleć, co nóg ni mány i wracający z jármarku bedom nám dawać. No juści wybrali te dziure i włożyli w niom nogi, ze nóg ni majom i dopiro siedzom jako ubogie dziady. Nápirwszy seł drogom z tego jármarku jakisi hruby gazda, w cuse, kape-lus na nim pj kny z kostkami, kierzce na nogak orawskie, i niós se pod pazuchom kukielke i spyrki kęs. Dopiró gáda Kubuś do Maciusia: „Śpiwajmyz przecie jakom piosnecke, to on nám dá tyj spyrki i kukielki“. I zbácyli piosnecke i śpiwajom:

Oj, cłowieku, cłowieku, co za wytrwanie más.
Kukielke ze spyrkom jis, a ubogiemu nie dás!

Przyseł chłop ku nim, odkroił kukielki i spyrki po kęsie i dał jednemu i drugiemu. „Widzis—gáda Maciús—nie pojadał ja ci, bedom dawać, bedziem zyc, a nic nie robić?“ No dobrze, ten juz odesel, siedzom jesce, a tu sie wiezie pán étyrma końmi na kociu, kocisz z przodku, dwók hajduków na zadku. Kubuś sie przewyrtnon do gó-ry garłem, ze umar, a Maciús zaś śpiewa nad nim:

Jedzie ci hań ksiáze panie, ksiáze panie,
W kiesonce se dłubie,
Jak ci co wydlubie,
Schowás se, Jakóbie.

Przyjechał ku nim. „A co hań tak lamencisz?“ Maciús pojada: „O, brat mi tys umár, ba ni mám go za co pocho-

wać“. Pan siegnon do kiesionki i ani zaziérął, cy był biálny, cy cerwony, kielo nabráł piniendzy do garzci, porucił im i nákuje: „Na, a pochowájze go wartko, coby haw przy drodze nie śmierdział.“ I jedzie dalej, ale pán miał w kociu okienko na zadku, wyźre, a hań zywy i umarły, oba goniom i zbirajom te piniondze. Krzyknon pán na kocisa: „Stój!“ a na hajduka: „Bier palice i rznij tym huncfotom, ze skóry na nik pukały bedom, co óni ze świata kpiom!“ Dopiró hajduk leci z palicom, a oni myśleli, co im jesse piniendzy niesie, więc: Śpiwajmyz, śpiwajmyz!“

Nie było to ksiąze panie, ksiąze panie,
A był to syn bozy, syn bozy,
Jesse nam mało dał
Jesse nam przyłoży!

Kie przylecał hajduk ku nim, kie wzion przykładać, to na dziadak skóry pukały, tak rzezał palicom, aze zagony przeskakowali, a do dziury nie śli więcy.

Bajki i przypowieści Sabala, spisane przez Stopkę, dzielą się 1) na właściwe bajki, w rodzaju Ezopowym na tle biblijnym, przeważnie z życia Pana Jezusa i zwierząt; 2) na opowieści z życia góralskiego, myśliwskiego, zbójeckiego i gospodarskiego, i 3) na krótkie anegdotyczne opowiadania, w których sam Sabala jest głównym bohaterem.

Do najzabawniejszych należą trzy bajki na tle stworzenia świata: pierwsza o stworzeniu człowieka w związku z charakterem różnych zwierząt, druga o stworzeniu kobiety w związku z psem, trzecia o nadaniu ludziom rozumu.

Pierwsza z tych bajek, w której Panu Jezusowi przypada rola Stwórcy, brzmi, jak następuje:

Prosem piękne ik miłości, cłek ta selenie ¹, jakom ma na sobie skóre i kość, haj. Kie Paniezus stworzył dźwie-

¹ Różnie, rozmaicie.

rzyne, to zawołał lwa i tak mu pedział: „Królujze ty nad dzwierzami, ja se zaś nad ludźmi bedem. Ale cos? Dobrze nie barzo, ześli sie wół, osieł, ciele i pies, i keieli końcem, coby lwa z królowania zrucieć, a sami sie królami porobić, haj. Pomocników napytali. Pies z telegrafami poleciał, cieleciu kazeli, coby strasnie becało, ize mu sie kee jeść, wół se hodzieł i gadał za niego, bo ono było głupie. Padali tak, ze im lew jeść nie daje, ino ik katuje. Osieł strzyg usami i pokazował, ze jak on tak, to lew tak, jak zaś lew tak, to on siak. I dobrze nie barzo, dowiedział sie lew o tem, zawołał do izby sićkik, i tak im pada: „Wiecie co: strasnieście se głupio poceni. Wto wam to poradził“? Zacyni sie wymawiać i nikogo nie było, coby się przyznał. „Djasko weścia wy zedli, ajeści zjedli, kieście sie tak głupio naśli, haj. Wy myślicie, ze ja z królowania rad? Paniezus kazał, toz to słuchać go trza końcem, haj. Na, kieście zgrzesyli, to i pokutować musicie. Ja wam jom zaraz nałożem“. I dobrze nie bardzo, nie keiał sam syćkik karać, bo mu sie ś nimi nie opłaciło babrać. Kazał wołowi zjeść psa, a osłowi woła. Ale ciele osła ni mogło, bo to kości kwarde. Gryzie ciele kości, gryzie, zęby se cysto pięknie wykróciło. Jaze co sie nie robi, zjadło ciele osła, ale głowy syćkik ostały, bo lew miał zjeść ciele, a bał sie głów, bo były syćkie strasnie — przepytujem tez pięknie — głupie. Zjad pote lew ciele, bo było nalepse i namiękse, ale głowe tez ostawił, haj. Zakopał pote skóre i głowy do ziemi i tak to gniło. Lecom roki, lecom, gnijom głowy, gnijom skóry tez. Jaze sie namyślał Paniezus, jakiego ma stworzyć człowieka. Toz to wzion błota i ulepił cęka. Ale cos, kie był na tem miejscu w te, kie go stworzył, co oni byli zagrzebani, te głuptaki, haj. Temu to cłek, zeby był i namądrzejsy gazda, to je — prosem pięknie — stworzony z tych bydlat. I kie je młody, to je głupi, jak ciele. Kie zaś urośnie, to goni jak pies i nika sie nie stanowi. Zaś sie ozeni, to ciągnie

jak wół, a kie starość przyńdzie, to znowu zglupieje, jako osieł, haj. Ale ono ino głopi som jest tacy, a baby to pote stworzone, haj.

Stworzone zaś zostały w następujący sposób:

Tak było. Kie, prosem pięknie, Paniezus stworzył świat, to sie obezrał, ośmiał sie i tak se pedział: „Barz ja to sićko dobrze porobiël; ino nie wiem, cy sie mojemu Jadamowi nie bee kotwić, bo je sam, haj. Trza mu końcem sprawić jakom zabawkę, coby sie ś niom przy casie zabawił, coby mu sie nie kotwiło“. Tak se pedział Paniezus. I dobrze nie barzo zawołał: „Jadamie hybajze haw“! Jadam przyseł, ale mu się strąśnie łydki zacyny trząść, bo sie Paniezusa strąśnie bał, haj. „Lygaj!“ pada mu Paniezus. Jadam pilno na pościel lóg, ale se pomysłał: „E, bedzie cosi, bedzie źle“, i łydki zacyny mu mocniej dygotać. Paniezus porusał na pościeli ręcami nad nim, toz to pilno usnon. Wyjon pote, prosem pięknie, składak z torbki i wyrznon mu we śnie ziobro. Ale to było strąśnie brzydźkie i masne, tozto prasnon na brzyzek, coby oskło. Djascy nadali psa. Zakradła się kanalja, łap ziobro i w uciekaca ś nim do dźwierzy raju. Paniezus łap kija i dalej za nim. Ale pies wartki, a Paniezus stary i nimóg go dolecieć i hycić, coby mu ziobro wydar. Lecom, lecom, jaze przylatujom do dźwierzy raju, a pies juz był we dźwierzak. Toz to Paniezus wartko kopnon dźwierze. Dźwierze się na zaworkę zaparły, ucieny psu ogon, ale pies uciók, haj. I dobrze nie barzo, co Paniezus nie robi, wzion ten ogon pote, obezrał, zgniewał sie i pedział tak: „Cekaj ino ty. Ja ci i tak pokazem, zek cosi kajsi wart“. Toz to zgniewał sie, łapił ogon i z tego ogona stworzył babe, haj. Temu to, prosem pięknie ik miłości, wielgie panie ogony nosom u sukniów. Ciągnie ta wej swój do swojego i rad go widzi, haj. „Ta — pada

i psy som jest bez ogonów, ale nase kudłaki, białe, owcarskie, co owce pasujom, to ik majom“. One sie moze pokociéły przedtem, abo od inyk psów, cy jako?

Ze Pan Jezus wogóle z psami miał wiele kłopotów, że mu psy często bruździły w odniesieniu do ludzi; o których dobro zawsze troszczył się w pierwszym rzędzie, tego dowodziła w sposób jaskrawy także i następująca bajka Sabaty:

Raz co sie nie robi, ozeszał Paniezus karby, coby sie syéki święci wocymnieniu zešli do gromady, haj. I dobrze nie barzo, ukwalujom, ukwalujom, jaze ukwalili, coby człowiekowi dać rozum, bo go ta, prosem pięknie, dawniej ni miał takiego dobrego, ino taki, jako i kazdy dźwierz, haj. Jaze, co sie nie robi, wypisali janieli pisma, a Paniezus trzymał syéko piecontke nad kaganke, a kie wtóre pismo juz było napisane, toz to wartko jom przyłożył, haj. Pies sie zaś hnetki wryhlił i pedział, ze pismo ludziom zaniesie. On wse cłeka strześnie, prosem pięknie, rad widzi, haj. Jaze mu Paniezus tak pada: „Lećze, leć, wartko, co uwidzem, cy hnetki zajdzies“. Pies hybaj przez pole. Uleciał hnet tęgi kawałek, toz to dał mu Paniezus pismo i tak mu pada: „Nyści to, leć wartko i oznieś ludziom. Ino uwazuj, cobyś nie potracieł“. Pies leci, leci, nozyska go bolom, bo to przecie z nieba do nas prec, haj. Przyleciał na ziem i miał juz ozdawać rezolucje, kie spotkał kotke, co ś niom znajomy był i zacyni se ukwalować. Pies był zły rezolucjarz, bo prasnon torbke z pismami na ziem i zacon kotke boškać, haj. Zabocył se, co mu Paniezus napedział, haj. Jaze go kocór užre. Toz to wartko przystrzég sie, łap torbke i hybaj ś niom do domu. Schował jom pod dyle w izbie, coby mu jej pies nie nalas. Jaze przysły mysy i pojadyły rezolucje, pozlizowały luty, haj, ino dziwtore ostały. I, dobrze nie barzo, kie pies wrócił do nieba, pyta sie go Paniezus tak: „Cemuś

nie zaniós ludziom sićkim pisania, jakok ci ozkazał?“ A on mu tak pada: „Jakoz miałek oznieś sićkie, kie mi kot pisanie ukrad, źle sował, toz to mysy ik pojady i lutery pozlizowały, haj. Pocz ik pisali słodcy janieli takim słodkim jatramentem, he?“ Kazał Paniezus zawołać ludzi i mysy i tak pada: „Ja temu nie winowaty, że nie sićka rozum macie, ino pies, to ś nim sprawa, haj“.

Temu to, prosem pięknie, cłek zły i głupi, to wse na psa skałom ciśnie, haj, abo go kijem praśnie. Pies, to zaś kota sićko goni, coby sie na nim za pisanie zemścił. Zaś kot mysy łapie i zjada, bo ony temu winowate. Pojady i pozlizowały, haj.

Ja tak uwazujem, ize temu sićkiemu pies winowaty. Kieby był kotke nie zalubił, toby był o torbce nie zabocył, haj. Ale baba, jako baba. Wse chłopa wywiedzie, zrobi niesczęście, co strak, a ty chłopie pote pokutuj, haj. Kieby ik cłek, prosem pięknie, nie zalubił i nie wierzył, to onoby ta było, ale jakoz babom nie wierzyć, haj?

Z pośród powiastek Sabały, osnutych na tle życia góralskiego wyróżniają się zwłaszcza trzy.

Pierwsza z nich, o biedzie, ma wiele podobieństwa z bajką o śmierci, rozślawioną przez Sienkiewicza.

[Raz było dwók bratów, ino ze jeden był mądry, a drugi strasznie głupi, co strak, haj. Przyńdze bięda do mądrego brata; toz to on jom pilno poznał i posłał jom do głupiego i napedział jej i udutkował, ze brat umie lepiej jeś warzyć jak on. On by jom umorzył, haj. Przysła bięda do tego hłopa, co głupi był, i ożłozyla sie u niego. Jaze pozdyhało mu syćko bydło i konie, a nic na zagonie zadnym rósć nie kciało. Bięda zaś užry, ze jej nie bedzie miał dać hłop co zeżreć i nie wiewo myślęc hycięła go pod garło, ścisnyna go mocno i tak mu pada: „Abo mi das jeś i bees sie starał o mnie, abo nie, to cie zadusem“.

A hłop jej tak pada: „Puscaj, bo mie zadusis, i nie zdo-
 lem ci odpedzieć. Jakoz ja cie mam zywić, kie nie mam
 cym. „Zarabiaj, pada mu bieda, ale mnie jeść dać musis,
 haj“. „Idze, pada ten biedak, do brata, on jest bogaty,
 to ci jeść da, kielo bedzies kciała, haj“. A bięda mu tak
 pada: „E, ja haw nie głupia sie rusać. Teleś sie casy sta-
 rał, to postaraj sie i teraz. Mnie sie nika rusać nie kce,
 haj“. I dobrze nie barzo, wzion biędny brat flinte, nabieł
 jom i poseł do lasa, cyby ka co nie upolować. Bięda za
 nim. Jaze łazom długo, ale nie widzom nika nic; bo jak
 jaki dźwierz bięde užre, to w uciekaca, haj. Jaze bięda
 się pyta, kogo i kielo dźwierzów zabije, a hłop jej tak pa-
 da: „Niedźwiedzie, abo same dzikie świnię bedem strze-
 lał, bo one majom tłustości duzo, to se pojes, haj. A kielo
 lotków w lufie, to ik telo nabijem“. Głupi był brat, toz
 to nie wiedział, ze na niego z lotkami nie idź, ino z kul-
 kom duzom, haj. „E, kielos tych lotków mas?“ pyta bię-
 da. „Kces porahować, to zażrej“. Wlazła bięda do lufy
 i zacyna rahować. Hłop zaś za tela okrzesał kolecek z ga-
 łązie bukowej i przybiel nim bięde w lufie, haj, i zawiesił
 flinte na kołku na piecem. Lecom roki, lecom, a ludziska
 sie strąśnie pobogacili, a ten biędak o mała królem nie
 ostał, haj. Jaz co sie nie robi, przysel do niego brat. Užre
 strzelbinę za piecem, toz to łapieł jom pilno z kołka i
 kciał ś niej na wiatr wystrzelić. Toz to poleciał do pola
 i wystrzelił. Wartko wytkał prok kolek, a bięde ozsar-
 pało na drobne kawałeczki, haj. Hyciły sie go syćkie na
 raz i zjadły go; były barzo głodne i syćko, co miały
 doma, to mu pojadyły, haj, te kawałeczki. Ale biędak sie
 nje nablizal. Jaze mu sie brata luto stało i kciał go obro-
 nić, ale cos, kie i jego bięda zjadła. Kieby był ten mądry
 brat jesce mądrzejsy, a nie taki wartki a naremny, to
 onoby było syćko dobrze, ale cos?

Temu to wej telo, prosem pięknie, bięd na świecie,

haj, a co jedna to gorsa, haj. Dawniej była jedna, ale jom potargało i teraz ik telo, haj.

Jak w tylu bajkach ludowych, tak i w bajkach Sabały djabeł gra rolę śmieszłą, tak, że zawsze da się chłopu wystrychnąć na dudka. Oprócz poprzedniej bajki o „Chłopie i djabie“, opowiadał Sabała jeszcze jedną, w której djabeł dał sobie góralowi wypłatać niemiłego figla.

Raz było dwok kumotrów i strąśnie sie radzi widzieli, a nika ś nimi nijakiej zwady na wspólnictwie nie było, haj. I dobrze nie barzo, co sie nie robi, przysła na jednego ś nik horość i juz miał umrzeć. Kie drugi nie zacnie biadkać i płakać, bo mu sie go luto stało, haj. Jaze zahodzi do jego hałupy, a tam bek baby i dziecysk, jaze sie po kątak ozlegało, haj. Patrzy, patrzy, i uźrał djabła, co se whodzieł do izby na przodku, a janiół za nim na zadku seł, haj. Toz to pote ozkazował se djasek, a janiół musiał w kącie stać, bo woloru do duse ni miał nijakiego, haj. Przychodzi hłop ku niemu i tak mu pada: „Cy prosem piéknie, przyśliście mi kumotra zabrać, cy jako? Jak go bedzecie brać, haj, to was łapiem i sićkik cysto-piéknie dośmentu na błoto zbijem i powyrucum“. Nie wiedział, prosem piéknie ik miłości, z kim gadał, haj. Jaze mu janiół tak pada: „Ja go ta brać ni moge, bo on nie mój“. „A cyjze je?“ „Djabłów“. „E, jakoz wiecie?“ „Wiem barz dobrze i ty sam bedzies widział. Zje, kie umre, a dusa bedzie ś niego wychodzić, to djabeł bee przy głowie stał. Djasek se duse weźmie, haj. Hłop, ze był cłek mądry, djabła sie nie bał i poseł do głowy po rozum, a nie ka inyndyj i zacon myśleć. Jaze dobrze nie barzo, co sie robi, liemze na świtanie namieniało, kie kumoter miał umierać. Toz to hłop wartko przez noc zrobiel pościel na kołowrocie. Pilno kumotra na niom przerucił, haj. Kie już, prosem piéknie, śmierztecka przysła, wte sie djaboł

biere ku głowie, haj, a janiół ku nogom. I dobrze nie barzo, co sie djaboł zagramolił i stanon przy głowie, jako ma być, haj, hłop se ta ino zwyrtnie kołowrote i djaboł sie przy nogak naseł, haj. I dobrze nie barzo, kcieli sie na uwziętego przetrzymać, ale hłop kręciół i kręciół, jaz djabłowi sie sprzykrzyło, zgniewał sie i uciółk, haj, a janiół zabrał duse do nieba, haj.

Ta, prosem pięknie ik miłości, padajom sićko, ze ka djascy ni mogom, to babe pošlom; ale ja tak uwazujem, ze ka baba i janiół ni mogom, te jescć hłop poradzi, ino zeby miał scypte rozumu w głowie, a nie śmieci, haj.

Nie zabawniejszego zaś i bardziej dla religijności górali charakterystyczniejszego, jak opowiadana przez Sabałę historia o świętym Jędrzeju.

Drzewień, prosem pieknie, to tu¹ nie było tak blisko u nas kościoła, jak teraz. Był ino kościół w mieście², w Saflarak, a i w Carnym Donajcu. Toz to hodzielimy raz kiela eas do kościoła, abo na Donajec, abo do Saflar. Ukwalowali i ukwalowali, jaze ukwalili, coby dać na okwiarę jaki podarunek do Saflar, bo my tam case hodzieli. Nie kcieli coby za darmo do kościoła hodzić. W te ludzie byli barz biedni, bo nastały, prosem pięknie, złe strażnie roki, haj. Toz to wójt karby pošłał i kie sie gromada zesa, haj, kazał podać, coby podarować mieli. Jaze ukwalujom, ukwalujom i ukwalili, coby dać świętego Jędrzeja na okwiarę, bo on ta był patrunem w Saflarak, haj. I, dobrze nie barzo, pošło dwók hłopów. Jeden był z Bańkówek, a drugi od Pitoniów. I pošli do Jaworzynki i wypatrowali smreka, abo jodłom na tego Świętego. Našli strażnie wieldrażnom; toz to pote ścieni jom i okrzesali. Jak krzesom, tak krzesom, jaze wykrzesali

¹ W Zakopanem.

² W Nowym Targu.

świętego. Ino ze był strasznie hrubaśny, haj. Ka miał mieć ocy, dali mu dwie wantki, haj. Rzeźbiarze byli ś nik kiepscy. Bo to, prosem pięknie, rzeźby wte u nas nie było takiej, jako dzisiak; toz to nie umieli robić takik dziwaków, jako teraz robiom, haj. No i dobrze nie barzo uwazujom, jakoby go mieli do kościoła zanieść, bo było dwie mile. Jaze ukwalili, ze go na wozie nie powiezies, bo je w rzeczy święty. Poświęcenia ni miał nijakiego, ale ze go przezwali świętym, toz to trza go było nieść, a nie wieść, haj. Ale kaz tu takiego hłopa tęgiego nańść, coby go uniós, haj, takom oćwiare. Jaze, dobrze nie barzo, jak ukwalujom, tak ukwalujom, i ukwalili, coby temu dać sto dni odpustu, co go do Saflar zaniecie. Myśleli, ze sie taki przecie nańdzie, co sie na odpust zlakomi. Jaze zlakomił się Jasiak z Hrubego; wzion i niesie. Niesie, niesie, przyniós na Bańkówki, ale dalej ni móg. Jaze idzie wieldzaźna baba, Sidziniarka była, toz to wiedział, ze takie baby strasznie som jest na odpusty łakome. Toz to jej tak pada; „Pomózciez mi tego świętego nieść do Saflar, a pięć dwaścia dni odpustu wase, haj“. Z tyk sto. Dźwiga baba, dźwiga, kościska jej w grzybiecie trzescom i rusyła madre, ale świętego nie dała rady z miejsca rusyć, haj. Wyrzekła sie odpustu. Hłop se odpocnon, wzion świętego, zarucił na ramie i niesie dalej. W Białym Donajcu znowu pyta hłopa, coby mu pomóg, ale hłop poźrał na świętego, skręcił głowom. Nie kciał, haj. Obiecał mu juz siękie sto dni odpustu, coby ino niós, ale nie kciał. Kręcił głowom. „To ja cie tak długo niós, pada mu temu świętemu Jasiak, i nicek nie zarobił? Poświęciania nijakiego nie mas, toś nie święty“. Przypatruje mu się i tak pada: „Powiadali mi: Święty Jędrzej, święty Jędrzej! a tu zaden święty Jędrzej, ino jakisi koński złób, haj“. Był prosem pięknie, trohe na wnuku wydudławiony. Prasnon go pote na wode i tak se go woda dalej poniesła, jaze go w Saflarak hycili i zawiesili w kościele, haj.

Co ma wisieć, nie utonie, toz to i święty dojechał do Saflar. Takom to, prosem pięknie, wymyśleli okfiare wielgom, ino telo, ze jej dokonać nie mogli, bo ta cłek grzesny świętego nosił nie bedzie, haj.

Z pomiędzy historjek, gdzie Sabala opowiada o sobie, jedną z lepszych jest jego debjut w Chochołowie, jako organisty, na ślubie jednego ze swych przyjaciół:

Raz wybraliśmy się z nieboscyke ojce na jarmark do Carnego Donajca, cyby nie przykupić jakiego jagnięcia, abo jarecki, bo nam wykapały. Juści, dobrze nie barzo, wstalimy strasnie weas, prosem pięknie, coby za nocy daleko uńść, bo dzień był mały. Toz to przyślimy do Hohołowa, kie juz było dobrze rano, haj, a na Białym potoku bylimy, kie namieniało na świtanie, haj. Kie my przyśli do Hohołowa, trza było końcem popłókać garła, bo my byli na eco święte, haj. Toz to pošlimy co wypić. Jaz Józek z Hohołowa przylatuje do mnie, a byłek dobry ś nim, bo my sie ś nim stowarzysowali na Orawicak. Toz to pada: „Jasiu, Jasiu, dziś mój ślub, a organisty ni-moze, ty grać umies, haj, toz to pilno hybaj, to mi przygras końdek, bo my zapłacili wynikrat¹, a nie honornie, kie na ślubie nie grajom. Niesczęście bedzie strasne, haj“. Ja na organak nigda nie grał, alek sie tez nigda nie dał nukać, kie mnie wto pytał. Byłek ś nim dobry. Posełek. Wychodzem na hur i zgłupiołek cysto pięknie. Ja se hano na moich gęślickach mam ino śtery struny, a pięć palciw, toz to jak kcem, to sićkie poprzyciskom. A tam było telo tego plugastwa, tyk białyk i carnyk klawisów, cobyk przez cały dzień miał co przyciskać. Tyk białyk było więcej, jak tyk carnyk, a sićkie trza było poprzyciskać, haj. Słowok dał, toz to trza było dotrzymać. Kazołek se dać

¹ Veni Creator.

dobrego duhaca, coby mi vse dobrze duhnon, to hociązby ja, prosem piéknie, i źle grał, to jak on vse dobrze duhnie, to ono i ta pudzie syćko ładnie, syćko piéknie, haj. Ududkowali mi, ze je dobry, toz to ja sie niedługo namyślał, myśliwskie prawo krótkie, i nie wiele myślęcy, położyłek na te deske, ka to trza było przyciskać palcami, położyłek ciupagę, a na dole na te więkse, tok se sam lóg. Przewracom się przewracom, coby ino sićko na jednyk nie grać, haj, a tu gróbarz, co duhał, nijakim świeate ni moze pary hycić. Co jom hyci, to ja mu jom wypiskam do imentu. Piskam, piskam, jazek ukwalił, ze i ksiądz toz musi cosi przepedzieć, nie ino ja bedem grał vse ten wynikrat. Toz to wstałek, coby ciupagę zjąć, patrzem, a przy oltarzu juz nie było nikogo. E, bo ta juz, djasków zjadło, aj zjadło; ja brzyćko grał, haj. I zjonek ciupagę i uciok pote, bo ja ta i brzyćko grał. Po pięć sóstek, za wynikrat ja ta nie seł, haj, ani na wesele, bok sie strąśnie hańbił, bo ja ta i brzyćko grał, haj.

XII.

Za to na swych gęślikach grał bardzo „piéknie“, jak mistrz, a jako znakomity skrzypek miał sławę na całym Podhalu. W tej sztuce nie miał nawet rywala, przynajmniej w ostatnich czasach, gdy Bartek Obrochta był skrzypkiem w zupełnie innym, mianowicie nowocześniejszym rodzaju. Tymczasem gra Sabała była nawskróś staroświecka, podobnie, jak i jego instrument.

O tej jego muzyce tak pisze Witkiewicz:

. Sabała gra na małych, bardzo starodawnych gęślikach. Nie jestem dość muzykalnym, żeby ocenić, co to skrzypienie jego gęślików jest warte pod względem muzycznym; ludzie zamilowani w starodawnych melodjach góralskich i znający się na nich, jak np. ksiądz Stolar-

czyk albo prof. Chałubiński, twierdzą, że są one nieporównane pod względem charakteru. Dla mnie widocznem jest, iż muzyka ta stanowi jeden ze sposobów jego mówienia. Są w człowieku takie przecucia, takie nieokreślone myśli, które tylko dźwięk bezsłowny wyrazić potrafi. Takim wyrazem jakichś stanów psychicznych są dla Sabały dźwięki jego gęślików. Smutek, malujący się przy tej muzyce na jego twarzy, jest dziwny i przejmujący. Gdzie są wtedy jego myśli, do czego lub po czem tęskni jego dusza, nie wiem; ale on wygląda wtedy tak, jak gdyby największy żal po czemś straconem ścisnął jego serce. Ten Sabała, który mówi, że nigdy w życiu smutnym nie był, że „smutkiem się żyć nie oplaci“, że Pan Bóg nawet, jak widzi człowieka smutnego, to „banuje, co takiego stworzył“, ten Sabała przy swojej muzyce wygląda tak, jak gdyby się gwałtem wstrzymywał od płaczu. Gęśliki przytem jęczą przeraźliwie. Nagle wchodzi mały Jędrzek i poprzez smutek i bolesne drgania ust Sabały przebiega jakiś weselszy uśmiech, czoło się wygładza łagodnie, gęśliki zaczynają dreptać coś wesołego: Sabała rozmawia muzyką z Jędrkiem (swym wnuczkiem), który stoi przed nim zachwycony i mruczy: O! Sabała gla!“

Skrzypki Sabały, podłużne, w formie jakby czółenka, zwane u górali, jak zresztą każde skrzypce „gęślami“, „gęślikami“ albo wreszcie „złóbcokami“, o czterech strunach, nastrojonych kwintami, miały 67 ctm. długości, a 12 szerokości, a były wyrobem domowym, dawniej rozpowszechnionym na całym Podhalu. Ton wydawały ostry i szorstki, mało donośny.

Podeczas śpiewania, opowiada Stopka, pochmurniał Sabała w dziwny sposób, cała postać jego, już i tak zgarbiona, kulila się coraz bardziej, czoło marszczył raz po raz, przyczem ruszał wargami, jakby w myśli wymawiał odpowiednie słowa do pieśni. To, co śpiewał, czuł doskonale, a jeżeli swych wszystkich myśli nie mógł oddać na lichym instrumencie,

który „przętem“ nazywał, to resztę dośpiewywał sobie w fantazji.

Podczas grania, lub śpiewania, nie można mu było przeszkadzać. Nie wiele słyszał zresztą, tak był zajęty swoją melodją, tak w niej był całą swoją istotą pogrążony poprostu, tak z nią zlewał się w jedno.

Gdy go ze strony gości spotykały czasem docinki z powodu prymitywnej konstrukcji gęślików, Sabała, dotknięty tem widocznie, podawał je grzecznie, mówiąc:

— Nycies, nycies, prosem pięknie, niekze weznom i grajom. Oni ta lepiej umiom, bo z książki, a ja se ta ino z głowy, haj. Ja ta ino telo umiem, co drudzy potracieli, haj. Nycies.

Ale co jeszcze uchodziło gościom, tego nie znosił od górali. Gdy który poważył się powiedzieć coś na jego „sprzęt“ (noszony zwykle w zawiązanym u dołu rękawie cuchy), Sabała wpadał w gniew, który za jego młodszych lat niekiedy był początkiem bitki, a w późnej starości wyrażał się w postaci dosadnych wymysłów:

— Siem djasków zjedliście, ajeście zjedli, wy przehyry. Nycies i grajcie sami, a jak nie to was tu porąbiem. Ja, abo ty, ale jeden s nas grać musi końcem, bo ja tak rad widzem. Kiby to djascy byli, coby ja wam, głuptaki jedne, nie dogodził.

Kiedy mu się już sprzykrzyło granie i śpiewanie, wodził oczyma po obecnych przy nim, a taki miał wzrok wtedy, jak człowiek zbudzony ze snu.

Piosnki urabiał sam, lub też brał gotowe „O Janicku zbójnicku“, przypadające mu doskonale, boć i jemu przecie było na imię Jan. Z piosnek jego, które też improwizował w chwili dobrego humoru, a których w każdym razie miał bardzo znaczny repertuar, spisano stosunkowo niewiele. Najwięcej spisał ich Stopka, który też w swej książce o Sabale podał i melodje niektórych z nich.

W piosenkach tych odbijało się nieraz awanturnicze ży-

cie Sabały. Oto np. jedna z nich, w której przyznawał się do zbójowania:

Oj, Sablicek zbójniczek,
Oj, siekiercecka siostra:
Nie jedna dusycka
Przez niom w niebo posła.

Oj, łapali Sabałę,
Oj, po zielonych bukak,
Ale sie wybroniół,
Miał sićkiérke w rukak.

Że jednak zdarzało mu się czasami i oberwać coś przy takich okazjach, dowodziła następująca śpiewka:

Oj, dyć ze mnie dostali
Oj, hociaj z tak wysoka,
Bo po mnie posłali
Z pikom zabijoka.

Ale mimo to chętnie szedł na zbój, i jeszcze namawiał do tego innych, o ile byli to „towarzyse“ godni. Innym radził nie porywać się na to:

Oj, na zbój hłopecy, na zbój,
Oj, wto sie wnoski cuje,
A wto sie nie cuje,
Niechaj nie próguje.

Że Janosik był dlań ideałem, to dawał do poznania w następującej śpiewce:

Oj, Janosił Janosik,
Oj, kaś podział pałasił?
Na wysokiej horze
Zacięty w jaworze.

Rozkochany w Tatrach, które przebiegał wzdłuż i wszerz, śpiewał o nich:

Oj, góry nase, góry,
 Oj, hale, nase hale.
 Wto was zna tak dobrze,
 Jako my górale.

Ze wszystkich gór najbardziej mu był drogi Krywań,
 świadek wielu jego sprawek:

Oj, Krzywaniu, Krzywaniu,
 Oj, cożeś tak osowiał?
 Cy cie dysecyk polał,
 Cy cie wiatrek owiał?

Naturalnie, że śpiewał również wiele piosnek o miłości.
 Nie brakło i bardzo trefnych pomiędzy nimi, jak naprzykład
 następująca:

Starej babie przy boku
 Leżał djaboł w potoku,
 Nie wiem cy spał,
 Cy też drzymał,
 Ale leżał przy boku.

O sielankach pasterskich, których góry były niemymi
 świadkami, była piosenka o Świnnicy:

Oj, Świnnica, Świnnica,
 Na Świnnicy śnieżnica,
 A tam śtyrbnom drozynom
 Idzie Jukas z dziewczynom.

Ze o księżach i ich moralności Sabała nie zawsze myślał
 poprawnie, dowodziła choćby ta jego piosneczka:

Konie jadom, konie stojom,
 Nie bedzies ty Maryś mojom,
 Ani mojom, ani cyjom.
 Ani księżom gospodyniom.

O śpiewkach Sabały, a przytem o jego wybitnym talencie
 improwizatorskim tak pisze August Wrześniowski:

Do pierwszorzędných poetów miejscowych należy stary Jan Sabała Krzeptowski. W roku 1879, podczas schodzenia z Rysów, zatrzymaliśmy się na chwilę dla wypoczynku, którego nasze towarzyski bardzo potrzebowały. Na boku stał stary Sabała, otoczony ciekawie słuchającymi go góralami: przybliżywszy się, usłyszałem długą dumę o dwojgu kochanków nieszczęśliwych, improwizowaną na nutę podhalskiej śpiewki. Sabała chętnie improwizuje i drobniejsze utwory. Tak pewnego razu, rozochociwszy się w chacie Sobczaka, w przekonywujący sposób zagrzewał tańczących górali:

Tańcujcie ludzie
W Sobczakowej budzie;
Jak się zawali,
Pójdziemy dalej.

Gdy sam do tańca wystąpił, zalecał grajkowi:

Nie uważaj na siwiznę,
Jeno zagraj, jak ci gwiznę.

Nieźródny tancerz za młodu, Sabała jeszcze i na starość, gdy mu który z górali zaśpiewał jego „Sabałowską“ nutę, zrywał się do tańca; oczy, zwykle zamglone, nabierały ognia, a podeszły wiek widocznie przestawał mu ciężyć, bo starowina suwał kierpcami lekko po murawie lub piasku, jak młodzieniec.

„Sabała — jak świadczy o nim Witkiewicz — pomimo ośmdziesięciu siedmiu ¹ lat swoich, jest młodym, żywym i rzeźkim. Różni się też tem od swoich rówieśników, dziadów, siedzących po chałupach piecuchów i brudasów, którzy zdają się „za wodę płacic“, tak są pokryci brudem. Sabała pogardza takimi, natomiast bardzo rad widzi dzielną młodzież, która się wykrada z flintą w góry. Taki, jakim jest dziś ² Sabała,

¹ Myli się tu Witkiewicz, w roku bowiem 1887, do którego odnosi się „Na przełęcz“, Sabała liczył sobie dopiero 78 lat.

² To jest w roku 1887.

jest on dziełem sztuki, nie przestając być żywym człowiekiem. Jest on najpiękniejszym typem dawnego górala“.

Z biegiem lat jednak, a zwłaszcza po śmierci Chałubińskiego, starość i zgrzybiałość zaczęły robić swoje: powoli tępał lotny umysł, zaciemniały się bystrość i pamięć. Zdawał sobie z tego sprawę Sabała, więc też śpiewał melancholijnie:

Młodość moja, młodość!
Przysłaś mi na marność,
Radość moja ginie,
Jak liść na wierzbinie.

Mimo to, jeszcze w roku 1894, gdy pod przewodem Jana Grzegorzewskiego zorganizowała się zbiorowa wycieczka góralska do Lwowa na wystawę krajową, w której około stu górali wzięło udział, przyłączył się do nich i 85-letni wówczas Sabała.

Naturalnie, że przyjazd jego, wobec sławy, jaką mu w Polsce zrobili Sienkiewicz i Witkiewicz, był małą sensacją dla pownych kół, tak, że gdzie się pokazał Sabała ze swymi gęślikami, tam zaraz tworzyły się grupy wkoło niego. Musiał opowiadać swoje bajki, śpiewać swoje piosneczki, a tym, którzy byli ciekawi swej przyszłości, wróżył z ręki, bo i to było jego specjalnością.

Któregoś dnia zdarzył mu się niemiły despekt. Oto, gdy muzyka zaczęła grać, Sabała podszedł do kapeli, a stanąwszy tuż pod dyrygentem, zaczął grać na swoich skrzypkach. Gdy go usunięto w dość bezceremonjalny sposób, on, zdziwiony tą bezwzględnością przedstawicieli porządku, tak sobie urzewniał po swojemu:

— Kiby to byli, coby ja się s nimi nie zgodzieli. Ja zgode wse rad widzem, a kie patyke pokazuje, jako grać, to tez poradzem, haj. Cyzbyk nie zdołał. Ino ja tak uwazujem, ze to robi sićko zazrość, cobyk im chleba nie odebrał, haj.

Wróciwszy do Zakopanego, a czując się już coraz słab-

szy, coraz bardziej uginając się pod brzemieniem starości, Sabała nagle zapadł na zdrowiu...

Ponieważ u siebie w chacie w Kościeliskach nie miał by dostatecznej opieki, ofiarowała mu pani Lilpopowa gościnę w swoim domu na Bystrem. Pomimo zapobiegliwości i pieczołowitości lekarzy, choroba, którą przedewszystkiem był wiek zgrzybiały, czyniła szybkie postępy, tak, że niebawem zaczął się zbliżać koniec. Gdy choremu zaproponowano spowiednika, dał odpowiedź odmowną... Wreszcie dnia 8 grudnia spokojnie wyzionął ducha.

Z pogrzebem były niejakie trudności, bo ksiądz Kaszelewski odmówił w nim udziału, skoro nieboszczyk umarł bez sakramentów. Dopiero wstawiennictwo Stanisława Witkiewicza i Jana Grzegorzewskiego, którzy w tej sprawie pertraktowali z proboszczem, wyjednało ostatecznie, że przed pogrzebem szedł przynajmniej wikary. Pogrzeb był, jak na stosunki zakopiańskie, wspaniały.

Tego samego dnia 12-go grudnia, w krakowskiej „Nowej Reformie“, ukazała się następująca korespondencja z Zakopanego p. t. *Śmierć Sabały*.

Śmierć Sabały.

Jeden z najstarszych, a zapewne i najinteligentniejszych naszych górali, Sabała Krzeptowski, zmarł dn. 8 bm. na Bystrzycy w Zakopanem. Któż z gości, odwiedzających ten uroczy zakątek Tatr, nie znał sędziwego starca, o typowej ściągłej twarzy, z inteligencją niepowszednią, obdarzonego znaczną dozą twórczości? Bajki Sabałowe, głośne w całym kraju naszym, wślawiły górala-twórcę i przedrukowane w pismach, podawane z ust do ust, były cennym nabytkiem do literatury ludowej, a kreślone umiejętnie, z zachowaniem gwary tutejszej, miały niepoślednie naukowe znaczenie dla językoznawstwa i psychologii ludu góralskiego.

Sabała, zamieszkały w dolinie Kościeliskiej, patrzył

na rozwijające się stopniowo Zakopane, brał udział we wszystkich zabawach, urządzanych przez śp. dra Tytusa Chałubińskiego, stykał się z inteligencją, która tak licznie nawiedza Zakopane, a poznawszy górala-artystę, ceniła w nim tę niepowszednią iskrę bożą, objawiającą się w formie bajek i przypowieści, nieraz o głęboko filozoficznej tendencji.

Czy bajki te umiejętnie przez zmarłego były stwarzane, jak twierdzą niektórzy, czy tylko powtarzane w prostej góralskiej formie z zasłyszanych w młodości, jak chcą inni, w każdym razie świadczyły one o smaku i poczuciu samodzielnej estetyki, wykształconej na księdze przyrody, a wchłoniętej przez wrażliwą naturę Sabały. Jedno i drugie daje świadectwo artystycznej duszy zmarłego, bo chociażby założenie do swych opowieści czerpał z bujnej fantazji podań ludowych, to jednak forma, w którą je przyodziął, chlubnie świadczyła o artyźmie wykonawcy. Śmiało możemy powiedzieć, że ze śmiercią Sabały zstępuje do grobu malarz ludowy, wiernie odtwarzający fantastyczność podań ludu górskiego. Mistrz słowa i myśli w swoim zakresie, którego nie zastąpi żaden z tutejszych górali, bo nie odznaczają się ani twórczością podobną, ani jednością formy, lub bujnością opowiadań, czerpanych z przeszłości. Zmarły był typowym tatrzańskim góralem z krwi i kości, znał góry i górali, hołdował ich wierzeniom, upodobaniom i praktykom, odczuwał w nich jednak to, co dla tysięcy jest niezrozumiałe: śpiewność i poezję. Ulegając bezwiednie sile artyzmu, wypowiadał, co czuł, w formie, która porywała prostotą, a zachwycała odrębnością. Sabała był przeciętnym góralem, jednym z tych wielu starszej generacji, którym pismo i książka są obce, tylko, że do duszy jego inaczej przemawiał szum wiatrów halnych, łoskot potoków i szczyty gór, ozlęcane promieniami słońca, świergot ptasząt i tajemniczy głos kołyszących się świerków...

Dobrze znaną jest wszystkim opowieść Sabały o śmierci matki i miłosierdziu bożem nad sierotami: spisał ją Sienkiewicz i podał do druku. Oprócz licznych dłuższych przypowieści znane są aforyzmy Sabały. „Goniec Tatrzański“ skrzętnie je notował p. t. *Przędza Sabały*. Wszystkie odznaczają się zwięzłością, a wiele z nich trafnością porównań i filozoficznym poglądem, np. *Przydałaby się prawda na świecie*.

Gdy razu pewnego w towarzystwie z przekąsem mówiono o artystycznej grze Sabały na skrzypcach, odpowiedział tenże: „One w rękach moich tyle znaczą, co plug u żyda“. Zmarły nie rozstawał się ze swemi skrzypkami, czerpał z nich tę pogodę i wesołość, która cechowała go zawsze, a której nie mogli pojąć inni górale. Wrażliwym był bardzo. Gdy pewnego razu chorował, ksiądz, który wracał z sąsiedztwa od chorego, wstąpił do Sabały, nie zastał go jednak w łóżku. Sabała porwał się z pościeli, wziął skrzypki do ręki, usiadł przy kominku, a na zdziwienie kapłana odpowiedział, że zdrów zupełnie, gra jak zwykle. Ksiądz, wezwany podczas ostatniej choroby, nie zastał go już przy życiu.

Sabała zmarł u pani Lilpop. Nie pomogła ani pomoc lekarska, ani silne pragnienie życia: śmierć przyszła i złamała zgrzybiałe ciało Sabały, rozerwała bujność myśli, zmroziła serce i przecięła raz na zawsze tę Sabałową przędzę, którą snuł z obszernej natury życia i ludzi.

Dzisiaj pogrzeb niezwykłego górala. Przygotowano mu rzeźbione łożo z drzew tatrzańskich, a zwłoki mają spocząć na starym cmentarzu w rodzinnej ziemi, skąd góry widać i szum jodeł słyszać, gdzie halny wiatr do snu kołysze prochy dr. Chałubińskiego, organizatora Zakopanego, i ks. Stolarczyka, tego pierwszego stróża oświaty i moralności wśród nieokrzesanych i na pół dziłkich, dawniejszych zakopiańskich górali.

Mieczysław Offmański.

W trzy dni później, w tejże „Nowej Reformie“, znalazła się o pogrzebie Sabały następująca notatka z Zakopanego:

Rozgłośny gęślarz tatrzański, Jan Sabała Krzeptowski Czakor z Kościelisk, pogrzeb miał piękny dnia 11-go b. m. Złożony z gęśłami i ciupagą do grobu, zasypany wieńcami od przyjaciół i gości, zginął ten typowy góral ze świata zakopiańskiego.

Jednocześnie „Czas“ z 16-go grudnia zamieścił następującą wiadomość z Zakopanego:

Dnia 11-go b. m. złożono zwłoki Sabały na tutejszym cmentarzu. Pogrzeb odbył się staraniem p. Lilpopowej. Nauczyciel szkoły snycerskiej p. Nalborczyk, zdjął maskę pośmiertną. Trumnę wybito białem sukniem góralskim.

Tegoż dnia 16-go grudnia „Kurjer Warszawski“ w korespondencji z Zakopanego podał taki szczegół z pogrzebu Sabały:

Piękny miał pogrzeb Jan Sabała Krzeptowski Czukur z Kościelisk. W dniu 11-tym b. m. z gęśłami i ciupagą złożono go do grobu pod stosem wieńców od przyjaciół.

Na dzień przedtem, w „Tygodniku Ilustrowanym“, zaczął Gawalewicz swą kronikę tygodniową od następującego epitaphium:

Umarł Sabała!... Postać starego górala, jego nazwisko i opowiadania o nim tworzą rodzaj legendy, która wzrosła w Zakopanem, i jak dawniej łączono nazwisko tej perły Tatr z imieniem owego górala, który każdą znał tam ścieżynę, tak kiedyś, gdy Zakopane połączą koleja-

mi z resztą świata, gdy owoce cywilizacji przedrą się do góralskiej wioszczyzny, grób Sabały będzie miejscem wycieczek, a wysmukłe świerki gadać będą jego dzieje. Dziecko gór, do tych gór przywiązany i w umiłowaniu ich nie mający sobie równego, Sabała zasłużył na wspomnienie, jako Mohikanin tatrzański, a gdyby go nie innego zalecić do wspomnienia nie mogło, to karty, które mu Sienkiewicz i Witkiewicz w swych dziełach zostawili, przetrwają na długo. „Sabałowa bajka“ i „Na przełęczy“ wprowadziły skromnego górala do historii, i zostanie już w niej Sabała, póki ludzie czytać będą. Chałubiński szczęśliwą miał rękę, którą pobłogosławił drogę do Zakopanego: poszli nią wszyscy, miłujący naturę, i dziś to siedlisko dobrego powietrza stało się schroniskiem dla potrzebujących odpoczynku.

Sabała nie doczekał się kolei i rozstrzygnięcia sporu o Morskie Oko, nie usłyszał świstu lokomotywy, któryby echem odbił się o leśne i skaliste ściany, i nie dowie się komu oddadzą panowanie nad jego ukochanem jeziorem. Kto wie, może dla jego przywiązanej do dawnych porządków duszy lepiej się stało, może raziłby go ten wielki napływ cywilizacji, a może nie przeżyłby węgierskich roszeń do karpackiej granicy.

Niech śpi w spokoju, ukołysany do snu wiecznego poświstem wichrów górskich.

Stosownie do wielokrotnie wypowiedzanego życzenia Sabały pochowano go na cmentarzu zakopiańskim, obok ś. p. Bronisława Dembowskiego.



STUDIUM NAUCZYCIELSKIE
w GLIWICACH

80. 13517